

BŁĘDNE DROGI NASZEGO KRYTYCYZMU.

Nie po raz pierwszy zabiera *Ateneum* głos w téj sprawie. Pisaliśmy już o niéj w r. 1878 (zeszyt sierpniowy), traktując rzecz bardziéj teoretycznie. Od tego czasu jednak stosunki nie tylko nie posunęły się ku lepszemu, ale niestety, przeciwnie—w ostatnich czasach znacznie się pogorszyły. Wracamy więc raz jeszcze do téj kwestyi, lecz rozbierać ją będziemy ze stanowiska czysto publicystycznego.

Dwadzieścia z górą lat mija od czasu, kiedy grono młodzieży uniwersyteckiéj w *Przeglądzie Tygodniowym* śmiało podniosło sztandar bezwzględnego krytycyzmu, nie liczącego się z żadnemi powagami i z żadnemi świętościami, choćby nawet ogólną czcią otoczonemi. Każdy ma prawo myśléć swobodnie i swobodnie wypowiadać swoje zdanie, głosił organ p. Wiślickiego, bo jedynie swobodna krytyka może wyświetlić prawdziwą wartość wierzeń, poglądów, instytucyi, a wreszcie działaczy publicznych, oraz ich dzieł i dążeń. I krytykowano też wszystko i wszystkich bez żadnego względu na gromy prasy zachowawczéj, na potępienia i oburzenie ze strony przeważnéj części czytającéj publiczności. Popierani przez młodzież współpracownicy *Przeglądu* przepędzili kolejno przez krytyczne rózgi, najczęściéj bardzo dotkliwe, chociaż niekiedy bardzo niesprawiedliwe, wszystkie współczesne powagi literackie i naukowe, wszystkich wybitniejszych pracowników społecznych. Po ludziach żyjących, ich wierzeniach, dążeniach i poglądach, przyszła kolej na wielkich zmarłych, na przeszłość dziejową. Zasiadł sąd nad historyą narodu. I tu zapanowała ta sama bezwzględność. Sędziami bowiem byli prawie bez wyjątku ludzie bardzo młodzi, życiowo niedoświadczeni i naukowo niedouczeni, ale, naturalnie, tém śmielsi i pewniejsi siebie. Kiedy im zwracano uwagę na brak przygowania, odpo-

wiadali junacko: wdajcie się z nami w polemikę, wytknijcie nam błędy, a czytelnicy osądzą, kto z nas lepiéj rzecz zna i rozumniéj na nią patrzy. I w odpowiedzi téj mieliby zupełną słuszność, gdyby nie dotykali kwestyi, o których mówić otwarcie nie można, oraz gdyby w sporach trzymali się drogi ściśle przedmiotowéj, wystrzegając się starannie nieprzyzwoitych wycieczek *ad personam* przeciwnika. Niestety jednak wymaganiom tym młodzi szermierze najczęściéj nie czynili zadość.

Śladem *Przeglądu Tygodniowego* poszły następnie zrodzone zeń *Nowiny*, oraz ich siostra *Prawda* i młody jéj wychowaniec — *Głos*. Inne pisma wolnomyślne (*dawniejsza Niwa*, *Opiekun Domowy*, *Ateneum*, *Kraj*) były zawsze oględniejsze w krytyce. Z upływem wreszcie czasu *Przegląd Tygodniowy*, nie dający się nigdy prześcignąć swemu potomstwu, przetrzepał mocno szpicrózgą swéj socyologicznéj uczoności nawet takie instytucye, stanowiące podwalinę obecnego ustroju społecznego, jak własność, rodzina itp., przyczém dostało się téż porządnie naszemu zacofanemu „patryotnictwu“ na miejsce którego zalecano przejęcie się interesami stanu czwartego i pracę nad ich uświadomieniem. Wkrótce jednak i *Głos*, stanąwszy na gruncie podobnych idei, tylko z odcieniem bardziéj słowiańskim, zdołał się zrównać poniekąd w „postępowym“ biegu z organem p. Wiślickiego.

Jak więc widzimy, nic się nie ostało przed krytyką naszéj wolnomyślności. Będąc zwolennikami tego kierunku, nie mamy bynajmniéj zamiaru występować przeciwko jego podstawowéj zasadzie, lecz chcemy zwrócić uwagę jego przedstawicieli na popełniane przez wielu z nich błędy w jéj stosowaniu, oraz sprzeniewierzanie się jéj, często zapewne nieświadome.

Błędném stosowaniem prawa wolnéj krytyki wydaje nam się przedewszystkiém zbyt bezwzględne i jaskrawe występowanie w tych kwestyach drażliwych, które wolno nam oświetlać tylko z jednéj strony. Błędu tego w ostatnich czasach dopuszczał się najczęściéj *Głos*. Kiedy mu zaś z tego zrobiono zarzut, odpowiedział, że „niema takiéj kwestyi drażliwéj, o któréj nie wolno byłoby mówić; chodzi tu bowiem tylko o odpowiednią formę.“ O mylności jednak tego zdania powinno było przekonać jego wyznawców własne ich doświadczenie. Nie jednokrotnie bowiem ich myśli i intencye, pomimo najlepszéj woli czytelników, były źle zrozumiane. Choćby jednakże nawet obawy o to nie było, to i tak sama już nierówność oświetlenia różnych stron danéj sprawy musi uniemożliwić wyrobienie sobie o niéj sprawiedliwego sądu. Jeżeli np. jéj stronę ujemną przedstawiono dokładnie, jaskrawo, a nawet przesadnie,

o dodatniéj zaś obrońcy mogli mówić tylko półgębkiem, z wielką ostrożnością, a i te jeszcze skąpe o niéj napomknienia musieli ukryć w mgle pustych frazesów, lub co gorsza—obłudnych, bo przymusowych potakiwań zbijanym przez się twierdzeniom swobodnego w języku przeciwnika, to trudno przypuszczać, ażeby obrona nie straciła skutkiem tego całéj swéj skuteczności. Krytyka więc taka nie może sprawy wyjaśnić, ale chyba tylko skrzywić o niéj pojęcia.

W tymże samym *Głosie* spotkaliśmy się kiedyindziéj znów ze zdaniem, że byleby piszący myślał i czuł uczciwie i głosił szczere przekonania, to nie powinien się krępować żadnemi względami. I na to przecież zgodzić się nie możemy. Przyzna bowiem chyba każdy, że i najszczersze przekonania, ożywione najlepszemi chęciami, mogą być mylne i dla dobra publicznego szkodliwe..... Kto z tém wcale liczyć się nie chce, tego dobra wola lub dojrzałość umysłowa musi budzić podejrzenie.

Nie usprawiedliwia téż, zdaniem naszém, wolność krytyki lekkiego i lekkomyślnego traktowania spraw wielkiéj wagi. Są rzeczy, o których można mówić tylko poważnie, których żartami i dowcipkami zbywać nie wolno. Nadewszystko powinno się o tém pamiętać przy traktowaniu spraw takich, w których wchodzą w grę uczucia społeczne, szanowne i podniosłe. Może jakiś radykalny socyolog stawiać wyżéj współczucie dla warstw ekonomicznie upośledzonych od uczucia szerszego zakresu i wznioślejszego znaczenia. . .
. . . .

Podobnież zachwala się taka sama „śmiałość poglądów“ w wycieczkach przeciwko własności, rodzinie, religii i t. p. Zastrzegamy się najwyraźniéj, że żadnéj z tych instytucyi, ani żadnego z najwznioślejszych uczuć i dążeń społecznych nie chcemy wyłączać z pod prawa krytyki, ale krytyki poważnéj, prawdziwie naukowéj. Pragnęlibyśmy tylko, by ożywione uczciwemi chęciami redakcye powstrzymywały zbyt gorących współpracowników od niewłaściwych na tém polu harców rozkiełznanego pióra. Tymczasem niesmaczne, a niekiedy nawet w wysokim stopniu brutalne drwiny w takim np. *Przeglądzie Tygodniowym* z małżeństwa, rodziny, religii były przez pewien czas na porządku dziennym, a i dziś zdarzają się przygodnie, przyczém znaleść je często można w tym samym numerze, w którym na innéj stronicy inny autor karci takie postępowanie w inném piśmie. Widocznie więc wszystko zależy jedynie od tego, kto pisze i gdzie pisze. I tak się dzieje rzeczywiście we wszystkich, niestety, pismach naszych radykalniejszego odcienia.

Rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa, że każdy z tych właśnie organów prasy, które w teoryi najwyżéj podniosły sztandar

wolnéj krytyki, chce w praktyce uczynić z tego prawa monopol wyłącznie jemu jednemu przysługujący. Tak przynajmniéj należy wnosić z tego, że ile razy ktokolwiek wystąpi bodaj z najlżejszą krytyką poglądów wygłoszonych w jedném z tych pism, natychmiast spotyka się z zarzutem złéj wiary i woli. Tym sposobem wszelkie polemiki schodzą zawsze z drogi sporu o idee i poglądy na tor bójek osobistych na pióra, gorszących swém brutalstwem, a co gorsza niekiedy—nieprzebieraniem nie tylko w wyrazach, ale i w *środkach* zohydzenia przeciwnika. Dla dania czytelnikom pojęcia, jak daleko w tym kierunku zachodzą nasi radykaliści, dość będzie przytoczyć jeden wyjątek z ostatniego starcia pomiędzy *Przeglądem Tygodniowym* i *Głosem*. „Przegląd“ wystąpił z ostrą i, jak to u nas zwykle bywa, w tonie często nieprzyzwoitą krytyką sposobu traktowania sprawy ludowéj przez *Głos*, nie wymieniając przytém tytułu tego pisma. W treści jednakże, obok nagannych wycieczek osobistych, rzucił kilka uwag poważnych, rzeczowych, bezspornie zasługujących na przedyskutowanie. Zaznaczywszy mianowicie, że o żadnych „partyach“, któreby mogły na polu praktyczném bronić swoich interesów i walczyć zbiorowo o ich uznanie i zwycięstwo, mowy u nas być nie może, pisał: „Badanie ludu, rozbiór warunków, w jakich on bytuje, pojęć, jakiemi żyje, typów, jakie wytwarza, uważamy za jeden z najzdrowszych prądów współczesnych, jakie się w literaturze i prasie przejawiają. Pismo więc specyalnie kwestyom ludowym poświęcone, jako jeden z głosów prasy, może oddać znakomite usługi społeczeństwu, ale pod warunkiem, ażeby sobie dokładnie ujawniło właściwą sferę działania i nakreśliło odpowiednie cele. Nie namiętne stanowisko partyi, nie stronna obrona interesów, nie walka z innemi stanami — co może być wtedy tylko rzeczą pożyteczną i rozumną, skoro się jest aktualnym organem partyi — ale rzetelne oświecanie narodu o stanie ludu musi być podstawową ideą organu ludowego. Pismo takie musi sobie postawić za zadanie i zreformować pojęcia społeczne o ludzie, rozjaśnić błędy, wyświetlić stan rzeczy, napoić czytelników poszanowaniem ludu, jako zbiorowéj siły, przeniknąć myśl ogólną — ludowością.“ Lecz „przybieranie pozorów jakiéjś partyi, robienie miny mandataryusza interesów ludowych, szumne wygłaszanie haseł i wypisywanie godeł, o ile jest śmieszném nieporozumieniem, o tyle bywa szkodliwe, gdyż prowadzi do złudzeń, do brania słów za czyny, frazesów za robotę. Absolutnie nic nie mogąc ani dla ludu, ani przez lud stworzyć, chłopomani, o ile nie są konspiratorami, wiszą w powietrzu, hałasują w pustyni, jedynie dla zadowolenia własnego...“

Przyzna chyba każdy, że wyrażone w przytoczonych ustępach poglądy, dają dość materyału do poważnéj dyskusyi. Tymczasem cóż odpowiedział *Głos*? Podrażniony wycieczkami osobistemi, pominął zupełnie powyższe zarzuty przedmiotowe, ale odmierzył za to z grubym procentem otrzymane szturchańce. Oto wyjątek z jego repliki: „P. Wiślicki nie tylko wié, cośmy czytali, ale zna nawet zdanie nasze o Kolbergu, chociaż nie wypowiadaliśmy go wcale i „gotów jest założyć się“, że w całéj naszéj bibliotece nie ma ani jednéj książki, poświęconéj ludowi polskiemu. Chętnie przyjęlibyśmy zakład, nawet pod tym *nieprzyjemnym warunkiem*, że p. Wiślicki dla sprawdzenia *przestąpił by progi naszych mieszkań*, ale wiemy naprzód, że „*fachowy*“ *przedsiębiorca wykręcił by się sprytnie od zapłaty przegranéj sumy.* Cały artykuł składa się z podobnego rodzaju zarzutów. Przepraszam—są jeszcze lepsze. „Panowie ci, o ile nie są konspiratorami, wiszą w powietrzu.“ Co na to odpowiedziéć? to chyba tylko, że p. Wiślicki, o ile jest *denuncyantem znaleść się może w podobnéj pozycyi.*“

Tak się u nas prowadzą polemiki, tak się wzajemnie traktują ludzie, mający być przewodnikami społeczeństwa!

A skąd to pochodzi? Pominąwszy walkę konkurencyjną wydawców, walkę obrzydłą, nizką, a przytém chybiającą zupełnie celu, bo czytelnicy widzą dobrze o co chodzi i mogą tylko nabrać wstrętu do tych, co ją uprawiają, nie tych, co stawszy się przedmiotem napaści, zachowują się szlachetnie, głównym powodem tych brutalnych bójek jest sprzeniewierzanie się zasadzie wolnéj krytyki. Co powiedział lub zrobił p. X., tego niewolno krytykować p. Y. Raz przywołuje się tu na pomoc autorytet osoby, kiedyindziéj powagę ogólnie przyjętego przez dane stronnictwo, lub pismo zapatrywania. Pojedyńczych czynów publicznych lub pism pana A., „który przez kilkanaście lat pracował nad rozkrzewieniem u nas idej postępowych“, nie wolno jest oceniać niepochlebnie panu B., ponieważ jest on tylko „zuchem, mającym zaledwie kilkadziesiąt artykułów w swoim tornistrze literackim“. Przeciwko poglądom p. C. nie wolno jest wystąpić z dysputą naukową p. D., gdyż pod względem „znaczenia literackiego“ dzieli go od przeciwnika „wielki dystans“. Co jednak najzabawniejsza, to że nierzadko nadęty kiełbik literackiego stawu urąga swą mniemaną wielkością szczupakowi. Wiadomo np., że cała redakcya *Głosu* składa się z ludzi początkujących dopiero w zawodzie pisarskim, z których kilku posiada niewątpliwy talent, ale żaden nie wzbogacił dotąd skarbca literatury najmniejszym klejnotem, co by mu dawał prawo do pozowania na wielkość. Tymczasem, ile razy ktoś, choćby pisarz poważny, lecz nie należą-

cy do liczby ogólnie uznanych znakomitości, ośmieli się odezwać krytycznie o poglądach tego organu, natychmiast w miejsce poważnéj odpowiedzi rzeczowéj spotka się z przycinkiem, że jest „pachołkiem literackim“, „nieukiem“, „pismakiem bez znaczenia“, „chłopcem redakcyjnym“ itp. A należy dodać jeszcze, że dla wzmocnienia argumentacyi i w imię *odwagi obywatelskiéj* (fakt! — nie mówimy tego bynajmniéj przez złośliwość), nie liczącéj się z obłudnymi konwenansami, używa się tam w polemice i takich epitetów, jak „kiep,“ „gap“, „dureń“ itp.

Podobnież jak niektórych ludzi, stawia wielu zwolenników teoretycznych wolnéj krytyki w praktyce po nad nią pewne hasła, zasady i poglądy naukowe i społeczne, już to przyjęte przez całe stronnictwo wolnomyślne, już przez jednę jego część, lub nawet jedną redakcyą. Sprawę tego dzikiego fetyszyzmu, niezrozumiałego w ludziach, nie uznających niby w teoryi żadnego ślepego kultu, poruszał już niejednokrotnie obecny kronikarz *Ateneum*, notując jego pojedyncze objawy przy zdarzonéj sposobności. Nie potrzebujemy więc już tutaj rozszerzać się zbytecznie nad tą kwestyą. Mówił o niéj także parę razy i dość obszernie *Głos*. Pomimo to jednak sam, niestety, zaszedł w tym kierunku najdaléj ze wszystkich pism postępowych. Już w samym nawet artykule „Fetysze postępowości“ wygłosił dogmat, że pozytywizm, jako doktrynę filozoficzną, mogą wyznawać tylko „umysły ciasne i płytkie“, nie spostrzegając, iż przekonanie takie jest równie nieuzasadnionym fetyszem, jak wyśmiany o kilkanaście wierszy wyżéj „postępowy“ kanon bezwyznaniowości. Tenże *Głos* przyczepia do „ogona partyi ludowéj“ i podejrzewa dobrą wiarę i wolę tych wszystkich przyjaciół i obrońców ludu, co się w całości na ogłoszony przez jego redaktorów, program nie godzą. Takie wypadki zdarzały się i innym pismom wolnomyślnym, lecz żadne z nich chyba nie czyniło nigdy nietykalną świętością zapatrywania swego na jakiś pojedynczy fakt, lub cyfry statystycznéj, przyjętéj przez się za prawdziwą. *Głos* tymczasem wpośród przedmiotów swego kultu ma nawet i takie „tabu“. Od czasu np., jak jeden z jego współpracowników na podstawie cyfr poboru wojskowego doszedł do przekonania, że ludność polska wyradza się fizycznie i umysłowo i że przyczyną tego mniemanego faktu są jéj właściwości rasowe, nikomu o prawdzie tego zdania wątpić nie wolno. Kiedy *Kraj* ośmielił się *dowodzić*, że tak nie jest, zarzucono mu „tchórzostwo, lękające się spojrzéć w oczy niebezpieczeństwu“ i „zwyrodnienie moralne.“ Podobny zarzut spotkał p. A. Zakrzewskiego, jednego z najkompetentniejszych i najgorętszych rzeczników sprawy ludu naszego i byłego współredaktorra *Głosu*

za to, że z porównania rozmaitych danych urzędowych i prywatnych śmiał dojść do wniosku, iż chłopów bezrolnych w Królestwie Polskiém jest tylko 1.300.000, kiedy *Głos* oddawna liczy ich gołosłownie przeszło 2 miliony. Z tego powodu p. Z. został posądzony o *świadome sfałszowanie* cyfry, chociaż niepodobna odgadnąć, doprawdy, co by mu na tém zależéć mogło.

Jak widzimy z tego, fetyszyzm niektórych wolnomyślnych pism naszych wkracza aż w granice śmieszności. A niestety po większéj części podobnie mają się rzeczy i z ich czytelnikami. I w ich kole często tak samo lekkomyślnie traktuje się sprawy ważne, tak samo bezkrytycznie przyjmuje się zdania i patrzy się na czyny autorytetów stronnictwa, tak samo poczytuje się za herezyą wszelka w tym kierunku krytyka ze strony ludzi, należących do tegoż obozu, tak samo wreszcie czci się ślepo wszelkie „fetysze postępowości.“ Tylko tu dzieją się czasem rzeczy jeszcze zabawniejsze, niż w prasie. Znam np. nie piszących „postępowców“, którzy jednocześnie wyznają i głoszą zasady liberalizmu i socyalizmu: wierzą w doktrynę Marxa o wywłaszczaniu posiadaczy drobnych przez wielkich i domagają się parcelacyi, żądają zarazem „równości wszystkich obywateli wobec prawa“, „podporządkowania interesów warstw odrębnych interesom ludu“ i przywilejów dla „arystokracyi ducha.“ Bo cóż robić, kiedy wszystkie te hasła głoszą różni przedstawiciele postępu, a krytykować ich nie wolno.

Takie są skutki błędnych dróg naszego krytycyzmu. A jednakże nie winna temu bynajmniéj sama zasada wolnéj krytyki. Ona to bowiem przecież wywołała ten świetny i twórczy ruch umysłów, jakim poszczycić się może literatura i nauka ostatniego stulecia. Rozumnie więc i uczciwie stosowana nie powinna prowadzić na manowce. Ale skrzywiona przez wykonawców zbyt nieoględnych staje się mieczem w rękach szaleńców, jeżeli nie czémś gorszém, kiedy w grę wejdą pobudki niskie, zła wola i zła wiara.

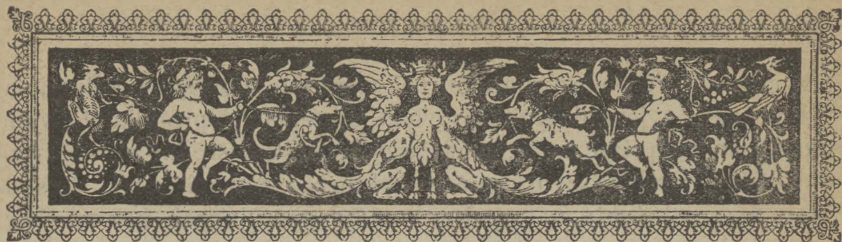
Nie chcemy wymagać więcéj, aniżeli wymagać można. Rozumiemy to dobrze, iż młodzieńcza krewkość, lub żółciowa zgryźliwość może mimowoli unieść autora po za granice dyskusyi ściśle przedmiotowéj i wywołać podjazdowe wycieczki osobiste. Lepiéj jest, kiedy się tego ktoś ustrzedz może, lecz w razie przeciwnym nie można nikomu robić z tego kryminału, byleby tylko wycieczki te nie wybiegały za kresy przyzwoitości literackiéj i obowiązku szanowania godności własnéj i przeciwnika, byleby niemi nie kierowała jawna zła wola. Główném tłem jednakże wszelkich polemik powinien być koniecznie spór o idee i zasady. Takie jedynie dysputy mogą przynieść istotną korzyść czytelnikom. Takie jedynie spory

świadczyłyby dodatnio o żywotności stronnictwa, wzroście i rozwoju jego sił umysłowych. Gorszące bójki osobiste, ciągłe pomawianie się i podejrzewanie o nikczemne i brudne chęci i czyny muszą być uważane za objaw jego rozkładu i upadku moralnego co najmniéj niektórych jego przedstawicieli, choćby nawet liczebnie wzrastało.

Jesteśmy na to przygotowani, że za artykuł ten spotkają nas z wielu stron insynuacye i obelgi. Ale odpowiemy na nie słowami Baudouin'a: „To dla nas, a cóż dla wspólnéj sprawy naszéj—postępu i dobra publicznego?“ Dla niéj złóżcie koledzy, dobrą wolą ożywieni, choć w głębi swéj duszy przyrzeczenie współdziałania z nami nad poprawą stosunków obecnych. A możebyście je zaczęli od przedmiotowéj dyskusyi nad poruszonemi tu przez nas myślami? Bo doprawdy, jeżeli rzeczy pójdą daléj tym torem, na jakim są obecnie, możemy się stoczyć bezpowrotnie w odmęt błota moralnego i pozagryzać się w niém na śmierć wzajemnie.

W. W.





STAN CZWARTY
I REFORMY.

Istnienie już dzisiaj olbrzymich warstw stanu czwartego, we wszystkich krajach starego i nowego świata, szczególniéj zaś w państwach, gdzie się wielki przemysł fabryczny rozwinął, nie ulega wątpliwości. Mogą się teoretycy różnić co do pytania, jakiego rodzaju pracowników w tych ramach umieścić; zawsze jednak, gdyby z nich usunąć jakiś ułamek, obejmujący wysoko płatnych, lub na chlebie rządowym będących: zostaną jeszcze miliony głów i rąk, niezawodnie liczniejsze od sumy wojsk stojących. Nie możemy téj liczby podać nawet przybliżonéj, ani wogóle, ani w naszym kraju. Nie znamy statystyki, któraby obejmowała wszystkich robotników po fabrykach, warsztatach, na roli, po biurach, bez różnicy płci i wieku, słowem tych wszystkich, którzy u innych ludzi za opłatę pracują i nic swojego, oprócz głowy i rąk, jako tako uzdolnionych, nie mają. A chociaż podobna statystyka ścisłą być nie może i z roku na rok jak wszelka inna zmieniać się musi; jednakże choćby przybliżone cyfry, pozwalałyby na jakieś pewniejsze rozumowanie.

Lecz chociaż nie mamy takiéj statystyki, sam fakt, t. j. istnienie i szybki wzrost stanu czwartego nie mogą być zaprzeczone. Gdyby go było w Europie tylko, dajmy na to, 10 milionów, któreby się poczuwały jako klasa z sobą solidarna, nie mająca ani granic terytoryalnych, ani różnic narodowych lub religijnych, zdążająca do celu odrębnego — zapanowania nad innemi warstwami i klasami — ażeby ostatecznie same te klasy usunąć; jużby dążenie podobne zasługiwało na uwagę i rozbiór tych, którzy i o cywilizacyą dbają i losami się stanu czwartego interesują.

Drugim faktem nieulegającym zaprzeczeniu jest bardzo ciężkie położenie materyalne warstw pracujących, wynikające z wielu

przyczyn, które pod rozmaitemi nazwami mieszczą się w jednéj, najwalniejszéj, t. j. w dotychczasowym systemacie produkcyi zwanéj kapitalistyczną. Być może, iż w naszych czasach średni zarobek pracowników jest wyższym, aniżeli był przed pół wiekiem, że skutkiem tego położenie materyalne warstw pracujących jest znośniejsze i skala życia nieco wyższa: z tém wszystkiém zarobek ich rzadko przewyższa minimum środków, potrzebnych do utrzymania sił organicznych w zdrowiu i należytéj zdolności do pracy.

Otóż, wobec takiego położenia stanu czwartego, przedstawiciele interesów warstw pracujących, występujący z dobréj woli, czy téż na mocy mandatu, zaczęli myśléć o poprawieniu losu pracowników i układać mniéj lub więcéj praktyczne plany i programaty reform, zmierzających głównie do sprawiedliwszego podziału dóbr materyalnych. Dążność ta przejawiła się w dwóch głównych kierunkach: teoretycznym i praktycznym. Oba te kierunki rozszczepiły się na rozmaite odcienie; charakteryzować wszystkich niepodobna w tak szczupłych ramach; poprzestaniemy więc na ujęciu jaknajogólniejszém głównych. Najprzód tedy przyjrzyjmy się kierunkowi teoretycznemu, albo może lepiéj, naukowemu.

Już nieraz zauważono w rozwoju spraw ludzkich, że dążeniu do zmian i reform w stosunkach społecznych towarzyszyły nowe na świat poglądy, formułowane na chwiejnéj podstawie indywidualnych pragnień, życzeń, jako „utopie“, lub też na gruncie hipotez naukowych i prawd przez umiejętność zdobytych.

O ile te poglądy są utopiami, albo jak je nazywają, romansami społeczno-politycznemi, o tyle mniéj oddziaływają na umysły spółczesnych: nikomu nie przychodzi do głowy myśl o ich realizowaniu. Inaczéj się rzecz przedstawia, gdy nowe na świat poglądy mają za sobą umiejętne dowody, lub bardzo prawdopodobne hipotezy: chwytają się one wówczas umysłów ludzkich i w formie naukowéj podkopują dawne poglądy wśród ukształconych, a w popularnéj, dostają się do warstw nieukształconych, torując drogę najprzód nowym pojęciom, a następnie nowym czynom, lub projektom do czynów. Byłoby błędem twierdzić, że te prace głów ludzkich sprowadziły same przez się wielkie zmiany w stosunkach ludzkich, że np. heliocentryczna teorya Kopernika i studya humanistyczne w epoce Odrodzenia sprawiły reformacyą religijną XVI wieku; albo, że pisma Monteskiusza, Roussa, Woltera i encyklopedystów wywołały rewolucyą francuską XVIII wieku; zawsze jednak dzieła ich, wprowadzając nowe poglądy na świat, przygotowywały umysły do zmiany stosunków społecznych. Tak samo rzecz się ma ze spółczesnemi dążeniami do reform w kierunku produkcyi ekonomicznéj: ci,

którzy są rzecznikami owych reform, albo przyswoili sobie rezultaty naukowe innych badaczów, albo wnieśli swoje.

Naukowe zdobycze wieku bieżącego w zakresie fizyki, chemii, biologii, jak np. wielkie prawo o przemianie i korelacyi sił przyrody, hipoteza ewolucyjna, stały się dobrem powszechném i weszły do inwentarza teoretyków, reprezentujących interesa stanu czwartego. Ale oprócz tych nowych poglądów na zjawiska świata fizycznego, mają ci teoretycy swoje własne o zjawiskach świata społecznego, bardzo różne od dotychczas obowiązujących. Nadmienimy tutaj jedynie o niektórych z tych poglądów w zakresie historyozofii, prawa i etyki; poznawszy je, łatwiéj będzie można rozumiéć dążenia stanu czwartego do reform w zakresie bytu społecznego i ekonomicznego.

Na dzieje rodu ludzkiego zapatrują się uczeni rozmaicie, a te ich zapatrywania podobało się nazywać historyozofią. Jedni tedy mówili, że dziejami ludzkiemi rządzi przypadek: *casu omnia reguntur*; drudzy, że *fatum*, los, co się równa pierwszemu; albo, że konieczność po nad wszystkiém panuje. Chrześcianie wprowadzili Opatrzność, jako regulatora wszystkich spraw społecznych i zjawisk fizycznych. Otóż, teoretycy stanu czwartego inaczéj pojmują społeczny rozwój człowieka na ziemi. Mówią oni, że dzieje ludzkie są wynikiem walki klas społecznych o dobra materyalne, że zatém pojęcia prawne, etyczne, religijne każdéj epoki noszą taki charakter, jaki cechuje ekonomiczną produkcyą tejże epoki. „Nowe fakta—mówi jeden z najwięcéj cenionych—zmusiły do zbadania na nowo całéj dotychczasowéj historyi, przyczém okazało się, że całe dzieje ludzkie, z wyjątkiem stanu pierwotnego, były historyą walki klas społecznych, że walczące z sobą klasy były w każdym razie wynikiem trybu produkcyi, czyli rezultatem stosunków e k o n o m i c z n y c h swojéj epoki; że zatém każdorazowa struktura ekonomiczna społeczeństwa stanowi rzeczywisty fundament, na którym się wznosi dalszy zrąb urządzeń prawnych, politycznych, jak nie mniéj poglądów religijnych, filozoficznych każdéj epoki historycznéj; w téj to budowie ekonomicznéj należy ostatecznie szukać ich zrozumienia“ (F. Engels). Takie pojmowanie dziejów wypowiedział pierwszy K. Marx, a pogląd ten przyjęli wszyscy jego stronnicy; towarzysz prac jego Engels, zalicza tę historyozofią oraz genezę kapitału, powstającego z n a d w a r t o ś c i, do wielkich odkryć.

Nawet gdybyśmy się nie zgodzili na mianowanie dwóch tych wielce doniosłych faktów wielkiemi odkryciami i nie przyznali za rzecz dowiedzioną, iż społeczność ludzka rozwijała się dotychczas j e d y n i e pod wpływem walki klasowéj, i że kapitał tworzył się

zawsze zokrawania cudzéj własności; jeszcze zwrócenie uwagi na te czynniki dziejów byłoby postrzeżeniem bardzo doniosłego znaczenia. O ile wiemy, nikt dotychczas z historyków nie traktował ani dziejów powszechnych, ani naszych z tego punktu widzenia; to, co pisano, stanowiło w istocie historyą klasy panującéj; klasy pracujące albo pomijano, albo wydzielano im tak szczupłe kąciki, że czytelnik ani się domyślał, jakie warstwy narodu i jakie czynniki tworzyły historyą. Takiemu zapatrywaniu się na dzieje ludzkie możnaby jedynie zarzucić, iż jest zbyt jednostronne, albowiem naprawdę ani życie człowieka, ani życie narodów nie jest rezultatem jednego czynnika, lecz wielu i rozmaitych — jakkolwiek jeden z nich może być głównym motorem.

Zrozumienie téj historyozofii pozwala rozumiéć nietylko naturę pożądanych reform społecznych, ale razem i genezę prawa i moralności takich, jak je pojmują teoretycy stanu czwartego. Jeżeli bowiem życie społeczne rozwija się jako walka klas o materyalną przewagę jednéj nad drugą: to i prawo każdéj epoki będzie tylko skodyfikowaniem téj przewagi, a więc prawném i moralném będzie to, co klasa zwycięska za takie uzna. Nie jakaś oderwana idea sprawiedliwości i dobra etycznego jest źródłem przepisów prawnych i moralnych, lecz to ekonomiczne stanowisko, jakie sobie zdobyła klasa zwycięska, stanąwszy na karkach zwyciężonych.

Polemizując tylko przygodnie z Proudhonem i Lassalem, — z których pierwszy rozprawiał szeroko o sprawiedliwości *(de la Justice)*, a drugi wywodził prawo z „pojęcia woli“, — Engels taki mu naznacza początek: „Na pewnym, bardzo jeszcze pierwotnym stopniu rozwoju społeczeństwa zjawia się potrzeba unormowania według wspólnego prawidła codziennych aktów produkcyi, rozdziału i wymiany produktów, ażeby jednostka poddała się tym wspólnym warunkom produkcyi i wymiany. Prawidło owo będąc z początku tylko zwyczajem, wkrótce staje się prawem (ustawą). Jak tylko jest ustawa, zjawiają się już z konieczności organa pilnujące jéj wykonywania, mianowicie, władza publiczna, państwo. W miarę dalszego rozwoju społecznego ustawa rozwija się w mniéj lub więcéj rozległe ustawodawstwo. Im to ustawodawstwo staje się bardziéj skomplikowaném, tém więcéj wyraz jego oddala się od tego, czém był w zwykłych ekonomicznych warunkach społeczeństwa. Wówczas prawo wygląda jako samoistny czynnik, który nie jest wyrazem ekonomicznych warunków, lecz ma źródło sam w sobie, w jakiémś „pojęciu woli.“ Ludzie zapominają pochodzenia prawa z warunków ekonomicznych życia, tak jak zapomnieli o swojém pochodzeniu z niższych form organicznych. W miarę dalszego rozwoju pra-

wodawstwa i wytwarzania się zeń zwikłanéj całości, okazuje się potrzeba nowego społecznego podziału pracy; powstaje stan uczonych, fachowych prawników, którzy wyrabiają umiejętność prawa. Umiejętność ta, rozwijając się coraz dalej, porównywa systemata prawne rozmaitych narodów, uważając je nie za wyrazy każdoczasowych stosunków ekonomicznych, lecz jako systematy, mające same w sobie swoje uzasadnienie. Porównywanie każe przypuszczać, że w porównywanych rzeczach jest coś wspólnego; otóż juryści, oderwawszy od wszystkich tych systematów prawnych wspólną im cechę, nazwali ją prawem natury. Skalą zaś służącą do mierzenia, co uważać za prawo natury, staje się najbardziéj abstrakcyjny wyraz samego prawa, tj. sprawiedliwość. Od téj chwili juryści, oraz ci, co im na słowo wierzą, rozwój prawa zasadzają na dopasowywaniu stosunków ludzkich do tego ideału przedwiecznéj sprawiedliwości. Tymczasem, ta sprawiedliwość jest zawsze tylko wyidealizowanym, niebiańskim wyrazem istniejących stosunków ekonomicznych, raz w kierunku konserwatywnym, drugi raz w rewolucyjnym. Sprawiedliwość grecka i rzymska uważały niewolnictwo za słuszne: sprawiedliwość mieszczańska z 1789 domagała się zniesienia feudalizmu jako niesłusznego. W oczach pruskich junków nawet licha ordynacya powiatowa uchodziła za obrazę przedwiecznéj sprawiedliwości. Pojęcie tedy sprawiedliwości zmienia się nietylko co do czasu i miejsca, ale w każdym człowieku bywa inne a inne“ (Engels, *Zur Wohnungsfrage.* Drittes Heft, 13—14; 1872).

Jeżeli zatém źródło prawa i sprawiedliwości nie leży ani w idei, ani w pojęciu woli, ani w sile i gwałcie—gdyż siła i gwałt również tylko na ekonomicznéj przewadze oprzéć się może—więc klasa, która uchwyci i zdobędzie tę przewagę, może za słuszne i sprawiedliwe uznać to, co dotychczas nazywało się bezprawiem. Jakoż, Engels rozważając nędzę klas pracujących pod względem braku zdrowych i czystych mieszkań, obiecuje sobie, iż rozwiązanie téj sprawy nastąpi drogą kwaterunku—a środek ów, nakazany dobrem publiczném, będzie równie łatwy do wykonania, jak wywłaszczanie i kwaterunek stosowane przez dzisiejsze państwo (ibid. Erstes Heft, 17). Jest-to, jak widzimy, niezmiernie prosty sposób rozwiązania kwestyi braku mieszkań dla klasy pracującéj: rozkwaterować bezdomnych u kamieniczników. Wiek XIX nazwałby to gwałtem, ale następny może o tyle postąpi, iż pogodzi się z tą nową sprawiedliwością: klin, klinem a gwałt gwałtem odpierać należy.

Jak prawo i sprawiedliwość, tak samo i moralność bierze swój początek w stosunkach ekonomicznych. Więc téż odpychamy, mówi Engels, wszelką dogmatykę moralności, nazywaną wieczném, nie-

zmiennén prawem obyczajowém, dogmatykę narzucaną pod pretekstem, że i świat obyczajowy ma swoje niewzruszone zasady, wyższe od wszelkich różnic narodowych. Utrzymujemy przeciwnie, że wszelka teorya moralności jest ostatecznie rezultatem ekonomicznego położenia społeczeństwa. A jako społeczeństwo dotychczas rozwijało się wśród przeciwieństw klasowych, tak również i moralność była ciągle klasową; albo usprawiedliwiała interesa i panowanie klasy rządzącéj, albo gdy klasa uciśniona odzyskała przewagę, broniła interesu uciśnionych i opór ich przeciw panowaniu pierwszéj legalizowała. Że przytém zarówno moralność jak i inne gałęzi ludzkiéj wiedzy doskonaliły się coraz więcéj, o tém wątpić nie można; wszakże, mimo tego, dotychczas nie wzbiliśmy się po nad moralność klasową. Moralność prawdziwie ludzka, wyższa po nad klasowe przeciwieństwa, będzie możebną dopiero na tym szczeblu społecznego rozwoju, na którym nietylko wszelkie przeciwieństwo klasowe zostanie pokonane, ale i w praktyce życiowéj zapomniane“ (Engels, *Herrn Eugen Dühring's Umwälzung der Wissenschaft*; s. 82; 1886).

Nowa etyka zatém ma swój początek nie w jednostce, ani w jéj szczęściu egoistyczném czy to doczesném, czy zaświatowém, lecz w społeczeństwie i ekonomicznych jego stosunkach. „Moralność idzie za społeczeństwem jak cień za człowiekiem; a jako kształt cienia zawisł od kształtu osoby, która go rzuca, tak i moralność zależną jest od społeczeństwa, któremu za regułę moralną służy“ (Belfort Bax, *Die neue Ethik*, w miesięczniku *die neue Zeit*, styczeń 1888).

Dawna etyka opierała się, jak np. wśród społeczeństw pierwotnych, na związkach krwi; moralném było to, co grupa, czy horda za takie uważała; późniéj z nastaniem własności indywidualnéj stała się egoistyczną zarówno w formie epikurejskiéj jak i stoickiéj. Chrześcianizm przeniósl cel życia etycznego w zaświaty, uważając ascetyzm za środek do osiągnięcia tego celu. Wznowiony epikureizm przez utylitarną filozofią angielską (Bentham) stał się etyką mieszczańską, uświęcającą indywidualny egoizm, nazywany emfatycznie „dobrze zrozumianym interesem“. Otóż, ta indywidualistyczna etyka, czy to w formie mistycznéj, czy empirycznéj, tracąc obecnie swój grunt ekonomiczny, na którym wyrosła, przechodzi w swoje przeciwieństwo, staje się społeczną. Gdy bowiem mieszczuch nie może sobie nawet wyobrazić innéj moralności nad tę, która ognisko swoje ma w jednostce—t. j. w jego duszy lub sakiewce—robotnik przeciwnie indywidualność swoję roztopił w grupie producentów, do któréj należy. Ztąd też robotnik, pracujący w wielkim prze-

myśle, nie ma czasu myśleć o swojéj duszy, świątobliwość nie jest jego celem, cnoty zaś, które ceni, są takie: uczciwość, wspaniałomyślność, duch kamracki, otwartość; mało się troszczy o pobożność, abnegacyą, pokorę. Dba on raczéj o cnoty społeczne, obiektywne, odnoszące się wprost do otoczenia społecznego, aniżeli o indywidualistyczne, subiektywne, odnoszące do własnéj osoby. Nie ma on czasu myśléć o swojéj duszy; zostawia to tym, których nazywa próżniakami. (Tenże—*ibidem, passim*).

Zbliża się nowa ekonomiczna era, kończy rzeczony autor, w któréj produkcya będzie społeczną dla potrzeb społecznych; za nią w ślad pójdzie i nowa etyka, któréj ideałem będzie nie osobista świętość, lecz szczęście społeczne. Jednostka świadomie zacznie spółpracować w osiągnięciu tego celu, podda swój osobisty interes dobru społeczeństwa, że zaprzestanie skupiać całéj uwagi na siebie a zwróci ją ku wielkim zagadnieniom życia społecznego.

Taką jest w krótkości filozofia, że ją tak nazwę, stanu czwartego: naczelną jéj zasadą nieustająca przemiana konkretnych form bytu społecznego. Teoretycy téj szkoły pojmują wszystko, jak mówiono w duchu Heglowskim, pod kategoryą stawania się (*das Werden*); nic pod słońcem nie ma trwałego i wiecznego, wszystko płynie, zmienia się, przekształca i w nowe formy przechodzi, a formy te są wynikiem każdoczasowego trybu produkcyi ekonomicznéj. Jest tedy ta filozofia materyalistyczną i z zadowoleniem sama się przyznaje, iż była konieczną reakcyą przeciw idealizmowi Hegla. Chcąc ją czytelnikowi pełniéj przedstawić, należałoby chociaż krótko zaznajomić go z pojęciami teoretyków stanu czwartego o państwie, rodzinie, wychowaniu dzieci, o stanowisku kobiety (Bebel, *die Frau*), o religii—bo i o religii mają oni sobie właściwe pojęcia. Oczywiście, religia-to także nowa, dopasowana do reszty teoryi; na ołtarzu stawia ona pracę jako nowego zbawiciela, bierze rozbrat z chrześciaństwem i objawieniem, a szczęście doczesne wskazuje jako ostateczny cel ludzkich usiłowań. Hasłem jéj dwuwiersz z cmentarza wolnych gmin w Berlinie:

Schafft hier das Leben gut und schön;
Kein Jenseit ist, kein Auferstehn!

Mógłby prawdopodobnie kto zapytać, jaki jest związek tych oderwanych rozumowań z reformami, pożądanemi przez stan czwarty? Przecież ani garbarz, ani kowal, ani wogóle ogromna większość stanu czwartego, nie mają czasu i uzdolnienia do takich zaciekań, a tém samém i te wywody prawne lub etyczne nie mogą oddziaływać na ich umysły. Otóż, byłoby to mylne przypuszczenie. Zawiłe rozumowania koryfeuszów dostają się do warstw pracują-

cych w tysiącznych popularnych świstkach, śpiewkach, kalendarzach i owoc, jak wiadomo z historyi lat ostatnich, przynoszą. Poznać więc pierwsze, zasadnicze poglądy przewódców jest rzeczą konieczną, ażeby zrozumiéć praktyczne ich następstwa, które spokojnego rentiera lub bankiera dreszczem przejmują.

Wobec tych następstw zaczęto z rozmaitych stron poszukiwać lekarstwa na chorobę, czyli mówiąc prościéj zabrano się do reform głównie w kierunku ekonomicznym. Nie wdając się w rozważanie, czy objawy, które mamy na myśli były chorobą, czy téż nieuniknionem następstwem dotychczasowych stosunków, zauważmy, iż poszukujący lekarstwa, proponujący reformy już tém samém bywali podejrzewani o ukryte sympatye dla dążeń stanu czwartego. Zdaniem wielu, w tym razie nie reformy, ale represya i to nieubłagana mogłaby jedynie wypalić chorobę: *pour la canaille, la mitraille*! Ale jak w medycynie lekarze rozważni nie odrazu stosują ogień i żelazo, lecz wprzód rozpoznawają naturę choroby—tak i w sprawach społecznych statyści muszą wprzód zrozumiéć, czy i o ile możnaby złemu zaradzić, nie uciekając się do środków kaustycznych. A może w istocie pretensye stanu czwartego nie są tak bezzasadne, jak uczą jego przeciwnicy; możeby się dało coś zrobić dla ulżenia doli warstw pracujących? Ztąd reformy. Zobrazować te reformy, już dokonane, choćby najtreściwiéj, rzecz niełatwa, głównie dlatego, że je z rozmaitych stron przedsiębrano. To więc, co czytelnik poniżéj znajdzie, będzie bardzo niezupełnym i zaledwie przybliżonym szkicem reform dokonanych lub zamierzanych w celu poprawienia losu pracowników.

Wszelkie reformy muszą poprawiać to, co się zepsuło, co już nie odpowiada swojemu celowi i zmienionym warunkom otaczającym. Cóż się zatém zepsuło w sferze produkcyi ekonomicznéj? Innemi słowy, jakie są te dolegliwości warstw pracujących? Już w poprzednim artykule nadmienialiśmy, że skargi i postulaty stanu czwartego, o ile się wyraziły w pismach przewódców i rozmaitych programatach, rosły szybko w szérz i wzdłuż, stając się coraz bardziéj radykalnemi. Możnaby je zebrać w kilku punktach, a następnie obejrzéć, czy i o ile zostały uwzględnione ze strony państwa, kościoła i prywatnych przemysłowców. Tak téż postąpimy.

Co się tyczy żądań i reform przez stan czwarty głoszonych, zauważmy, iż są one rozmaitéj natury zarówno ekonomicznéj jak i politycznéj. Najpowszechniejsze z nich redukują się do następujących punktów: Zaprowadzenie powszechnego i równego dla wszystkich prawa głosowania na wyborach do parlamentu i reprezentacyi gminnéj; każdy mężczyzna od 20-go roku życia powinien być do tego

prawa przypuszczony, a wybrani winni otrzymywać dyety. Zniesienie wszelkich przywilejów połączonych ze stanem, majątkiem, urodzeniem i wyznaniem religijném. Zaprowadzenie milicyi zamiast wojsk stałych. Odłączenie kościoła od państwa i szkoły od kościoła. Zostawienie religii, jako sprawy prywatnéj, każdemu do woli. Obowiązkowa i bezpłatna edukacya we wszystkich zakładach naukowych. Niezależność sądów i bezpłatny wymiar sprawiedliwości. Swoboda prasy i stowarzyszania się. Zaprowadzenie normalnego dnia pracy. Ograniczenie pracy kobiet i dzieci. Zniesienie wszelkich pośrednich podatków, a ustanowienie jedynego bezpośredniego, progresyjnego podatku od dochodu i spadków. Zakaz pracy w niedzielę. Uregulowanie pracy więźniów. Prawa opiekuńcze, zabezpieczające życie i zdrowie pracowników. Dozór rządowy, lub téż przez urzędników, wybranych z grona pracujących, nad wszelkiemi fabrykami, kopalniami, warsztatami, a nawet w domowym przemyśle. Samorząd wszelkich kas mających nieść pomoc pracującym. Odpowiedzialność przedsiębiorców za skaleczenia robotników, pochodzące z niedbałego urządzenia machin i przyrządów pracy itd.

Litania postulatów, jak widzimy, długa, a możnaby ją powiększyć tém, co się ściąga do pracowników rolnych, leśnych itp. Trzeba przyznać, że niektóre z tych żądań idą zadaleko i że żadne państwo na ich zrealizowanie zgodzić się nie może pod groźbą zanegowania własnego bytu. Że jednak inne z owych żądań musiały być słuszne, świadczą o tém reformy przedsiębrane tak ze strony prawodawstwa jak i prywatnych przedsiębiorców w celu poprawienia losu pracowników. Zobaczmy więc co zrobiło państwo. Oto najprzód uregulowało *dzień roboczy*.

Dzień roboczy wynosił w XVIII w. 12—18 godzin; prawodawstwo owych czasów zmierzało do *przedłużenia* o ile możności dnia roboczego w interesie przedsiębiorcy, ażeby mógł jak najwięcéj „wypompować“ z robotnika pracy, a tém samém zysku dla siebie. Od początku w. XIX zaczęło prawodawstwo najprzód w Anglii, a następnie i w innych krajach, dążyć do *zmniejszenia* dnia roboczego. Mimo to, komisya, wyznaczona do zbadania téj sprawy w r. 1863, przekonała się, że w hrab. Staffordshire, w fabrykach wyrobów garncarskich dzieci siedmioletnie pracowały po 15 godzin codzień. W tymże r. 1863 utrzymywał poseł Ferrand w izbie niższéj angielskiéj, iż przemysł bawełniany angielski w ciągu życia trzech pokoleń strawił dziewięć pokoleń rasy angielskiéj. Marnienie ludności roboczéj obudziło uwagę statystów i filantropów i doprowadziło do pojedynczych aktów prawodawczych, skracających dzień roboczy

w rozmaitych gałęziach przemysłu. Zebrano następnie i skodyfikowano 16 oddzielnych praw fabrycznych w całość, jako Prawo o pracy. Prawo to nie robi różnicy między fabryką a warsztatem, a nawet w pewnym stopniu sięga do przemysłu domowego. Obejmuje ono tylko młodzież, dzieci i kobiéty; dorosłéj ludności męskiéj nie dotyczy. Dzieci nie mające lat 10 wyłączone są zupełnie od pracy fabrycznéj; mające 10—14 lat mogą pracować tylko połowę czasu tego, co młodzież (14—18 lat) i kobiéty. Ci ostatni powinni tygodniowo pracować najwyżéj godzin 60, a po fabrykach tkackich 56½ godzin. Osoby, które prawodawstwo bierze w opiekę, wolne są od pracy w niedziele, Boże narodzenie i w. piątek. Prócz tego powinny mieć 8 połowicznych i 4 całkowite dni wolne w ciągu roku; z tych połowa co najmniéj winna przypadać od 15 marca do 1-go października.

Dzięki temu prawu i praca mężczyzn najczęściéj ogranicza się 10 godzinami dziennie, jeżeli pracują razem z kobiétami i dziećmi. Nadto, do czuwania nad wykonaniem prawa wybierani są inspektorowie zpośród samych robotników. Skutki opieki już się dały uczuć; widoczne jest podniesienie dobrobytu wśród klasy roboczéj angielskiéj.

Za przykładem Anglii poszły inne państwa. W Szwajcaryi po wydaniu prawa z r. 1877 dzień roboczy nie może przekraczać 11-stu godzin, ale nie są niém objęte mniejsze warsztaty ani robotnik domowy. Dzieci, nie mające lat 14, nie powinny w fabrykach pracować; te zaś, które są starsze, t. j. od 14—16 lat, mogą pracować najwięcéj godzin 11, licząc w to i czas na naukę szkolną przeznaczony.

Podobnież we Francyi już od r. 1841 oznaczono prawem normalny dzień roboczy dla dorosłych na godzin 12; dzieci przed 10 rokiem życia nie powinny być wogóle do pracy fabrycznéj używane; mające od 10—12 lat mogą tylko 6 godzin dziennie pracować.

W Austryi (od 1885) i Niemczech istnieją także prawa fabryczne, opiekujące się pracą dzieci i kobiét. — W Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki niektóre prowincye mają prawa fabryczne, oznaczające maximum dnia roboczego na 10 godzin (tylko Rhode Island 11 godzin); praca dzieci i kobiét doznaje również opieki. Zauważyć należy, iż tak w Stanach Zjednoczonych jak i w Australii zaczyna się upowszechniać faktycznie ośmiogodzinny dzień roboczy. (*Karl Marx' Oekonomische Lehren*, von K. Kautsky. 1887, str. 103—109).

U nas, według prof. Janżułła, maximum pracy dziennéj nie przewyższa godzin 14, jednakże w przeważnéj liczbie fabryk dochodzi 10—12 godzin; w Rosyi średnio godzin 16, a nawet w jednym

wypadku 18. Po więcéj szczegółów odsyłamy czytelnika do dziełka p. Stef. Kossutha: *Prawo fabryczne z 1886* (Łódź 1887).

Z powyższego widzimy, że jedno z najważniejszych żądań stanu czwartego zostało zaspokojone; czy jednak prawodawstwo posunie się daléj i oznaczy gdziekolwiek normalny dzień roboczy na godzin 6, jak tego niektórzy pragną, można wątpić; gdyż wówczas produkcya nie wystarczyłaby prawdopodobnie na pokrycie wszystkich potrzeb narodu i państwa.

Drugiém słuszném żądaniem stanu czwartego było zabezpieczenie zdrowia, życia i starości pracowników; i temu żądaniu stało się w części zadość. Nie mogąc zbytecznie rozszerzać niniejszego artykułu, odsyłamy czytelnika do gruntownéj pracy W. Hasbacha: *Das englische Arbeiterversicherungswesen* (1883), oraz do tekstu prawa o ubezpieczeniu robotników w Niemczech na wypadek kalectwa: *Die Unfall-Versicherung* von C. Doehl (1886).

Nietylko państwo ale i kościół zwrócił uwagę na coraz groźniejszy zatarg między kapitałem i pracą. Chrześciaństwo wśród ubogich znalazło z samego początku najchętniejszych zwolenników i nigdy o ubogich nie zapominało. Wprawdzie kościół nie propagował stowarzyszeń produkcyjnych lub spółdzielczych, ponieważ produkcya ekonomiczna nie leży w jego zadaniach; nigdy jednak nie był głuchy na nędzę czy to zwyczajnych żebraków, czy robotników. Świadkiem tego historya rozmaitych zakładów dobroczynnych, cechów i klasztorów w średnich i nowszych wiekach. Niedawno jeszcze obecny papież Leon XIII poświęcił sprawie socyalnéj encyklikę z 1878, w któréj ubogim pracownikom zaleca godzenie się ze swoim stanem, cierpliwość, posłuszeństwo — a bogatym i możnym przypomina obowiązek niesienia pomocy uboższéj braci. We Francyi, Niemczech, Anglii widzimy spółcześnie krzątających się około téj sprawy duchownych i świeckich; zarówno protestanci jak i katolicy w imię zasad ewangelii pracują nad poprawą materyalną i moralną losu klasy roboczéj. Ażeby naturę i kierunek tych usiłowań poznać w szczegółach, trzebaby nie krótkich artykułów, lecz dzieł osobnych: poprzestaniemy zatém na wskazaniu czytelnikowi choć jednego dziełka o ruchu chrześciańsko-socyalnym w Anglii: *Die christlich-soziale Bewegung in England* v. L. Brentano (1883).

Co dla ulżenia ciężkiéj doli stanu czwartego zrobili i robią wielcy przedsiębiorcy po rozmaitych krajach, tego oczywiście wyliczyć niepodobna: sklepy z żywnością i materyałem potrzebnym na odzież, tanie mieszkania, szkółki dla dzieci, szpitale, czytelnie, oto w kilku słowach pomoc dla robotników ze strony przemysłowców i fabrykantów. Zapewne, nie wszyscy jeszcze tak robią — ale robi

już wielu. Czy oni tak postępują z dobrze zrozumianego interesu, ażeby mieć „tanie ręce“ do roboty i jaknajwięcéj „wypompowywać“ pracy z robotnika; czy z pobudek humanitarnych—o to z nikim spierać się nie będziemy: dość, że tak się dzieje, i że to objaw pocieszający.

Z długiéj listy postulatów stanu czwartego zostały niektóre zaspokojone; inne, dające się pogodzić z istniejącym porządkiem ekonomicznym, prawnym i politycznym, niezawodnie będą stopniowo zaspakajane; inne nareszcie muszą pozostać na długo marzeniem, które gdyby się kiedy ziściło, prawdopodobnie lekarstwo byłoby gorsze od choroby: chyba że świat powoli w koszarach zasmakuje, ku czemu zdaje się dążyć.

Ale radykalni rzecznicy interesów stanu czwartego (nie mówię: ich klienci) na takich reformach nie poprzestają, uważając je za łataninę rozlatującéj się w strzępy dotychczasowéj organizacyi społecznéj; jeżeli zaś te dobrodziejstwa przyjmują, to jedynie jako zadatek, jako szczebel do nowego stanu rzeczy. Według nich, teraźniejszy porządek społeczny jest zły do gruntu dlatego, że tryb produkcyi kapitalistycznéj i organizacya pracy są złe, na wyzysku téj ostatniéj przez kapitał oparte. Ponieważ zaś wszystkie inne stosunki społeczne zależą głównie od produkcyi ekonomicznéj: póki zatém produkcya nie zostanie zreformowana, póty wszelkie reformy przedsiębrane ze strony państwa, kościoła i prywatnych, czyli jak nazywają ze strony mieszczaństwa, na nic się nie zdały. Mają tedy dla tych usiłowań co najwięcéj pobłażliwy uśmiech lub zjadliwy sarkazm. Nie podoba im się, gdy państwo, kościół i prywatni biorą w opiekę stan robotniczy, gdyż dogmatem ich jest, że klasy pracujące muszą s a m e dokonać swojéj emancypacyi, a raczéj, że rozwój stosunków ekonomicznych, dążących fatalnie do koncentracyi kapitału w niewielu rękach, dokona tego wyzwolenia.

Co się tyczy trybu produkcyi, mającéj zastąpić dotychczasową, jako jedyny środek do wyjścia z chaosu, zapowiadają komunistyczną lub kolektywistyczną, która usunie klasy społeczne i walkę ich o przewagę, skąd wszystko złe płynie. Wierzą oni, że taki tryb gospodarstwa społecznego niechybnie nastąpi, a zwiastuny téj ery nowéj widzą w coraz większém w y w ł a s z c z a n i u prywatnych przedsiębiorstw, jak transport i produkcya pewnych gałęzi przemysłu — przez państwo, a mniejszych przedsiębiorców i kapitalistów, przez grubych potentatów. Tych wielkich potentatów będzie coraz mniéj, jedni drugich będą połykali—aż nareszcie przyjdzie godzina wywłaszczenia i na nich: środki produkcyi, kapitał, ziemia, narzę-

dzia, staną się wspólną własnością i wspólnie będą eksploatowane. A co potém nastąpi? Bo przecież chyba jeszcze nie koniec świata?

W tym punkcie nie widzimy u obrońców stanu czwartego konsekwencyi. Jeżeli bowiem wszystko się dzieje pod formą nieustannego rozwoju, stawania się — jak głoszą najlepsze wśród nich głowy—to oczywiście komunizm, czy kolektywizm, nie mogą być ostatnim wyrazem tego rozwoju i konkluzyą bytu człowieka na ziemi.

Cóżkolwiekbądź, nie można zaprzeczyć, iż teoretycy stanu czwartego malując, nieraz zajaskrawo, cierpienia pracującéj warstwy i podnosząc wysoko pracę, i budząc w warstwach robotniczych poczucie godności, przyczynili się z jednéj strony do przedsięwzięcia naglących reform przez rządy, a z drugiéj rozproszyli złudzenia patentowanych uczonych i publiczności, o prześlicznéj harmonii ludzkich interesów. Nieustająca, często zasadna krytyka spraw społecznych, jaką uprawiali i uprawiają, zaczęła budzić z poobiedniéj drzemki stłuściałych, choć zawsze wstrzemięźliwych—kapitalistów i warstwy oświeceńsze do myślenia, że nie żyjemy w najlepszym ze światów.

K.





Z OKRESU ROMANTYZMU.

PUSZKIN I LERMONTOW JAKO BAJRONIŚCI.

(Odczyty miane 15, 19 i 22 stycznia 1888).

Odczyt drugi. Bajronizm Lermontowa.

1.

Mikołaj syn Jerzego Lermontow (urodzony 2. 14 października 1814 r., młodszy był od Puszkina o $14^1/_3$ lat, zaś przeżył tylko o $4\frac{1}{2}$ lat (zabity w pojedynku 15 lipca 1841 r.) swego wielkiego poprzednika, ale wyrósł i zmężniał w całkiem innych niż Puszkin warunkach, w innym okresie życia państwowego, w surowszéj atmosferze, mniéj sprzyjającéj humanizmowi i postępowi. Wielkie zwycięstwo narodowe 1812 r. które zelektryzowało i zsolidaryzowało wszystkie stany Rosyi, przyniosło bezpośredni pożytek jednéj tylko szlachcie. Nad sielskim ludem, który okazał dużo patryotyzmu, ciążyło, jak jaka góra, niezachwiane jeszcze poddaństwo. Upodobanie wyższych warstw towarzystwa we francuskiéj literaturze i kulturze trwało wciąż wedle tradycyi XVIII w. i pod tym względem grudniowcy naśladowali oświeconych ludzi z czasów Katarzyny i oficerów z 1812 r., którzy czytali francuskie romanse na biwakach.

Pokonawszy Napoleona, nie potrzebowali Rosyanie uciekać od europeizmu, ani go się lękać; lecz po 14 grudnia 1825 r. ów europeizm był już dwojaki: z jednéj strony podnosiły się i skupiały pierwiastki pobite i pognębione przez rewolucyą francuską, cofając społeczeństwo wstecz do wieków średnich; po drugiéj zaś stronie, trzymało się wszystko, co było nowe, liberalne, oddane zasadom r. 1789, lecz wyobrażające sobie wolność w postaci burzy rewolucyjnéj. Wypadek 14 grudnia zaskoczył Lermontowa jeszcze dziec-

kiem, dla społeczeństwa miał ów wypadek te skutki, że ucięto jeden korzonek rosyjskiemu europeizmowi i pozostał tylko drugi zachowawczy, legitymistyczny, którego przedmurzem stała się Rosya za czasów cesarza Mikołaja. Zewnętrzne codzienne otoczenie życia było niby europejskie, aż do drobiazgów, aż do obowiązkowego strzyżenia włosów i golenia bród szlachty i urzędników, aż do podejrzliwego obchodzenia się ze sławianofilami za ich próby zbliżania się do prostego ludu; lecz wszelkie myśli o odmianie form bytu patryarchalnych w kraju własnym były mocno zakazane, zaś stosunki z życiem europejskiém podtrzymywały się głównie zapomocą lekkiéj literatury beletrystycznéj. Wskażmy na jeszcze jednę właściwość owych czasów: przewaga pierwiastku wojskowego nad cywilnym i wojennego usposobienia nad pokojowém, w układzie społeczeństwa, oparta na pojęciu o społeczeństwie jako o olbrzymim mechanizmie, w którym wszystkie czynności odbywają na komendę.

Nie podlega wątpliwości, że wielkie ślady tego militaryzmu odbiły się na wychowaniu Lermontowa, który nie mógł ukończyć początkowego wychowania w szlacheckim (*błagorodnym*) pensyonacie przy uniwersytecie moskiewskim, ponieważ 29 marca 1830 r. pensyonat ten był zamknięty po cesarskich odwiedzinach, z powodu niezadowolenia rządu z kierunku tego zakładu. Niezupełnie wyjaśniły się przyczyny, które zniewoliły Lermontowa do opuszczenia uniwersytetu moskiewskiego przed ukończeniem studyów i do wstąpienia 10 list. 1832 r. do szkoły gwardyjskich junkrów i podchorążych. Zresztą do téj szkoły wstąpił on z dobréj woli i ochoty: *après avoir tout sacrifié à mon ingrate idole* (literaturze), *voilà que je me fais guerrier* (list z 1832 r. Wydanie Jefremowa dzieł Lermontowa 1887, I, 447). Lermontow z zupełną świadomością poświęcił literaturę dla żołnierki, skazując siebie na *deux pénibles années*, które okazały się nie tylko ciężkiemi ale i okropnemi (*j'ai sauté deux années terribles*,.. list z grudnia 1834 r. I, 456). Ze szkoły wyszedł Lermontow ze „Świętem Peterhofskim“ (*Peterhofskij Prazdnik*), z „Ułanką“ (*Ułansza*) i z innemi bardzo tłustemi figlami rymowanemi, z których już zasłynął, zanim się w nim objawił poważny talent poetycki. Po wyjściu ze szkoły Lermontow uważany był jako tęgi hulaka i zawadyaka, jako świetny oficer lecz nieszczególny służbista (*Si vous saviez la vie bue je me propose de mener. D'abord des bizarreries, des folies de toute espèce et de la poésie noyée dans du champagne. Il me faut des plaisirs materiels, un bonheur palpable, un bonheur qui s'achète avec de l'or, que l'on porte dans sa poche comme une tabatière, un bonheur qui ne fait que tromper les sens en laissant mon âme tranquille et inactive* (I, 453 list z 3 sierpnia 1833 r.).

Nim zajrzymy we wnętrze téj duszy niespokojnéj, tego skomplikowanego i zagadkowego charakteru, wypadnie nam wyłączyć z poezyi jego wszystko, co było w niéj podrzędném i przypadkowém, i odsunąć na drugi plan żywioły polityczny i społeczny, które w niéj bardzo mało miejsca zajmowały.

2.

Lermontow był jeszcze bardzo młody i nic zgoła nie wydrukował, gdy zaszły w Europie dwa wypadki, które Rosyą i Europę mocno poróżniły: 1) rewolucya lipcowa i 2) zagrożenie interwencyą europejską do spraw wewnętrznych Rosyi z racyi powstania polskiego z d. 29 list. 1830 r. Lermontow podzielał najzupełniéj usposobienie Puszkina i Żukowskiego, którzy w tym czasie wydali zbiorek wierszy patryotycznych. Zostając jeszcze w szkole junkrów (1834), Lermontow parafrazował wiersz Puszkina „Oszczercom Rosyi“ w urywku (II, 333), który miejscami reprodukuje wyrazy Puszkina, i prawie wskazuje na źródło (*Opiat' narodnyje witii*, *Opiat' szumia wozstali wy*). Urywek odznacza się tém jeszcze, że charateryzuje ówczesną opinią o Puszkinie tak samego Lermontowa, jak i publiczności, obojętniejącéj nieco względem twórcy „Oniegina“ („Poeta powstał w blasku nowym—po długim snie“).

Ze względu na swoją datę jest wiersz Lermontowa trochę spóźniony, wyraża on niezmienny przez całe późniejsze życie stosunek Lermontowa do jego rządu jako rosyanina i jako szlachcica („...Was obraża naszego majestatu zorza... Słońca bożego nie dojrzycie za słońcem rosyjskiego Cara... Nie mamy fałszywego wstydu... Tak nierozdzielni w swojéj sławie—są car i naród jego zawsze... Będziemy walczyć uporczywie—za jego cześć jak za swą własną“). Uczucia narodowego kolektywizmu były daleko mocniéj i jaskrawiéj zabarwione u Lermontowa, niż u Żukowskiego i Puszkina, i pełno w nich było takich marzeń i nadziei, jakie żywili sławianofile moskiewscy. W poemacie „Izmaił-Bej“ (1832) poeta w ten sposób zagaduje Czerkiesa: „poddaj się, o Czerkiesie! wschodu i zachodu—kraje podzielą wkrótce twoje losy—nastąpi dzień, gdy z dumą ty wyrzeczesz:—sługą-m ja sługą, ale u wszechświata pana.—Nastąpi dzień, gdy nowy straszny Rzym północny—ozdobi świat, wydając nowego Augusta!“). Nadzieje polityczne kojarzyły się ściśle z przekonaniami Lermontowa o podupadnięciu i rozkładaniu się zachodu. Przerabiając raczéj niż tłómacząc w 1836 r. „umierającego Gladyatora“ Byrona w 4 pieśni Childe Harolda, Lermontow takie daje zakończenie utworowi (I, 485): „podobnyś doń o europejski świecie, niegdyś go-

rących marzycieli bogu!—Do grobu chylisz osławioną głowę—bez wiary, bez nadziei... I konający zwracasz swoje oczy—Na młodość świetną, pełną żywéj siły,—którąś niedbale dla trądu (*jazwy*) oświaty—i dla dumnego przepychu porzucił.“ Dodajmy że w „Izmaił Beju“ bohater jest „rozpustą, jadem oświecenia w Europie zatchłéj zarażony!“

Zachodzi pytanie: jakie możebne jest wyjście dla człowieka, któremu ciąży uniżony i bałwochwalczy stosunek do zachodu? Wiele jest dzisiaj głosów wołających: cofnąć się wstecz, wróćmy do domu, wróćmy aż do Moskwy przed Piotrem Wielkim. Myśl ta majaczyła w głowie Lermontowa jeszcze przed r. 1831, gdy w dramacie „Dziwny Człowiek“ kazał on studentom prowadzić następujące rozmowy: „Panowie, kiedyż to Rosyanie staną się Rosyanami?—gdy wstecz się cofną o lat sto i będą oświecać się i kształcić się nanowo i zdrowo“ (scena 4).

Jest przytém jeszcze pewien ciekawy ustęp w poemacie Lermontowa „*Saszka*“, pisanym prawdopodobnie w r. 1838 (Artykuł profesora Wiskowatego w *Russkaja Myśl*, 1882, N. 1) ustęp, który nie mógł być na razie drukowany a obecnie wygląda, jak gdyby był w dzisiejszéj chwili napisany, w chwili nie bardzo czułego i serdecznego rozstawania się z niedawnemi nauczycielami:.. „Szukać rang, godząc się z ludzką pogardą—i wysługiwać się Niemcom bez końca! Czemuż lepszy Niemiec jest od Słowianina? Tém chyba, że gdziekolwiek jest rzucony—wyrokiem losu, tam niewątpliwie znajdzie — ojczyznę i kartofle... To mi to narodek!.. Z mocniejszym trzyma, za pieniądze służy—słabszych uciska—biją go a znosi“... itd. Dodajmy, że Lermontow nie lubił tylko Niemców, do Francuzów zaś lgnął wedle dawnych tradycyi z okresu Katarzyny i Aleksandra, chociaż miał ich za ludzi lekkomyślnych; nakoniec, że w ciągu całego życia Lermontow ubóstwiał Napoleona.

Nie potrzebujemy dochodzić źródeł tego kultu w okoliczności, że jeszcze w domu, na wsi w Tarchanach, guwernerował mu stary pułkownik z gwardyi napoleońskiéj Gendroz, ani że się Lermontow zaraził spółczuciem ku Napoleonowi od Byrona albo od Puszkina. Ubóstwianie Napoleona było w duchu owéj epoki, w ciągu któréj rosła i dojrzewała legenda napoleońska, która znalazła swój koniec w brudach drugiego cesarstwa. Godne zastanowienia są logiczne podstawy uwielbienia dla Napoleona w umyśle Lermontowa, wielce różne od bajrońskich. Byron traktował Napoleona daleko krytyczniéj, podziwiał geniusz lecz strofował bohatera za odstępstwo od zasad rewolucyi (Ode to Napoleon: *But thou forsooth must be a king—And dare the purple vest*); za to że Napoleon nie szedł po

ścieżce, utorowanéj przez za-atlantyckiego Cincinnata (*one—the first—the last—the best*). Byron pogodził się z Napoleonem tylko po jego upadku i głównie z nienawiści ku szakalom, szarpiącym konającego lwa. Entuzyazm Lermontowa całkiem inny. W wierszu „S. Helena" 1831 r. (II, 197) poeta zwie Napoleona „ofiarą wiarołomstwa i ślepych losu kaprysów". Taż myśl powtarza się w „Ostatnich przenosinach" z 1841 r. (*Poslednieje Nowosielje*), wierszu, w którym poeta wyrzeka „nędznemu i płochemu narodowi" za to, że „jako niewiasta wyście go zdradzili—i jako niewolnicy wyście wydali"... tego, którego „naznaczył palec boski", który was „przyodziewał w cudną szatę potęgi i chwały".—Jest to pogląd wcale nie europejski, a specyficznie rosyjski. Wyraża on stosunek do przedmiotu człowieka, wychowanego w towarzystwie, które podług historycznéj formuły swojego rozwoju wymaga mocnéj władzy, oddane jest nie ideom lecz osobom i zdolne jest spełniać bardzo wielkie czyny, ale tylko pod kierownictwem bardzo dużéj ręki i głowy (Piotr W.). Wszystkie inne przewinienia Francuzów kładzie Lermontow na szalę chyba tylko dla liku, jako to: że „trzęśli władzą wybraną (przez kogo?) jak jarzmo, ostrząc tajemnie sztylety"; albo, że Napoleon ich wyratował gdy ginęli wskutek tego, że het precz walili (*rubili splecza*) „wszystkie wierzenia prastare, ojcowskie". Jak mało sobie ważył Lermontow te wierzenia czy podania, widoczném jest z trzech końcowych wierszy do „umierającego gladyatora", zwróconych do mającego się ku końcowi europejskiego świata: „ty słuchasz chciwie i pieśni przeszłości—i szewaleryi czarodziejskich podań—szydnych pochlebców, snów co się nie ziszczą!"

Zapewne, że jako poeta romantyk, Lermontow musiał nieraz myślą przenosić się w wieki średnie, szukając w nich odpowiedniego *scenarium* dla swoich utworów; lecz po za tém przypadkowém zajęciem spoglądał on na średnie wieki raczéj jako współczesny i przytém jako Rosyanin, stojący na stanowisku postępowych zachodowców moskiewskich z lat „czterdziestych", bardzo zadowolonych, że Rosya nie posiadała średnich wieków, że dzieje jéj to biała karta, na któréj przyszłość zapisze coś niesłychanie wielkiego, o czém ani się śniło filozofom. Kiedy Lermontow odjeżdżał poraz ostatni na Kaukaz 13 kwietnia 1841 r., książe W. Odojewski obdarzył go książeczką do zapisywania wrażeń, prosząc aby mu ją zwrócił ale zapisaną. Książeczka w części tylko zapisana; jest w niéj następujący ustęp, ołówkiem skreślony, ale podkreślony potém atramentem: „Rosya nie ma przeszłości: jak ona tylko w teraźniejszości i przyszłości. Jerusłan Łazarewicz (bohater baśni ludowych) siedział na jedném miejscu lat dwadzieścia i mocno spał... a potém

dopiéro ocknął się i poszedł pokonywać i zabijać królów i bohaterów—taką jest Rosya!“ W najściślejszym zostaje stosunku z tą nihilistyczną filozofią dziejów Rosyi miłość rodzinnego kraju Lermontowa, którą sam on d z i w n ą nazywa: „Kocham ojczyznę mą ale miłością dziwną.... Nie ceną krwi kupiona sława (wojenne przewagi Rosyi od Piotra W.) — ni spokój pełen dumnego zaufania (imponująca Europie zewnętrzna polityka cesarza Mikołaja) — ani ciemnéj przeszłości spadkowe podania (ideały sławianofilów) — nie budzą we mnie pocieszających marzeń. Ale ja kocham, nie wiedząc czemu sam — jéj wielkich stepów chłodną ciszę — jéj nieskończonych borów kołysanie, — wylewy rzek jéj niby jakie morza..... W święto, śród rosistego wieczora — gotowem patrzéć do północy — na pląsy z tupaniem i świstem — przy gwarze podchmielonych chłopów“ (1841, I, 135).

Z dwóch kategoryi czasu, któremi Lermontow spółczesną Rosyę obdarzał, a któremi są: t e r a ź n i e j s z o ś ć i p r z y s z ł o ś ć, tylko ostatnią, to jest nadziejami na przyszłość, mogą się karmić i w nich bez granic rozkoszować jacykolwiekbądź ludzie, a więc i Rosyanie wieku XIX. Co się tyczy pierwszéj kategoryi, to jest t e r a ź n i e j s z o ś c i, Rosyan z czasów cesarza Mikołaja nie mogło nie radować uszanowanie, które otaczało imię Rosyi zagranicą, dzięki silnéj międzynarodowéj polityce rządu; lecz teraźniejszość owa mocno przygnębiała każdą poszczególną osobistość, ściskała ją niby obcęgami, nie dawała pokarmu żadnym idealnym potrzebom i popędom. Męczącego tego ciężaru danéj chwili dziejowéj doświadczył na sobie Lermontow, natura niespokojna, jedna z najniesforniejszych w świecie. Bardzo niedawno w „Russkiej Starinie“, 1887, N. 12, wydrukowane zostały wiersze jego przed odjazdem na Kaukaz w 1837: „Żegnaj mi Rosyo nieumyta,—ziemio niewolników, ziemio panów,—żegnajcie mi mundury błękitne“ i t. d. Jednak Lermontow nie wdawał się w badanie potwornych warunków bytu społecznego, nie dochodził przyczyny zła, nie przedsiębrał walki z istniejącym porządkiem, nie dążył do żadnych reform. Dużo z tego brudu, którym odznaczalo się społeczeństwo ówczesne, przystało do niego, przykleiło się i całkowicie przyrosło do jego osobistości; lecz potrafił on wyrazić ból samotnéj duszy, wyrywającéj się na wpół świadomym popędem ku innemu, lepszemu istnieniu, z taką prawdą i wstrząsającą mocą, że gdy umierał mając lat niespełna 28, był już pierwszorzędnym poetą, jedynym wielkim poetą z okresu panowania cesarza Mikołaja (Puszkin należy głównie do okresu panowania Aleksandra I). Bardzo niedawno profesor moskiewski W. Kluczewskoj w świetnym artykule „Oniegin i jego przodkowie“ *(Russkaja*

Mysl, 1887, N. 2) dowodził bardzo dowcipnie, jakoby Puszkin odmalował w „Onieginie“ nie siebie i nie swój ideał, jakoby „Oniegin“ był raczéj romansem satyrycznym, w którym poeta przedstawił wymierający już w owym czasie typ człowieka oderwanego od rodzinnego gruntu, chcącego wcisnąć się pomiędzy europejczyków, lecz dochodzącego tylko do tego, że staje się obcym pomiędzy swoimi ludźmi, człowieka niepotrzebnego, niedowarzonego, oddanego tylko rozrywkom, niemającego pojęcia o pracy i obowiązku. Z systemu p. Kluczewskoja wypadałoby, że Lermontow jest może potomkiem, a raczéj młodszym bratem Oniegina. Lermontow był człowiekiem niezawodnie od rodzinnego oderwanym gruntu, odosobnionym śród swego otoczenia; stąd pochodzi jego melancholia i pesymizm. Losy Lermontowa dowodzą jednakże paradoksalności głównego założenia w wywodach Kluczewskoja, jakoby Onieginowie stanowili gatunek ludzi wymierających i niepotrzebnych. Ci ludzie nie przestawali do pewnego stopnia być solą ziemi. Wypadnie przyjrzéć się bliżéj głównym wypadkom z życia Lermontowa, by się przekonać, czy mógł ówczesny człowiek, żywiący jakiekolwiek popędy idealne, znaleść dla siebie jakąbądź skromną robotę w życiu praktyczném.

3.

Przenieśmy się w myśli do bardzo zamożnego domu pańskiego, w jednym z najbardziéj oddalonych partykularzy prowincyonalnych. Życie całe w tym domu urządzone jest na podkładzie poddaństwa, na serwilizmie „kriepostnych ludzi“; młody panicz chowa się, nie mając pojęcia o tém, co jest praca, co jest troska o chléb powszedni. Panicz jest prawie sierotą, matka mu umarła, od ojca go wzięto, psuje go pieszcząc sześćdziesięcioletnia babka, Arsenjewa, którą późniejsi jego koledzy, junkrowie, przezywali „Marta Posadnica“ (z dziejów dawnego Nowogrodu). Babka pozwala wnukowi robić, co mu się podoba; wnuk ten, mając już 7 lat, umié krzykiem zmieszać lokaja i przyjmować z uśmiechem pogardy płaskie pochlebstwa od ochmistrzyni (Początek nieukończonéj powieści. I, 369). Bonę malec ma niemkę, guwernerują przy nim cudzoziemcy. Z obcowania w dzieciństwie z chłopiętami czeladzi dworskiéj pozostało w dziecku, gdy nieco podrosło, współczucie dla „*rabów*“ swoich, poczucie o zasadniczéj niesprawiedliwości niewoli, wybuchające nieraz w młodzieńczych utworach Lermontowa przed wstąpieniem jego do szkoły junkrów (*Menschen und Leidenschaften*, w kilku miejscach; *Strannyj Czełowiek*, scena 7. Arsenin ojciec: „niechaj hrabięta

trwonią majątki, my prosta szlachta zyskujemy na tém... Przyjemnie mieć papierek a w nim wartość wielu ludzi, i myśléć: pracą swoją doszedłeś do tego, że zmieniasz ludzi na papierki." „Dwaj bracia" I, 1. Jerzy: „Książe i 3000 dusz, czyż ma on swoją własną w dodatku do tych 3000"). Z przeniesieniem się ze wsi do Moskwy, z Moskwy do Petersburga, ze wstąpieniem do służby odsunęły się w głąb wiejskie wspomnienia dzieciństwa; młodzian przestał rozmyślać nad fatalną kwestyą, zwłaszcza, że aż do śmierci nie stał się pieniężnie niezależnym i żył na łasce babki, trzymającéj mocno w ręku całe gospodarstwo.

W pieszczochu rozwijać się poczęła pasya niszczenia, skłonność do okrucieństwa. Ciężka choroba zmogła go na długi czas, osłabiła go na lat kilka. Chorował obłożnie, nauczył się, leżąc w łóżku, myśléć, sprzęgać obrazy i pojęcia napięciem woli, komponować, stał się marzycielem. Wyobraźnia stała się dlań interesującą zabawką. Marzył, że jest rozbójnikiem śród chłodnych fal albo śród ciemnych lasów, marzył o bitwach i o strasznych burzach. Nadzwyczaj wcześnie ocknęły się w nim uczucia miłosne („W dzieciństwie mém mękę miłości znojną—zacząłem ja odczuwać duszą niespokojną" II, 89), 10-letni malec rozkochał się w 9-letniéj dziewczynce, odwiedzającéj kuzynki jego w Piatigorsku w 1825 r. Nazwiska i pochodzenia dziewczynki nie pamiętał, lecz jeszcze w 1830 r. pisał: „ten raj utracony aż do śmierci będzie trapił umysł mój" (II, 515). Ponieważ wychowywał się śród mnóstwa podrastających, starszych jednak od niego kuzynek, zakochiwał się więc we wszystkich tych kuzynkach po kolei (Stołopinówny, Wereszczaginówna, Katarzyna Suszkowówna po zamążpójściu Chwostowa, Barbara Łopuchinówna). Wyglądał jako podrostek niepięknie, był śniady, niski, krępy, niezgrabny, nieukładny (Hrabina Rostopczynowa i Kościeniecki w *Russkoj Starinie*, 1875, N. 9 i 1882, N. 9). Od dzieciństwa trawiła go miłość własna autorska, usiłował imponować jeżeli nie pięknością, to dowcipem, z którym się popisywał przed kuzynkami, jako słuchaczkami i pierwszemi krytykami i admiratorkami jego rymów. Doprowadzało go do wściekłości, gdy go jako malca traktowano. Odtąd nie może już się obejść Lermontow bez towarzystwa niewieściego, skoro zaś doczekał się pierwszych zwycięstw, rozwinęła się w nim aż do potwornych wymiarów dość szpetna donżuanerya, nałóg zalecania się do kobiety z celem rozkochania jéj w sobie, a potém szyderczego porzucenia jéj z dodatkiem oświadczyn, że jéj nigdy nie kochał. W takiéj to postaci ukazuje się Lermontow w romansowaniu z Katarzyną Suszkowówną (Chwostową), bardzo nieszlachetném nawet, jeżeli przypuścimy, że chciał się na niéj pom-

ścić za te męki, których od niéj doznał, kiedy był malcem, wyrostkiem. W takiéj postaci maluje się Lermontow i we wspomnieniach kaukaskich w 1840 r. Pani Hommaire de Hell (*Russkij Archiw* 1887, N. 9).

Owoczesny zamożny rosyanin, szlachcic, jeżeli nie chciał na całe życie zagrzebać się na wsi, miał jeden tylko zawód przed sobą otwarty: służbę cesarską w dwóch jéj formach, wojskowéj albo cywilnéj. Służba cywilna była mocno upośledzona. Lermontow wyraził wielokrotnie pogardę swoję względem tak zwanych „podjaczych“, czyli kancelistów, naprzykład w 47 strofie „Saszki“ (*Russkaja Mysl*, 1883, N. 1): „albo pracować jako owce głupie—w szlachty szeregu płaszczyć się tchórzliwie — spodlone serce pod mundurem kryjąc, — szukać rang, godząc się z ludzką pogardą.“ Świadomie i z własnéj ochoty obrał Lermontow drogę zaszczytniejszą, którą kroczyli niegdyś ojciec jego i przodkowie, i został junkrem, poddając się surowéj karności, samotny, nietowarzyski, zamknięty w sobie i ponury. Nigdy nie potrafił on przyzwyczaić się do Petersburga, wstrętnego dlań z powodu formalizmu (Zob. np. „Saszka“ I, 438). . . . .

Pod maską przybranéj zarozumiałości kryło się jednak dziwne zażenowanie i niezaradność młodego człowieka, który czuł się obcym pomiędzy nieswojemi, a nie posiadał klucza do zrozumienia praktycznéj mechaniki społecznéj, rzeczy bardzo łatwo pojmowanéj przez bardzo pospolitych ludzi. Korespondencya Lermontowa zawiera ciekawe pod tym względem wyznania (sierpień 1832, I, 436: „nie zdałem się dla towarzystwa. Wczoraj byłem w pewnym domu, cztery godziny przesiedziałem i nie rzekłem ani jednego słowa stosownego. Nie posiadam klucza do ich umysłów“; — tenże miesiąc, I, 440: *J'ai vu des echantillons de la société d'ici — tous ensemble ils me font l'effet d'un jardin français bien étroit et simple, mais où on peut se perdre, car entre un arbre et un autre le ciseau du maitre a ôté toute difference*; — wrzesień 1832, I, 444: Lermontow wyznaje, że czuje rzeczywistość życia, *son vide engageant*, lecz sobie nie dowierza; — grudzień 1834, I, str. 456: *Je ne serai jamais bon à rien avec tous mes beaux rêves et mes mauvais essais dans le chemin de la vie, car ou l'occasion me manque ou l'audace).* Nieuniknionem następstwem braku zręczności, braku zdolności znalezienia, gdzieby się wygodnie usadowić, był nastrój umysłowy, tęskny, melancholijny, który stał się stanem Lermontowa zwyczajnym („Tęsknota jako geniusz niespokojny, — lub jako wierna żona wciąż przy mnie.... musisz dostrzedz mimowoli—pod napuszoną na twarzy powagą — w mężczyźnie głupiego pochlebcę—a w każdéj niewieście Judasza“, 1832, I, 547... „Na

zło i dobro podle obojętni—w opałach sromotnie tchórzliwi—i wobec władzy wzgardy godni niewolnicy“... *Duma*, 1838 r. I, 35). Od takiéj tęsknoty i zwątpienia w ludzi jeden krok tylko do pesymizmu. Lermontow zrobił się pesymistą, pesymizm stał się jego naturą drugą („Czemuż rodziny skromne koło opuściłem— do któréj serce ciągle rwie się.... Jam się na wolność rwać chciał do obłoków. Gotowem był całować druhom usta, — nie bacząc, czy nie siedzi tam gadzina.—Do towarzystwam wstąpił i poznałem—przyjaźń i przyjacielskie oszukaństwo — stałem się podejrzliwy i straciłem—spokoju duszy talizman“... 1830, I, 77).

Zanim przystąpię do rozbioru tego pesymizmu i dojdę aż do jego początków, wskażę na jeszcze jedno ważne źródło, dowodzące do jakiego stopnia ciężyło Lermontowowi jego położenie jako członka społeczeństwa i jako pisarza. Przez dziwny zbieg okoliczności niektóre wiersze nie lubiącego Niemców poety doszły do nas nie w oryginale, który gdzieś zaginął, lecz tylko w niemieckim przekładzie białym wierszem Bodenstedta (*M. Lermontoff's poetischen Nachlass*. Berlin 1852, — przedrukowane w *Russkaja Starina* 1873, N. 3, str. 398) . . . .
. . . .

Głęboki smutek, będący uczuciem panującém w téj duszy, wylewał się tylko w wierszach; wiedziało o nim niewielu i to z pomiędzy osób najbliżéj Lermontowa stojących. Dla wszystkich innych był Lermontow tylko światowcem, wietrznikiem, hulaką złośliwym i natrętnym szydercą, znęcającym się bez litości nad osobami, które nie umiały się ostro względem niego postawić i żartów jego odparować, człowiekiem, narażającym się rozmyślnie na awantury i zajętym wciąż donżuanowaniem i zalecankami. „Szkoda Lermontowa, źle on skończy“—pisała pani Hommaire de Hell (1840). Hrabina Roztopczynowa przytacza (*Russkaja Starina*, 1882, N. 9), że kiedy wieczerzała po raz ostatni z Lermontowem przed jego odjazdem na Kaukaz (1841), za stołem i przy pożegnaniu Lermontow wciąż mówił tylko o oczekującéj go prędkiéj śmierci. Myśl o gwałtownéj śmierci ścigała poetę przez całe życie: „Krwawy jest dla mnie grób zgotowan—grób bez modlitwy i bez krzyża—na dzikim wód huczących brzegu — i pod mglistemi niebiosami“ (11 czerwca 1831). To zbiegnięcie się w jednéj osobie dwóch na pozór całkiem sprzecznych charakterów zostało doskonale pochwycone przez Bodenstedta, na którego widzenie się jego z Lermontem w Moskwie zimą 1840/41 wywarło arcy niemiłe wrażenie („cała rozmowa—pisze Bodenstedt — raziła uszy, jak gdyby kto skrobał po szkle“). Ta dwoistość wypisana była i na twarzy, dawała się dostrzegać w dziwném

połączeniu ostro patrzących, surowych, pełnych zadumy i zawsze smutnych czarnych oczu, z nieco zadartym nosem, prawie dziecięcym uśmiechem i szyderczém zakrzywieniem końców kształtnych ust.

Takim był ów człowiek w swém otoczeniu społecznėm; a teraz wejść możemy do saméj pracowni artysty.

4.

Znajoma i krewna Lermontowa, hrabina Eudoksya Rostopczynowa w zapisce przeznaczonéj dla Dumasa ojca z 1858 r. (*Russkaja Starina* 1882, N. 9, str. 610) kreśli w ten sposób porównawczo twórczość Lermontowa i Puszkina, dając drugiemu wyraźne pierwszeństwo przed pierwszym. „Puszkin—to całkowite uniesienie, wszystko się bezpośrednio z duszy wylėwa. Myśl wytryska z głowy w pełném uzbrojeniu, poczém przerabia on, szlifuje, ale myśl pozostaje taż sama, całkowita i całkiem określona. Przeciwnie Lermontow—szuka, układa, zaokrągla wiersz, lecz myśl pierwotna niepełna, nieokreślona i chwiejna. Tenże wiersz, taż sama strofa lub idea wstawiają się do rozmaitych utworów.“ Charakterystyka ta jest trafna, ale zrobiony z niéj wywód wątpliwy. Rostopczynowa dowiodła tylko, że Lermontowa kosztowała praca więcéj niż Puszkina. Zwykle większa praca utalentowanego pisarza wynagradza się większém bogactwem, większém pogłębieniem w treści.

Rozwój twórczości Lermontowa daje się najdokładniéj poznać z dziecięcych jego rękopiśmiennych zeszytów, począwszy od 13-go roku. Najprzód przepisywane były po prostu poemata „Fontanna w Bakczyseraju“ i „Więzień Szylionu“ w przekładzie rosyjskim Żukowskiego. Potém idą parafrazy cudzych utworów z wyrzuconemi, albo dodanemi, albo przerobionemi ustępami; w modyfikacyach widać wyraźne piętno indywidualności egzercytującego się poety-podrostka. Następnie mamy już poematy oryginalne, upstrzone mnóstwem zapożyczek, których krytyka nie zbadała jeszcze ani oceniła dostatecznie. Tak naprzykład Lermontow bierze żywcem od Puszkina z „Jeńca kaukaskiego“ dwa wiadome wiersze: *I na czele jewo wysokom—Nie izmieniłoś niczewo* — i charakteryzuje swego Demona w ten sposób: *I na czele jewo wysokom nie otraziłość niczewo* („I na wyniosłem jego czole nie odbiło się nic a nic“). W czasie owym, kiedy się kształcił Lermontow, częstsze były stosunki i większa znajomość rosyjskich literatów z literaturą polską, szczególniéj z utworami długo bawiącego w Rosyi Mickiewicza. W poemacie „Bojarzyn Orsza“ znajdujemy następne wiersze (1835 r. III, 435): „I ten, kto słyszał taki krzyk—pomyślał pewno albo rzekł—że razy

dwa téż same piersi—już nie wydadzą tego dźwięku“ *(I tot, kto krik siej usłychał, Podumał wierno il skazał, Szto dważdy iz grudi odnoj Nie wyletajet zwuk takoj).* Wiersze te prawie dosłownie wzięte z Mickiewicza (koniec Walenroda): „A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie, Że piersi, z których taki jęk wypadnie, Nigdy już w życiu nie wydadzą głosu.“ Jest u Byrona w „Paryzinie“ sytuacya podobna. W chwili ścięcia młodego Hugo na dziedzińcu zamkowym w Ferrarze, zamknięta w więzieniu Paryzina wydaje straszny krzyk. „A był to krzyk niewieści — nigdy nie wydała rozpacz bardziéj szalonego dźwięku. Ci co słyszeli, jak się rozległ, z litości życzyli, aby to był krzyk ostatni *(It was a woman's shriek — and ne'er In madlier accents rose despair; And those who heard it as it past In mercy wish'd it were the last).* Nie przeczę, że ten ustęp z Paryziny mógł natchnąć Mickiewicza, gdy pisał koniec Walenroda, ale różnica obu jęków jest znaczna: Paryzina nie skonała, Byron rzuca zasłonę na jéj koniec i sam nie wié, jaki to był koniec (*Whether in convent she abode... Or if she fell by bowl or steel)*, zaś u Mickiewicza był to jęk skończony, śmiertelny: „W tym głosie całe ozwało się życie!“— Tę charakterystyczną cechę ostatecznego śmiertelnego krzyku, na którym życie się urywa, przejął Lermontow, lecz zapożyczył ją nie z Paryziny, tylko z Wallenroda.

Przytoczę jeszcze kilka naśladowań z Mickiewicza. Lermontow przetłómaczył sonet krymski: „Widok gór z stepów Kozłowa“, opuszczając słowo karawanę w wierszu „aby gwiazd karawanę nie puścić ze wschodu“, lecz przeniósł on do „Mcyri“ wdzięczny obrazek karawany dla odmalowania ruchu obłoków *(Kak budto bietyj karawan Zalotnych ptic iz raznych stran...)*, zaś w „Demonie“ pomieścił „koczujące karawany — w przestrzeni rzuconych światów“ (I, 33). W liczbie wcześniejszych utworów Mickiewicza posiadamy prześliczny wiersz: „Precz z moich oczu!“ „List“ Lermontowa, pisany gdy miał lat 15-cie (1829), jest wyraźną parafrazą poetyckiéj idei Mickiewicza, w peruce pseudo-klasycznego stylu, któremu hołdowali w pierwszych swoich utworach i Puszkin i Lermontow. Wiersz ten zdradza przytém wczesne upodobanie Lermontowa do wojskowego ubioru i stanu: „nadejdzie noc... powrócisz ty z zabawy... Pamiętaj, że w téj chwili ja z mogiły—na widzenie się z tobą smętne przyleciałem... A gdy sankami śród szlichtady świetnéj—na parze pędzić będziesz wronych koni — a po za tobą huzar niemy, smętny — stać będzie w niemém cierpieniu kochania... przez piersi obu was społem przeleci dreszcz mimowolny...“, poczém huzar „pokręci wąsa“ i „posłyszysz wojennego brzęk metalu... Wiedz, że

przed wami szalony cień mój powstał i martwy na was swój skierował wzrok.“

Od lat młodych odznaczał się Lermontow nie tylko zręcznéin przyswajaniem cudzych pomysłów, ale i zadziwiającą wytrwałością w reprodukowaniu wszelkich, rodzących się w bujnéj wyobraźni motywów, obrazów, porównań. Obrazy te krystalizują się, ścigają poetę natrętnie, przechodzą niby nici nieprzerwane, wydłużające się do nieskończoności przez wszystkie następujące utwory, tworzą się z nich tak zwane w drzeworytnictwie klisze, któremi autor ilustruje po kolei następujące swoje kreacye. Postaram się poprzéć twierdzenie to przykładami i zaczynam od motywu, który przez dziwny zbieg okoliczności gra pokaźną rolę w obu literaturach polskiéj i rosyjskiéj, choć wyrósł może w każdéj z nich samoistnie, bez udowodnionego zapożyczenia się. W końcu r. 1826 wydał w Moskwie Mickiewicz sonety, do liczby których należy XII *Rezygnacya*, malujący cierpienia tego, „kto nie kocha, że kochał, zapomniéć nie zdoła.“ Ostatnie trzy wiersze są następujące: „I serce ma podobne do dawnéj świątyni, Spustoszałéj niepogód i czasów koleją, Gdzie bóstwo mieszkać nie chce, a ludzie nie śmieją.“ Puszkin i Lermontow znali sonety, lecz nie wiedzieli i wiedziéć nie mogli“ że Mickiewicz użył tegoż porównania serca do opuszczonéj świątyni w r. 1832 w Paryżu, w poufnéj rozmowie, która przechodząc z ust do ust, poróżniła go ze Słowackim. Mickiewicz w ten sposób określił poezyą Słowackiego: „jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele tym Boga nie ma.“ (Małecki: „Juliusz Słowacki“, 2 wyd. I, str. 95). Tenże sam motyw, ale, że tak powiem, przewrócony znajdujemy w wierszu Puszkina „Czerń“, w słowach poety wyrzucającego gminowi, że ceni tylko na wagę Apolla belwederskiego: „A wszakże marmur ten to bóg!“ *(A mramor siej wied' boh)*. Obie formy motywu używane są przez Lermontowa aż do przesytu, w obu jednako był rozmiłowany i wciąż powtarza: „Dusza moja to wieczysta dla ciebie świątynia— panuje w niéj twój obraz niby bóstwo“ (II, 48, z r. 1830). „Choć opuszczony kościół jest kościołem — jako strącone bożyszcze jest bogiem“ (II, str. 49, z roku 1830 do A. Wereszczaginówny). „Miłość przemocy się nie lęka — chociażby wzgardzona wciąż jest bogiem“ (Anioł Śmierci, 1831). Niedawno (w *Rus. Starinie*, 1887, N. 10) wydrukowano „Spowiedź“ Lermontowa z początku r. 1830 z wierszami: „to puste dźwięki marnych słów — Świątynia świetna lecz bez bóstwa.“ Téż wiersze powtórzone w „bojarzynie Orszy“ („to same dźwięki marnych słów—świątynia świetna lecz bez bóstwa“), a potém w „Demonie“ w obu redakcyach 1831 a 1838 r.: „Czém mi bez

ciebie wieczność? mów,—Czém nieskończonych państw mych mnóstwa?—To puste dźwięki marnych słów,—Świątynia wielka, lecz bez bóstwa!"

Przejdę do innych okazów. Znawcom poezyi Lermontowa pamiętną jest zapewne prześliczna dedykacya „Izmaił Beja" nieznanéj kobiecie (II, 242): „Znów obudziło się natchnienie—w obumarłéj duszy méj — i przemienia w pieśń tęsknotę — tę ruinę namiętności." Jest inny jeszcze motyw zawarty w dedykacyi tragedyi Lermontowa z lat dziecięcych „Hiszpanie": „Tak stoi smutna nad grobowcem—młodziutka brzózka współczująca, — gałązeczki schylająca—na granit śród nocnéj burzy." Poeta przesadził brzózkę do poematu „bojarzyn Orsza", gdzie już się ona krzewi pomiędzy ruinami (II, 448). „Tak czasem między zwaliskami—wyrasta brzoza śliczna, młoda—Po nad grobowców tablicami—piękna grą szepcących liści." Jeszcze przedtém w poemaciku 11 czerwca r. 1831 dokonaném zostało prześliczne zespolenie obu obrazków, uduchownionych, przerobionych na symbol namiętności trwającéj z dziwną mocą w sercu cierpiącém i zwiędłém: „lecz w głębi swych sercowych mąk—mieszkała miłość, bogini młodych lat—tak, ze szczeliny rumowiska—wyrasta czasem brzózka młoda — zielenią liści bawi oczy — granitów szarość uprzyjemnia.... Przedwcześnie uschnie brzózka ta—ale z korzeniem wichr ją nigdy—nie wyrwie, taką ma moc wielką. O, tylko w sercu, które pękło—namiętność władzę ma bez granic."

Takich ilustracyi możnaby nazbierać dziesiątkami. Wskażemy nawiasem „ołowianą łzę" cierpienia w „*Menschen und Leidenschaften*" i w „Demonie"; półsymboliczny, od natury Kaukazu pożyczony obraz czołgającego się węża z grzbietem upstrzonym jak stal damasceńska napisami z Koranu („Auł Bastundży" i „Mcyri", porównaj jeszcze II, 57 i 78); księżyc w pełni jak Armida w czarodziejskim zamku, otoczona obłokami — rycerzami w hełmach w pióra strojnych (tragedya „Hiszpanie" i „Izmaił Bej" II, 24).... „po nad wami (górami) obłoki szepcą niby cienie.... jak gdyby nad głowami widm olbrzymich — kity z piór kołysane—podczas gdy po nieba—stropie błękitnym księżyc kroczy sam." Podkreślamy jeszcze pewien charakterystyczny frazes poety o duszy jego, która „jak gałąź na pniu suchym młoda, w niéj soku brak choć się zieleni" (stanse 1831 roku, II, 229), powtórzony w wierszu z 1835 r.: „W przyszłość wpatruje się z obawą—dusza zmordowana ma—Jak frukt przedwczesny a bez soku—zawiędły wskutek burzy losu—pod słońcem piekącym bytu." Dodamy jeszcze, że w liczbie najulubieńszych motywów poety znajduje się powtarzanie bezustanku i z coraz to większą świeżością i mocą porównanie życia natury i życia duszy, regularnego, wspa-

niałego, nieodwołalnie jednostajnego biegu pierwszego z nich, a nędzy i opłakanego upływu drugiego, poczém zwykle poeta kończy na ubolewaniu: „czemuż nie jestem falą ja chłodną? — czemuż nie jestem obłoczkiem na niebie?...“ — „Przetom ja biedny, że gwiazdy i niebo—gwiazdami są i niebem, a jam jest czlowiekiem“ (1831, II, str. 22). — „Obłoczki w niebie, wieczni pątnicy — w stepie z lazuru nitkami z pereł — pędzicie tacy jak ja wygnańce — z miłéj północy w stronę południa.... Wam się sprzykrzyły niwy jałowe, — nie macie namiętności, nie macie cierpienia—wiecznie wy chłodne, wiecznie swywolne — nie znacie ojczyzny, nie znacie wygnania“ (I, 121). „Falom ich wolność i chłodek są droższe — od skwarnych południa promieni....“ (II, 231). — „Jakem ja w duszy méj miłował — te nieskończone ich (fal morskich) wyprawy—nie wiedziéć skąd, nie wiedziéć dokąd... i życie to bez spraw i myśli—bez urodzenia, bez mogiły — bez szczęśliwości i bez mąk — ich zawsze jednostajne dźwięki — tych sił kapryśnych niezbadanych — ich srogie wycie i ich ciszę—i ową wiekuistą wojnę—z drugim żywiołem z obłokami—z deszczem i wiatrem. Ileż razy—gdy śmierć srożyła się nad nami—błagałem Stwórcę przerażony — by ocean zwycięzcą został“ (Majtek, 1831, II, 234). W przytoczonych przezemnie wypisach oczywiście dotarliśmy do najbardziéj serdecznych myśli i uczuć poety, stanowiących rdzeń jego zapatrywania się na świat, pełnego smutku i pesymistycznego, które się rozwinęło i dojrzało w duszy Lermontowa jednocześnie z zajmowaniem się poezyą Byrona i pod wpływem Byrona; posiada ono jednak odrębne cechy. Cechy te wypada nam przestudyować i odznaczyć.

5.

W swojém studyum nad romansem rosyjskim (*Le roman russe*, 1886) vice hrabia de Vogüé probuje przestawić ruch postępowy myśli rosyjskiéj od chwili, gdy doszła ona do pełnoletności i wyzwoliła się od panowania nad nią chrześciańsko-humanistycznego europeizmu. Przejściowym stanem pomiędzy owém naśladownictwem a całkowitą samoistnością był realizm czy téż naturalizm, ale nie taki suchy i nielitościwy jak u nowszych naturalistów francuskich i dekadentów, bo wedle zdania Vogüé, był on w Rosyi uszlachetniony przez wzruszenie moralne, przez bojaźń bożą i współczujące miłosierdzie. W przebiegu swoim myśl rosyjska zwracała się, wedle Vogüégo w kierunku staroaryjskiego ducha ku nirwanie, ku nieskończonemu a pełnemu zaprzania się siebie rozmiłowaniu już nie w saméj tylko ludzkości, lecz we wszystkiém co tylko żyje w natu-

rze, na najniższych nawet szczeblach rozwijającego się bytu. Analizując pisarzy po kolei, Vogüé zmuszony był potrącić najwydatniejszą po Puszkinie w literaturze rosyjskiéj osobę Lermontowa. Osoba ta nie mieściła się w ramach teoryi Vogüégo; osobę tę cechował zupełny brak humanizmu jak go pojmują europejczycy, był to wielki artysta, ale najszczerszy w świecie egoista, który pisał w 1830 r. (romance, II, 116): „nie waż się w piersi méj szukać litości;—kiedy ja memi gardzę cierpieniami—cóż mi jak cierpią jeszcze inni ludzie?“ Vogüé załatwił się z Lermontowem po swojemu, roztropnie, lakonicznie, kilku słówkami: *vindicatif*, *hargneux*, *mauvais compagnon*... romantyk chory na gorączkę bajronizmu, wydający co najostrzejsze i dysharmonijne dźwięki (54, 57). Lermontow w saméj rzeczy mitręży w wysokim stopniu badacza. O nim można powiedzieć, co powiedział Puszkin o Byronie (VII, 80): „stworzony był na opak, raptownie dojrzał i zmężniał.“ Mając lat 16, był Lermontow już tym skończonym artystą, jakim pozostał aż do zgonu swego w 28 roku życia, przytém posiadał ów okrótny i przykry charakter, którym się odznaczał, był świadom i nienasyconéj chciwości swoich żądz i niezdolności ich pohamowania, spragniony jakiegoś jawnie nie urzeczywistnionego szczęścia, przez co życie jego całe stawało się katuszą a wszystko przerabiało się w téj retorcie duszy i twórczości na ostrą i rozkładającą truciznę. Zupełny był brak równowagi między wrażeniami, sprawiającemi rozkosz albo cierpienie i stanowiącemi jedyny materyał dla czynności psychicznych, a nie nasyconemi żądzami duszy niespokojnéj i wcale niepospolitéj, bo obdarzonéj rozumem bardzo wielkim, nigdy nie odpoczywającym, nigdy nie zatrzymującym się na powierzchni przedmiotu i metafizycznym, to jest zaprzątającym się wiekuistemi kwestyami bytu, kwestyami przyczyn bytu, kwestyami ostatecznie nierozwiązalnemi, ale natrętnemi i usunąć się nie dającemi. Umysł Lermontowa był badawczy i przenikliwy, myśl jego operowała jak świder, kręcony ustawnie w jedném i temże miejscu, w jednym i tymże kierunku. Postaram się objaśnić kilku wyciągami to osobliwsze przedrążanie jednych i tychże samych pomysłów i kwestyi.

Lermontow pisał przed wstąpieniem jeszcze do szkoły junkrów: *Moi—c'est la personne que je frequente avec le plus de plaisir... J'ai vu que mon meilleur parent était moi* (I, 440). „Szukam wrażeń, jakichkolwiek bądź wrażeń! Jakiż to głupi stan człowieka, zmuszonego do zabawienia siebie czémkolwiek by żyć, jak bawili niegdyś dworzanie królów swoich, być własnym dla siebie błaznem“ (I, 436). *Je sens bien fortement la réalité de la vie. Je ne pourrai jamais rien detacher pour la mepriser de bon coeur, car ma vie c'est moi qui vous*

parle et qui dans un moment peut devenir un rien, un nom, c'est à dire encore un rien. Dieu sait si après la vie le moi *existe. C'est terrible quand on pense qu'il peut arriver un jour ou je ne pourrai pas dire: moi! A cette idée l'univers n'est qu'un morceau de boue* (I, 444). Lermontowa pociąga niezawodnie szlachetna żądza sławy: „męczy mię myśl, że skończę życie jako nic nieznaczący człowiek“ (I, 437). *Cette drôle de passion de laisser toujours des traces de mon possage* (I, 444). W znanéj „Dumie“ z 1838 najbardziéj utyskuje Lermontow na to, że „tłumem posępnym, prędko zapomnianym—przejdziem po świecie bez szumu i śladu—a wiekom nie rzucimy ani myśli płodnéj—ani geniuszem poczętego dzieła“ (I, 35). Lermontow pojął doskonale próżnię i nietrwałość szczęścia: „jak spadającéj gwiazdy płomień, na nic się nie zdam w świecie ja... Proszę o szczęście, bywało—Doczekałem się nareszcie. Lecz zaciężyło mi szczęście—jako korona królowi“. Skoro nie ma szczęścia, nie trzeba zanim gonić, nie trzeba martwić się, że śmierć jest nie uniknioną; trzeba brać od życia z wdzięcznością wszystko to, co ono może dać dobrego, a mianowicie największą dozę przyjemności od samegoż procesu tego życia. Nie jest obcą Lermontowowi ta decyzya, wypowiada on ją w chwilach życia najlepszych: „czémże bez cierpień poety życie,—i czém ocean jest bez burzy.“ Chce żyć ceną mąk, „kupując dźwięki z nieba“ (I, 437); woła: „daj choć raz na byt i wolę—jak na obcą dla mnie dolę—przypatrzyć się lepiéj, zbliska“ (I. 6). „Daj swobodę, mnie swobodę i nie trzeba mi już szczęścia“ (I, 486). Ta żądza czynu oddana jest najbardziéj wyraźnie i typowo w autobiografii poetyckiéj L. zatytułowanéj: 11 czerwca 1831 r. (II, 47). „Tak życie nudne jest bez walki... ja działać muszę... pojąć ja nie zdołam—co znaczy odpoczywać... Zawsze coś wre tam i dojrzewa—w umyśle mym... Życie moje jest za krótkie,—boję się, że nie potrafię—wszystkiego spełnić. Silniejszą we mnie żądza bytu—od fatalnych cierpień wszystkich.“ Ta żądza istnienia burzy i bitwy najśliczniéj jest oddana w „Żaglu“. W „Czaszy“ poeta z melancholicznym spokojem filozofa bierze rozbrat z nadzieją osobistego szczęścia. Usposobienie pojednawcze przemija jednak bardzo szybko, błyska ono w wyjątkowych chwilach, podobnych do téj, gdy napisaną została jedna z najrzewniejszych strof przed śmiercią (1841 r. I, 181): „niczego już od życia ja nie czekam—ale przeszłości nie żałuję zgoła—Szukam wolności tylko i spokoju—chciałbym zapomnieć się i wtedy zasnąć.“

Po większéj części w stanowczych chwilach pogodzenie się z losem nie następuje w duszy poety, dla téj prostéj a fatalnéj przyczyny, że by pojednać się z życiem, potrzeba wprzód umiarkować żądze, stłumić i okiełzać namiętności, słowem targnąć się nasamo

źródło natchnienia, zasypać samą krynicę, z któréj tryskał zdrój poezyi Lermontowa. Trudność walki i niemożliwość komplanacyi na godziwych warunkach oddane są nadzwyczaj prosto i prześlicznie w „Modlitwie“ z 1829 r. (gdy poeta miał lat tylko 15): „Nie sądź mię Wszechmocny Panie—i nie racz karać błagam cię—że kocham ziemski mrok grobowy—z namiętnościami tu ziemskiemi—że natchnień wrząca lawa—kipi szalenie w piersi méj—że rwany uczuć wściekłych wirem zmącone mam mych oczu szkło... O zagaś ten przecudny płomień—pożerający wszystko stos—Obróć to czułe serce w kamień... Od okropnego upragnienia—pieśni, o Stwórco wyzwól mię—Wtedy na wązki trop zbawienia—ku Tobie ja nawrócę się.“

6.

Miałże możność Lermontow, przy innych warunkach wychowania i otoczenia, uniknąć rozdwojenia, rozłamania się w duszy, osiągnąć spokój duszny, dojść do równowagi? Odpowiadając na to pytanie, oświadczam, że mam na myśli tylko ludzi wybranych, niepospolitych, obdarzonych badawczym umysłem, z których o żadnym rzec nie można, że jest pogrążony w sprawy i praktyki próżne światowe. Jeżeli w takiéj wyjątkowo utalentowanéj organizacyi przemaga kombinacya, rozwaga, zdolność analityczna, równowaga urządza się stała i trwała w sposób nader naturalny, prosty. Przypuśćmy, że taki człowiek odbiera silne i żywe wrażenia: te wrażenia przerabiają się wnet na oderwane pojęcia, na znaczki wyobrażające przeszłe doświadczenia, na symbole treści ubiegłego żywota Wspomnienia z życia niczém się nie różnią od wspomnień z przeczytanych książek i od rozumowań. Wszystko, co było doświadczone, wyczytane albo wyrozumowane, układa się w umyśle ładnie i porządnie w system zarejestrowanych faktów nagich i nieosobistych. Ustawne wpatrywanie się w ogrom wszechświata zadziwiający pięknością i starannością ustroju, dostarcza takich wzniosłych rozkoszy myślącemu, że ten ostatni o sobie zapomina, że odwyka od dochodzenia znaczenia życia z osobistego swego stanowiska, że go obchodzi najbardziéj i przedewszystkiém sam wszechświat a nie swoje ja. Wielką przysługę ludziom wyświadczyła w tym kierunku filozofia niemiecka, szczególniéj najgenialniejszy z systemów téj filozofii—idealizm Hegla. Lermontow znajdował się przez czas niejaki w samém seminaryum téj filozofii, w uniwersytecie moskiewskim jednocześnie z Hercenem i rówieśnikami jego („Prześwięte miejsce! pomnę niby we śnie—Twoje katedry, sale, korytarze—Twych wychowańców zapalone spory—o Bogu, o wszechświecie albo o tém—

jak pić czy z wodą czy téż czysty rum,—ich harde miny wobec groźnéj władzy—i ich surduty podarte jak łachmany“ (Saszka. II, 527). Gdyby okoliczności nie przerwały naukowego zawodu Lermontowa wątpić należy, czyby się wykształcił na filozofa; raczéj wypada przyjść do przeciwnego wniosku. W 1830 r. (II, 65) pisał on wiersz następny: „Rozum mój nie nadaremno—do czegoś tajemnego dążył—czemu widomą są rękojmią—Gromady gwiazd i strop niebieski—a cobym wyrozumiéć mógł—przez rozmyślanie i lat wiele—Ale gorący, ostry narów—dogryza mi od urodzenia—tak umrę sercem nie poznawszy—posępnych myśli, smutnych celów.“

Jak każdy artysta, miał Lermontow naturę zmysłową, w któréj wrodzona skłonność do wzruszeń przemagała nad rozwagą. Posiadał on straszną pamięć serca, prawie taką jak u Byrona, ze zdolnością odtwarzania po wielu latach w świadomości doznanych wrażeń, nie tylko również jak przy doznaniu ich świeżych, ale izolowanych, spotęgowanych i uzupełnionych przez wyobraźnię. „Jak téż wszystko co przeszło,—pisze on w „Bohaterze naszego czasu“—odlało się wyraziście i ostro w mojéj pamięci! żadnego rysu, żadnego odcienia czas nie zatarł“ (II, 314). „Nie ma na świecie człeka, nad którymby przeszłość większą niż nademną miała władzę. Każde przypomnienie zeszłego smutku albo radości boleśnie potrąca moją duszę i wyciąga z niéj téż same dźwięki... Głupiom stworzony, niczego nie zapominam, niczego zgoła!“

Zmysłowe temperamenty, namiętne i wciąż wzburzone, potrzebują wędzidła hamującego ich popędy, hołdują sile zewnętrznéj, powadze, przed którą się korzą. Dla tłumu, dla nieprzejrzanéj większości ludzi takiém wędzidłem moralném jest religia, któréj zbawiennych skutków nic nie zastąpi dla duszy, mogącéj jeszcze wierzyć. Żywym przykładem krewkiego temperamentu artystycznego, okiełznanego przez religią, był Chateaubriand, wieszcz antirewolucyjnéj reakcyi w duchu rzymsko-katolickim. Z warunków pochodzenia swego i wychowania pod skrzydłem bogobojnéj babki, z wrodzonéj skłonności do nacyonalizmu, z silnéj miłości ku ojczyznie w najciaśniejszym zakresie, z odrazy od europeizmu i z głębokiego uczucia, które natchnęło go do napisania „Gałązki z Palestyny“ i mnóstwa modlitw prześlicznych, Lermontow kwalifikował się na wielkiego artystę w tym kierunku literackim, którego teoretykami byli Chomiakow i Aksakow, to jest na poetę w duchu specyficznie narodowym; takiego właśnie brakowało owemu kierunkowi. Mając lat 15 Lermontow pisał: „gdy zechcę wdać się w poezyą narodową, zapewne szukać jéj będę nie gdzieindziéj tylko w rosyjskich pieśniach“ (II, 515). Ponieważ był na wszelkie sposoby mistrzem i genialnym

poetą, zdarzyło się raz jeden, że przyszło mu do głowy napisać poemat epicki w stylu narodowym, czego dokonał z wielką swobodą i łatwością. Godném jest uwagi, że w doskonałym eposie, zwanym „Pieśń o carze Iwanie Wasiljewiczu, młodym opryczniku i dzielnym kupcu Kałacznikowie“, Lermontow nie modernizował, wedle spółczesnych liberalnych pojęć, ludzi z dawnych wieków, jak to czynił naprzykład hrabia Aleksy Tołstoj, z bohaterami swemi z bylin cyklu kniazia Włodzimierza. Lermontow nie chciał brać sobie za zadanie opiewania bohaterów, których sława świeża i każdemu wiadoma, naprzykład Piotra Wielkiego. Obrał on starą Moskwę, trochę bizantyjską, trochę tatarską, w najciemniejszym okresie wytwarzającego się jednowładztwa. Postawił on na scenie olbrzymią postać Iwana Groźnego. W utworze tym tak głęboko pojęta historya, tak prostą jest osnowa, taką prawdą nacechowana ekspresya, nakoniec z takiém mistrzostwem przerobiono na złoto poezyi wszystko, co tylko życie zawiera złego, okropnego i niesprawiedliwego, że mimowoli nasuwa się myśl o tém, jakim to wielkim mógł się stać Lermontow malarzem historycznym, i poetą obozu słonofilskiego. Lecz Lermontow powiadał o sobie, że do 15 lat nic prawie nie czytał, a od lat 15 już nie myślał o tém, jakby się stać poetą narodowym (II, 515). Dziwna rzecz, że napisał w 1830 r.: „nasza lieratura taka uboga, że nic brać z niéj nie mogę“; a jednak wiadomo, że brał dużo rzeczy od Puszkina, przerabiał „Jeńca Kaukaskiego“, a wysilał się wszelkiemi sposobami, by miéć na wzór Puszkina „chłodny rozum śród dum posępnych“ (Portret, z 1829 r. II, 22), „rozum zwątpieniem oziębiony i walczyć z losem nauczony“ (Jzmaił Bej, 1832 r. II, 305). Zdaje się iż całkowite pominięcie Puszkina w literaturze rosyjskiéj tłómaczy się tém po prostu, że poezyi rosyjskiéj jedynym przedstawicielem w oczach Lermontowa był gorąco przezeń ukochany Puszkin, ale Puszkina nie miał Lermontow za narodowego poetę rosyjskiego, lecz za ogólnoeuropejskiego, jakim był Puszkin w saméj rzeczy. A przytém panowanie Puszkina nad wyobraźnią Lermontowa zostało przyćmione i zachwiane przez wpływ jeszcze jaśniejszego słońca poetyckiego, wpływ, któremu się Lermontow poddał całkiem świadomie i bez zastrzeżeń, a mianowicie Byrona. Od téj chwili, gdy wedle słów Lermontowa, zaczął on bazgrać wiersze (co się stało w pensyonacie w 1828 r.) przepisywał on „Więźnia Chillonu“.

Entuzyazm względem Byrona datuje się głównie od 1830 r., od przeczytania życiorysu Byrona przez Moore'a (*The life, letters and journals of L. Byron*), to jest, właściwiéj mówiąc, od przeczytania pierwszego tomu téj pracy, wydanego w Londynie w 1830 r. w stycz-

niu. Drugiego tomu nie miał w ręku Lermontow w 1830: tom ten ukazał się w Londynie w ostatnich dniach 1830 r., a przedmowa jego datowana w grudniu nowego stylu. Po przeczytaniu 1-go tomu życiorysu, Lermontow pisał: „Jam młody, w sercu mém wrą dźwięki— i Byronowi dorównać bym chciał.—Jednakie mamy dusze i jednakie dźwięki—O, gdybymże i los jednaki miał!“ Odtąd poczyna się pilne wyszukiwanie i notowanie najmniejszych rysów podobieństwa ucznia do mistrza. Lermontow uważa, że i Byron zbierał i przepisywał dziecięce swoje wierszyki, jak gdyby instynktowo przeczuwał przyszłą sławę. Zapisane jest inne jeszcze podobieństwo: „cyganka przepowiedziała matce Byrona, że będzie wielkim człowiekiem; toż samo przepowiedziała dla mnie stara kobieta babce mojéj. Daj Boże, aby to się stało, chociażbym miał być równie nieszczęśliwy jak Byron“ (II, 513). W 1831 r. napisał Lermontow na obraz Rembrandta: „Tyś o jeniuszu ponury pojmował—Ów nieświadomie smętny ton—zlew namiętności i natchnienia—wszystko czém nas zadziwiał Byron“ (II, 231). Ale w tymże 1831 r. napisany był fragmencik, który biografowie Lermontowa podkreślają, jako dowód jego wyzwolenia się od bajronizmu: „Nie, jam nie Byron, jam jest inny—wybraniec jeszcze nie znajomy—przez świat ścigany też wędrowiec—lecz rosyjską duszą obdarzony! Wcześniéj zacząłem, wcześniéj skończę—niedużo sprawi umysł mój—w duszy méj leżą oceanie—szczątki rozbitych nadziei!“ Waga i wartość tego dowodu bardzo wątpliwe i podlegają krytyce. Przytoczony ułamek pisany był przez Lermontowa—studenta uniwersytetu (od sierpnia 1830 do lipca 1832 r.), pieszczoszka babki, zadość czyniącéj wszystkim jego fantazyom. Młodzian, można rzec, ze skóry wyłaził, by się wyprodukować na drugi egzemplarz Byrona, więc się ustroił i zagrymował jako ścigany przez świat wędrowiec, opłakujący zatonięty ładunek nadziei, chociaż nie zakosztował jeszcze należycie w owocach życia, więc nie mógł jeszcze być rozczarowanym i zrozpaczonym. Jeżeli go gryzły brak uznania, żądza sławy, już leciała przed nim i uśmiechała mu się ta sława; talentu swego był on całkiem świadom, gdy w 1829 pisał: „lecz liry dźwięk był dla mnie niezawodny“ (II, 25: *no liry zwuk mnie nieizmienien był*), a więc powodzenie autorskie stawało się dla niego tylko kwestyą czasu. Nie mniéj zagadkowym jest frazes „obdarzony duszą rosyjską“ (*no tolko s russkoju duszoj*). Ojczyznę swą Lermontow kochał miłością nie tylko „dziwną“, lecz i wcale téż w różnych chwilach niejednaką. Chociaż ją kochał, jednak doszukiwał się przodków swoich za granicą i prowadził swój rodowód to od hiszpańskich Lermów, to nieco późniéj i daleko zgodniéj z prawdą historyczną od szkockich Learmonthow z ich wieżą Le-

armonthow, koło Abbotsfordu Walter Skotta, nad Tweedem (Wiskowatyj, w Russ. Mysli 1882). Lermontow pałał poetyczną „Żądzą“ lecićć do Szkocyi, gdzie mogila Ossiana „w górach rodzinnéj Szkocyi méj“ (1830. II, 74), lecićć w postaci stepowego kruka by trącić skrzydłem o struny arfy szkockiéj. „Ostatni potomek odważnych szermierzy—więdnę śród obcych mnie śniegów—Jam tu urodzony lecz nie z tutejszą duszą—o czemużem nie kruk stepowy!“—Te ostatnie wiersze o „nie tutejszéj duszy“ datowane są 29 lipca 1831 na belwederze w Srednikowie (II, 197) to jest w tymże roku w końcu którego pisany był wiersz „lecz rosyjską duszą obdarzony.“ Więc z powodu sprzeczności w zeznaniach badanego subiekta kwestya, do jakiéj należy narodowości dusza jego, pozostaje otwartą, tém bardziéj, że badany nie może być we własnéj sprawie ekspertem.

Krytycy rosyjscy zgadzają się, że Puszkin był powierzchownie tylko bajronistą, lecz że Lermontow przesiąkł duchem Byrona aż do szpiku kości. Vogüé powiada: *Lermontoff a reçu l'instrument façonné par Pouschkine mais il se rattache surtout à leur maître commun. Le créateur d'Onéguine n'avait pris à celui de Childe Harold que la poétique, Lermontoff lui a pris son âme* (54). Zwykle twierdzą, że wpływ Byrona na Lermontowa był zbawienny, podnoszący, dopomagający Lermontowowi do otrząśnienia się z pospolitości bytu spółczesnego publicznego, do wygramolenia się z tego trzęsawiska, do przerwania zastoju ówczesnego rozpaczliwym, chociaż nie bardzo skutecznym protestem.

Wszystkie te przypuszczenia tak o pożytku wpływu Byrona na Lermontowa, jako i o pożytku protestu Lermontowa powinny być uchylone, jako rozpoznaniu naszemu nie podlegające, jako bezwarunkowo nie odpowiadające zadaniom krytyki literackiéj i wręcz zawadzające przy analizowaniu faktów, które przedewszystkiém należy wyjaśnić i ustalić, faktów przytém nie społecznych lecz psychologicznych.

Gdyby nie istniał Byron i nie miał wpływu na Lermontowa, stałby się może Lermontow zdolnym poetą nie wysokiego polotu, trzymającym się ciasnego narodowościowego kierunku, mocno w stosunkach rodzinnego kraju zakorzenionym, więc popularnym i lubianym. Pod wpływem Byrona wyrobił się zeń wieszcz bardzo wysokiego lotu, ale kosmopolityczny, może nie mający gruntu pod sobą, ale tak potężnego geniuszu, że w ciągu upływającego po śmierci jego pół wieku nikt z następujących po nim poetów nie odziedziczył téj czarującéj liry, nikt ani umył się do niego: następcy jego są to małe pagórki wobec tego poetycznego Kazbeku. A więc należy inaczéj postawić pytanie: jaka modyfikacya zaszła w twórczości Ler-

montowa wskutek poznania przezeń poezyi Byrona? co z niéj pożyczył Lermontow i czego sobie nie przyswoił.

7.

Daleki jestem od zamiaru twierdzenia, jakoby wszystkie wspólne i Byronowi i Lermontowowi uczucia dumnéj niepodległości, pogardy względem ludzi i dąsania na męki istnienia—były zapożyczone tylko od Byrona i sztucznie na grunt własny przez Lermontowa przesadzone. Jak u Puszkina po cierpieniach doznanych w 1820 r., tak i u 16-letniego Lermontowa, daleko mniéj umęczonego, ziarno padało na grunt przygotowany i przeorany przez wypadki zewnętrzne. Przedtém nim Lermontow wstąpił do uniwersytetu moskiewskiego, stał się przedmiotem nader bolesnéj dlań kolizyi pomiędzy ojcem jego, człowiekiem, który wiele zawinił w życiu familijném, starającym się wyrwać z rąk babki i przywabić do swojego ubogiego dworku wiele obiecującego syna,—a bogatą babką Arsenjewą, drżącą na myśl, że mogą gwałtem czy sądownie pozbawić ją tego skarbu, do którego się całą duszą przywiązała (*Russ. Mysl*, 1882, N. 12, artykuł Wiskowatego). W walce o M i s z e l a, aż do ostateczności zaognionéj, grał Lermontow rolę niewinnéj ofiary, poznał odwrotną stronę życia ludzkiego, niesłuszność i wzajemne uprzedzenia najdroższych mu osób. Nad tém starciem nie mógł on zapanować i po téj torturze był jak gdyby rozbity, jak gdyby nadłamany. Serce ciągnęło go ku ojcu, lecz rozpłakała się przed nim babka i przeraziła go widokiem nędzy zupełnego swego osamotnienia. Zlitował się nad nią, a wtedy ojciec podejrzał go o to, że go zwabiły babki bogactwa. Ojciec opuścił Tarchany w gniewie i umarł wkrótce potém, obciążywszy sumienie syna przypuszczeniem, że zachowanie się Miszela mogło tę śmierć przyśpieszyć.

Po raz pierwszy w życiu zabrał Lermontow znajomość z losem, z przeznaczeniem, z tém, co pod mianem „*rok*“ i “*rokowoje*“ co chwila powtarzane jest w jego poezyi i z czém prowadził wściekłą walkę przez całe życie. Będąc artystą w duszy, zajął się wnet literackiém wyzyskiwaniem przecierpianych mąk, począł dramatyzować grę namiętności, dostrzeżoną w duszy własnéj i w innych. Po dziecinnéj, niedojrzałéj tragedyi „Hiszpanie“ pełnéj reminiscencyi z „Rozbójników“, „*Kabale und Liebe*“, „Mądrego Natana“, i po dramacie „Dwaj Bracia“, reprodukującym spółzawodnictwo Karola i Franciszka Moorów w „Rozbójnikach“ Schillera (zachwycał się on tym utworem w 1829 r. na scenie moskiewskiéj—w utworze tym występował sławny aktor Moczałow. II, 435), napisał Lermontow dramat

z niemieckim, zapewne tymczasowym lecz nie zmienionym późniéj tytułem „*Menschen und Leidenschaften*“ 1830 r. i drugi dramat „Dziwny Człowiek“ 1831 r. W obu dramatach syn występuje jako bohater. Jest to osoba właściwie nie tragiczna, bo nie działająca, lecz bez winy cierpiąca i ginąca od rzuconego na nią przez ojca przekleństwa i wzgardzonéj miłości. Do ram „*Menschen und Leidenschaften*“ wstawioną została cała familijna sprawa Tarchańska. W najczarniejszych kolorach odmalowana tu babka, stara obywatelka, sroga gospodyni, otoczona czołgającą się przed nią czeladzią dworską, która ją przeciwko zięciowi nastraja. Do miłośnéj intrygi, zajmującéj w utworze podrzędne stanowisko, dał Miszelowi materyał romans jego z jedną z kuzynek, zapewne z Barbarą Łopuchinówną. Syn spotwarzony został przed ojcem, ojciec go wyklął; syn, przekleństwem dotknięty, truje się rozmyślnie. Treści dostarczyło dramatowi życie samo, autor odmalował siebie samego nie po bajrońsku, to jest nie w postaci osoby czynnéj, ale raczéj na podobieństwo Ferdynanda w „*Kabale und Liebe*“. Przed śmiercią syn stracił wiarę i posunął się aż do ateizmu („Przyrodzenie to piec ognisty, skąd wylatują iskry, iskry te niejednakie, ale wszystkie bez śladu zagasną. Gdy ogień się wypalił zbierają popiół i precz wyrzucają... nie ma innego świata, nie ma raju, nie ma piekła. Ludzie to rzucone bez przytułku istoty“ (akt 5, sc. 9 i 10). Jednak ten ateusz rozprawia z Bogiem i oskarża go z całą ciętą dyalektyką, w którą Byron uzbroił swojego Kaina: „jeżeli on wszechwiedzący, czemu nie odwrócił ciosów ludzi od mego serca? czemu dał mu się rodzić, wiedząc, że zginę? kędyż jest wola jego, skoro mogę wedle życzenia mego umrzéć lub żyć?“ Dramat był zapewne pisany pod świeżém wrażeniem śmierci ojca, która dała początek wielu smętnym wierszom (1831 r. II, 227: „Daj Boże, by spokojny również był—zgon tego kto stał się sprawcą męki twéj—lecz ty przebaczysz mnie!..“).

Wkrótce potém (1831) Lermontow się opamiętał, przekonał się o tém, że sądził niesprawiedliwie o babce. Zapewne zostały mu wykryte przewinienia ojcowskie względem swéj żony—matki Miszela, więc w „Dziwnym Człowieku“ już babka nie figuruje wcale, ale w bardzo szpetnéj postaci przedstawiony jest ojciec, domowy despota, niemiłosierny względem żony, przeklinający syna za to, że się za porzuconą matką ujmował. Syn traci zmysły tak wskutek tego przekleństwa, jako i wskutek tego, że go zdradziła ukochana przezeń panna, która inny wybór zrobiła z rozsądnéj rachuby. Przedstawione tu stosunki ojca i syna nie pasują wcale do tego, co nam wiadomo o Jerzym Lermontowie i Miszelu, a jednak w przedmowie do „Dziwnego Człowieka“ powiedziano, że dramat ten

„przedstawia rzeczywisty wypadek, który długo trapił autora i przez całe życie nie przestanie go zajmować“, że wszystkie osoby wzięte są z natury i że autor chce, aby były poznane. Wypada wnosić, że chyba miłosna część dramatu wzięta była z natury i skreślona przez autora autobiograficznie. Epigraf wypisany był ze „Snu“ (*Dream*) Byrona. W scenie 4 między studentami autor podaje niby skomponowane przez syna naśladowanie „Snu“ Byrona. Wiadomo, że ten „Sen“—będący jednym z najserdeczniejszych utworów poety, zawiera w sobie spowiedź własnych cierpień jego pacholęcych, gdy miss Chaworth nad chromego malca przeniosła bardziéj dojrzałego i kształtnego człowieka. Chłopiec rozstaje się z ukochaną, niewymownie cierpi, ale zachowuje na pozór lodowatą obojętność. Takich cierpień doświadczył Lermontow kilka razy, zapewne one to zrodziły w nim usposobienie odludkowate i wrogie względem kobiet, chętkę zalecania się do każdéj, by ją z szyderczym śmiechem potém rzucić. W „Dziwnym Człowieku“ jest jeszcze Lermontow bardzo mięki: „Boże mój, Boże, woła bohater, nie wierzę w Ciebie i nie kocham. Po co mi dałeś serce ogniste, które zapamiętale kocha, ale nie umié również nienawidziéć“ (sc. 12). Jednakże tak w tym utworze jako i w innych z przedbajrońskiego okresu rozsiane są w wielkiéj ilości gotowe rysy do charakterystyki przyszłego mizantropa, „anatomizującego każdą odrobinkę zła zsyłaną mu przez los“ (sc. 1), napróżno usiłującego utopić w potoku uciech ciężki ładunek świadomości, „przyznającego się, że ma nieznośny charakter, złośliwy dowcip i wciąż ponurą wyobraźnię, chęci nieznające granic i zmienne skłonności“ (sc. 11); „Serce jego dojrzało wcześniéj niż rozum, poznał on szpetną stronę świata, zanim się przyuczył bronić od napaści albo obojętnie je znosić“ (sc. 13). O towarzystwie odzywa się on już z wielkiém lekceważeniem: zbiór ludzi nieczułych, samolubnych, zazdroszczących każdemu, w kim jest iskierka ognia niebieskiego (przedmowa). Dramat „Dziwny człowiek“ zamyka pacholęcy okres w życiu Lermontowa, odtąd znika młodzian bez winy cierpiący, a ukazuje się zahartowany samolub, świadomy siebie, złośliwy i przedsiębiorczy („Jak demon mój, jam zła wybraniec“—mówi autor w przedmowie do 3 szkicu „Demona“). W dedykacyi z 1831 (I, 513) pisze on: „jak demon zimny i surowy ja w świecie złem się lubowałem.“ Jest pewien ustęp w liście do M. A. Łopuchinówny (28 sierpnia 1832 r., I, 440), który mocno oświeca pracę Lermontowa nad sobą samym, aby skrzepnąć, zgrubiéć i stać się złośliwym: *„j'écris peu, je ne lis pas plus, mon roman devient une oeuvre de desespoir; j'ai fouillé dans mon âme pour en retirer tout ce qui est capable de se changer en haine, et je l'ai versé pêle mêle sur le papier. Vous me*

plaindriez en le lisant...“ Lermontow świadom jest swojéj mocy i swojego mistrzowstwa w ogadywaniu, będzie się jeszcze doskonalił w téj sztuce, na usprawiedliwienie swe tłómacząc się tym często powtarzanym argumentem, że „nie wierzy już niczemu, bo przedtém wszystkiemu wierzył.“ Odmiana w twórczości Lermontowa nie da się objaśnić przez żadne zaszłe w życiu jego w tym czasie wypadki. Można ją wytłómaczyć chyba za pomocą przypuszczenia, że w przerwie pomiędzy pensyonatem a szkołą junkrów przejął się do głębi Byronem i przyswoił sobie całkowicie stanowczość sądów, dumę i śmiech szatański, sardoniczny Byrona.

Dowodziłem uprzednio bezzasadności określenia poezyi Byrona, które podał Apollo Grigorjew, jako poezyi szczerego cynicznego egoizmu, spotwarzającéj duszę ludzką i rezolwującéj się w ironią i tęsknotę, ponieważ nagi egoizm przeciwnym jest naturze ludzkiéj. Twierdziłem, że to określenie nie przystoi poezyi Byrona, mającéj szeroki podkład humanistyczny, wiarę w ideały, którym był Byron oddany, chociaż naokół jego świat cały bił czołem bałwanowi grubéj siły fizycznéj i złotemu cielcowi. Lecz nie mogę nie przyznać, że określenie Grigorjewa pasuje doskonale do poezyi Lermontowa i że Grigorjew mógłby się zmylić, gdyby określając Byrona, patrzył nań przez pryzmat poezyi Lermontowa. Są szkła spektralne nietylko rozkładające promień słońca na kolory, lecz téż pochłaniające pewne kolory i przepuszczająca tylko wszystkie inne. Lermontow podobny jest do takiego szkiełka. Po przeczytaniu całości jego utworów, nie zostaje w pamięci ani jedno miejsce, wyrażające cośkolwiek z wzniosłych uczuć, któremi przepełniony był Byron, pisząc 4 pieśń Childe Harolda, Byron już nie ironizujący, wołający: „*I love the man not less but Nature more... To fly from need not to hate mankind*“; Byron piszący do Moore'a (6 kwietnia 1819): „*you have so many d i v i n e poems, is it nothing to have written a human one.*“ Co tylko było u Byrona jasno błękitnego, znika w Lermontowie, natomiast występuje jaskrawo wszystko, co było czerwone, złośliwe, demoniczne z tak wielką mocą, że dla ludzi, którzy się nałożyli do poznawania autorów z ich sposobu pisania, z ich maniery, to co napisał Lermontow, może uchodzić nieraz za rzecz bardziéj bajrońską aniżeli co sam Byron pisał. Przytoczę maluczki przykładzik takiego forsowania, podfarbowania i podnoszenia demonicznych pierwiastków do potęgi drugiéj.

Jest u Byrona jedna prześliczna a prosta, trzeźwego kolorytu melodya hebrajska: *My soul is dark*, przełożona przez Lermontowa pod tytułem: „*dusza posępna moja.*“ Niewiadomo kto, zapewne król Saul (Księgi Król. 18, 10) zniewala arfiarza: graj że no, graj, wyci-

śnij z oka łzę, niech mózg mój gorzeć przestanie *(cease to burn my brain)*. Niech będzie pieśń twa smętna, dzika; ja mówię ci, że płakać muszę, inaczéj serce z bólu pęknie; — teraz stanowcza idzie chwila—teraz rozłamie się lub się roztopi w pieśni *(break at once or yield to song)*. Lermontow przełożył melodyą, wedle zwyczaju, świetnie i zwięźle (téż same wierszy 16), lecz ponieważ wyobraźnia jego od lat dziecięcych, od pierwszych odwiedzin Kaukazu była oryentalna, rozmiłowana w tém co pstre i jaskrawe, więc porozwieszał na prostéj osnowie melodyi mnóstwo błyskotek z szychu i szklanych paciorek, używając do tegoż wszystkich gotowych swoich klisz. Arfa muzyka musi być nie inna tylko z ł o t a. Ręka arfiarza wyciąga z niéj nie *melting murmurs*, ale „d ź w i ę k i r a j u.“ Przyczepiony, nie wiedzieć po co, los *(rok)* unoszący nadzieje. Oczy u króla są jakieś „z a s t y g ł e“, pełne łez, które mają się stopić *(Jesli jesť w oczach zastywszych kapli slioz — Onie rastajut i prolijutsia)*. Wyraźnie nastręczała się pamięci Lermontowa jedna z łez ciężkich, ołowianych, podobna do téj, którą uronił demon, a która przepaliła kamień koło klasztoru Tamary. (W myśl oryginału należałoby przypuścić, że u Byrona oczy króla Saula również są gorące, rozpalone, jako i sam mózg, co gore). W wierszu: „jak ma korona, tak ciężą mi wesela dźwięki“, pierwsze trzy wyrazy stanowią wstawkę samodziałową, jeden z frazesów oddawna ukutych i często powtarzanych. W zakończeniu zamiast s e r c a postawiona p i e r ś, z dodatkiem: „jako puhar śmierci trucizną napełniony“, odmieniającym już stanowczo sens i treść oryginału i podpowiedzianym mu przez obecne wciąż w świadomości jego wyobrażenie o trującéj zjadliwości owoców jego własnéj twórczości. To przekrawanie Byrona przez Lermontowa wedle własnéj ego piersi i temperamentu, któreśmy dostrzegali w małym kryształiku, w melodyi *My soul is dark*, powtarza się na wielką skalę w epickich i późniejszych dramatycznych utworach Lermontowa, w szeregu których pierwsze miejsce zajmuje poemat „Demon“, rzeźbiony przezeń, przerabiany i szlifowany przez lat dziewięć, od r. 1829, kiedy rzucony był na papier pierwszy szkic „Demona“, aż do ostatniego, piątego z r. 1838 (widzimy, że L. pracował dłużéj nad „Demonem“ niż Puszkin nad „Onieginem“). Dzieje tego utworu są interesujące i wymagają, abyśmy się nad nim zatrzymali.

8.

Jest w liczbie wczesnych poematów Lermontowa „Anioł Śmierci“, powieść wschodnia, wyrastający wraz z Demonem jako dwa pędy z jednego korzonka. Wedle przechowanego w brulionowym

seksternie pomysłu (II, 524), ten anioł śmierci, na którego włożono obowiązek osładzać pocałunkiem ostatnie chwile konających, tknięty był żalem na widok kochanka umierającéj dziewicy, przywodzącego powstającym Grekom, wcielił się w ciało zmarłéj, ożywił je własną swoją duszą, lecz następnie sam był z siebie nierad, bo kochanek, wódz Greków, okazał się człowiekiem złym i krwi chciwym. Ten wódz ginie w bitwie, anioł nie może ulżyć mu w owéj chwili, jako wcielony w śmiertelniczkę, lecz porzuca on i ciało dziewicy. Odtąd jednak ludzi nie kocha, dla nich są „jak lód chłodne jego uściski — a pocałunki jego—to przekleństwa!“ W samym poemacie akcya do Indyi przeniesiona, Grek się przedzierzgnął w pustelnika Zoraima, który posiada Adę kochankę. Ada umiera, z litości nad Zoraimem anioł śmierci wstąpił w ciało Ady. Pomysł poety traci pierwotną prostotę i przejrzystość. Zoraim, opanowany nagle przez ambicyą i żądzę sławy, bierze udział w wojnie i śmiertelnie ranionym jest na polu bitwy. Umierającemu nie może pomódz duch, który się przeobraził w śmiertelniczkę kobietę. Po śmierci Zoraima anioł zrzuca brzemię ziemskiego żywota i wraca do niebios, lecz „za zgubę druha w nim zostało—pragnienie światu mścić całemu...“ Anioł „z dawną rozstał się dobrocią, — a poznał ludzi, że na litość nie zasługują oni wcale.“ Cały poemat mizantropijnym jest i smutnym, ale nie demonicznym. Przechowała się w rękopismach notatka, okazująca, że poeta miał zamiar pisać satyryczny poemat „Demon.“

Demon napisany został, ale wcale nie jest satyrą. Przedewszystkiém jest on alegoryą oderwanéj idei zła. Jest w poezyach Puszkina mały nierozwinięty pączek tegoż nazwiska, o który spierano się, czy wyobraża on żywą osobę sceptyka, czy jest upostaciowaniem zwątpienia, jako zła moralnego. Mając lat 14, począł Lermontow parafrazować ów wiersz puszkinowski (*Moj demon*, z 1829 r. II, 32: „on niedowierzanie szerzy — on gardzi czystą miłością...“) z tą ważną różnicą, że jego demon nie jest zimnym szydercą, ale istotą namiętną i okrótną („on obojętnie krew ogląda, i dźwięki podniosłych wzruszeń — tłumi namiętności głosem“); nakoniec, że w jego abstrakcyi zlewają się i zło fizyczne i zło moralne („śród liści zżółkłych, opadniętych—stoi samotny jego tron — Na nim śród wiatrów oniemiałych—zasiada on ponury, smętny“). Stąd wyrasta w następujących szkicach malowniczy opis mroźnego państwa Demona i jego tronu na lodowym szczycie, gdzie „zamiecie białogrzywe—wyły jak lwy u jego stóp“ (I, 516). Następnie idą jedno po drugiém modyfikujące się opowiadania o czynach demona. Pierwotny pomysł z 1829 r. bardzo prosty (I, 496) i wiernie wytrzymany w za-

kresie pojęcia o demonie, jako uosobieniu samego tylko zła. Dowiedział się demon, że anioł, przeciwnik jego, pokochał niewiastę. Na złość aniołowi demon uwodzi tę niewiastę, która wkrótce umiera i staje się duchem piekielnym. Wyciągi z wydanego w 1821 r. „Kaina“ bajronowskiego poprzedzają, jako epigraf, drugi szkic „Demona“, układany w pensyonacie w 1830 r. Począwszy od szkicu drugiego zmieniać się będzie często otoczenie, uwiedziona kobieta zostanie najprzód żydówką z czasów niewoli babilońskiéj, potém mniszką hiszpańską, wreszcie nakoniec księżną gruzińską Tamarą; lecz już w drugim szkicu zasadnicza idea konsolidowana: treścią jéj staje się to, że jeden z głównych pomocników herszta piekielnych zastępów, szatana, demon rozmiłował się rzeczywistą miłością płciową w jednéj z prawnuczek prababki Ewy, która pokochała go téż wzajemnie. Myśl to nie nowa, zaprzątał się nią Byron, gdy układał w 1821 r. mysteryum *Heaven and Erth*, poświęcone miłostkom niewiast z plemienia kainowego i aniołów, którzy skutkiem tego przywiązania do owych kobiét, stają się nieposłusznymi Bogu. Zakochanie się niewiasty w duchu złym nie było téż nowością w literaturze. Na niém osnuty jest najlepszy z poematów Alfreda de Vigny, który się ukazał w wydaniu jego poezyi w 1828 r. pod tytułem: *Eloa la soeur des Anges*. Łza wylana przez Chrystusa u grobu Łazarza daje początek niewieściemu aniołowi Eloa. Śród swoich wędrówek po bezmiarze wszechświata napotyka Eloa strąconego szatana, który ją uderza cudną swoją nawet w upadku pięknością. Eloa boleje nad nim, chce jednak uciec, domyślając się, kim jest napotkana przez nią istota; lecz się szatan rozpłakał i wydał się jéj tak nieskończenie nieszczęśliwym w razie, gdyby go porzuciła anielica, że Eloa przez litość została się z szatanem, który ją do otchłani pociągnął.—Lermontow napisał rzecz z treści do „Eloi“ bardzo podobną: „Anioła Śmierci“, w któréj środkowe miejsce zajmuje kobiéta — Ada, i całe opowiadanie osnute na uczuciu miłosierdzia. Lecz w „Demonie“ Lermontowa główną osobą staje się już nie kobiéta, lecz sam duch ciemności przepiękny, dziwnie potężny i złośliwy, siejący zło i zwodniczy. Jak Lucyfer w „Kainie“ Byrona, demon mianuje się „królem wiedzy i swobody“; jest on przytém alegoryczném uosobieniem zła („jam wrogiem niebios, złem przyrody“), skazanym na to, by „żyć dla siebie, tęsknić, śnić, Tą tylko długą wojną żyć, Żałować a nie pragnąć, chcieć, Odrzucać zgodę, z zwycięstw szydzić, Znać wszystko, wszystko czuć i widzieć. I wzgardę dla wszystkiego mieć“ („Demon“, przekład ed. Ad. Wiślickiego, Warszawa 1881). W początkowych zarysach jeszcze mocniéj była podkreślona owa obowiązująca nienawiść ku wszystkiemu na świe-

cie: „kochać mu — zabronić winno jego serce — on związan jest straszną przysięgą“ (którą dał szatanowi przy strąceniu wszystkich złych duchów z niebios do piekła).

Przedmiot sam przez się prosty, ale oddany malowniczo. Sędziwy książe Hudal z córką jego Tamarą, zaręczyny téj Tamary z władcą Sinodału, wyprawa tego władcy po żonę z karawaną objuczonych podarunkami wielbłądów, niespełniona przezeń modlitwa na świętém miejscu wskutek pokusy szatańskiéj i postrzelenie pana młodego, następnie płacz Tamary i pogrzeb zabitego oblubieńca—wszystko to są szczegóły, które weszły do poematu w czasie późniejszym przy ostatecznem opracowaniu przedmiotu. W użyciu tych szczegółów okazał Lermontow znakomitą zdolność do scenowania artystycznego pomysłu, talent, w którym żaden z późniejszych poetów rosyjskich Lermontowowi nie dorównał (najbardziéj się doń zbliżył pod względem żywéj akcyi i kolorytu Aleksy Tołstoj). Ponieważ potrąciliśmy o technikę, uważam za konieczne wskazać, że Lermontow nieporównany jest w opisach obrazów natury, a przedewszystkiém natury Kaukazu i że prawie nigdy nie występuje z zaczarowanego koła wrażeń, któremi wyobraźnia jego była poraz pierwszy w dziesiątym roku życia napojona temi widokami, tak że odkąd Kaukaz stał się drugą jego ojczyzną, albo możnaby rzec, jego prawdziwą ojczyzną. Młodzikiem jeszcze będąc, pisał: „błękitne góry Kaukazu, do niebaście mnie przyzwyczaiły, od téj daty marzę tylko o was i o niebie. Kto raz tylko jeden do Stwórcy się pomodlił na waszych szczytach, ten życiem gardzi, chociażby w onéj chwili dumny był z niego“ (1830. II, 512). Pod koniec życia (1840) w dedykacyi „Demona“ wołał: „Tobie Kaukazie—surowy królu ziemi — poświęcam znowu wiersz niedbały;— w północnym obcym tobie kraju — jam twój, jam wszędy zawsze twój!“

Zwykle dzielą poczucie piękności przyrodzenia na pierwotne, mitologiczne, właściwe narodom, wyobrażającym sobie, że przyrodzenie zaludnione jest mnóstwem niewidomych sił duchowych, podobnych do człowieka, i poczucie tejże piękności przyrodzenia estetyczne, szukające w wypadkach, odbywających się w naturze zewnętrznéj, źródeł dla wzruszeń mocnych, podbudzających, odpowiednich temperamentowi poety, pokrewnych pewnym stanom jego duszy. Lermontow obdarzony był drugiego gatunku poczuciem piękności przyrodzenia. Posiadał on temperament prawdziwego południowca, który marznie i usycha na bladéj lub mrocznéj północy („Północy dzieci, jak nasze rośliny, Kwitniemy krótko, szybko usychamy;—jak słońce w zimie w szarym widnokręgu—tak jest bezbarwném życie nasze—Tak krótkim jego jednostajny bieg“). Czuje

się on w swoim właściwym żywiole tylko na skwarném słońcu, śród pysznéj natury, prawie podzwrotnikowéj. Wyobraźnia jego oryentalna, dobierająca barwy jeszcze jaskrawsze niż w naturze, sadząca się na najwyszukańsze przenośnie, forsownie oddająca siłę namiętności albo popędy uczucia. Nie znajdziesz tam prostoty, ale zato jakaż upajająca retoryka, jakież to wodospady dźwięcznych słów i świetnych obrazów, w lirycznych naprzykład ustępach zaklęć: „Klnę się na pierwszy dzień stworzenia — I na ostatni jego dzień, Na hańbę pychy méj, strącenia, Na światło prawdy, nocy cień“ i t. d. całych wierszy dwadzieścia, albo: „z gwiazd, któremi lśnią niebiosy, Koronę złotą ci przyniosę; Z północnych kwiatów zbiorę rosę, Ustroję ją w tę wonną rosę; W zachodu jasne ci promienie Obwinę stan jak w barwny szal, I aromatu czyste tchnienie Rozleję wkoło ciebie w dal....“ Toż samo stosuje się i do opisów. Porównany z Lermontowem Puszkin jest tylko akwarelistą. Gdzie Puszkin poprzestałby na kilku cienkich kréskach i rysach i dałby prosty, trzeźwy, ale uderzająco prawdziwy wyraz artystycznéj myśli, tam Lermontow operuje ze szczotką w ręku a nie z pędzlem, tam on maże gęsto i pokrywa sążniste płótno plamami i bryzgami farb. Maluje on nie szkice i nie obrazy, ale raczéj panoramę, do takiego stopnia złudną, że nie rozpoznasz, gdzie się kończy realne otoczenie widza i gdzie zaczyna się malowanie na płótnie. Trudno znaleść coś równającego się pod względem złudzenia i plastyczności z opisem karawany w „Trzech Palmach“ (1839): „Dzwoneczków posłyszano niesforne brząkania — pstrzyły się w kobierce obwinięte juki — i szły, kołysząc się, jakoby czółna w morzu — wielblądy po wielblądach wyrzucając piasek. — Motały się, wisząc pomiędzy garbami — wzorzyste poły namiotów podróżnych, — śniade je czasem rączki uchylały—i czarne oczęta pod niemi błyskały — I chudą postać schylając do łęku—Arab popędzał wronego rumaka.—Koń stawał dęba od czasu do czasu—skakał jak tygrys od strzały rażony.—W ślicznym nieładzie zwoje płaszcza białe — na plecach się farysa fałdowały.—Krzycząc i świszcząc, leciał on po piasku,—rzucał i łowił włócznię w całym pędzie.“

Wróćmy do „Demona.“ Poeta zamilcza o tém, czy nie fortelem już zakochanego w Tamarze demona zgładzony został władca Synodału. Chwila, w któréj poznał Tamarę demon, ma też podrzędne tylko znaczenie. W pierwotnym szkicu demon ogląda ją poraz pierwszy, kiedy już była mniszką. Skoro ją ujrzał, odrazu stał się lepszym: „i znów się uczuł śród świątyni Miłości, dobra, piękna, cnót.“ To samo u A. de Vigny dzieje się z Szatanem, który się cieszy, że może jeszcze kochać i możeby się poprawił, gdyby mu po-

dała rękę i poprowadziła go Eloa: *Si la celeste main qu'elle eut osé lui tendre, L'eut saisi repentant docile à remonter, Qui sait? le mal peut être eut cessé d'exister.* Demon wchodzi do Tamary „kochać, czcić gotowy I myśli, że mu żywot nowy Rozpocząć chwila przyszła już." Lecz nawrócenie się ku lepszemu trwało chwilę tylko jedną, po któréj górę wzięła moc złego, która się stała nałogiem zepsutéj natury. Z lada jakiego powodu, z racyi ocykającéj się bojaźni Boga u Eloi Vignye'go, albo na widok cherubina, który skrzydłem swém osłonił Tamarę, u Lermontowa demon woła: „ja władam tu!... Tu twojéj nie ma już świątyni, Jam tu kochanek, pan i król!" — Po tym wypadku Szatan u Vigny'ego *Sans amour sans remord au fond d'un coeur d'espace Des coups qu'il va porter il medite la place*, u Lermontowa zaś ma miejsce uwiedzenie, którego sposoby u obu poetów są prawie jednakie. Tak naprzykład u Lermontowa: „Od chwili, w któréjśmy stworzeni, Twój obraz noszę wieków wiek, On wciąż przedemną cudny biegł Po eterycznéj nieb przestrzeni";—a u Vigny'ego: *Dans tout être crée j'ai cru te reconnaître; Je te cherchais partout: dans un souffle des airs, Dans un rayon tombé du disque de la lune, Dans l'étoile qui fuit le ciel qui l'importune....*

Pod względem wyboru środków uwodzenia poeci różnią się całkowicie. Eloa pomyślana idealniéj, ginie ona przez poświęcenie się, przez zbytek miłosierdzia, podczas gdy chóry aniołów pieją: *Gloire dans l'univers, dans le temps à celui, Qui s'immole à jamais pour le salut d'autrui.* Porównana z Eloą jest Tamara biedném stworzeniem, bezbronną gołębicą, nie będącą w stanie bronić się przeciwko zwodnikowi. Już ona pokonana, gdy wiedząc, że ma do czynienia z duchem zła, w ostatnich drganiach oporu w ten sposób przemawia do kuszącego ją: „Na wieków wiek przysięgę złóż! czyż przysiąg ani przyrzeczenia Niezłamanego niema już?" Ma się rozumiéć, że zły i obłudny duch, bez żadnéj ze swojéj strony ofiary ani wysiłku, usuwa to ostatnie zawahanie się Tamary słowami świadomie kłamliwemi i prawie ironicznemi: „że zemsty zrzekam się i zdrady I pychy się odrzekam już, Chcę zgody z tym, kto Pan na niebie, Uwierzyć w dobro, w szczęście chcę." Demon szafuje przed Tamarą bez potrzeby zbyteczną całkiem dla niéj obietnicą: „Ja w zamian bezdnię wiedzy dumnéj Wzrokowi ócz otworzę twych... I złożą się na pałac twój Turkusy, złoto i bursztyny. Na morskim dnie, w głębinie wody I nad chmurami wzniosęć tron.... i będziesz ty królową świata, o pierwsza moja kochanko!" Tamara należy już do niego bez żadnych tego rodzaju obietnic, już on ją podbił, gdy stał po całych nocach pochylony nad węzgłowiem: „był on jak świt lub wieczór szary, Nie mrok, nie blask, nie noc, nie dzień." Wszak-

że Tamara dla tego napraszała się przed ojcem do klasztoru, że „Pierś drży płomienna, rozogniona, Spotkania żądne chcą ramiona I pieszczot brak dla żądnych ust...“ Tak już stworzona jest Tamara, że przez fatalizm musi stać się ofiarą swego skrzydlatego don Juana, który w niéj płomień cielesnych chuci rozdmuchał: „I palił ją, w pomroku nocy Promieniem ognia mierzył doń, Jak nieodparta ostra broń....“ Wszystko, co potém następuje, a mianowicie śmierć od pierwszego pocałunku, od zabójczego jadu tego pocałunku, dość pospolity i banalny bój w eterowéj przestrzeni między demonem i aniołem o tę niezaprzeczenie grzeszną duszę, uratowaną z téj również banalnéj racyi, że „cierpiała wiele i kochała“, nakoniec jéj pogrzeb w nadobłocznym przybytku pod samym szczytem Kazbeku, podziwianym przez każdego jadącego po „wojenno-gruzińskiéj“ drodze podróżnika, wszystko to są tylko dodatki i dekoracye bardzo piękne, bardzo wspaniałe, ale niczém nie uzupełniające treści poematu.

Taką jest główna praca poetycka Lermontowa. Jeżeli ją porównamy z „Kainem“ Byrona, okaże się, że między obu utworami zachodzi bardzo małe podobieństwo. I Lucyfer Byrona i Szatan Miltona nie są to osoby, lecz tylko uosobione idee, upostaciowania tego „*Demon Thought*“, tego zwątpienia badawczego umysłu, które i męki sprawia człowiekowi i podnosi go, tak, że on woli myśléć i cierpiéć, niż żyć w szczęśliwym stanie, na jednéj stopie z bezmyślnemi stworzeniami. Demon Lermontowa bez racyi żadnéj podaje siebie za „króla wiedzy i swobody“, bo niczém nie dowiódł swojéj potęgi w zakresie myślenia. Jest on bardzo blisko spokrewniony z Szatanem u Vigny'ego: *Sur l'homme j'ai fonde mon empire de flamme Dans les désirs du coeur, dans les rêves de l'âme, Dans les désirs du corps attraits mysterieux Dans les trésors du sang, dans les regards des yeux.* Lermontow nieskończenie przewyższa swego poprzednika, francuza, głębokiego myśliciela, ale średniéj miary artystę i dość suchego pędzla malarza w sile ekspresyi namiętności, w blasku formy, w harmonii wierszy harmonijnych i palących, odźwierciadlających co chwila potężne podmiotowe „ja“ poety, lecz już wpływem Byrona przejęte i nacechowane, cierpiące wskutek niezaspokojonéj żądzy i cierpieniem tém dumne. W innym poemacie, a mianowicie w „Izmaił Beju“, Lermontow odmalował tę niespożytość swojego oporu wyrazami, które mogłyby i do samegoż demona pasować: „gdy kupią się piekielne męki — Serce obsiadły, gryzą je... Od wichru tchnienia lilia wnet się łamie — Takim jest z duszą słabą kto stworzony — Znieść on podobnych chwil nie zdoła,—Lecz mocny duch krzepnie i kamienieje—W prometeuszowych

tortur próbie.“ W „Demonie“ Lermontow nie tylko podał swój własny wizerunek, ale odmalował jeszcze przytém bardzo typowo swój erotyzm, moc szczególniejszą i zapęd a namiętność swojéj miłości. W wierszu 11-go czerwca 1831 Lermontow pisał o miłości (II, 120): „jest-że to mózgu rozwój albo snu marzenie — miłości określić ja nie mogę;—lecz to jest z namiętności najsilniejsza. Kochać ja muszę i kochałem—napięciem wszystkich duszy sił.“ Wiemy już, że wedle Lermontowa, najsilniéj panuje miłość w rozbitém sercu. Umieśćmy miłość ową w sercu człowieka gardzącego rodzajem ludzkim, w sercu egoisty, który dużo cierpiał i przez to stał się złym i cierpkim, posuńmy ten stan do *maximum*, do tego stopnia, że namiętność owa wyczerpuje siły człowieka i staje się zabójczą dla innych osób — będziemy mieli „Demona“ — utwór w swoim rodzaju jedyny, przekraczający granice poezyi Byrona, utwór w najwyższym stopniu romantyczny, zadziwiający śmiałością pomysłu nawet wtedy, gdy go będziemy rozważali jako jedną z fal tego wartkiego i szalonego prądu w literaturze XIX wieku. Pół wieku przeszło od poczęcia tego poematu, romantyzm minął i prawie zapomniany został, ale do dziś dnia zachował ów kwiatek romantyzmu, jeden z najwspanialszych wprawdzie kwiatów, swoją woń mocną, czarującą i nieporównaną.

9.

Przyjrzyjmy się innym z Kaukazu utworom Lermontowa epickim. Jest to rodzaj galeryi stworzonych przezeń typów i obrazów. W tych utworach jest on bardziéj niż w „Demonie“ uczniem Byrona, czasami przewyższa nauczyciela większą zdolnością wyobrażania nie tylko własnych wzruszeń lecz i dobrze obmyślanych a nadzwyczaj żywych innych typów ludzkich; przedstawiania nie tylko europejczyka, któremu ciąży cywilizacya i który od towarzystwa ucieka na łono natury, pomiędzy dzikich ludzi, ale i samych tych rzeczywistych, napół dzikich ludzi z ich nieskomplikowanemi ideami, z ich popędami niepowstrzymanemi z tego powodu, że dla braku umysłowego rozgarnięcia każde wzruszenie przetwarza się wnet w żądzę, a żądza bez hamulca i rozwagi strzela wnet doraźnym czynem.

Byron był téż realistą pod tym względem, że poetyzował nie to, co wymyślał, ale tylko to, czego w istocie w duszy swéj doświadczył.

Lermontow miał niezawodnie zdolność zazierania w dusze cudze, przynajmniéj w dusze ulubionych przezeń górali kaukaskich i domyślania się, jak są uorganizowane. Nie mogłyby żadną miarą

powstać w zbyt podmiotowéj poezyi Byrona typy wzięte z natury, jak naprzykład tatarczuk Azamat, sprzedający siostrę za konia, albo Kazbicz albo Beła w „Bohaterze naszych czasów", rodzona siostra Tamary w „Demonie". Przyzwyczajenie do posługiwania się gotowemi kliszami i do przenoszenia z jednego poematu do drugiego raz wypracowanych cząstek mocno ułatwia zadanie rozkładu utworów, od lat dziecięcych począwszy, w porządku chronologicznym.

Najstarszym utworem był zapewne „*Kałły*" albo „Morderca" (Russkaja Starina. 1882 r. N. 12). Mułła tatarski odkrywa młodemu Kabardyńczykowi Adżi tajemnicę, że cała rodzina jego zginęła z ręki Ak-Bułata, poczém ten mułła odbiera od Adżi przysięgę, iż krwawo się pomści. Jakoż podkrada się Adżi do sakli Ak-Bułata, podrzyna gardło tak temu wrogowi jako i synowi jego, lecz doznaje strasznéj męki, gdy mu się przyszło zgładzić śliczną córkę Ak-Bułata. Adżi dotrzymał jednak przysięgi, przyniósł mulle odcięty warkocz zamordowanéj kobiety, lecz rzucając warkocz pod nogi temu, kto go mordować nauczył, Adżi przebija pierś nauczyciela sztyletem już wypróbowanym w potrójném morderstwie.

W téj powieści już się mieści zarodek innéj, a mianowicie „*Hadżi Abreka*". Zgrzybiały Lezgin, który całą prawie rodzinę postradał, posiada tylko córkę Leilę. Córkę mu wykradł i uwiózł Bej Bułat. Błaga słaby ten dziad mieszkańców swojego aułu: „kto z was zna kniazia Bej Bułata?—kto mi przywiezie córkę mą?" Ja to uczynię, rzekł Hadżi Abrek; a przyjął on zrobione wyzwanie nie z powodu Leili, któréj nigdy w życiu nie widział, lecz z powodu rachunków swoich osobistych z Bej Bułatem, który zamordował rodzonego jego brata. Mściciel Hadżi stawi się w sakli Bej Bułata w postaci wędrowca w chwili nieobecności gospodarza, zostaje gościnnie przyjęty przez Leilę, która nie zgadza się jednak wrócić do ojca, bo jest szczęśliwą, bo znalazła swój *rok* u Bej Bułata („O wierzaj mi że szczęście tam, gdzie lubią nas, gdzie wierzą nam"). Hadżi, wykrojony na wzór wszystkich bohaterów Byrona, jest to syn p r z e z n a c z e n i a (*roku*). Pyta on Leili, jakie jest na ziemi szczęście drugie, to jest właściwe temu, kto „pogrzebał wszystko—w co tylko wierzył, co miłował... Nie, za jedną zemsty chwilę, klnę się nie wziąłbym ja wszechświata".—Hadżi zrąbał bez miłosierdzia głowę z karku Leili, przywiózł ją pod burką do rodzimego aułu i rzucił pod nogi ojcu. Po roku znaleziono w górach dwa zczepione trupy dwóch śmiertelnych wrogów, którzy się wzajem pozabijali: Bej Bułata i Hadżi.

Obok motywu zemsty gra wielką rolę motyw miłości tak potężnéj, że śmiertelnemi wrogami czyni poróżnionych przez nią bra-

ci. Taką jest treść „Aułu Bastundźi“ (Ruskaja Myśl, 1883, N. 2). Było dwóch braci starszy: Ak-Bułat żywił i wychował młodszego Selima. Raz, jak młody Budrys, powrócił ze zdobyczą pod burką, wprowadził do domu tę żywą zdobycz i rzekł do brata: „kochaj ją—to moja żona“. Selim nie tylko ją pokochał ale rozkochał się w niéj aż do szaleństwa. Błaga on brata: oddaj mi Zarę, odstąp mi ją, a będę całe życie twoim niewolnikiem... jeśli nie zgadzasz się, czego czekać? gotowem: „nie rozmyślając—jedno cięcie, spokojni wtedy będziem obaj.“ Brat tłómaczy, że szał ten przejdzie niby sen marny: „wszak dużo gwiazd na niebie jasnych—krasawic dużo oprócz mojéj żony“. Selim ucieka, uwozi Zarę, zamordowuje ją spotkawszy nieprzełamany opór, następnie podpala i niszczy rodzinny auł Bastundźi.

Takaż śmiertelna walka między braćmi rozpala się lecz już z powodów ambicyi i politycznych rachunków na tle przeciągłéj wojny Rosyan z Czerkiesami o wolność albo ujarzmienie Kaukazu. Taki jest wątek bardzo zawiłéj opowieści „Izmaił Bej“, wysoko cenionéj przez wielbicieli Lermontowa, z któremi jednak trudno się zgodzić co do zalet i wartości utworu, zwłaszcza że cechuje ten utwór brak zupełny jedności pomysłu i że pełno w nim zapożyczek i reminiscencyi. Kniaź Bej Bułat, który będąc zwalczony, poddał się Rosyanom, musiał dać im jako zakładnika młodszego syna swego, Izmaiła, który się odtąd kształci w jednym z korpusów kadetów. Izmaił ten przyjął nawet chrześciaństwo, co się jednak okazało tylko po jego śmierci, gdy jego rodacy dostrzegli u niego na piersi noszony pokryjomy krzyżyk i z obrzydzeniem dowiedzieli się, że był on przeklętym giaurem. Izmaił ucywilizował się, żył długo z Rosyanami, uwiódł nie jedną ruską dziewę, lecz zatęsknił za rodzinnym krajem i ta tęsknota zapanowała nad wszystkiemi innemi uczuciami („Za daszek sakli białéj—za bliski tentent stada koni—on chętnie świat oddałby cały“). Izmaił pomyślany jest wedle szablonowego typu wszystkich bajronicznych bohaterów („do ojczyzny przywiózł on chłodne serce... Chłodny był oczu jego blask... Uczucia i namiętności W oczach na wieki już zagasły. Chowają się by lew w jaskini—głęboko na dnie, lecz ich władzy—nie uniknie serce to“). Izmaił nie posiada nawet miłości ojczyzny, lecz tylko nie nawidzi wrogów, tak że właściwie nie jest nawet patryotą („nie za ojczyznę, nie za przyjaciół mścił się—Nie auł swój, jedno rodzinne skały—od Rosyan bronić on zamierzał“). Czuje on, że na nim ciąży jakiś fatalizm („Mój oddech radość wszelką truje—Oszczędzać—jam nie władny na to“). Izmaił nie znalazł rodzinnego aułu, bo go spalili sami Czerkiesi, cofając się daleko w góry przed Rosyanami. Na pierwszym

prawie kroku w górach tych Izmaił Bej, w którym się ocknął duch praojców, rozsiekał bez potrzeby polującego na bażanty kozaka i znalazł przytułek w gościnnéj sakli trudniących się rozbojami Lezginów. Zara, córka gospodarza, przemawia doń słowami Leili w „Hadżi Abreku“: „dla mnie ojczyzna tylko tam, gdzie lubią nas, gdzie wierzą nam.“ Zara przywiązuje się do Izmaiła, rzuca dom, przebiera się za dżygita i idąc torem Gulnary w „Korsarzu“, towarzyszy Izmaiłowi do posiadłości plemienia jego, którém rządzi starszy brat jego Rosłambek. Pomiędzy braćmi powstaje spółzawodnictwo. Rosłambek zazdrości, że Izmaił sprawuje się tak zuchowato i odważnie; on by tępił Rosyan pokryjomu i zdradziecko, chowając pozory uległości, Izmaił zaś brzydzi się obłudą i chciałby otwarcie wojować. Do powieści wstawiony niepotrzebny ustęp, żywcem wzięty z „Dziewicy z Jeziora“ Walter Skotta (Jakób V król szkocki, gościnnie przyjęty u ogniska przez Roderyka Czarnego, wodza klanu Alpinów), który ma treść taką, że zbłąkany w górach oficer rosyjski, wróg śmiertelny Izmaiła, który narzeczoną jego uwiódł, znajduje u tegoż Izmaiła przytułek, bo mu powiedział: „na twój się honor spuszczam“, poczém Izmaił puszcza go wolno nietkniętego. Wojna kończy się nieszczęśliwie dla Czerkiesów; bracia działają każdy na swoję rękę i zostają pobici. Izmaiła zabija zdradziecko wystrzałem Rosłambek. Zara ginie wcześniéj niż Izmaił, którego nikt nie opłakuje, któremu nie wykopano mogiły nawet, jako odstępcy.

Jest jeszcze jedna serya opowiadań Lermontowa, jedno z drugiego powstałych: „Spowiedź“, „Bojarzyn Orsza“, „Mcyri“. Pierwotny, wspólny ich motyw całkiem romantyczny: jestto skreślenie losów człowieka pospolitego i bez rodu, stojącego na najniższym szczeblu społecznym i buntującego się przeciwko swojemu losowi. Miał takich ulubieńców Shakespeare—odważnych bękartów; Wiktor Hugo szukał dla siebie bohaterów między pokrzywdzonemi paryasami społeczeństwa. Taż myśl przewodniczyła Lermontowowi za młodu, gdy doszukiwał się jeszcze przodków swoich w Hiszpanii i odmalował w „Spowiedzi“ jakiegoś gwałtem zmniszonego hiszpana, którego sądzi sąd duchowny, a który tém się broni, że „pod moją włosiennicą jam człowiek jest jak wszyscy inni“ (Russkaja Starina, 1887, N. 10). Co tylko było ważniejszego w „Spowiedzi“, weszło do „Bojarzyna Orszy“ niby to rosyjskiéj powieści, w któréj jednak z życia rosyjskiego nie ma nic a nic, bo bojarzyn Orsza to wykapany pan feudalny, a sąd klasztorny złożony na klasztornego podrzutka niewiadomego pochodzenia Arseniusza (bardzo podobnego zresztą do Gryszki Otrepjewa, to jest do Samozwańca w „Borysie Godunowie“ Puszkina) sprawuje się zupełnie tak jak trybunał inkwizycyi

hiszpańskiéj. Arseniusz niewiadomo w jaki sposób dostał się na dwór Orszy, jest jego koniuszym a hetmani jednocześnie bandzie rozbójników. Bojarzyn raz w nocy zdybał córkę swą jedynaczkę w objęciach tego swego niewolnika, zamknął na klucz córkę w jéj komnacie i rzucił ten klucz w nurty płynącego tuż pod murami zamku Dniepru, zaś jéj spólnika stawił przed sąd duchowny. Arseniusz z więzienia ucieka. Niedokończony poemat spoczywał niewydany, gdy podczas zesłania Lermontowa w 1837 na Kaukaz za wiersz na zgon Puszkina, w głowie poety przekształcił się całkowicie pierwotny pomysł poematu i otrzymał następującą ostateczną formę.— Lermontow zwiedzał malowniczy klasztor Mcchet' u zbiegu rzek Kury i Aragwy, po drodze do Tyflisu. Tu się dowiedział od przewodnika swego, klasztornego służki, że jest on Czerkiesem, że go dzieckiem jeszcze zabrał jenerał Jermołow w zgliszczach zdobytego szturmem i podpalonego przez wojska rosyjskie aułu, poczém przywiózł go do klasztoru i oddał na wychowanie mnichom. Młody góral probował kilka razy uciekać w rodzinne góry, zapłacił drogo za te próby, bo mocno i długo przechorował, wreście po wielu latach przyzwyczaił się do życia klasztornego. Opowiadanie czerńca sprawiło wielkie wrażenie na poecie, wyrzucił on z przygotowanego dawniéj poematu motywy dzikich namiętności, miłości, zemsty, więzów i udręczeń społecznych, tak że nawet mnisi sami występują jako serdeczni, najlepsi w świecie ludzie. Przez to poemat został niezmiernie uproszczony, doprowadzony do tego całkiem oczéwistego założenia, że wilczek chociażby w domu chowany, ucieka do lasu, a samo przyrodzenie każe lwom szukać puszczy. Tam tylko mogą swobodnie pohulać i nasycić się dziką wolnością. Ale wilczątko już było na łańcuchu trzymane, już było oswojone; czuje, że już straciło możność powrotu do dzikiego stanu i umiera bo płomień duszy nie znalazł pokarmu i „więzienie swe przepalił". Uczucia bohatera—syna dzikiéj natury, są z tą naturą najzupełniéj zgodne. Pod tym względem „Mcyri" jest jednym z najśliczniejszych klejnotów literatury nie tylko rosyjskiéj ale i europejskiéj i stanie na równi z „Więźniem Chillonu" i „Ojcem Zadżumionych".

10.

Pozostają mi do zanalizowania dwa tylko większe utwory: romans prozą „Bohater naszych czasów" (*Gieroj naszewo wremieni*) i dramat wierszem: „Maskarada". O romansie pisano tak dużo i wszechstronnie, że mogę z nim kilku słowami się załatwić. Początkowo miał mu autor dać tytuł: „jeden z bohaterów naszych czasów."

W przedmowie do drugiego wydania (1841 r.) autor przyznaje się, że podaje publiczności ostrą prawdę, gorzkie lekarstwo, lecz zapiera się wszelkiego zamiaru dążenia do naprawy ludzkich wad i ułomności. Jest więc ten utwór jego nie satyrą, ani nauką moralną; nie można żadną miarą uważać go jako ideał, wskazujący współczesnemu człowiekowi jakim on być powinien, ani jako marzenie autora o samym sobie, idealizowanie siebie samego, jakim chciałby on być. Autor twierdzi, że jego Pieczoryn jest wizerunkiem wad całego pokolenia w pełnym ich rozwoju—dyagnozą choroby—nic więcéj, a jak ją leczyć wiadomo tylko Bogu. Autor przecenia niezawodnie swoję pracę pod tym względem, że dzieło jego nie może być wcale uważane za obraz choroby wieku, innemi słowy, że nie jest ono wizerunkiem typu spółczesnego, cierpiącego na tę chorobę człowieka. Dla przedmiotowego wykonania w zadawalniający sposób téj bardzo możebnéj, chociaż trudnéj pracy, nie nadała się sama tylko bystra spostrzegawczość, którą niezaprzeczenie Lermontow posiadał; potrzebne były by jeszcze długie studya analityczne nad conajwiększą ilością najrozmaitszych osobników, a właśnie tego warunku brakowało całkowicie. Lermontow do tego stopnia obcym był spółczesnemu towarzystwu, od którego stronił, do tego stopnia był upewniony, że cały ten świat wogóle składa się z samych tylko głupców, albo oszustów, albo hypokrytów, że sam „nawet geniusz, przykuty do stołu biurowego, alboby umrzéć musiał albo zwaryować“,—że bynajmniéj tego towarzystwa nie studyował, że nie nawykłe do tych studyów jego oczy umysłowe nie nadawały się do poznania bardzo skomplikowanego wyrobu dziejów—człowieka spółczesnego o całkiem gładkiéj powierzchni z głęboko gdzieś ukrytemi namiętnościami, z panowaniem w głowie napiętéj uwagi i refleksyi, z nieobecnością w nim prostoty i bezpośrednich życia duszy objawów, szukać których Lermontow jeździł aż na Kaukaz i które malował w swoich ulubieńcach—dzieciach natury, góralach. Z natury Lermontow mógłby dobrze analizować, lecz ćwiczył się on w wyrabianiu téj zdolności, robiąc postrzeżenia głównie nad sobą tylko samym. Z temperamentu swego był Lermontow podobnym do Byrona i wymodelował sam siebie wedle wzoru bohaterów Byrona, którzy, jak to wiadomo, byli portretami samegoż Byrona, przez niegoż dokonanemi. W publicznych odczytach zeszłorocznych w Petersburgu (*Wiestnik Jewropy*. 1887, N. 11) twierdzi Brandes, że Pieczoryn jest najdoskonalszym z typów po za Anglią stworzonych pod wpływem panowania Byrona nad umysłami. Brandes powiada, że gdy mając lat 17 przeczytał tę książkę, był do głębi duszy tknięty obrazem bohatera, smutnym lecz pociągającym prostotą swoją, męstwem, chło-

dem swoim i sceptycyzmem. Nie wątpliwie Pieczoryn daleko większe sprawia wrażenie, aniżeli mięki lekkoduch Oniegin. Pieczoryn jest niezawodnie pierwszym w literaturze okazem gatunku ludzi nie wymierającego dotąd, jak stal zahartowanych, giących bezcelowo i niesławnie przez niechęć albo przez nieumiejętność rozwiązywania samych tylko drobnych i powszednich zadań zwyczajnego i uregulowanego życia, a krojących na coś większego. W jednym punkcie tylko nie godzę się z Brandesem, a mianowicie, że w osobie Pieczoryna podany jest ideał „melancholijny i porywający.“ Nie mogę téż przystać na zdanie Reinholdta (*Geschichte der russischen Litteratur*, 1885, s. 620), jakoby Pieczoryn był tylko uosobieniem niesfornych a próżnych pierwiastków bajronizmu rosyjskiego (*der ungestüm hohlen Elemente des r. Byronismus*). Mimo złośliwą ironią i przyczernioną srogość bohaterów Byrona, uderza nas ludzkość, potężnie uwydatniająca się w tych niby piekielnych typach, ich uzdolnienie do czynów bardzo wielkich. Ta ludzkość sprawia, że utwory Byrona pociągają nas ku sobie mimo jednostajność przedmiotów i rozwiązywanych zadań. Usuńmy tę ludzkość z utworów Byrona pozostanie nagi egoizm, nie nadający się do idealizacyi, ale wyzywający i podniecający do analizowania, „Bohater naszych czasów“ jest taką analizą psychologiczną, nielitościwą, doprowadzoną do ostateczności. Jest to preparat anatomiczny pojedyńczego serca, jeden z tych „dokumentów ludzkich“, które wynajduje i zbiéra najnowszy realizm francuski. Autor przyznaje, że bohater jego Pieczoryn jest bardzo złym człowiekiem, lecz wiedząc o tém, stawi on zadanie wcale nie artystyczne, ale naukowe: „dzieje duszy, powiada on, chociażby i najdrobniejszéj, ciekawsze i pożyteczniejsze są od dziejów całego narodu, zwłaszcza gdy są owocem spostrzeżeń dojrzałego umysłu nad samym sobą i gdy są pisane bez chełpliwéj żądzy wywoływania spółczucia albo podziwienia“ (a więc, gdy autor nie pozuje i nie wspina się na szczudła). „Ważę ja, pisze w dzienniku swym Pieczoryn, zapisuję namiętności me i postępki z wytężoną ciekawością, ale bez stronności. Mieszczą się we mnie dwie osoby: jedna z nich żyje w całém znaczeniu słowa, a druga rozmyśla i sądzi pierwszą. Nigdy nie stawałem się niewolnikiem ukochanéj kobiety, przeciwnie zawszem osiągał niezwyciężoną władzę, wcale się o to nie starając. Przyznać się muszę, że nie lubię kobiet z charakterem i czyż to ich rzecz miéć charakter?... Z kotła namiętności wyszedłem twardy i zimny, jak żelazo, ale straciłem na zawsze zapał dążności szlachetnych—najpiękniejszy kwiat życia. Miłość moja nikomu nie przyniosła szczęścia, bo nie poświęcałem nigdy nic temu, kogom kochał. Kochałem dla siebie, dla własnéj przyjemności. Za-

spokajałem tylko dziwną potrzebę serca, chłonąc w siebie z chciwością uczucia ludzi, ich tkliwość, ich radości i cierpienia—a nigdy nasycić się nie mogłem."

Drugiém, również smutném, studyum psychologiczném nad egoistą z gatunku lwów światowych jest dramat Lermontowa „Maskarada." Liczni nieprzyjaciele, których sobie naraził bohater dramatu, Arsenin, swoją dumą i bezlitością, wspólnemi siłami zmuszają go do odegrania, mimo jego chęci, roli Otella względem niewinnéj żony jego, równie niedomyślnéj jak Desdemona. On żonę otruł, a potém dostaje pomieszania zmysłów. Przez swoję metodę niczém niehamowanéj analizy psychologicznéj autor „Bohatera naszych czasów" i „Maskarady" wychodzi daleko po za obręb wpływów i panowania Byrona. Wypadałoby go postawić obok Beyle'a (Stendhala). Przytaczam następujący wyjątek z księgi Fagueta *(Etudes litteraires sur le XIX siècle*, 1887, p. 43), wyjątek, który mógłby śmiało być zastosowany do Lermontowa: *Chateaubriand a plus d'imagination que de sensibilité. Sa sensibilité est egoïste et son imagination expansive. Cette sensibilité n'a jamais pour objet que lui même. Il est peu d'hommes qui ayent plus seduit et moins aimé. L'enchanteur a charmé le monde et il n'a tenu au monde que par le goût qui'l avait de l'ensorceler*. Niezaprzeczenie jest różnica między obu temperamentami poetyckiemi, lecz polega ona głównie na tém, że Chateaubriand był naiwnym egoistą, nieświadomym tego, że jest egoistą, i przyjmującym wszystkie czynione mu ofiary serdeczne jako hołd mu należny, nie mówiąc nawet Bóg-zapłać; Lermontowa zaś gryzło przeświadczenie o tém, że jest on egoistą, lecz była to w jego organizmie wada nieuleczalna. Powieść Chateaubriand'a „Atala" zawiera w sobie obrazek zabawny przez to, że jest pretensyonalnie wyszukany: „serce ludzkie podobne jest do pewnéj naturalnéj studni w sawanie Alaczua; powierzchnię ma czystą i gładką, lecz spojrzyj na dno studni a zobaczysz wielkiego krokodyla, którego studnia chowa w głębinie swoich wód." Ustęp ten jest dość znany w literaturze rosyjskiéj, bo w 1810 r. przełożył go poeta Batiuszkow i zwyczajem owoczesnym za swoję rzecz podał w wierszu: „Szczęśliwy" (Dzieła Batiuszkowa, wydanie 1887 r., I, 124), poczém dostał cięgi od satyryka Wojejkowa, w utworze tego ostatniego pod tytułem „Dom waryatów." Sainte Beuve powiada *(Chateaubriand et son groupe litteraire, 9 leçon)*, że studnią, mieszczącą tego krokodyla, było własne serce Chateaubrianda. O Lermontowie można powiedzieć, że ten bardzo dobrze znany mu krokodyl przerażał go i męczył przez całe życie. W wierszu „do Tłumu" (*k tołpie*, 1831, II, 114) powiada Lermontow: „może podniosę się nad wami, lecz czyż od

siebie uciec mogę?“ — Wcześniéj jeszcze, gdy miał lat tylko 16-cie (1830. II, 57) pisał: „wszak ratowało mię natchnienie — od drobiazgowych trosk — ale od duszy méj ocalenia — nie znajdę w szczęściu samém.“ Być zawsze samotnym, nie być uzdolnionym do pokochania kogokolwiek-bądź prawdziwą miłością, aż do zapomnienia o sobie, aż do poświęcenia, brzydzić się tém samolubstwem, uciekać od siebie samego i ratować się od téj tęsknoty tylko przez tworzenie, tylko przez wyśpiewanie tego, co kamieniem leżało na duszy, w chwilach, kiedy—wedle słów własnych—„o ziemi on zapominał“, taki był los Lermontowa.

Drogo kosztował go wieniec jego poetycki, wieniec „cierniowy“, na który on się skarży (1841 r. I, 146); nie ludzie jednak splatali i włożyli nań ten wieniec, zawdzięczał on go swéj szczególniejszéj organizacyi psychicznéj. Wiadomém jest, jak się pozbył Chateaubriand dręczącéj go tęsknoty. Po wielkiém nieszczęściu familijném, doznaném w 1798, zapisał on: *ma conviction est sortie du coeur: j'ai pleuré et j'ai cru*, poczém krokodyl okiełznanym został i stanął na nim poeta, jak S. Teodor na jednéj z dwu kolumn w Wenecyi, na *piazetta* przed kościołem św. Marka. Cierpienia duszy nie mogły mieć u Lermontowa takiego rozwiązania, czy że wrażenia jego religijne w wieku dziecięcym były mniéj silne i nie mogły tak potężnie się odrodzić, czy że przejął się nawskróś duchem poezyi Byrona, przyswoił sobie bajroński pogląd na świat i stał się nie ateuszem (sam Byron nigdy ateuszem nie był i przez całe życie wahał się pomiędzy najoderwańszym deizmem a niewiarą), lecz bezwyznaniowym przeciwnikiem wszelkiego stanowionego *credo.*

Mimo braku wiary pozytywnéj, a zatém i mocniejszego punktu oparcia się dla przekonań, mimo swój pesymizm radykalny i ponury, nie wywierała jednak poezya Lermontowa na ludzi spółczesnych, i nie wywiera na późniejsze pokolenia wrażenia przygnębiającego, nie nieci uczuć rozpaczy i utraty wszelkich nadziei, których możnaby się po niéj spodziewać, ze względu na jéj przeczące dążności. Przeciwnie, działanie było chyba całkiem przeciwne: poezya ta zapalała entuzyastów, zagrzewała raczéj do walki, aniżeli do upadku na duchu; sprawiła ona to, że Lermontowa uznano za jedynego spadkobiercę liry Puszkina, za największego w Rosyi poetę, śmierć którego opłakiwano jako klęskę narodową.

Jak dadzą się pogodzić te rzekome przeciwieństwa? Dla rozwiązania téj kwestyi należy rozważyć jeszcze jeden i to ostatni z żywiołów, wchodzących w skład jego poezyi, a mianowicie obfitujący w niéj pierwiastek metafizyczny, zapewniający jéj wpływ stały i mocny i nadający jéj czarowny wdzięk. Używam przymiotnika:

metafizyczny nie zaś mistyczny, ponieważ Lermontow nie był wcale skłonnym do mistycyzmu, lecz metafizykiem był on w całém znaczeniu tego słowa, bo wszystkiemi potęgami umysłu dążył ku nadzmysłowości, ku rzeczom rozumowi niedostępnych i myślami swemi mieszkał raczéj w téj odgadywanéj krainie, aniżeli w świecie rzeczywistym.

To, co jest tajemnicze, nie dające się poznać, niewiadome, będzie wiekuistym antagonistą wiedzy systematycznéj, naukowéj; lecz nauka bezustanku zbliża się ku niemu, budując mosty i rusztowania z lotnych hypotez, zaś sztuka obejść się zgoła nie może bez tego, żeby nie pociągnąć w nieskończoność idei utworu, nie dającéj się nigdy wyrazić w całéj swojéj pełni. Postaram się udowodnić kilku wyciągami z dzieł Lermontowa, że umysł jego był z natury bardzo metafizyczny.

11.

Zatrzymam się na poetyckiéj autobiografii poety, zatytułowanéj 11 czerwca 1831 roku: „Dusza ma z młodu, pomnę, szukała cudownych rzeczy — kochałem wszystkie złudy świata, lecz nie świat sam—w którym chwilowo tylko żyłem, i te chwile— były męczące. Jam zaludniał moje sny—owemi to chwilami... me obrazy— nie wyglądały jak istoty ziemskie — wszystko w nich było niebem albo piekłem.“ Wiersze te malują jak najdokładniéj ustrój i tryb działania umysłu metafizycznego. Żądze duszy téj nie znają granic, kierowane są ku cudowności, ku temu, czego dać nigdy nie mogą żywot ziemski, rzeczywistość. Zdaje się jéj, że osięga coś podobnego do pożądanego stanu w rzadkich chwilach najgorętszéj namiętności (wyrażę się jeszcze dokładniéj, mając na oku temperament poety: w chwilach namiętności erotycznéj poeta nie mógł żyć bez miłości, bez poddającego mu się serca kobiecego). Namiętność z powodu strasznego swego natężenia stanowi męczarnię. Chwile, nią zapełnione, krótkie są, ale pozostawiają gorzki smak; jednak wspomnieniami o tych gorzkich chwilach zaludnia się i upiększa pospolita i pozioma rzeczywistość. Inaczéj mówiąc, mamy do czynienia z systematycznym marzycielem, niby z lunatykiem, który chodzi po ulicach z otwartemi ale nie patrzącemi na rzeczywiste otoczenie oczyma. Marzyciel ten najzupełniéj jest obojętny względem spotykanych ludzi i przedmiotów i urządza dla siebie w myśli swojéj świat inny, przyodziany w to wszystko, co tylko autor dostrzegł i wyróżnił w przyrodzeniu jako najlepiéj odpowiadające stanom jego duszy; świat zaludniony nie ludźmi rzeczywistemi, jacy oni są, w których mieszają się żywioły dobra i zła, ale istotami

stworzonemi przez wyobraźnię, całkiem anielskiemi, albo całkiem demonicznemi. Ten fantasta do takiego stopnia się zamarzył i umysł jego do tego stopnia nawykł do metafizycznego myślenia, do przerzucania się na pozaludzkie, całkiem metafizyczne stanowisko, że w końcu nie może zdać sobie sprawy, czy sam on przez się marzy, czy marzy w nim siedząca wyższa jakaś istota.

Taka jest treść „Czary życia“ z r. 1834 (II, 202): „Pijemy z żywota czary—zamknąwszy oczy — Złocone wilżymy brzegi—własnemi łzami.—Gdy w chwili śmierci z oczu—Zasłona spada,—I wszystko, co łudziło nas — Z zasłoną znika. — Widzimy, że nie było nic— W téj złotéj czarze—Że napojem w niéj było marzenie—I że marzenie to nie n a s z e!“ Z tego nałogowego lunatyzmu Lermontowa pochodziło lekceważenie przez niego ludzi, niby do bajrońskiego podobne, lecz posiadające nieco odmienny charakter. Ludźmi się brzydzi on nie dlatego, że są niezmiernie dalecy od ideału ludzkości, wymarzonego przez Byrona: dumnéj, wolnéj, kochającéj. Ludzie uprzykrzają się Lermontowowi z tego powodu, że są dla niego niby widma i cienie („Migocą martwe ludzkie postaci—Przyzwoitością krępowane maski.“ 1 stycznia 1840. I, 109). Poeta gniewa się, że widma te „płoszą marzenie me—Gościa nieproszonego na ucztę.“ Za tę jedynie winę, nie za żadną inną, poeta chciałby „im rzucić z gniewem w oczy wiersz żelazny, oblany goryczą i złością.“

Tém samém marzycielstwem daje się tłómaczyć szalone lekceważenie życia, tak mocno charakteryzujące Lermontowa, jako człowieka, lekceważenie które mu podyktowało wiersz bardzo znany i aż do przesytu powtarzany: „namiętność! — Cóż po niéj? wszak miła jéj choroba — Prędzéj czy późniéj niknie na słowo rozsądku— A życie, gdy się obejrzysz, z krwią zimną dokoła — Jakiż to pusty, głupi żart“ (1840. I, 120). To lekceważenie życia, to niecenienie go ani na grosz, godném jest zastanowienia z tego jeszcze względu, że nie jest zrównoważone wcale wizyami przyszłego życia, że nie łączy się z rachubą na pogrobową za żywot ziemski zapłatę. Lermontowa najbardziéj cenić muszą ci właśnie, którzy nie są uszczęśliwieni przez wiarę, dlatego nie jest on mistykiem lecz tylko marzycielem, że nie ma wizyi żadnych, że tylko zdaje mu się, jakoby coś sobie przypominał z przedbytu, coś niby widzianego w czarownym śnie. Podobny w tém do najszczytniejszego z wieszczów filozofów, Platona, Lermontow przekonany jest, że te sny śniła jego, ani początku ani końca nie mająca dusza przed ziemskiém wcieleniem się swojém. Pamiętny jest młodzieńczy wiersz Lermontowa: „Płynął po niebie anioł śród nocy — I cichą nucił piosenkę — Opiewał jak błogo jest duchom bezgrzesznym —W cienistych raju ogrodach

Duszyczkę młodą niósł on w objęciu — Na padół udręczeń i łez.— I długo na świecie męczyła się ona—Żądzą/cudowną palona—I dźwięków niebios zastąpić nie mogły—Nudne téj ziemi piosenki.“ Serce jego boleje z przyczyny téj, że przechowuje „głęboki ślad widzeń zamarłych lecz świętych—i cienie znikłych już uczuć“ (II, 202). Są słowa i dźwięki, same przez się nic nie znaczące, lecz obudzające w poecie wspomnienia o nadziemskiém szczęściu, które mu się przyśniéwa: „Są słowa, objaśnić nie mogę—Zkąd biorą władzę na demną—Słysząc je znowu odżywam—Innego człeka nie wskrzeszą“ (1830, II, 43). Każdy z podobnych dźwięków przypominający daleką nadziemską ojczyznę, wygląda niby jaki z raju przyniesiony ptaszek, cudnie śpiewający na suchéj gałęzi pod niebem surowem północy. W téj czarodziejskiéj krainie marzeń wielkiém słońcem się pali idea Boga najoderwańszego, jakiego tylko może sobie przedstawić wyobraźnia, bez żadnych cech i przymiotów, krom jednego, że jako demon jest uosobieniem zła i fizycznego i moralnego, tak Bóg ten jest bezwzględném dobrem i przyrodzenia i duszy ludzkiéj.

Możnaby posądzić Lermontowa o panteizm, gdy pisał upojony na widok kwitnącéj natury: „Kiedy faluje niwa pozłocista—I szumi las od lekkich wiatrów tchnienia... Natenczas koi się w méj duszy trwoga—Natenczas się wygładza czoło pomarszczone—I szczęście ja na ziemi pojąć mogę—I pośród niebios widzę Boga!“ I, 34—1837). Lecz gdy tenże Lermontow obiecuje, że wstąpi na „wązki trop zbawienia“ i wierzy, że obiecaną przez Boga tajemnicę mógłby wyrozumiéć „przez rozmyślanie i lat wiele“, nakoniec gdy się tłómaczy z winy, że świat mu jest za ciasny, „do Ciebie dojść jednak się boję—I nieraz dźwiękiem pieśni grzesznych—Modlę się, Boże, nie do Ciebie“, (II, 39)... zwrót ten jest odwołaniem się poety do Boga osobistego, w którego Lermontow mocno wierzył przez całe życie.

Najściśléj z metafizyką Lermontowa wiąże się określenie przezeń poety i proroka. Na wzór Byrona, a może nawet wskutek poddanych mu przez Byrona myśli, Lermontow uważał się za naturę wyższą, przerastającą innych ludzi o całą głowę („Ma faworytów ona (natura) jak królowie—Lecz ten kto nosi pieczęć jéj—Niechaj na los swój się nie skarży“ II. 199). „Kaprysem złego losu ich istnienie—By samowładzę swą okazać—Rzuca ich ona między nami—Jak rzucał król do morza klejnot. “(Izmił Bej). Wielkość swoję osnuwa Lermontow nie na uzdolnieniu swojém poetyckiem, jak Puszkin, ale nas swych cierpieniach, na noszonym przez siebie stygmacie przeznaczenia, to jest na niezależności losu jego od własnéj jego woli. Wié on, że spadał nieraz jak kara na głowy nie przez niego skazanych na stracenie ofiar i że pełnił tę kaźń bez zawziętości ale téż i bez żalu (Bohater n. cz. I, 312).

Będąc z natury nietowarzyskim, Lermontow nie pojmował dobrze społecznego znaczenia poezyi, domyślał się on tylko, że powinna nad ludźmi panować poezya; lecz jako prawdziwy romantyk, przenosił to panowanie z prozaicznego wieku XIX w odległą przeszłość, gdy liry dźwięk „rycerzy krzepił w krwawéj bitwie,—Był tém czém czara śród biesiady—I czém kadzidło przy modlitwie“ (I, 84, z 1839 r.). Zapalać ludzi do czynów praktycznych może tylko człowiek kochający innych i zmysłem praktyczności obdarzony, właśnie zaś brak było Lermontowowi obu tych przymiotów. W przytoczonym przezemnie „Poecie“ Lermontow nie siebie maluje ale poetę jakim był niegdyś a jakim być obecnie nie może—pomysł nie trafny, bo funkcya poezyi nigdy się nie zmienia i nigdy poezya nie traci swojéj wielkiéj wagi dla społeczeństwa.

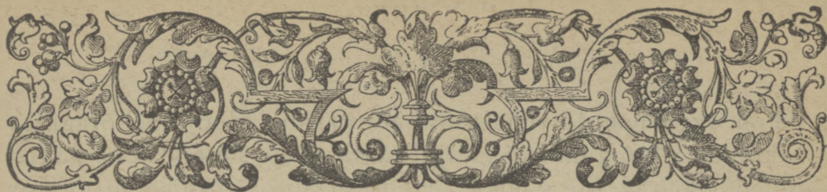
W ostatnim swoim utworze „Proroku“ Lermontow idealizuje téż nie siebie, lecz poetę jakim by ten ostatni być powinien, nadaje mu wszechwiedzę, zdolność do wyczytywania w oczach ludzi „kartek niecnoty i złości,“ w których się nigdy nie rozczytywał, bo nie czytając przypuszczał, że ich pełno u każdego z ludzi; kazał on poecie być zwiastunem: „miłości, prawd naukowych“, których zwiastować nie mógł sam nigdy i nikomu z powodu swego odludkowstwa i stronienia od świata, więc przedstawił proroka Lermontow ze strony najmniéj powabnéj, ze strony jego opryskliwości srogiéj i ponuréj: „Patrzajcie, dzieci, jaki ponury—Jaki wychudły on i blady —Jaki on nagi i ubogi—Jak nim poniewierają wszyscy.“ Na sobie Lermontow nie doświadczył kamieni, któremi obrzucano proroka. Należał on do małéj liczby ludzi, mających powodzenie, wieńczono go za życia a świat arystokratyczny otwierał dlań naoścież podwoje, wiodące do pysznych swoich pałaców. Godném uwagi jest, że kreśląc nie z siebie kopiowany ideał wyśmianego przez gmin poetyproroka, Lermontow dobierał te właśnie rysy, których mu brakowało samemu, zaś nie uwydatnił tych, które dla nas w nim są najcenniejsze, a mianowicie dumnéj samotności duszy energicznéj, nad pospolitość bardzo podniosłéj i pewności, że istnieje coś lepszego, doskonalszego, którego on był zwiastunem w bardzo ciężkich czasach. Grobowy mrok panuje w gotyckim kościele, pusto w tym pomroku i byłoby straszno, lecz się przez kolorowe okna przerzyna promień słońca, więc wyglądają jakoby wrota raju. W głębokiéj ciszy odzywa się ledwie dosłyszany organ niby chór daleki lecących aniołów. Wezmę jedno jeszcze porównanie od samego Lermontowa z wcześniejszego szkicu Demona: (I. 493). „I zniknął z oczu rydwan słońca—Kaukazu śniegi krótką chwilkę—Purpurową biorąc barwę— W mrocznem błyszczą oddaleniu.—Ale ten promień ledwo żywy—Nie

odbije się w pustyni—Drogi nikomu nie oświeci—Z lodowego swego szczytu.“ Niczego nie oświeca wprawdzie ten promień, ale świadczy jednak śród ciemności o niewidzialnem słońcu. Czasem ta purpurowa reminiscencya niewidomego wystarcza na to by pokrzepić żywych, by zachęcić ich do wytrwania śród nocy, do doczekania się następującego dnia.

Na tém kończę charakterystykę jednego z olbrzymów nie tylko rosyjskiéj ale i wszecheuropejskiéj literatury, człowieka podobnego do Byrona raczéj z temperamentu, aniżeli z rysów twarzy, człowieka, który się rozwinął pod wpływem Byrona i nosił przez całe życie głębokie, niezatarte jego ślady. Obaj byli ludzie wysokiego rodu, obaj należeli do plemienia Prometeuszowego.

W. Spasowicz.





SZKOŁY TECHNICZNE WE FRANCYI.

Stan obecny i kierunek dalszego rozwoju.

Miejsce, które zajęła już w piśmiennictwie krajowém i w zaprzątnieniach inteligentnego ogółu kwestya, będąca przedmiotem niniejszego sprawozdania, uwalnia piszącego od wstępnych objaśnień i komentarzy. Szczupłość wydzielonego mu miejsca w tych szpaltach, a obfitość nastręczającego się materyału, nakazuje mu jak największą w tym względzie wstrzemięźliwość. Zadaniem przezeń podjętém tutaj jest dostarczenie wniesionym u nas na porządek dzienny rozprawom w téj materyi jak największéj liczby faktycznych wskazówek co do rezultatów osiągniętych gdzieindziéj, a mianowicie we Francyi, na tém polu pracy społecznéj. Zebrane, gwoli temu założeniu, i udzielone tutaj czytelnikom cyfry i dane statystyczne wyjętemi są po większéj części z raportów urzędowych, takich, jak np. referat przedstawiony we wrześniu 1886 r. międzynarodowemu „Kongresowi Nauczania technicznego“, zebranemu w Bordeaux, a zebrać się mającemu w ciągu bieżącego roku w Petersburgu (1), głównie zaś ze stanowiącego pomnikowe prawdziwie dzieło, (a niestety i rzadkość już dziś bibliograficzną bo nawet w wielkiéj Narodowéj Bibliotece paryskiéj przy ulicy Richelieu nie znajdującego się), raportu przedstawionego w r. 1885 Wyższéj Radzie Wychowania Technicznego (*Conseil supérieur de l'Enseignement Techniqne*) przez p. M. Fresca, członka Instytutu (2).

---

(1) Congrés International de l'enseignement technique et commercial. Bordeaux, septembre 1886. Rapport de Mr. Albert Cahen, vice-président de la Société des anciens éléves des Ecoles nationales d'Arts et Métiers.

(2) In quarto, ss. 176. w Drukarni Narodowéj.

I.

Pod względem dotychczasowego rozwoju specyalnéj organizacyi szkolnéj, o którą chodzi tutaj, Francya daje się podzielić na trzy dzielnice geograficzne wielką przedstawiające różnicę rezultatów w tym kierunku osiągniętych. Pierwsza, najbardziéj upośledzona nie pod tym jednym względem, ale téż i najszczuplejsza, jak się zaraz pokaże, obejmuje departamenta, w których nic nie masz dotąd zrobionego na tém polu i które nadto nie objawiły żadnych usiłowań czy nawet pragnień w tym sensie. Są to, w alfabetycznym porządku, departamenta: Allier, Alger, Basses Alpes, Ardèche, Corrèze, Landes, Lot i Lozère: najuboższa i ze wszech miar na drodze społecznego rozwoju najmniéj posunięta część kraju.

Do drugiéj kategoryi należą departamenta, które także nic nie zrobiły w tym przedmiocie dla siebie, albo dla których nic nie zrobiono do téj pory, ale które okazały przynajmniéj gotowość do zrobienia, lub chęć uzyskania czegoś. Takiemi są: departamenta: *Aude*, (żądający otworzenia „Szkoły Sztuk i Rzemiosł“); *Arriège*, (upominający się: o „Szkołę Profesyonalną Przemysłową i Handlową“ w mieście Foix, o takąż Szkołę w Pamiers, o Szkołę Profesyonalną i Terminatorską (d'Apprentis) w St. Girons, o szkoły rysunku i handlu w innych miejscowościach); *Constantine*, (poprzestający na ogólnikowych „życzeniach“, przedstawionych miejscowemu zarządowi); *Côtes du Nord* (pragnący „Szkół Profesyonalnych“ w St. Brieuc, Dinan i Guingamp); *Drôme* (zaprzątnięty rozprawami w tym przedmiocie, wniesionemi na porządek dzienny obrad rady municypalnéj i izby handlowéj); *Indre*, (gotujący się do otworzenia „Szkoły Sztuk i Rzemiosł“ w Châteauroux); *Lot et Garonne*, (upominający się o „Szkołę Handlową i Przemysłową“ w Agen); *Morbihan*, (życzący „Szkoły Profesyonalnéj i Handlowéj“ w poetyczném Ploërmel); *Haut-Rhin* (życzący „Wykładów profesyonalnych“ w Belfort); *Seine et Oise* (życzący „Szkoły municypalnéj rysunku“ w Le Raincy; „Wykładów municypalnych geometryi“ w Rambouillet, i „Wykładów municypalnych rysunku przemysłowego“ w Le Vésinet).

Inne departamenty posiadają wszystkie mniéj lub więcéj okazały zasób szkół lub wykładów specyalnych, których dokładna nomenklatura znajdzie niżéj miejsce. Czytelnicy, nie dający się odstręczyć jéj suchością, osięgnąć będą mogli z jéj pomocą szczegółowe wyobrażenie o rozmaitych formach i stopniach rozwoju technicznego i fachowego wykształcenia, które istnieją na całéj przestrzeni kraju, najbardziéj podobno posuniętego w tym zakresie cywilizacyjnych spełnień, a które, odpowiadając wielce rozmaitym warunkom

życia społecznego i ekonomicznego, dostarczyć są wstanie podstawy do wszelkich zastosowań. Pokusimy się wszelako najpierw o uprzystępnienie przedmiotu przez zaznaczenie i pobieżne przynajmniéj, ze względu na szczupłość wydzielonego nam miejsca, scharakteryzowanie głównych rysów téj różnolitéj organizacyi.

W tym celu, odróżnimy w niéj przedewszystkiém pięć odrębnych i poniekąd podporządkowanych form, któremi są: 1) Szkoły elementarne (*écoles primaires*) połączone z nauką pracy ręcznéj; 2) Szkoły profesyonalne właściwe, lub szkoły elementarne wyższe z tym samym programem; 3) Szkoły sztuk i rzemiosł (*Ecoles d'Arts et Métiers*); 4) Szkoły wyższe specyalne; 5) Wykłady publiczne. O szkołach wyższych, takich jak Centralna, Dróg i Mostów i t. d., powiemy najmniej, ponieważ program ich i działalność znanemi są dostatecznie skądinąd lub łatwemi do poznania, nie możemy zaś ubiegać się tutaj o wyczerpanie przedmiotu.

1. **Szkoły elementarne.**

Jak dotąd, Paryż jeden (który nie pod tym jednym względem zajmuje, jak się domyślić łatwo, osobne miejsce, w odnoszącéj się do naszego przedmiotu statystyce) doszedł w tym kierunku do rezultatów nic już prawie do życzenia nie zostawiających. W ostatnich latach zwłaszcza obmyslana na drodze prawodawczéj organizacya nauczania elementarnego uzupełniona została i wydoskonalona, dzięki hojnie przez municypalność dostarczonym środkom pieniężnym i gorączkowo, rzec można, rozwiniętéj działalności. Organizacya ta przedstawiona być przeto może jako typowa. Oto jéj główne rysy:

Z budżetem rocznym, przechodzącym 25,000,000 fr., obejmuje ona obecnie '126 „Szkółek Macierzyńskich" (*Ecoles maternelles*), 17 „Szkółek dziecinnych", 174 „Szkółki elementarne" dla chłopców, i 175 „Szkół elementarnych" dla dziewcząt, ze 145.000 uczniów ogółem i 3,000 nauczycieli, których płaca roczna wynosi 9,000,000 fr. Ze 174 „Szkół elementarnych" dla chłopców, 95 posiada pracownie z warsztatami, (w téj liczbie 90 pracowni robót drzewnych i 5 robót żelaznych). Wykład nie polega na nauce jakiegokolwiek specyalnego rzemiosła, ale na ogólném oswajaniu uczniów i doświadczalném zapoznaniu tychże z materyałami i narzędziami pracy. Regulamin ostatni z d. 28 lipca 1886 czyni nadto naukę pracy ręcznéj *obowiązkową we wszystkich* szkołach publicznych dla chłopców, istniejących w obrębie departamentu Sekwany: 1¼ godziny podzielonych na 2 lekcye tygodniowo dla chłopców uczęszczających na wy-

kłady elementarne; $1\frac{3}{4}$ godziny w dwóch lekcyach tygodniowo dla wydziałów średnich; $3\frac{1}{2}$ godziny w dwóch lekcyach dla wydziałów wyższych; 4 godziny w trzech lekcyach dla kursów „dodatkowych“ (*complementaires*). Co się tyczy 175 szkół dla dziewcząt, *wszystkie* bez wyjątku posiadają pracownie dla nauki szycia i krawiecczyzny Wychodząc ze „Szkół elementarnych“, najlepsze uczennice przyjętemi być mogą bezpłatnie do „Szkół elementarnych wyższych“, które, podług wyrażenia p. Desmoulins (delegowanego Rady Municypalnéj Paryskiéj na kongresie w Bordeaux), uważanemi być mogą za prawdziwe „Szkoły profesyonalne“.

2. **Szkoły profesyonalne.**

Rozróżnić należy w ich liczbie dwa rodzaje:

a) „Szkół Terminatorskich“, które wykształcają prostych rzemieślników i *b*) „Szkół przygotowawczych“ do Szkół technicznych. W pierwszych, praca ręczna zajmuje, jak się rozumié, najwięcéj miejsca, przyczém zauważono, iż najskuteczniejszym i przez żaden inny zastąpić się nie dającym bodźcem dla młodych wychowanków jest spieniężanie za jakąbądź cenę przedmiotów wyrabianych w szkole—bez zatracenia wszelako pedagogicznego charakteru instytucyi i zbytecznego zapędzania się w kierunku produkcyjności. W „Szkołach przygotowawczych“ praca ręczna ograniczoną bywa do wykonania mniéj lub więcéj udatnego tych modelów, których odtwarzanie przez kandydatów do „Szkół Sztuk i Rzemiosł“ wymagalném czynią programaty egzaminowe. Poważne głosy odzywają się wszelako za uprzątnięciem warsztatów ze szkół a posyłaniem raczéj uczniów, dla nabycia stosownéj biegłości, do sąsiednich zakładów przemysłowych (ślusarni lub stolarni), jak to się zresztą dzieje w pewnych miejscowościach, w których brak odpowiedniego urządzenia w obrębie szkoły zmusza do takiego wyboru, a i w samym Paryżu, w Szkole imienia Turgot, z bardzo dobrym skutkiem. I w tym dziale specyalnego wykształcenia Paryż wyprzedził inne miejscowości, nie już za sprawą jednak prawodawczéj i urzędowéj inicyatywy. Istniejące w obrębie stolicy „Szkoły profesyonalne“ były do niedawnego czasu, jak i gdzie indziéj zresztą, prawie bez wyjątku, dziełem inicyatywy prywatnéj. Udział administracyi wychowania publicznego ograniczał się tu do zwierzchniego nadzoru. Najwięcéj stosunkowo rozwiniętym a nawet jedynym dającym znaczące rezultaty (zwłaszcza dla chłopców) jest rodzaj „Szkół przygotowawczych“, reprezentowany mianowicie przez 6 Szkół (*collèges*) prywatnych imienia Turgot, Colbert, Lavoisier, J. B. Say, Arago i Chaptal z ogółem

4,150 uczniów. W ostatnich latach jednak, pod wpływem poniekąd nowych pojęć i tendencyi w zakresie wychowania niewieściego rozpowszechnionych, municypalność podjęła założenie pięciu „Szkół profesyonalnych“ dla dziewcząt przy ulicach Fondary, Bouret, Bossuet, Gausseron i de Poitou, które dziś mieszczą 630 uczennic. Nadto „Szkoła początkowa wyższa“ przy ulicy de Jouy udziela profesyonalnego wykształcenia, podług myśli wyrażonéj przez p. Desmoulins, 300 uczennicom.

3. Szkoły sztuk i rzemiosł.

Istnieją do tego czasu trzy tylko szkoły tego rodzaju: w Aix, Lille i Nevers, z których dwie ostatnie w peryodzie organizacyi dopiéro. Liczba uczniów nie będzie mogła przenosić w nich 500. Oddać przeto mogą one znaczne usługi w wykształceniu zdolnych rysowników, podmajstrzych *(contre-maitres)*, urzędników kierujących robotami *(chefs de travaux)* i t. p.; o ile atoli przeznaczonemi są także do przyspasabiania rzemieślników biegłych, działalność ich, ze względu na szczupłość każdorocznego kontyngensu, nie może być znaczącą. Przyjmują one uczniów w 15-tym roku życia i zatrzymują do lat 20. Skarb bierze na siebie cały prawie koszt utrzymania, uwalniając po większéj części rodziny od wszelkich opłat. Prywatne przedsiewzięcia w tym kierunku, nie oparte na zasadzie bezpłatności, nie powiodły się.

4. Szkoły wyższe.

Do téj kategoryi, obok państwowych szkół specyalnych, wykształcających inżynierów, górników, architektów dla służby rządowéj lub przemysłu prywatnego (Szkoła centralna), należą instytucye pośredniego charakteru, z programem, który wydziela im miejsce między temiż szkołami a „Szkołami sztuk i Rzemiosł.“ Przyjmują one młodzieńców od lat 17-stu i, w ciągu trzechletniego kursu, przyspasabiają ich do służby, na posadach drugorzędnych, w kadrach przemysłu prywatnego. Wykłady ich zachowują charakter teoretyczny. Liczba tych instytucyi, których dźwignięcie się w rozmaitych miejscowościach jest dziełem po większéj części miejscowych Stowarzyszeń przemysłowych. pozostaje dość ograniczoną. Szkoły handlowe utworzone od lat kilku we wszystkich główniejszych miastach mogą być zaliczonemi do téj kategoryi.

5. Wykłady publiczne.

Forma to, która w jednéj Anglii podobno doczekała się dotąd więcéj znaczącego rozwinięcia. Pochodzi to podobno stąd, że dzie-

ci opuszczają tam szkołę wcześniéj niż gdzieindziéj, robotnik zaś pracuje 16 godzin mniéj tygodniowo jak we Francyi. Tym sposobem, przy ogólném zastosowaniu systematu *lekcyi wieczornych*, nauka w téj formie udzielana dała się połączyć z normalném uczęszczaniem do szkoły i fabryki. Pierwsza myśl téj organizacyi powstała tam, w Anglii, po wystawie powszechnéj 1851 r. Obecnie budżet „Wykładów wieczornych", którym skarb dostarcza subwencyi, wynosi tam 250,000 funt. ster. Subwencye udzielane są każdemu wykładowi proporcyonalnie *(payement by result)*, w stosunku do rezultatów osiąganych. Każdy wykład mianowicie obejmuje 4 wydziały: elementarny, 2 stopnia, 1-go stopnia i honorowy. Gdy uczeń kursu elementarnego, zdawszy egzamin przed członkami „Biura sztuki i nauk", przechodzi na wydział 2-go stopnia, „Wykład" otrzymuje 1 f. szt. Za ucznia przechodzącego z wydziału 2-go stopnia na wydział 1-go stopnia skarb płaci 2 f. szt. Wyżéj—4 funt. szt. Nauka udzielana w ten sposób obejmuje kursa: *w dziale nauk:* geometryi praktycznéj, budowy i rysunku machin, architektoniki, budownictwa okrętowego, matematyki czystéj, mechaniki teoretycznéj, mechaniki praktycznéj, akustyki, światła i ciepła, magnetyzmu i elektryczności, chemii nieorganicznéj, chemii organicznéj, geologii, mineralogii, fizyologii, botaniki, biologii zwierzęcéj i roślinnéj, metalurgii, marynarki, astronomii, pary, fizyografii, zasad rolnictwa, hygieny; — *w dziale sztuk:* rysunku podług modelu, geometryi i perspektywy, zasad ornamentyki i kompozycyi, malarstwa podług modelu, nauki figur anatomicznych, kompozycyi podług antyków, modelowania. — Liczba tych „Wykładów" istniejących obecnie w Anglii wynosi 1984, z 208 laboratoryami, mogącemi pomieścić 14,600 uczniów. Ogólna liczba uczęszczających wynosiła w r. 1884—1885 na wydziale nauk: 79,000; na wydziale sztuk: 61,000. Wykłady publiczne istniejące we Francyi i po części tylko wieczorem się odbywające są naśladownictwem, jak dotąd bardzo ograniczoném téj organizacyi, z tą zasadniczą różnicą, iż są one wszędzie bezpłatnemi, podczas gdy w Anglii opłata (od 3 do 6 szylingów rocznie) jest wszędzie obowiązkową. Nadmienić godzi się, iż obok „Wykładów wieczornych", w którym to kierunku rozwinęło się wykształcenie techniczne z systematyczną wyłącznością, istnieje w Anglii tylko szczupła liczba *szkół* profesyonalnych.

II.

Dla czytelników, pragnących głębiéj wniknąć w przedmiot, dostarczyć nam teraz wypada niektórych bliższych wskazówek co do

rodzaju i treści wykładów w rozmaitych wyżéj wyszczególnionych gałęziach nauczania technicznego. Wskazówki te podlegają klasyfikacyi, któréj podstawą naturalną są znowu rozmaite gałęzie przemysłowo-artystycznéj twórczości. Za wyjątkiem bowiem „Szkół elementarnych“ i niektórych wykładów wyższych, wogóle kształcące fachowo instytucye zachowują charakter *specyalny*, poświęconemi są fachowemu uzdolnieniu młodzieży w pewnym kierunku, odpowiadającym jednemu z licznych i mnożących się ciągle wydziałów pracy przemysłowéj i artystycznéj.

Co się tyczy „Szkół elementarnych“, z któremi najpierw załatwić się nam wypada, odnieść się możemy w ich przedmiocie do ostatnich „instrukcyi“, udzielonych przez ministeryum oświaty w myśl uchwały prawodawczéj z d. 28 marca 1882 r. Czytamy tam co następuje:

„Bez zatracenia swego zasadniczego charakteru instytucyi wychowawczéj i bez zamienienia się w zakład fabryczny, szkoła elementarna może i powinna wydzielić ćwiczeniom ciała dość miejsca dla przysposobienia chłopców do przyszłych prac w rękodzielniach i w szeregach armii, dziewcząt do zajęć gospodarczych i kobiecych.... — Co się tyczy pracy ręcznéj chłopców, ćwiczenia dzielą się na dwie kategorye: pierwsza obejmuje rozmaite ćwiczenia, przeznaczone do *rozwiązania* palców i nadania należytéj zręczności, gibkości, szybkości i dokładności ruchom; druga obejmuje stopniowe ćwiczenia snycerskie *(moulage)*, przeznaczone do uzupełnienia odpowiadającéj im nauki rysunku, a głównie rysunku zastosowanego do przemysłu.

„Praca ręczna dziewcząt, oprócz nauki szycia i krawiecczyzny, wymaga pewnéj liczby lekcyi, ćwiczeń, wskazówek, za pomocą których nauczycielka założyć sobie winna nie kurs regularny ekonomiki domowéj, ale natchnienie dziewczętom, przez wielką liczbę przykładów praktycznych, miłości porządku, udzielenie im poważnych przymiotów kobiéty gospodarnéj i uchronienia ich od upodobań płochych lub niebezpiecznych.“

W szczegółach instrukcye te objaśnione są jak następuje.

I. Dla chłopców:

a) *Klasa dziecinna, od 5 do 7 lat.* Małe ćwiczenia plecenia, składania, tkania. Wycinanie i przystosowywanie papierów różnokolorowych do rysunków geometrycznych. Robótki koszykarskie. Układanie włóczek różnokolorowych na papierze i kanwie. Rysunek: kombinacye linii — odtwarzanie tych kombinacyi na łupku i na papierze ołówkiem zwyczajnym lub krédą różnokolorową; rysunki pomysłowe na papierze kratkowanym; odtwarzanie rysunków bardzo

prostych, wykonywanych przez nauczycielki. Odtwarzanie przedmiotów użytkowych najprostszych.

b) *Klasa elementarna, od 7 do 9 lat.* Ćwiczenia ręczne przeznaczone do rozwinięcia zręczności. Wycinanie brył geometrycznych. Koszykarstwo: układanie źdźbeł różnokolorowych. Modelowanie: odtwarzanie brył geometrycznych i inne roboty proste. Rysunek: wykreślanie linii prostych i podział tychże na równe części; ocenianie stosunku linii między sobą; odtwarzanie i ocenianie kątów. Pierwsze zasady rysunku ornamentacyjnego: koła, wielokąty regularne, róże gwiaździste.

c) *Klasa średnia, od 9 do 11 lat.* Konstrukcya przedmiotów z kartonu obleczonych rysunkami koloryzowanemi i papierem kolorowym. Drobne roboty druciane, kratki—kombinacye z drutem i drzewem, klatki. Modelowanie: proste ozdoby architektoniczne. Oswojenie się z narzędziami użytkowemi najprzedniejszemi. Rysunki: linie krzywe geometryczne, elipsy, linie śrubowate, linie należące do królestwa roślinnego: łodygi, liście, kwiaty—kopiowanie modelów gipsowych, przedstawiających rysunki ozdobne mało-wypukłe. Początki rysunku geometrycznego i zasady perspektywy. Rysunek geometryczny: użycie (na tablicy) narzędzi służących do kreślenia linii prostych i krzywych — linii, cyrkla, węgielnicy i narzędzia do przenoszenia kątów. Ograniczać się w ciągu tego na oswajaniu uczniów z użyciem tych narzędzi.

d) *Klasa wyższa, od 11 do 13 lat.* Ćwiczenia mieszane rysunku i modelowania; szkice przedmiotów do wykonania przeznaczonych i budowa tych przedmiotów podług szkicu, albo na odwrót. Nauka rozmaitych narzędzi, służących do obrabiania drzewa. Ćwiczenia praktyczne, stopniowane. Heblowanie, piłowanie drzewa, spajania proste. Pudełka zbijane gwoździami lub spajane. Roboty tokarskie proste. Nauka głównych narzędzi, służących do obrabiania żelaza, ćwiczenia z pilnikiem, polerowanie przedmiotów wychodzących w stanie surowym z kuźni lub fryszerki. Rysunek: rysowanie podług sztychu lub modelu gipsowego, ornamentów czysto-geometrycznych. Rysunki podług sztychu lub modelu, ozdób zapożyczonych z królestwa roślinnego, liści, kwiatów, owoców, palm i t. d. Wiadomości elementarne o porządkach architektonicznych, udzielane przez nauczyciela na tablicy (3 lekcye). Rysunek głowy ludzkiéj, części składowych i proporcyi. Rysunek geometryczny: wykonanie na papierze, z użyciem narzędzi, wykreśleń geometrycznych, wykonywanych na tablicy w klasie średniéj. Zasady cieniowania sepią i tuszem. Rysunek odtwarzający motywy dekoracyjne płaskie lub mało wypukłe, posadzki taflowe, witraże, sufity. Rysu-

nek tuszem i farbami niektórych wzorów. Rysunek z obrachunkiem *(avec cote)*, planu brył geometrycznych i przedmiotów prostych, jako to: spojeń stolarskich i ciesielskich, robót ślusarskich większych, robót kamieniarskich, sprzętów zwyczajnych. Użycie tuszu dla oznaczenia gatunku materyałów. Tuszowanie planów i map.

II. Dla dziewcząt:

a) *Od 5 do 7 lat.* Małe ćwiczenia Freblowskie: plecenie, składanie, tkanie. Robótki na drutach.

b) *Od 7 do 9 lat.* Roboty na drutach i nauka *ściegu*; oczka na jedną i na drugą stronę i t. d. Ściegi *(points de marque)* na kanwie. Zasady szycia; obrąbki i przyszycia. Ćwiczenia ręczne, przeznaczone do rozwinięcia zręczności, wycinanie i przystosowywanie kawałków papieru kolorowego. Próbki modelowania.

c) *Od 9 do 11 lat.* Roboty na drutach *(tricot et remmaillage)*. Roboty na kanwie. Zasady szycia *(point devant, point de côté, point arrière. point de surjet)*. Szycie proste *(ourlet, couture double, surjets sur lisière, sur plis rentrés)*. Wykonanie robót szytych, łatwych; łatanie.

d) *Od 11 do 13 lat.* Robota na drutach, spódnic, kamizelek, rękawiczek. Roboty z płótnem, pikowane, marszczone. Reparowanie odzieży, cérowanie. Zasady krawiecczyny i szycia części odzieży najłatwiejszych. Zasady ekonomiki domowéj najprostsze, z zastosowaniem do kuchni, prania, utrzymania bielizny, toalety, prowadzenia gospodarstwa, utrzymania ogrodu, podwórza. Ćwiczenia praktyczne w szkole i w domu.

Przechodząc obecnie do szkół wyższego stopnia, odróżnić nam wypada najpierw dwa główne działy całkiem odmiennie pod względem wykształcenia technicznego dotąd zaopatrzone, a mianowicie: *dział przemysłowy* i *dział sztuk.* W pierwszym zaś z tych dwóch działów, od którego zaczniemy, domagają się jeszcze osobnych rubryk rozmaite gałęzie w liczbie pięciu, a mianowicie: *a)* sztuk mechanicznych, *b)* sztuk z tkactwem związek mających *(industries textiles)*, *c)* sztuk budowniczych, *d)* przemysłu chemicznego, *e)* górnictwa i metalurgii.

I. Dział przemysłowy.

a) *Sztuki mechaniczne.*

Gałąź to, w któréj organizacya technicznego wykształcenia najwyższy dotąd osiągnęła rozwój we Francyi, przy największéj rozmaitości typów instytucyi, fachowe uzdolnienie udzielających.

Od szkół „terminatorskich“ do wyższych wykładów w szkołach państwowych lub instytucyach prywatnych, nie zapominając o zajmujących pośrednie miejsce w „Szkołach przygotowawczych“ i „Technicznych“, wszystkie stopnie są tu mniéj lub więcéj zadawalniająco zapełnione i wszystkie potrzeby uwzględnione. Pokusić się atoli trudno na tém miejscu o wyszczególnienie wielorakich regulaminów i programów. „Szkoły terminatorskie“ ubiegają się wogóle o udzielanie nauki więcéj metodycznéj i ściślejszemu poddanéj nadzorowi od téj, któréj dostarczać mogą zakłady fabryczne. Umiejętne stopniowanie praktyki rzemieślniczéj, dobór nauczających rzemieślników, ustawiczne odnoszenie się do zasad naukowych i pojęć geometrycznych, nauka rysunku i wdrażanie uczniów przy ciągłém użyciu dokładnych szkiców i obrachunków *(croquis cotés)* do ścisłości wykonania — oto główne podstawy edukacyjne w tym kierunku. Szkoła istniejąca w Hawrze, która doszła do pokaźnéj produkcyi przedmiotów odbyt stały mających, zdaje się być najdoskonalszym specymenem tych instytucyi. „Szkoły przygotowawcze“ przysposabiają uczniów do szkół sztuk i rzemiosł, do szkół handlowych i do specyalnych egzaminów, których wymaga wstęp do pewnych administracyi, mianowicie „Kadastru“ i „Dróg i Mostów“ *(conducteurs des ponts et chaussées)*. Największemi dotąd usługami na tém polu odznaczyły się „wykłady“ urządzone przez Towarzystwo filomatyczne w Bordeaux, aczkolwiek z kierunkiem zbyt wyłącznie może poświęconym mechanice i maszynom parowym i zbyt teoretycznym także, nie wydzielającym dostatecznego miejsca pracy ręcznéj. „Szkołom technicznym“, do których należą wspominane już kilkakrotnie „Szkoły sztuk i rzemiosł“, zarzucano, nie bez słuszności, iż nie rachują się one dostatecznie ze swojém przeznaczeniem, które polega na dostarczaniu przemysłowi zdolnych rysowników, podmajstrzych i dozorców fabrycznych, ubiegając się zaś za wyższemi celami, gwałcą niepotrzebnie profesyonalne upodobania i uzdolnienia swych uczniów, przenoszą ich dowolnie z kuźni do modelarni i t. p. Niemasz zresztą, przyznać to trzeba, żadnego ścisłego rozgraniczenia między rozróżnianemi tu rodzajami szkół. I tak szkoła rządowa zegarmistrzostwa w Cluses, istniejąca już przed ustąpieniem kraju, w którym się znajduje (Sabaudyi), Francyi i kształcąca owocześnie szczupłą liczbę zdolnych rzemieślników, pośród ludności oddającéj się wyłącznie fabrykowaniu kilku pojedyńczych części mechanizmu zegarkowego, szkoła ta rozwinęła się obecnie pod kierunkiem wielce biegłego w swoim fachu majstra; synowie okolicznych zegarmistrzów ubiegają się o miejsce w niéj, dla nabycia ogólniejszego fachowego uzdolnienia; stanowi ona przeto typ

pośredni między szkołą „terminatorską“ i „techniczną.“ To samo ma miejsce w Besançon, z miejscową szkołą zegarmistrzostwa, przyłączoną do szkoły elementarnéj; aczkolwiek czynią jéj zarzut, iż nie dzieli ona swego wykładu odpowiednio do podziału pracy istniejącego na miejscu w fabrykacyi zegarków, których to zegarków części składowe odrabiane są osobno przez pojedyńczych rzemieślników.—Niemasz, jak dotąd, żadnego *osobnego* wyższego wykładu mechaniki. Kursa poświęcone temu przedmiotowi wchodzą wszędzie do ogólniejszych programów, których wyszczególnienie byłoby tu niemożliwém.

b) *Sztuki z tkactwem związek mające.*

Fachowe wykształcenie znajduje się w téj gałęzi dopiéro w zawiązku, a po większéj części w projektach, wykonania jeszcze oczekujących. Jedyna prawdziwa „Szkoła terminatorska“ istnieje dotąd tylko w rozłączonéj dziś z Francyą Mulhuzie, z dwoma odrębnemi i duże niejako osobne szkoły stanowiącemi wydziałami: przędzenia i tkactwa *(filature et tissage)*. W Lugdunie znajdują się nauczyciele wielkiéj biegłości w teoryi budowy warsztatów i wykonywania tkanin na tychże warsztatach, ale są to raczéj przemysłowcy osobnego rodzaju, jak właściwi profesorowie. Wogóle tam, jak i gdzieindziéj, nauka rzemiosła odbywa się przy samychże warsztatach fabrycznych. Wcześnie do warsztatów posyłane dzieci uczą się, służąc robotnikom i patrząc na ich pracę. Pospolicie biegłość w ten sposób osiągnięta nie dorównywa swemu wzorowi i w ten sposób z pokolenia na pokolenie poziom fachowego uzdolnienia obniża się. Z tego téż względu przykład Mulhuzy wywołał w innych miejscowościach fabrycznych gorące chęci naśladownictwa, które jednak nie weszły jeszcze w sferę spełnień. W Lille projektowaną jest dopiéro „Szkoła techniczna przędzenia i tkactwa, przeznaczona dla synów fabrykantów, z programem, nad którego wygotowaniem pracuje rada wykształcenia technicznego, a do którego wzór dostarczony został przez jednego z miejscowych przemysłowców, p. Imbs. Zamieszczamy tu ten dokument:

Rok 1-szy. Ćwiczenia wspólne: Roboty z odlewami *(moulage)*. Wykonanie podług szkiców, z obrachunkiem *(avec cote)* brył geometrycznych regularnych. Rysunek ornamentacyjny. Ornamenta geometryczne proste, z wyborem uwzględniającym wyrób tkanin i druk na tkaninach. Rysunek maszyn. Rysunek w wielkości naturalnéj narzędzi fachowych. Cewki, dróty, walce, bloki, dźwignie, koła zębate i t. d. (Rysunki proste *(au trait)*, przecięcia kratkowane

(en hachures) bez tuszowania). Roboty z drzewem i żelazem. — Roboty około przędzenia i tkania. Praktyka terminatorska przy gremplach, przy czesaniu ręczném, przy grzebieniach, przy przędzalniach. Krzyżowanie czterech części składowych głównych *(armures)* warsztatu na ramach, ze sznurami i prętami; potém na warsztatach ręcznych tak samo. Praca przy kołowrotach, krośnach i t. d.

Wykłady: Mechaniki elementarnéj *(cinématique)*. Część I-sza. Ruchy rozmaite. Definicye. Rotacye. Stosunek rotacyi, słupy, podstawy, zaczepianie się kół proste, bloki, sznury i pasy, zaczepiania się kół ukośne, śruby nieruchome i t. d. Zamiana ruchów rotacyjnych na inne ruchy proste, lewary ekscentryczne, koła zębate itd.— Przędzenia, elementarny. Część I-sza. Materyały włókniste. Wskazówki o pochodzeniu i przygotowywaniu tychże materyałów. Wycieranie *(égrénage)* bawełny. Strzyż i pranie wełny. Moczenie, tarcie i odzieranie z łyka lnu. Działania przygotowawcze. Czesanie ręczne. Czesanie mechaniczne. Przygotowanie kłaków. Gręple. Zasady ogólne wyciągania i skręcania. Przędzalnie (zasady tylko). (Wykłady wszystkie z rysunkami i modelami elementarnemi z drzewa; po każdéj lekcyi próby objaśniające na maszynach samych).— Tkactwa, elementarny. Część I-sza. Tkaniny wogólności. Krzyżowania nici rozmaitego gatunku. Osnowy. Wątki. Części składowe maszyn. Części składowe: warsztatów ręcznych, warsztatów mechanicznych. Cewkowanie, rowkowanie, osnowanie. (Wykłady z modelami elementarnemi powiększone. Lekcye złączone z próbami objaśniającemi na maszynach). — Farbiarstwo, elementarny. Pranie i bielenie materyałów włóknistych, roślinnych i zwierzęcych. Materyały zabarwiające i t. d.

Rok 2-gi. Ćwiczenia wspólne. Roboty z odlewami. Ozdoby geometryczne, symetryczne, stopniowane. Rysunek ornamentacyjny. Dalszy ciąg stopniowany ćwiczeń pierwszorocznych. Arabeski. Kwiaty.—Rysunek maszyn. Zawsze bez tuszowania, wielkości naturalnéj, podług szkiców ręcznych, z obrachunkiem. Wzory trudniejsze. Złożenie ruchów częściowych. Przecięcia poprzeczne maszyn prostych. — Roboty z drzewem i żelazem. Wykonanie kilku modelów wybranych pomiędzy narzędziami fachowemi. Roboty tokarskie: na drzewie, żelazie kutém i laném i t. d. — Prace około przędzenia i tkactwa. Praktyka przy ciągnieniu na dróty, grzebieniach mechanicznych i t. d. Numerowanie i sprawdzanie pasem i nici. Kremaż. Bielenie, płókanie, suszenie. Praca na warsztatach ręcznych, potém mechanicznych, prostych, *à ratières*, z kilkoma czółenkami. — Aksamity, definicya: strzyżony i niestrzyżony. — Laboratoryum farbierskie. Ćwiczenie towarzyszące wykładom.

Wykłady: Mechaniki (ciąg dalszy). Zmiany ruchów (ciąg dalszy). Ruchy zmienne. Ruchy podwójne, skombinowane. Przykłady wzięte z maszyn do rzemiosła należących.—Przędzenia (ciąg dalszy). Wyciąganie na prostych walcach. *Gills-box. Bancs à broches.* Rozłożenie ich działań. Czesalnie mechaniczne. Przędzenie. Skręcanie i t. d.—Tkactwa (ciąg dalszy). Tkanie mechaniczne. Warsztaty mechaniczne. Warsztaty z kilkoma czółenkami i t. d. *(Armures dérivées. Façonnés à lames. Ratières).* Tkaniny złożone (*à plusieurs chaînes*), aksamity. Rozkład tkanin. — Farbierstwa. Utwierdzanie farb na lnie, bawełnie, wełnie, jedwabiu.

Rok 3-ci. Ćwiczenia: Roboty z odlewami. Wykonanie medalów stopniowanych do odlewania.—Rysunek ornamentowy. Ozdoby rodzajów i stylów rozmaitych. Zasady wzorów rysunkowych dla ozdoby tkanin.—Rysunek maszyn. Ruchy maszyn złożonych, których przedstawienie wymaga kilku widoków lub rzutów skombinowanych. — Roboty z żelazem i drzewem. Roboty około przędzenia i tkania. Rozłożenie, złożenie, ustawienie i wprawienie w ruch napowrót maszyn. Rozłożenie i złożenie maszyn Jacquard'a i przygotowanie do pracy warsztatów Jacquard'a.—Manipulacya farb i druku na tkaninach.

Wykłady: Mechaniki (część 3-a). Ruchy stosunkowe i zmienne, trudne i skombinowane. Ruchy różniczkowe. Koła ekscentryczne wykonywające ruchy wielorakie (*en position et en vitesse*). Zasady i metody gwoli należytemu wykonaniu tychże; ich plany. *Copying-plates Mull Jenny*, *renvideuses*, *de continus*, *à anneaux*. — Mechaniki elementarnéj. Badanie porównawcze materyałów. Wysilenia i opory w składowych częściach maszyn prostych. Proporcye części składowych w maszynach. — Przędzenia: Dalszy ciąg poprzedniego kursu. Zasady ogólne w przedmiocie lnu, wełny i bawełny. Wskazówki praktyczne w przedmiocie wyciągania, skręcania i t. d.—Tkactwa: Warsztaty mechaniczne dla tkanin ozdobnych *(façonnés à lames).* Warsztaty Jacquard'a specyalne *(pour fils indépendants* i t. d.). Przygotowanie na warsztatach tkanin ozdobnych *(tissus à croisures hélicoïdales).* Gazy. Tiule. — Farbierstwa. Farbowanie nici i tkanin.—Rachunkowości. Rachunkowość przemysłowa. Koszt nici, tkanin, maszyn i t. d. (W ciągu roku 3-go niektóre ćwiczenia mogą być ograniczone, inne powiększone, odpowiednio do specyalności, którym poświęcić się zamierzą uczniowie jako tkacze, mechanicy i t p.).

Wykłady publiczne w téj gałęzi znalazły dotąd szersze zastosowanie i wywdzięczyły się dodatniemi rezultatami tylko w Amiens

w centrum fabrykacyi kilku gatunków tkanin ozdobnych. Ostatniemi czasami podjęto i w Saint-Quentin poważne usiłowania w tym kierunku.

c) *Sztuki budownicze, oraz opalanie i oświetlanie.*

Na tém polu niewiele dotąd zrobiono. Robotami należącemi do tego fachu kierują zwykle architekci lub inżynierowie, wychodzący ze Szkoły sztuk pięknych lub ze Szkoły centralnéj i posługujący się antreprenerami. Ci ostatni, ograniczeni do roli prostych wykonawców, dostarczających materyału, narzędzi i robotnika, obchodzą się wogóle bez wiadomości innych jak te, które daje praktyka. Wyjątek stanowią do pewnego stopnia cieśle, którym zostawianą bywa pewna swoboda w planowaniu robót, i dla których téż utworzono tu i owdzie wykłady budownictwa i stereotomii. Pewna, bardzo ograniczona liczba robotników korzysta także z tych wykładów. Inni, a w szczególności snycerze i malarze, uczęszczają również na wykłady rysunku. Ogół wszelako zadawalnia się biegłością nabytą jako tako przy pracy, rozpoczynającéj się w młodym wieku od pomagania starszym towarzyszom.

d) *Przemysł chemiczny.*

Niektóre działy tego przemysłu znajdują wielką pomoc naukową w laboratoryach rozmaitych instytucyi naukowych. Wogóle jednak brakuje i tu dotąd wykładów poświęconych specyalnym kierunkom téj części krajowéj produkcyi. Najlepiéj stosunkowo zaopatrzoném jest farbierstwo; cukrownictwo natomiast, gorzelnictwo, ceramika, korzystać mogą tylko z ogólnych wykładów „chemii zastosowanéj do sztuk."

e) *Górnictwo i metalurgia.*

Sztuka inżynierska przy robotach górniczych, więcéj jeszcze niż sztuka budownicza, pociąga za sobą tak wielkie odpowiedzialności, że kierunek robót spoczywać tu musi wyłącznie w rękach inżyniera i zostającego pod jego rozkazami naczelnego górnika. Zaczém idzie, iż wykształcenie techniczne zaczyna się i kończy w tym dziale na tém, którego dostarczają szkoły rządowe. Nie wychodzący zaś z tych szkół podrzędni urzędnicy poprzestają na umiejętności praktyką nabytéj. Co się tyczy rozmaitych działań metalurgii, te polegają wogóle na manipulacyach chemicznych lub mechanicznych. Wykształcenie przeto pośrednie pozostaje żadném

lub prawie żadném w całéj téj gałęzi. Nauka terminatorska, gdzieindziéj jak przy warsztacie, nie znalazła dotąd miejsca tutaj, chyba w wyjątkowych okolicznościach i tam, gdzie chodzi o uzyskanie wyrobów dokładniéj wykończonych, jako to: odlewów, robót kowalskich i t. p. Co się tyczy odlewów z żelaza i miedzi, pewna liczba uczniów kończących „Szkoły Sztuk i Rzemiosł“ osiąga w tym fachu dość przyzwoitą biegłość.

Poświęcamy teraz bodaj jedną i drugą kartkę przeglądowi kilku wybitniejszych *typów* instytucyi istniejących w tym dziale ogólno-przemysłowym na rozmaitych punktach kraju, a wyszczególniających się odrębnemi cechami, które im osobne w istniejącéj organizacyi wydzielają miejsce.

Szkoła przemysłowa w Nantes. Założona w roku 1830 (podobno przeto najstarsza we Francyi), przez miejscowe „Stowarzyszenie przemysłowe.“ Przyjmuje w chwili, w któréj rozpoczynają oni praktykę terminatorską, młodzieńców, których profesya wymaga wiadomości specyalnych i technicznych, jako to: mincarzy, kotlarzy, ślusarzy, stolarzy, snycerzy i t. d. Liczba uczniów, wynosząca obecnie 105, nie mogłaby na teraz być powiększoną. Co trzy miesiące otwierany bywa konkurs na przyjęcie kandydatów najwięcéj zasłużonych. Kandydaci przyjęci obowiązują się, dopóki odbywać będą praktykę terminatorską w prywatnych zakładach przemysłowych, do uczęszczania, przynajmniéj przez trzy lata na wykłady szkolne. Wykłady odbywają się każdodziennie rano, przed otwarciem warsztatów, latem od 5-éj do 8-éj, zimą od 6-éj do 8½. Obejmują zasady języka francuskiego, nauki matematyczne (arytmetykę, algebrę, geometryą), początki mechaniki, fizyki i chemii, rysunek liniowy i artystyczny. Żadna praca ręczna nie wchodzi do programu.—Uczniowie umieszczeni w główniejszych warsztatach miejscowych staraniem administratorów Towarzystwa, którzy wpływają do kontraktów terminatorskich, podlegają nadzorowi dokonywanemu za pomocą świadectw wydawanych przez majstrów.—Każdorocznie, dla obudzenia współzawodnictwa, odbywa się w wielkiéj sali giełdowéj wystawa wyrobów, do których uczniowie przyłożyli rękę i rozdanie nagród. — Dla zachęcania rodziców do ponoszenia ofiar połączonych z przeciągającą się praktyką terminatorską ich dzieci, stowarzyszenie wydziela uboższym 6 kilogr. chleba tygodniowo, wszystkim zaś uczniom gratyfikacye pieniężne, których część idzie do kasy oszczędności, tak dla rozwinięcia w uczniach zmysłu oszczędności, jak dla zabezpieczenia im drobnego funduszu przy rozpoczęciu zawodu rzemieślniczego. Uczniowie, których prowadzenie

się w szkole nie uległo żadnéj naganie, otrzymują przy wyjściu dyplom zalecić ich mogący majstrom, ubiegającym się o dobrych rzemieślników. Około 2,500 uczniów wyszło ze szkoły od czasu jéj założenia, i wszyscy, z rzadkiemi wyjątkami, zostają rzemieślnikami, a po większéj części dobrymi rzemieślnikami, mogącymi upominać się o wysoką płacę. Między byłemi uczniami trafiają się dziś naczelnicy pierwszorzędnych warsztatów i zdolni nadmajstrowie. Budżet instytucyi przedstawia się jak następuje:

1) Opłaty roczne	2,700 fr.
2) Dochody różne	4,200 „
3) Subwencye: Ministerstwa Handlu i oświaty, Rady okręgowéj, Rady Municypalnéj i Izby Handlowéj . .	5,300 „
Ogółem .	12,800 fr.

Szkoła profesyonalna w St. Etienne. Szkoła ta, otwarta w roku 1883 zastosowała systemat osobliwy, polegający na specyalności wykładu dla rozmaitych kategoryi uczniów, po jednorocznym wspólnym kursie. A mianowicie:

Rok 1-szy.

Dwie godziny pracy ręcznéj dziennie. Roboty drzewne i żelazne; trochę modelowania i przędzenia.

Rok 2-gi — 3 godziny pracy ręcznéj.

Wydział I. *Handel.*	Wydział II. *Przemysł.*
Rachunkowość, prawodawstwo, ekonomia polityczna, przędzenie, chemia, farbierstwo z manipulacyami.	1. Mincarstwo, 2. Stolarstwo, 3. Modelowanie dla odlewów i rzeźby.

Rok 3-ci i 4-ty — 3 do 4 godzin pracy ręcznéj; 7 do 8 godzin w ostatniem półroczu. Rysunek zajmuje wiele miejsca w każdym roku.

1. Mincarstwo i kuźnictwo,
2. Zbrojownictwo,
3. Stolarstwo,
4. Modele,
5. Modelowanie dla odlewów i rzeźby.

Szkoła przyjmuje tylko *eksternów.* Jest całkiem bezpłatną. Książki i narzędzia szkolne nawet dostarczane są bezpłatnie uczniom rodziców uboższych. Uczniowie są po większéj części dziećmi rzemieślników, majstrów i drobnych przemysłowców. Wchodzą do szkoły w 12-ym lub 13-ym roku, po uzyskaniu świadectwa z ukończonéj szkoły elementarnéj, albo przejściu odpowiedniego egzaminu. Celem głównym szkoły jest przysposobienie zdolnych rzemieślników i urzędników dla przemysłu i handlu miejscowego. Liczba uczniów wynosi obecnie około stu, ale może być powiększoną do

25o. Pewna liczba stypendyów ustanowioną została przez rozmaite korporacye przemysłowe. Druga szkoła, na tychże samych podstawach założona, istnieje od lat ośmiu w St. Chamond.

Szkoły techniczne w Roubaix. Miasto Roubaix, liczące dziś do 100,000 mieszkańców, rozwinęło w ostatnich latach działalność, która uczyniła zeń pierwszorzędne ognisko przemysłowe. Nie zaniedbało ono przytém starań około rozwoju wykształcenia fachowego. Starania te osiągnęły dodatnie zwłaszcza rezultaty w dwóch gałęziach: przędzenia i farbierstwa. Oba wydziały, połączone w założonéj *ad hoc* szkole, pomieszczone zostały w budynku inny zakład naukowy dawniéj mieszczącym, z nakładem około 35,000 fr., to jest około 5oo fr. na głowę ucznia. Szkoła przędzenia rozporządza trzema salami, amfiteatrem, pracownią i salą osobną dla rysunku. Pracownia, dość ciasna, mieści przędzalnie rozmaitego gatunku, za wyjątkiem warsztatów Jacquardowskich, które znajdują pomieszczenie gdzieindziéj. Amfiteatr urządzony jest w ten sposób, iż pozwala przesuwać pomiędzy uczniami ramy dużego rozmiaru, na kółkach, opatrzone nićmi pionowo ułożonemi, które służą do przedstawienia wszelakich rodzajów przędzenia. Wykłady, które odbywają się w godzinach wieczornych, uczęszczane są, prawie wyłącznie, przez młodych ludzi (około 40 obecnie) zajętych w rozmaitych fabrykach miejscowych. Młodzieńcy ci trawią pospolicie część nocy na gromadzeniu w albumach (za pomocą rysunków lub nawet naśladowniczych kombinacyi przędzy) wzorów, które im przedłożone zostały. Niektóre z tych albumów, obok dokładności, świadczą o wykształconym już dobrym smaku. Nauka farbierstwa zajmuje jedną tylko salę z 15 do 20 uczniami; ale pod kierunkiem księdza Vassard, który poświęcił się temu zadaniu, przedstawia obraz budującéj pracowitości. Każdy uczeń ma wodę, gaz i inne potrzebne rekwizyta pod ręką. Kurs jest dwuletni; młodzieńcy wszelako posiadający cokolwiek teoretycznych wiadomości z dziedziny chemii, stają się już po upływie jednego roku zdolnymi farbiarzami.

Instytut przemysłowy i rolniczy w Lille. Założony w r. 1860 z programem obszerniejszym jeszcze niż nazwa przyjęta zapowiada, ale ograniczony dziś do dwóch wydziałów: technologicznego i inżynierskiego (*génie civil*), z których pierwszy ma nadto wkrótce, podług obecnego założenia, stać się wydziałem przygotowawczym do drugiego. W nowym tym programie nauka inżynierska ograniczoną także zostanie do trzech gałęzi: 1) budowy maszyn i konstrukcyi metalicznych, 2) przędzenia i tkactwa, 3) przemysłu chemicznego, po dokonaném już zniesieniu wykładów górnictwa i handlu, i projektowaném usunięciu kursu agronomicznego. Po przeprowadzeniu

téj reformy, kursa obejmować będą od 4 do 5 lat z postępem ściśle metodycznym. Liczba uczniów wynosi w téj chwili 118. Są to po większéj części synowie urzędników i drobnych przemysłowców. Żywioł robotniczy nie jest reprezentowanym. Uczniowie odpowiadają na pytania, czynione im podczas lekcyi, a nadto na ważniejszych wykładach przestrzegany jest porządek, za sprawą którego każdy uczeń pytany bywa co dwa tygodnie. Nauka przędzenia i tkactwa jest osobliwie rozwiniętą, obejmuje bowiem 20 lekcyi w roku przygotowawczym, a 130 w ostatnim. Lekcyom tym towarzyszą ćwiczenia praktyczne w pracowni mierzącéj 200 metrów kwadratowych, dobrze zaopatrzonéj w narzędzia i warsztaty, po większéj części angielskiego wyrobu. Nigdzie systematyczne połączenie teoryi z praktyką nie zostało tak daleko posunięte. Na wydziale budowy maszyn uczniowie odwiedzają sąsiednie fabryki i zdejmują szkice z maszyn napotykanych, dokładnie obrachowane. Spędzają przytém w pracowni do 10 godzin tygodniowo, śród narzędzi i maszyn rozstawionych na przestrzeni 400 metrów kwadratowych.

Wykłady urządzone przez Towarzystwo Przemysłowe w Amiens. Otworzone w roku 1861, z budżetem rocznym 38,000 fr., z których 17,500 udzielanych tytułem subwencyi. Obejmują 15 wykładów następujących: 2 wykłady języka niemieckiego (trzyletni dla mężczyzn, dwuletni dla kobiet); 2 wykłady trzyletnie języka angielskiego; 1 wykład jednoroczny języka włoskiego; 2 wykłady trzyletnie rachunkowości handlowéj (dla mężczyzn i kobiet); 1 wykład jednoroczny mechaniki zastosowanéj do maszyn parowych; 1 wykład trzechletni rysunku i zdejmowania planów z maszyn; 2 wykłady trzechletnie chemii z zastosowaniem od farbierstwa (teoretyczny i praktyczny); 2 wykłady trzechletnie przędzenia (teoretyczny z niektóremi zastosowaniami i praktyczny z pracą na warsztatach); 1 wykład trzechletni strzyżenia aksamitu; 1 wykład jednoroczny prawa handlowego i przemysłowego. Wszystkie jednak te wykłady ograniczają się do dość szczupłéj liczby lekcyi, 15 na rok przeciętnie. Natomiast praca ręczna zajmuje do 300 godzin. Wykłady chemii i przędzenia podlegają nader osobliwemu programowi. Na wydziale chemicznym uczniowie słuchają jednocześnie teoretycznego i praktycznego wykładu. W pierwszym roku wykład ten dotyczy wyłącznie chemii nieorganicznéj. Uczeń zapoznaje się z kwasami, zasadami, solami, ciałami służącemi do nadania trwałości farbom, których używać będzie później, a z których zastosowaniem oswaja się na wykładzie praktycznym. W drugim roku badanemi są pierwiastki dobywane z roślin, wraz z pochodzącemi od nich pierwiastkami za-

barwiającemi i ściskającemi. Uczeń odbywa z niemi próby, porównywa je i zastosowywa na różnorodnych tkaninach. Trzeci rok poświęcony jest przeglądowi rozmaitych metod farbierskich. Barwniki dobywane z aniliny, naftaliny, itd. wytwarzane są przed uczniami i z ich współudziałem, przygotowywane i zastosowywane, z poparciem danych teoretycznych. Wykłady te uczęszczane są przez urzędników handlowych i kilku robotników. Ci ostatni wszelako nie posiadają pospolicie wykształcenia początkowego, które by im pozwalało słuchać z pożytkiem wykładu chemii teoretycznéj. Wykład przędzenia, uchodzący za najlepszy pomiędzy istniejącemi, dzieli się na dwie części, obejmując: *a*) kurs teoretyczny i teoryi praktycznéj; *b*) kurs praktyczny z pracą na warsztatach. Pierwszy przeciąga się przez trzy lata z 25 lekcyami ($1\frac{1}{2}$ g.) w każdym roku; drugi również trzechletni, wymaga 75 posiedzeń w pracowni, które to posiedzenia odbywają się w niedzielę od ósméj do 12-éj. Liczba uczniów, którzy przeszli przez tę szkołę, wynosi od daty założenia, to jest od 1864, do 1,050. Prawie wszyscy ci, którzy uzyskali dyplom przy wyjściu, a liczą dziś od 25 do 28 lat, zarabiają od 2,000 do 3,000 fr. rocznie.

Konserwatoryum narodowe sztuk i rzemiosł, założone w Paryżu w r. 1819. Obejmuje dziś 14 wykładów, a mianowicie: geometryi, budownictwa, mechaniki, fizyki, chemii organicznéj i nieorganicznéj, chemii rolniczéj, rolnictwa, robót rolnych i inżynieryi zastosowanéj do rolnictwa, przędzenia i tkactwa, ceramiki, szklarstwa i farbierstwa, ekonomii politycznéj, statystyki przemysłowéj, prawodawstwa przemysłowego i handlowego. Brakuje wykładów górnictwa i metalurgii, żądanych oddawna. Wykłady wszystkie odbywają się wieczorem, przez sześć miesięcy, i uczęszczane są przez 300 słuchaczy *wolnych*, przeciętnie, w których liczbie, oprócz inżynierów, dyrektorów fabryk i podmajstrzych, znajdują się i robotnicy. Stronę ujemną téj organizacyi stanowi brak odpowiednich laboratoryów.

Uwagi ogólne. Zaprzątnienia obecne przemysłowców francuskich, a w szczególności paryskich izb syndykalnych zwracają się osobliwie do uorganizowania i odpowiedniego rozwinięcia nauki terminatorskiéj w dwóch formach, zalecających się zarówno w zastosowaniu do rozmaitych okoliczności i potrzeb, a mianowicie: 1) szkoły terminatorskiéj, czyli warsztatu terminatorskiego z odpowiadającym wykładem w szkole saméj, 2) praktyki terminatorskiéj w zakładach fabrycznych, pod nadzorem opiekujących się nią komitetów i z zachowaniem kilku godzin dziennie dla nauki. Jako podstawę techniczego wykształcenia w szkołach terminatorskich, wska-

zują specyaliści francuscy praktykę szkiców ściśle obrachowywanych (*croquis cotés*), zniewalających ucznia do zdawania sobie dokładnie sprawy z wymiarów odrabianéj przez się sztuki. Zalecanemi są także konkursowe prace, do których powołują się terminatorzy, należący do rozmaitych szkół i warsztatów, a w których nagrodę stanowią książeczki kasy oszczędności. W niektórych gałęziach przemysłu paryskiego, mianowicie w papiernictwie, praktyka ta wywdzięczyła się dodatniemi rezultatami. W jednéj ze szkół profesyonalnych paryskich (przy ulicy de Vaugirard) zastosowany został systemat fabryki otwartéj obok szkoły; powierzonéj antreprenerowi,—bez zachęcającego, jak dotąd, rezultatu. Co się tyczy wykładów publicznych wieczornych, w którym to kierunku od niedawnego czasu rozwijała się niemal wyłącznie działalność Stowarzyszeń Przemysłowych i Izb syndykalnych, przykładem Anglii zachęcona, poważne głosy oświadczają się za wprowadzeniem do nich, jako niezbędnego żywiołu, praktyki *kajetów* poddawanych przeglądowi profesora, a służyć mogących ewentualnie do poparcia przed administracyą centralną próśb o subwencyą, z któremi zgłaszają się w znacznéj liczbie uczęszczający na te wykłady. Zalecaném jest także przyłączenie do tych wykładów, a mianowicie do ich kategoryi poświęconéj naukom zastosowanym do przemysłu, pewnéj liczby ćwiczeń praktycznych, odnoszących się do pewnéj gałęzi produkcyi przemysłowéj, np. cukrownictwa, gorzelnictwa, farbierstwa.

II. **Dział sztuk.**

a) Sztuka ornamentacyjna. — *b*) Sztuki zbytkowe. Sprzęty. — *c*) Odzież i tapicerstwo. — *d*) Sztuki graficzne. Introligatorstwo, papiernictwo.

a) *Sztuka ornamentacyjna.*

W bardzo szczupłéj tylko liczbie zakładów naukowych istnieją wykłady poświęcone specyalnie temu przedmiotowi; wogóle zaś znajduje on jakie takie uwzględnienie tylko w szkołach rysunku, o których powiemy niżéj. Najpospoliciéj też ozdoby w obiegu przemysłowym się znajdujące, mianowicie malarskie na porcelanie, są dziełem samouków. Gałąź to produkcyi przemysłowo-artystycznéj, w któréj pierwsze miejsce zajmuje praca kobieca. W Paryżu zwłaszcza bardzo znaczna liczba dam utrzymuje się albo, przynajmniéj odnosi pewien zarobek z tego źródła. Z Limoges nawet najpiękniejsze porcelany i fajanse posyłają się *en blanc* do Paryża, gdzie otrzymują mniéj lub więcéj udatną ozdobę z rąk niewieścich. Znajduje

się jednak w Paryżu „Szkoła sztuk dekoracyjnych", której program, wyłącznie artystyczny do niedawnego czasu i przeznaczony dla uczniów przygotowywujących się do Szkoły sztuk pięknych, uległ obecnie przekształceniu w kierunku więcéj przemysłowym. Liczba uczniów wynosi od 2,000 do 2,400 rocznie, z podziałem na trzy klasy: rzeźby, rysunku i architektury, z dodatkową klasą matematyki dla architektów. Połowa większa uczniów, licząca od 12 do 17 lat wieku znajduje pomieszczenie na trzech obowiązkowych kursach, stanowiących elementarne klasy rysunku. Kursa te obejmują wykład geometryi w poniedziałki i czwartki, wykład rysunku figur we wtorki i piątki i wykład rysunku ornamentacyjnego w środy i soboty. Z klasy rysunku podług figur gipsowych (*bosse*), w któréj dopiero, podług oświadczenia dyrektora szkoły, p. Louvrier de Lajolais, rozpoznawają się zdolności uczniów, pewna liczba tych ostatnich przechodzi, drogą konkursu, do studyów z natury i podług antyków. Nadto istnieje w szkole „kurs kompozycyi" utworzony przez pana Viollet-le-Duc, i pracownia „zastosowań dekoracyjnych", mieszcząca od 20 do 25 uczniów. Uczniowie wychodzący z niéj zarabiają z łatwością i natychmiast od 1 f. 75 c. do 2 fr. na godzinę. P. de Lajolais kładzie nacisk na potrzebę łączenia nauki architektury z nauką rysunku, nawet dla dzieci przeznaczających się fachowi dekoracyjnemu, „ponieważ—mówi—niema kompozycyi dekoracyjnéj, „któraby nie była podporządkowaną pod pewną formę architektoniczną". Wielka liczba przemysłowców w Paryżu i na prowincyi dopomina się nadto o utworzenie osobnych szkół profesyonalnych sztuki dekoracyjnéj dla każdéj gałęzi przemysłu, co może zdawać się przesadzoném. Utworzone przed dwudziestu laty w Paryżu „Stowarzyszenie centralne sztuk dekoracyjnych" dąży, ze zwiększoną od lat kilku energią, do założenia: 1) biura informacyjnego dla wszystkich gałęzi sztuki dekoracyjnéj, z biblioteką i zbiorem rycin; 2) miejsca dla studyów indywidualnych, (ale nie szkoły), w dzielnicy miasta, w któréj istnieją główne zakłady przemysłowo-artystyczne; 3) muzeum na wzór istniejących w Londynie i Berlinie (South-Kensington i Kunst. Gewerbe M.)

b) *Sztuki zbytkowe. Sprzęty.*

Brakuje i w téj gałęzi szkół terminatorskich właściwych, po za szkołami rysunku, w których to jednak szkołach, zapoznając się z wymaganiami każdego rodzaju fabrykacyi, wdrażanymi są uczniowie do przedstawiania a nawet komponowania odpowiednich przedmiotów. Istnieją przytém w Paryżu specyalne szkoły stolarstwa

sprzętowego, tapiceryi, złotnictwa, biżuteryi, oraz dwie szkoły powoźnicze, założone jedna przez fabrykantów, druga przez robotników, i uczące nietylko rysunku ale i budowy powozów oraz pracy ręcznéj. Szkoły municypalne wieczorne posiadają modele zastosowane do stolarstwa, snycerstwa, ornamentyki wypukłéj; inne wszelako kategorye przemysłu, w téj gałęzi, poprzestają na kształceniu robotników przy warsztatach, z uczęszczaniem od czasu do czasu do szkoły rysunku. Wyjątkowe miejsce zajmują: 1) Szkoła złotnicza założona przez znany dom Christofle et C-ie, będąca prawdziwą szkołą terminatorską, a nie zostawiająca nic do życzenia pod względem czy to inteligentnéj praktyki rzemiosłowéj, czy umiejętnego rozwijania uzdolnień artystycznych, czy wreszcie dbałości o potrzeby życiowe uczniów. 2) Podjęta przez p. Lemoine w Paryżu także i szczęśliwie przeprowadzona organizacya nauki terminatorskiéj oraz wykładów profesyonalnych dla dzieci przeznaczających się fachowi stolarskiemu. Nauka terminatorska odbywa się u rozmaitych fabrykantów za kontraktem, przyjętym przez „Towarzystwo opieki“, ustanowione *ad hoc*, i pod jego nadzorem. Wykłady obejmujące lekcye rysunku, geometryi, perspektywy, a nawet lekcye budowy sprzętów z narzędziami w ręku, udzielane są wieczorami w osobnéj szkole, któréj municypalność udzieliła subwencyą roczną w kwocie 6,000 franków. Nadto ustanowione zostały konkursa dla terminatorów od lat 18 do 21, podzielonych na kategorye podług lat odbytéj nauki terminatorskiéj. Dla wykonania prac konkursowych, ubiegający się o nagrodę posyłani są do obcych sobie warsztatów. Nagrody składają się z książeczek kasy oszczędności, narzędzi fachowych i książek odnoszących się do nauki rysunku i architektury. Liczba stających do konkursu wynosi przeciętnie 250 na rok; w roku 1874 doszła do 353. — W szkole powoźnictwa, założonéj przez fabrykantów w r. 1874, wykłady otwarte dla wszystkich, przy drobnéj opłacie, odbywają się każdego wieczora od ósméj do dziesiątéj i od 1 października do 30 kwietnia, z kursem trzechletnim i dziesięcioma godzinami pracy ręcznéj tygodniowo. Obejmują dwa wydziały odrębne: *a)* kowalstwa, ślusarstwa, kołodziejstwa i t. d.; *b)* stolarstwa. Specyalność wykładów uznaną została przez fabrykantów za niezbędną, a oznajamianie uczniów ze wszystkiemi gałęziami fabrykacyi za zbyteczne.

c) *Odzież i tapicerstwo (Arts Vestiaires).*

Nie wiele stosunkowo zrobiono na tém polu. Oprócz znanéj szkoły gobelinów i szkoły dywanów w Aubusson, zaznaczyć się dają tylko trzy szkoły koronek, trzy szkoły kwiatów, po jednéj szkole pa-

samanteryi, krawiecczyzny i gorsetów w Paryżu, będące właściwemi szkołami terminatorskiemi i kilka wykładów specyalnych w Nimes, Saint-Quentin, Reims, Roubaix, Flers, Elbeuf i Amiens.

d) *Sztuki graficzne.*

Brakuje tu zgoła szkół właściwych. W niektórych wszelako zakładach drukarskich i sztychowniczych, mianowicie w drukarni narodowéj i w drukarniach należących do rozmaitych stowarzyszeń naukowych, dzieci doświadczają osobliwéj opieki, odbywają prawdziwą naukę terminatorską i nabywają nierzadko nadzwyczajnéj biegłości. To samo ma miejsce w wielkim zakładzie p. Mame w Tours. W Paryżu izby syndykalne otworzyły pewną liczbę wykładów wieczornych. W gałęzi zaś papiernictwa i introligatorstwa *(cartonage)* utworzone zostały konkursa, dające na małą skalę dobre rezultaty.

Zamykamy niniejszy zbyt treściwy przegląd zestawieniem danych, które zebrać nam się udało odnośnie do nauki rysunku, osobne w organizacyi wykształcenia technicznego trzymającéj miejsce, bo osobliwą od lat kilku otoczonéj pieczołowitością i postawionéj dziś już na wysokim, nigdzie indziéj podobno nie osiągniętym dotąd stopniu rozwoju.

W Paryżu. Nauka początkowa (1-go stopnia) udzielana jest w 169 szkołach elementarnych dla chłopców i 152 szkołach elementarnych dla dziewcząt. Cztery godziny tygodniowo. Wzory gipsowe. Wykład przez nauczycieli i nauczycielki specyalne, opatrzone dyplomami. Dla nauki wyższéj (2-go stopnia) istnieją najpierw wykłady zwyczajne *(cours d'adultes ordinaires)*, a mianowicie: czterdzieści i jeden wykładów rysunku artystycznego, uczęszczanych przez dwa tysiące trzysta czterdziestu czterech uczniów i dwadzieścia dwa wykłady rysunku geometrycznego z ośmioma set czterdziestoma trzema uczęszczającymi. Następnie, pięć wykładów wyższych, obejmujących naukę: rysunku artystycznego, ornamentyki i figur, rysunku geometrycznego, rzeźby, kompozycyi dekoracyjnéj, rysunku z natury i anatomii. Nie na tém koniec. Pod nazwą „Szkół municypalnych subwencyonowanych“ pewna liczba instytucyi poświęcona jest kształceniu młodzieży, odbywającéj praktykę terminatorską lub pracującéj już fachowo. Należąca do téj kategoryi Szkoła przy ulicy Sainte-Elisabeth, opatrzona w doskonałe wzory ornamentacyjne, przyjmuje więcéj niż 300 uczniów, przeznaczających się rozmaitym gałęziom produkcyi przemysłowo-artystycznéj, którzy jednak — co staje się ze strony bardzo poważnych sędziów

przedmiotem zarzutu — odbierają naukę artystyczno-techniczną *ogólną*, bez żadnego specyalnego kierunku. Dodajmy specyalne wykłady rysunku we wszystkich szkołach pośrednich, przygotowawczych i wyższych, w znacznéj liczbie zakładów przemysłowych, osobną „Szkołę narodową rysunku dla dziewcząt“, któréj Rosa Bonheur była niegdyś dyrektorką i t. d., a uzyskamy niewątpliwie wysokie wyobrażenie o rozwoju tego działu naukowego i uzyskanych w tym kierunku rezultatach.

Na prowincyi. Podług ankiety, przed niedawnym czasem zarządzonéj przez ministeryum oświaty, znajduje się w rozmaitych miejscowościach 140 szkół specyalnych rysunku, przeznaczonych osobliwie dla dzieci robotników z 233 nauczycielami i 13,000 uczniów. Nadto ta sama ankieta zaznacza 111 szkół rysunku, przyłączonych do szkół elementarnych, która to cyfra jest bezsprzecznie daleko niższą od rzeczywistéj.

Mimo téj okazałéj całości, odzywają się jeszcze liczne żądania dalszych postępów na téj drodze i wykazywane są liczne niedostatki. Specyaliści utyskują przedewszystkiém na zbyt artystyczny i przemysłowym zastosowaniom niedość miejsca zostawiający kierunek wykładu we wszystkich szkołach. Na prowincyi zwłaszcza, za sprawą profesorów, „chorujących uniwersalnie na wielką sztukę“, rysunek figur i „akademii“ usuwa całkiem na bok bardziéj pożądane dla większéj liczby uczniów formy rysunku geometrycznego z węgielnicą i cyrklem. Dzieje się to do pewnego stopnia i w Paryżu samym. Inni przemawiają za więcéj specyalném zastosowaniem wykładu do rozmaitych gałęzi przemysłu, dla udzielenia kształcącéj się gwoli praktycznemu celowi młodzieży większego bodźca, to znowu za przedłużeniem wykładów. Wspomniany już dyrektor Szkoły paryskiéj sztuk dekoracyjnych, pan Louvrier de Lajolais, oświadcza, iż za wyjątkiem rzadko trafiających się uzdolnień, wykształcenie dobrego rysownika lub modelownika wymaga od 5 do 6 lat. Najliczniejszemi są głosy, żądające stałego połączenia wykładu rysunkowego z zastosowaniami praktycznemi, podług systematu praktykowanego w niektórych zakładach przemysłowych i w niektórych szkołach profesyonalnych, np. w paryskiéj „Szkole rysunku dla biżuteryi i przemysłów z biżuteryą związek mających.“ Dzieci uczęszczające do téj szkoły wykonywują w warsztatach, w których znajdują zajęcie, rysunki opracowane w szkole. „Trzeba — mówi p. Ninet, dyrektor szkoły — ażeby sztuka dostawała się do warsztatów, niesiona przez drobne rączęta terminatora.“ Znajdując korzyść dla siebie w téj artystycznéj importacyi, fabrykanci zawiązują chętnie bliższe ze szkołą stosunki, nierzadko uczęszczają sami do

niéj. Ztąd zachęta udzielona uczniom a także i wydoskonalenie produkcyi. Pokuszono się także o wyzyskanie w téj gałęzi wykształcenia praktyki konkursów, dodatniemi rezultatami w innych gałęziach wywdzięczającéj się, bez pomyślnego jednak dotąd skutku, co się tłómaczy przyczynami, których wyłuszczenie zbyt wiele zabrałoby tutaj miejsca.

Podajemy naostatek sumaryczną nomenklaturę wszystkich instytucyi naukowych technicznych, istniejących na terytoryum francuskiém, o ile powziąć się nam powiodło wiadomość o nich, podług alfabetycznego porządku departamentów.

W departamentach:

Ain, w mieście *Bourg:* „Szkoła profesyonalna dla chłopców", — „Wykłady wieczorne" nauk zastosowanych do przemysłu.

Aisne, w *St.-Quentin:* 3 „Szkoły terminatorskie" (nauka praktyczna przędzenia, haftu i szycia bielizny), — 6 zakładów wyższego technicznego wykształcenia.

— w *Bohain:* 1 „Szkoła terminatorska" z warsztatami.

Hautes-Alpes, w *Briançon:* „Wykłady rysunku raz na tydzień."

Alpes Maritimes, w *Nicei:* 1 „Szkoła terminatorska" ze 150 uczniami (w ochronce świętego Piotra).

Ardennes, w *Sedan:* 1 „Szkoła terminatorska" z 20 uczniami (nauka przędzenia).

Aube, w *Troyes:* 1 „Szkoła handlowa" z 440 uczniami,—1 „Szkoła municypalna" rysunku i architektury, — „Wykłady fizyki i chemii zastosowanéj do przemysłu", uczęszczane przez 53 uczniów, — „Wykłady prawa handlowego", uczęszczane przez 25 uczn.

— w *Bar-sur-Seine:* „Wykłady" rysunku zastosowanego do przemysłu, uczęszczane przez 63 uczniów.

— w *Nogent:* takież (liczba uczęszczających nieznana).

Aveyron, w *Rodez:* 1 „Szkoła rysunku".—1 „Szkoła rysunku zastosowanego do przemysłu."

Bouches du Rhône, w *Marsylii:* 1 „Szkoła handlowa wyższa" (114 uczniów), — 4 szkoły profesyonalne, z których jedna dla dziewcząt, — „Wykłady rysunku" w 4 szkołach elementarnych,—„Wykłady wieczorne" geografii, ekonomii politycznéj, prawa handlowego i t. d.

— w *La Ciotat:* 1 „Szkoła profesyonalna municypalna."

— w *Aix:* 4 „Szkoły profesyonalne", — 1 „Szkoła rysunku zastosowanego do przemysłu (360 uczniów), — Szkoła sztuk i rzemiosł.

Calvados, w *Caen:* w Szkole elementarnéj wyższéj nauka rzemiosł praktyczna, z pracą ręczną na warsztatach, — „Wykłady municypalne rysunku i rzeźbiarstwa."

— w *Bayeux:* 1 Szkoła dla dziewcząt przeznaczających się do robót koronkowych (upadająca).

— w *Lisieux:* 1 Szkoła municypalna rysunku (z warsztatami, 80 uczniów),—„Wykłady umiejętności handlowéj."

— w *Vire:* „Wykłady arytmetyki, rysunku zastosowanego do przemysłu i do sztuk pięknych i chemii zastosowanéj do przemysłu."

Charente, w *Angoulême:* „Wykłady rysunku zastosowanego do przemysłu, fizyki i chemii" (372 uczęszczających), — „Wykłady ekonomii politycznéj."

Charente-Inférieure, w *La-Rochelle:* „Szkoła rysunku" (130 uczniów).

Cher, w *Bourges:* „Wykłady rysunku zastosowanego do przemysłu w Szkole sztuk pięknych",— „Wykłady fizyki i chemii",—„Praca ręczna" w Szkole wyższéj elementar.

Cher, w *Vierzon*: 1 „Szkoła profesyonalna."

Côte d'Or, w *Dijon*: 1 „Szkoła profesyonalna", — „Wykłady rysunku zastosowanego do przemysłu" w Szkole sztuk pięknych, — „Wykłady robót ręcznych" w Szkole normalnéj dla nauczycieli, oraz wykłady bezpłatne i publiczne rozmaitych przedmiotów związek z przemysłem mających.

Creuse, w *Aubusson*: 1 „Szkoła sztuk pięknych zastosowanych do przemysłu" (30 uczniów).

Dordogne, w *Périgueux*: 1 „Szkoła municypalna rysunku" z warsztatami (250 uczniów).

Doubs, w *Besançon*: 1 „Szkoła municypalna zegarmistrzostwa" (27 uczniów).

— w *Beaume-les-Dames*: „Wykłady rysunku zastosowanego do przemysłu" (30 uczęszczających).

— w *Montbéliard*: takież (12 uczęszczających).

— w *Pontarlier*: 1 Szkoła municypalna rysunku przy gimnazyum (15 uczniów).

Eure, w *Evreux*: 1 „Szkoła profesyonalna" (40 uczniów).

Eure-et-Loir, w *Anet*: 1 Szkoła zegarmistrzostwa (8 uczniów).

— w *La Loupe*: „Nauka pracy ręcznéj na warsztatach" przy Szkole element. wyższéj.

— w *Chartres*: „Wykłady" rysunku i innych przedmiotów związek z przemysłem mających.

Finistèrre, w *Morlaix*: 1 „Szkoła municypalna profesyonalna rysunku."

— w *Carhaix*: „Pracownia profesyonalna" przy szkole elementarnéj dla chłopców (20 uczniów).

— w *Châteauneuf*: takaż (20 uczniów).

— w *Brest*: 2 „Szkoły początkowe marynarki (350 uczniów), — „Skoła mechaników okrętowych", — „Towarzystwo współzawodnictwa" (654 uczestników).

Gard, w *Nîmes*: 1 „Szkoła fabryczna" (30 uczniów) i „Wykłady" rysunku zastosowanego do przemysłu, stolarstwa i ślusarstwa.

Haute-Garonne, w *Toulouse*: 1 „Szkoła rysunku zastosowanego do przemysłu" przy szkole sztuk pięknych; nauka pracy ręcznéj przy szkole elementarnéj dla dziewcząt; szkoła profesyonalna z terminowaniem na zewnątrz przy ochronce księdza Julien i „Wykłady" wieczorne ciesielstwa (teoretyczne i praktyczne).

Gers, w *Auch*: 1 „Szkoła rysunku zastosowanego do przemysłu" (25 uczniów).

Gironde, w *Bordeaux*, 1 „Szkoła wyższa handlu i przemysłu" z dwoma godzinami pracy ręcznéj dziennie (79 uczniów) i „Wykłady" urządzane przez Towarzystwo filomatyczne (nauk, języków obcych, rysunku), dla płci obojéj (200 uczęszczających).

Hérault, w *Beziers*: „Pracownie" przy Szkole elementarnéj wyższéj.

Ille et Villaine, w *Rennes*: „Wykłady" rzeźbiarstwa, rytownictwa, malarstwa przy Szkole sztuk pięk. (500 uczęszczających) i „Praca ręczna" w Szkole elementarnéj wyższéj.

Indre et Loire, w *Tours*: „Nauka rysunku zastosowanego do przemysłu" (z pracownią) przy Szkole sztuk pięk. (260 uczniów) i „Wykłady" rysunku i malarstwa na szkle.

— w *Chinon*: „Wykłady" rysunku zastosowanego do sztuk pięknych i do przemysłu.

Isère, w *Grenoble*: Szkoły: odlewów artystycznych (118 uczniów), rzeźby architektonicznéj (110 uczniów), rysunku (z pracownią—90 uczniów), stereotomii (30 uczniów) i „Szkoła profesyonalna" (560 uczniów) błędnie jednak nazwana têm imieniem.

— w *Voiron*: 1 „Szkoła przygotowawcza" do pracy przy drzewie i żelazie z $2^1/_2$ godzinami robót ręcznych dziennie.

— w *Vienne*: 1 „Szkoła przemysłowa" (nauka teoretyczna o tkaninach i praktyczna początków sztuki tkackiéj (z pracownią).

Jura, w *Dôle*: 1 „Szkoła municypalna rysunku zastosowanego do przemysłu."

Loire, w *St-Etienne*: 1 „Szkoła profesyonalna" z 2 do 5 godzinami pracy ręcznéj dziennie (60 uczniów), — 1 „Szkoła municypalna tkactwa" z 1 godziną pracy ręcznéj dziennie po za szkołą (70 uczniów).

Loire, w *St.-Chamond*: 2 „Szkoły profesyonalne“ dla chłopców i dla dziewcząt (80 uczniów i 25 uczenic) z 2 do 5 godzinami pracy ręcznéj dziennie.

Loir et Cher, w *Origain*: „Roboty ręczne“ w Szkole elementarnéj wyższéj.

Haute-Loire, w *Le-Puy*: 2 „Szkoły municypalne profesyonalne“ z nauką w jednéj z nich rysunku zastosowanego do przemysłu i pracownią.

Loire-Inférieure, w *Nantes*: 1 „Szkoła municypalna profesyonalna“ (310 uczniów),— 1 „Szkoła przemysłowa“ dla terminatorów (15 godzin wykładu tygodniowo z pracą ręczną—105 uczniów),— „Wykłady“ nauk zastosowanych do przemysłu, urządzane przez Stowarzyszenie politechniczne (280 uczęszczających,—„Zakład Livet“ (szkoła terminatorska, profesyonalna, nauk zastosowanych do przemysłu, osobliwie zaś zegarmistrzostwa i mechaniki okrętowéj—400 uczniów).

— w *Saint-Nazaire*: „Szkoła profesyonalna“, — „Wykłady“ nauk zastosowanych do przemysłu i handlu, urządzane przez Stowarzyszenie politechniczne.

Loiret, w *Orléans*: 1 „Szkoła municypalna profesyonalna“ (30 uczniów), — „Wykłady“ nauk zastosowanych do przemysłu, urządzane przez miasto (200 uczęszczających).

— w *Montargis*: takież przy gimnazyum (50 uczniów).

Maine-et-Loire, w *Angers*: „Wykłady“ rysunku profesyonalnego i prawa handlowego,— Szkoła profesyonalna, — Szkoła państwowa sztuk i rzemiosł.

Manche, w *St.-Lô*: „Wykłady municypalne“ rysunku, z pracownią (50 uczęszczających).

— w *Avranches*: „Wykłady“ rysunku zastosowanego do przemysłu, z pracownią (16 uczęszczających).

— w *Granville*: takież (30 uczęszczających) oraz „Szkoła hydrografii“, przygotowawcza (15 uczniów).

— w *Contances*: „Szkoła municypalna“ rysunku (35 uczniów) z pracownią.

— w *Cherbourg*: Szkoła rysunku zastosowanego do marynarki.

Marne, w *Reims*: „Szkoła profesyonalna“ (115 uczniów), — „Wykłady“ nauk zastosowanych do przemysłu i handlu, urządzane przez Towarzystwo przemysłowe (277 uczęszczającyeh), — „Wykłady municypalne“ rysunku, z pracownią (55 uczęszczających), — „Wykłady profesyonalne“ budownictwa (350 uczęszczających),— „Praca ręczna“ przy szkole elementarnéj.

— w *Chalons*: „Szkoła profesyonalna“ (*Institution Gosserez*—250 uczniów).

Haute-Marne, w *Joinville*: „Szkoła municypalna profesyonalna.“

Meurthe-et-Moselle, w *Nancy*: „Szkoła municypalna i okręgowa sztuk pięknych“, z nauką rysunku, ale raczéj artystycznego (120 uczniów),—„Szkoła profesyonalna“ przy Szkole elementarnéj wyższéj (20 uczniów), — „Szkoła profesyonalaa prywatna“, z 2 godzinami pracy ręcznéj dziennie (120 uczniów), — „Wykłady nauk zastosowanych do przemysłu, urządzane przez „Cercle du Travail“ (90 uczęszczających),— „Szkoła municypalna terminatorska“ dla dziewcząt (7 godzin pracy ręcznéj dziennie—60 uczenic), — „Szkoła prywatna profesyonalna dla dziewcząt (8 godzin pracy ręcznéj dziennie—70 uczenic).

— w *Luneville*: „Wykłady“ rysunku i malarstwa ozdobnego na fajansie (50 uczniów).

— w *Baccarat*: Wykłady rysunku w miejscowéj fabryce szkła.

Meuse, w *Bar-le-Duc*: „Wykłady“ nauk zastosowanych do przemysłu, — „Wykłady“ rysunku dla terminatorów i robotników.

Nievre, w *Nevers*: „Szkoła profesyonalna“ (120 uczniów),—Szkoła municypalna rysunku i matematyki, z nauką stosowania sztuk pięknych do przemysłu (140 uczniów),— Szkola sztuk i rzemiosł.

Nord, w *Lille*: „Instytut przemysłowy“ (120 uczniów), — „Wykłady“ rysunku zastosowanego do przemysłu w „Szkołach Akademicznych“, — „Wykłady“ handlu urządzane przez „Towarzystwo przemysłowe północne.“

Nord, w *Roubaix*: „Szkoła profesyonalna (Institut Turgot — 160 uczniów)— „Szkoła narodowa sztuk zastosowanych do przemysłu," z wykładem rysunku i pracownią.
— w *Armentieres*: „Szkoła narodowa nauczania początk. wyższego i prefesyonalnego."
— w *Cambrai*: „Wykłady" rysunku zastosowanego do przemysłu (250 uczęszczających).
— w *Le Cateau*: takież (30 uczęszczających).
— w *Douai*: „Szkoły akademiczne i profesyonalne" (75 uczniów).
— w *Valenciennes*: „Szkoły akademiczne" z przyłączonemi wykładami normalnemi (375 uczniów).
— w *Anzin*: „Wykłady" rysunku zastosowanego do przemysłu urządzane przez gminę (35 uczęszczających).
— w *Avesnes*: takież (20 uczęszczających).
— w *Maubeuge*: takież (25 uczęszczających).
— w *Hautmont*: „Wykłady" publiczne rysunku naśladowczego (dessin d'imitation— 100 uczęszczających).
— w *Fourmies*: Szkoła wyższa i profesyonalna, — Wykłady nauk zastosowanych do przemysłu.
— w *Coursolie*: „Szkoła municypalna" rysunku zastosowanego do przemysłu (40 uczniów).

Oise, w *Beauvais*: „Wykłady" rysunku liniowego i ornamentacyjnego (80 uczęszczających).
— w *St. Geneviève*: „Wykłady" rysunku artystycznego i zastosowanego do przemysłu (60 uczęszczających).
— w *Compiègne*: „Wykłady" rysunku i geometryi praktycznéj (80 uczęszczających).
— w *Creil*: Wykłady rysunku urządzone przez Municypalność (30 uczęszczających).
— w *Senlis*: takież (25 uczęszczających).

Oran, w *Oran*: „Szkoła prywatna profesyonalna" (p. Antoine).

Orne, w *Flers*: „Szkoła przemysłowa municypalna" (14 uczniów).
— w *Laigle*: „Szkoła profesyonalna prywatna" (12 uczniów).

Pas-de-Calais, w *Boulogne*: „Szkoła terminatorska" (*Ecole manuelle d'apprentissage*, 20 uczniów.), — „Wykłady" rysunku artystycznego i zastosowanego do przemysłu (240 uczęszczających).
— w *Calais*: „Akademia rysunku", z wykładem rysunku zastosowanego do przemysłu (95 uczęszczających).
— w *St. Pierre*: „Szkoła sztuki ornamentacyjnéj i sztuk zastosowanych do przemysłu" (345 uczniów).
— w *St. Omer*: Szkoła Sztuk Pięknych (200 uczniów).
— w *Arras*: Szkoła municypalna rysunku zastosowanego do przemysłu (200 uczniów).

Puy de Dôme: w *Cler.-Ferrand*: „Szkoła municypalna Sztuk pięknych i Sztuk i rzemiosł" (300 uczn.), — „Wykłady" prawa handlowego i zwyczajowego (80 uczęszczających).
— w *Volvic*: „Wykłady" budownictwa (15 uczęszczających).

Basses-Pyrénées, w *Bayonne*: „Szkoła gminna rysunku i malarstwa"— „Wykłady" wieczorne dla terminatorów, robotników i urzędników.
— w *Arudy*: Szkoła profesyonalna.

Hautes-Pyrénées, w *Tarbes*: „Wykłady" rysunku zastosowanego do przemysłu, rzeźbiarstwa i modelowania (urządzane przez miasto).
— w *Bagnères*: takież

Pyrénées-Orientales, w *Perpignan*: „Wykłady" nauk zastosowanych do przemysłu, urządzane przez „Stowarzyszenie Politechniczne" (635 uczęszczających); Szkoła rysunku zastosowanego do przemysłu (wykłady poranne — 45 uczniów).

Rhône, w *Lyon*: „Szkoła Centralna" (50 uczniów), — „Szkoła wyższa handlowa i Szkoła tkactwa" (80 uczniów), — „Szkoła La Martiniere", dla chłopców, i dla dziewcząt

z nauką robót ręcznych (300 uczniów), — „Szkoła rachunkowości“ (dla kobiet, 100 uczennic).

Haute-Saône, w *Vésoul*: „Szkoła municypalna rysunku zastosowanego do przemysłu,“ z pracownią (75 uczniów).

— w *Lure*: „Wykłady“ rysunku, id. (50 uczęszczających).

— w *Luxeuil*: takież (19 uczęszczających), — „Szkoła profesyonalna“ od terminatorstwa aż do nauk wyższych.

Saône-et-Loire, w *Autun*: „Szkoła profesyonalna“ przy gimnazyum (92 uczniów).

— w *Le Creusot*: „Szkoła profesyonalna“ prywatna (PP. Schneider et C-ie—230 uczn.).

Sarthe, w *Le Mans*: „Szkoła wyższa i profesyonalna miejska,“ — 2 „Wykłady“ sztuki kamieniarskiéj (25 uczęszczających), — „Wykłady“ nauki handlowéj urządzane przez stowarzyszenie Rachmistrzów, i „Wykłady“ rysunku zastosowanego do przemysłu (40 uczęszczających).

— w *Sablé*: „Pracownia“ przy gimnazyum gminnem.

— w *Château-du-Loir*: „Szkoła profesyonalna“.

Savoie, w *Chambéry*: „Szkoła telegrafistów“ (12 uczniów), — „Szkoła handlowa“.

Haute-Savoie, w *Cluses*: Szkoła rządowa zegarmistrzostwa.

— w *Chamonix*: „Fabryka—szkoła“ zegarmistrzostwa (9 uczniów).

— w *Thones*: takaż (18 uczniów).

— w *Sallanches*: „Szkoła zegarmistrzostwa“ (8 uczniów).

— w *Annecy*: „Wykłady“ rysunku zastosowanego do przemysłu i ornamentacyjnego (20 uczęszczających), — „Szkoła Profesyonalna“.

— w *Eviau-les-Bains*: Nauka rysunku zastosowanego do przemysłu w szkole początk.

Sekwany, w *Paryżu*: Dla chłopców i mężczyzn dorosłych:

Nauka ogólna.

Szkoły elementarne z pracowniami.

Szkoły elementarne wyższe z pracą ręczną.

Szkoły rysunku dla terminatorów.

Szkoły terminatorskie.

Szkoła municypalna Diderot (240 uczniów)

— — chemii i fizyki (90 uczniów).

— zegarmistrzostwa (50 uczniów).

— drukarska (Drukarnia Chaix—130 uczniów).

— profesyonalna ś-go Mikołaja (250 uczniów).

— drukarska (Drukarnia Lemaire—30 uczniów).

Zakład p. Rimay, drukarza (20 uczniów).

Szkoła p. Joly (fabrykacyi istrumentów dokładnych—6 uczniów).

Ochronka ks. Roussel (280 uczniów).

Szkoły z pracowniami na zewnątrz.

Szkoła profesyonalna dla Izraelitów (25 uczniów).

— — przy ulicy des Dames (70 uczniów).

Wykłady wieczorne.

Wykłady urządzane przez: stowarzyszenia politechniczne i filotechniczne.

— — Izbę Syndykalną powoźników (80 uczęszczających).

— — Stowarzyszenie stolarskie (140 uczęszczających).

Nauka rysunku zastosowanego do przemysłu.

w 63 szkołach elementarnych i elementarnych wyższych (3,200 uczniów).

na 2 wykładach specyalnych.

na wykładach urządzonych przez Izbę syndykalną jubilerów (100 uczniów).

w Szkole profesyonalnéj pozłotniczéj (100 uczniów).

w Szkole stolarskiéj i tapicerskiéj (20 uczniów).
w 2 Szkołach stolarskich specyalnych (*menuiserie en bâtiment*) (77 uczniów).
w Szkole kamieniarskiéj (40 uczniów).

Nauczanie wyższe.
Szkoły Rządowe rozmaite.
Szkoła specyalna architektoniczna (100 uczniów).

Nauka handlu.
w Szkołach elementarnych i elementarnych wyższych.
na 4 Wykładach specyalnych (950 uczęszczających).
na Wykładach p. Bamberger, w 9 okręgu, (706 uczęszczających).
na Wykładach „Zjednoczenia narodowego handlu i przemysłu" (450 uczęsz.).

Szkoły handlowe.
Szkoła Handlowa (500 uczniów).
Szoła Handlowa wyższa.
Szkoła Nauk Hadlowych wyższych (75 uczniów).

Dla dziewcząt:

Nauka ogólna.
Szkoły profesyonalne i Wykłady wyższe z pracą ręczną.

Szkice terminatorskie.
Szkoły profesyonalne i gospodarcze (*ménagères*) (1430 uczennic).
Wykłady krawiecczyzny (100 uczennic),
Ochronka przy ulicy Jouvenet (30 uczennic).
8 Pracowni utrzymywanych przez zakonnice.
2 Pracownie protestanckie.

Nauka profesyonalna.
4 Szkoły profesyonalne imienia Lemonnier (500 uczennic).
3 Szkoły profesyonalne inne.

Nauka rysunku.
w Szkołach elementarnych i elementarnych wyższych.
na 14 Wykładach specyalnych.

Nauka handlu.
na 13 Wykładach specyalnych (250 uczennic).
na wykładzie rachunkowości w zakładzie Malmanche.

Seine-et-Marne. *Manteozain*: „Szkoła profesyonalna" (40 uczniów).
— w *Villency*: także przy Szkole elementarnéj wyższéj (11 uczniów).

Seine-et-Oise, w *Wersalu*: „Pracownie" przy „Szkołach municypalnych" (275 uczniów). Szkoła stolarstwa dla ubogich dzieci,—Szkoła profesyonalna prywatna, imienia p. Bertrand (130 uczniów),—„Wykład municypalny" rachunkowości handl. (60 uczn.).
— *Argenteuil*: „Szkoła przemysłowa kapelusznictwa" (2 uczniów), — „Szkoła profesyonalna prywatna, imienia p. Fayelle" (30 uczniów).

Seine-Inférieure, w *Rouen*: „Szkoła handlowa i przemysłowa" (świeżo zreorganizowana)— „Szkoła Terminatorska" dla chłopców z 6 godzinami pracy ręcznéj dziennie (80 uczniów), — „Szkoła Terminatorska" dla uczennic, — „Szkoła wyższa i profesyonalna", z dwoma godzinami pracy ręcznéj dziennie (195 uczniów), — „Wykłady publiczne" urządzane: przez „Towarzystwo Współzawodnictwa" (600 uczęszczających), przez Stowarzyszenie Handlowe, przez Municypalność (200 uczęszczających), „Wykłady rysunku zastosowanego do przemysłu" (25 uczęszczających), — „Wykłady" „Towarzystwa Wzajemnéj Przezorności urzędników" (36 uczęszczających).
— w *Le Havre*: „Szkoła wyższa handlowa" (35 uczniów) — „Szkoła Terminatorska" dla chłopców z 6 godzinami pracy ręcznéj dziennie (160 uczniów), — „Szkoła Ter-

minatorska" dla dziewcząt (140 uczennic) — Szkoła profesyonalna prywatna dla dziewcząt (90 uczennic) — „Szkoła profesyonalna mechaniki okrętowéj".

— w *Montivilliers*: „Szkoła professyonalna" (60 uczniów).

— w *Dieppe*: „Szkoła rysunku zastosowanego do przemysłu" (80 uczniów) — „Wykłady" publicz. i bezpłatne nauk zastosowanych do przemysłu (20 uczęszczających).

— w *Fécamp*: „Szkoła municypalna rysunku", — „Szkoła profesyonalna hydrograficz."

— w *Elbeuf*: „Wykłady" nauk zastosowanych do przemysłu, urządzane przez „Towarzystwo Przemysłowe" (45 uczęszczających) — Szkoła profesyonalna przędzenia i tkactwa."

— w *Martainville-Rouen*: „Wykłady nauk zastosowanych do przemysłu".

— w *Bolbec*: „Szkoła profesyonalna przędzenia, tkactwa i handlu."

Deux-Sevres, w *Niort*: „Wykłady" sztuki kamieniarskiéj i ciesielskiéj, — „Wykłady" rysunku zastosowanego do przemysłu w Szkołach elementarnych.

Somme, w *Amiens*: 13 Wykładów publicznych nauk zastosowanych do przemysłu, pod kierunkiem Stowarzyszenia Przemysłowego (600 uczęszczających).

— w *Abbeville*: „Szkoła geometryi i rysunku liniowego w zastosowaniu do przemysłu" (300 uczniów).

Tarn, w *Mazamet*: „Szkoła elementarna wyższa i profesyonalna" (40 uczniów).

Tarn-et-Garonne, w *Montauban*: „Wykłady rysunku zastosowanego do przemysłu" (80 uczęszczających).

Var, w *Toulon*: 7 godzin pracy ręcznéj tygodniowo w szkole wyższéj elementarnéj dla chłopców (200 uczniów).

— w *La Seyne*: „Szkoła elementarna wyższa i profesyonalna" z 7 godzinami pracy ręcznéj tygodniowo (63 uczniów).

Vaucluse, w *Avignon*: „Szkoła municypalna sztuk pięknych," z wykładem rysunku zastosowanego do przemysłu (420 uczniów),— Szkoła profesyonalna (upadająca).

— w *Carpentras* Szkoła rysunku graficznego i zastosowanego do przemysłu (45 uczn.).

— w *Sorgues*: takaż (30 uczniów).

Vendée, w *Luçon*: „Wykłady" o elektryczności teoretyczne i praktyczne.

— w *Sables d'Olonne*: Szkoła przemysłowa.

— w *La Roche-sur-Yon*: Wykłady dla robotników i terminatorów.

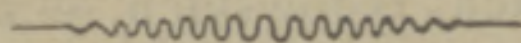
— w *Fontenay*: takież.

Haute-Vienne, w *Limoges*: „Szkoła ludowa" rysunku, geometryi, malarstwa i modelowania (zniesiona) — „Szkoła narodowa sztuki ornamentacyjnéj" — „Szkoła elementarna wyższa" — „Szkoła handlowa wyższa" — „Szkoła profesyonalna" — „Szkoła profesyonalna specyalna" (dla szewców i robiących „saboty").

Vosges, w *Epinal*: Szkoła przemysłowa (72 uczniów) — „Szkoła municypalna rysunku" z zastosowaniem do przemysłu (80 uczniów).

— w *Remiremont*: „Szkoła municypalna rysunku" takaż.

— w *Saint-Dié*: „Wykłady" rachunkowości handlowéj (15 uczęszczających).





ROMANS ANTKA GRUDY.

NOWELLA.

Pięknyż to był chłop!

Natura czasem się wysili na taki okaz między ludem.

I tu się wysiliła.

Stary Gruda był sobie ot, chłop zwyczajnie krępy, przysadkowaty, ze łbem kędzierzawym, co znamionuje zwykle siłę i zasób żywotności; Grudzina, kobiéta jak wiele innych z ładnemi modremi oczami. Bracia Antka, których było dwóch, parobczaki dosyć sobie udatni—jeden podobny do ojca, drugi trochę matkę przypominał; ale za to Antek nie przypominał nikogo, a jednak w téj twarzy streszczała się cała piękność chłopskiego typu.

Zdaje się, że natura wybrała sobie każdy szczegół co najpiękniejszy i obdarzyła nim Antka. Jednemu wzięła piękne oczy, innemu nos, tamtemu usta, owemu czoło, piękne zęby, piękne włosy, piękny owal twarzy, figurę, wzrost, ręce, nogi i t. d.

Antek był skończoną doskonałością.

I wiedział o tém ten chłopski Antinous, a że wiedział, łatwo to wpadało w oko.

Nikt z taką fantazyą nie nosił kapelusza jak Antek. A jaka to była wstęga u tego kapelusza i sprzączka — sam *fajnisty* gatunek.

Kamizolę, sukmanę i inne części ubioru kupował Antek tam, gdzie i inni, w kramicach żydowskich, — a dla czego ta kamizola na nim wyglądała inaczéj i ta kapota leżała jak ulał? bo Antek póty przymierzał, póty kalkulował z krawcem, dopóki mu tutaj coś nie przykrócił, tam znowu trochę nadsztukował, owdzie zacieśnił i tak daléj.

A owe wstęgi u koszuli Antka! Żadna z dziéwek takiéj barwy, takiéj delikatności, takiego odcienia nie miała.

Cóż dopiéro mówić o butach z misternie zgrabnemi obcasikami i podkówką tak subtelną jak trojak.

Włosy u Antka świeciły się jak jedwab', bo je smarował przetapianym smalcem.

Wąsy ostro zakończone za sprawą wosku.

Słowem, czy to wrodzoném w nim już było, czy obmyślaném, dosyć że było. A chyba musiało być wrodzoném, bo już ci takich póz, takich ruchów nie miał żaden z parobków, a przecież on się ich nie uczył i przed zwierciadłem nie studyował jak aktor.

Bywało jak stanie, rękę za pas założywszy, to go tylko malować.

Kiedy szedł, to zdawało się wszystkie muskuły w nim grają, tyle tam życia, tyle pewności w poruszeniu.

A trzeba go było widziéć w tańcu.

Z jaką gracyą połę sukmany założył na rękę, jak swobodnie, jak miękko i okrągło ujmował kibić tancerki.

A kiedy się puścił w krakowiaku, kiedy uderzył w podkówki, serce rosło.

A dziéwki co na to?

Dziéwki się go bały.

Niech która goręcéj popatrzała na niego, niech mu się uśmiechnęła figlarnie, mroził je obojętnością jakąś i chłodem, tak, że każda połknęła tylko ślinkę i nie marzyła o nim więcéj.

Była przecież jedna Magdusia, Kacpra Wojtaszka córka, najlepsza partya we wsi, choć trochę zézowata, cel zabiegów wszystkich parobków, z którą Antek częściéj przestawał... i zagadał do niéj figlarnie i podśmiewał się i wpół ją czasem objął, ale niedługo trwały te sentymenta i frazesy. Robił to dla tego, że i inni robili, potém jak gdyby zapominał i nie poznawał jéj zda się wcale.

Trafiło się, że stary Gruda ciężko zaniemógł. Koło dość obszernego gospodarstwa, bo po Wojtaszku chłop był najzamożniejszy we wsi, trzeba było skrzętnie chodzić. Jeden z synów, Walek, był w wojsku. Szymon ożeniony już na swoim chlebie w drugiéj wsi Przeganowie o dobre półtory mili od Pokrzykowa, — porał się więc stary z Antkiem i młodym parobczakiem siako-tako, ale gdy go choroba powaliła, cała pomoc i podpora w Antku tylko.

Antek był leniwy, nie każdéj roboty się imał.

Za nic na świecie nie poszedłby za pługiem. Młócić czasem młócił, zwoził zboże, siał, bronował nawet; ale niechby mu kto kazał gnoić albo iść z kosą — za nic na świecie.

A upór miał szalony. Jak powiedział: nie! to już tam nie było z nim co gadać. Stary nieraz się zamierzył nań biczyskiem, ale jak Antek stanął a popatrzał na ojca, tak mu patyk wyleciał z ręki.

Przychodziło jednak i do ważniejszych starć, tak, że nieraz i wstawiennictwo matki, która zawsze go usprawiedliwiała, nie na wiele się przydało, wtenczas Antek wychodził, trzasnąwszy drzwiami, że aż szyby z okna wylatywały i nie pokazywał się w domu po parę tygodni. Szedł do brata albo się puszczał gdzieś na wędrówkę po odpustach.

Wówczas przez kuma Jędrzeja, albo starego Pawła nakłoniony nibyto, a w rzeczy na prośby starego Grudy wracał, ale ani przepraszał, ani się usprawiedliwiał.

Taki to urok miała ta uroda chłopska nawet na najbliższych.

Stary Gruda chorował coraz cięższéj, dusiła go astma, a w dodatku nogi popuchły mu straszliwie.

Odwar bylicy zbieranéj na nowiu, z miodem i ze słoniną świeżą, który mu przyrządziła Balcerowa, nie wiele skutkował.

Nogi mu okładano liśćmi młodéj *babki* i moczono w ługu.

Jednego wieczora gorączka go zmogła tak silnie, że już zwątpili o jego życiu.

Na drugi dzień posłano po księdza do Kobylina.

Grudzina zawodziła płaczem.

Antek siedział na skrzynce i pucował kółka u pasa.

Po spowiedzi i olejach stary uczuł ulgę i zdawało się, że odzyskiwał siły.

Zeszło się trochę sąsiadów, a między niemi Kacper, ojciec Magdusi. Przepijano krupniczkiem, stary się podniósł i siadł na łóżku.

— Słuchajcie-no Kacprze—rzecze— Pan Jezus was tu do mnie sprowadził, abyśmy przed śmiercią moją postanowili to, o czém się nieraz gadało.

Antka jak gdyby coś tknęło, wziął za czapkę i wyniósł się chyłkiem z izby.

— Niby o czém? — rzekł Kacper ze źle udaną obojętnością.

— Czegóż to udajecie? Mnie tam nie wiele czasu już zostaje, aby się z wami bawić w zgadywanego — mówię o Magdusi i Antku.

— At dajcie no pokój. Antkowi to nie w głowie, a zresztą przecie ją za dworskiego fornala nie wydam.

Grudzina kiwała na niego i mrugała, ale stary Kacper nie chciał tego widzieć. Przytém był podrażniony i zirytowany.

— Co mi gadacie o jakimś fornalu?

— A no Antek się zgodził od świętego Jana na fornala do dworu.

— Baj-baju — mówi Grudzina — nie pletlibyście po próżnicy.

— Ja nie pletę, bo to prawda szczéra, opowiadał to wczoraj karbowy. Czegóż to przed ojcem robić z tego sekreta. Dworski chléb mu zapachniał, państwo mu zasmakowało, ta i woli niż ojcowiznę — głupi.

— Antek za fornala do dworu? Bodaj skamieniał! I tyś mi nic nie powiedziała Marychna? Toć musiałaś wiedzieć. Oh rany boskie! rany boskie!

I stary padł na wezgłowie.

— Jędruś!—wrzasnęła Grudzina. — I potrzeba to było wam gadać mu o tém? Najsłodsza Panienko! Jędrzéj! nie przybieraj tego do serca. To i cóż? Zgodził się to i zadatek jeszcze odda. Będzie jak zechcesz.

— Oh poganin! fornalować mu się zachciało w téj tam sodomie. Oh biegus niegodziwy, kiedy ma chleba podostatkiem na swojém. Bogdaj szczezł marnie!

— Nie przeklinaj Jędrzéj! — błagała kobiéta.

— O wyrodek, wyrodek! Gdzie on to goni, gdzie goni! Słuchajcie kumotrowie! Powiédzcie mu, że nie ma dla niego miejsca w mojéj chałupie. Mówię to wam, bo ta głupia nie posłuchałaby mojéj woli. Niech Szymon zabiera wszystko, a temu wymuskanemu paniczowi nic się nie dostanie—nic!

Stary sapał okrutnie, głos mu wydobywał się cienki, piskliwy. Oczy prawie wyłaziły z głowy.

Zanim przybiegł Szymon, syn jego najstarszy z Przeganowa, oddał Bogu ducha.

* * *

Dziwnym był ten syn chłopski, dla niego dworski fornal stanowił wyższy stopień w karyerze światowéj, aniżeli wolny gospodarz na własnym zagonie.

Ta urodziwa natura chłopa chciała błyszczeć. Może z fornala uśmiechał mu się karbowy, a potém i ekonom, kto wié, może i rządca chodził mu po głowie, umiał przecie czytać na książce i podpisać się potrafił. A choć jak rok długi do książki nie zajrzał, bo wolał na świat boży patrzéć, to przecież jakby trzeba było się poduczyć... Czemu nie? Antek wszystko potrafił.

Ale bo dziwnyż także był i ten dwór w Pokrzykowie.

Dziedzic jego, baron von Staubenburg, generał-lejtnant, przebywał ustawicznie w Petersburgu. Pani baronowa, szlachcianka, Mielnicka z domu, bawiła się ciągle z córką w Paryżu i tylko na wiosnę zaglądała, aby się zająć trochę interesami, to jest zabrać co

się dało pieniędzy i znów wyjeżdżała do męża, gdzie przebywała parę letnich miesięcy. Za nadejściem jesiennych chłodów odlatywała jak jaskółka pod ciepłe niebo.

Rządcą był niemiec, czy kurlandczyk, jakiś Banderle. Miał się dobrze, jak zwykle rządca w takim zarządzie.

Jednego roku pani baronowa nie pokazała się wcale w majątku, ale zato przyjechał pan baron z córką, Kamillą, w żałobie i francuską, panną Brion..

Pani baronowa została w Paryżu, a tą razą została już nazawsze.

Montmartre przyjęło na mieszkanie tę tułaczkę.

Panna Kamilla była pannicą już dojrzałą. Dobrego wzrostu i pięknéj budowy. Wdała się w ojca. Miała cudne niebieskie oczy, włosy ciemne i wydatne usta, a brwi ściągnięte, co znamionowało energię.

Lubiła dosiadać konia, strzelała bardzo dobrze, a często ku zgorszeniu sąsiedztwa przebierała się w męskie suknie i z flintą na ramieniu, w towarzystwie wyżła Hermesa, puszczała się w pole.

Chłopi ją podśmiewali, kobiety żegnały się, gdy ją spotkały w polu i kiwały głowami.

Panna Brion często ruszała ramionami na tę pustotę, ale częściéj śmiała się z tego i musiała tańczyć jak jéj zagra swawolna pupilka.

Były to czasy tak zwanych emancypantek. Płeć piękna marzyła o wyzwoleniu, uprawiała sport, paliła cygara i nieraz w szaleństwach starała się prześcignąć brzydką połowę.

Należało to do wielkiego tonu, a tam zwłaszcza, gdzie i siły i uroda i stanowisko społeczne były po temu, zdawało się to koniecznością.

Tych lwic nie brakło u nas wtedy.

Wreszcie trzeba było czémś się zająć.

Po uciechach Paryża zejść do cichéj Małopolskiéj wioski, kontrast to zbyt silny, aby mu się poddać. Dla rozwiniętych nerwów życiem nadsekwańskiéj stolicy trzeba było szukać wrażeń, coby odpędzić mogły nudę nieznośną.

Panna Kamilla dumnie nosiła głowę. Z pogardą patrzała na parafianki z sąsiedztwa, a młodzież traktowała jak lokajów. Powiedzieć impertynencyą, w słodki owiniętą cukierek, było jéj właściwością.

Nie taiła się i z cynizmem, którym suto przeplatała rozmowę tak, że panie starsze ze zgrozą od niéj uciekały i mówiły niestworzone rzeczy o tym domu.

Stosunki też bliższe z dworem w Pokrzykowie nigdy się nawiązać nie mogły.

Baron, zabawiwszy parę tygodni, wrócił tam gdzie go powoływały obowiązki.

Cały więc dwór stał na rozkazy téj rozkapryszonéj, wszechwładnéj, młodéj fantastki.

Działy się tam dziwne rzeczy.

Maskarady, tańce, polowania, gry, wyścigi. Każdy rozkaz spełniano bez wahania bo rozkazy to były miłe acz dziwaczne.

Gdy rządca, pisarz, ekonom, kasyer i pan Sędykowski stary kawaler, sąsiad z Rogowa okazali się niedostateczni, brano fornali i parobków.

Jednego razu przyszła pannie Kamilli myśl poubierać ich wszystkich w chłopskie suknie. Przebrała siebie, pannę Brion, dwie garderobiane, klucznicę, gospodynią i tak ten tłum wozami drabiniastemi, przystrojonemi fantastycznie, latał po wsiach, śpiéwając i szalejąc.

Wśród takiéj wędrówki zdybali Antka, wracał z miasteczka z fantazyą i podchmielony trochę.

Słyszał chłop o dziwactwach panienki i patrzył na nie nieraz ukradkiem. Śmiéchu, drwin i oburzenia całéj gminy nie podzielał, ale się poważnie zamyślał. I on by tak szalał i on by się bawił, gdyby się panem urodził.

A czyż to takie życie nie było mu do twarzy, jemu, co chyba przez jakąś pomyłkę urodził się w chłopskiéj chacie. Wówczas przeglądał się w lusterku i gładził z dumą wąsy.

Gdy nadjeżdżała ta kalwakata, Antek stanął na środku drogi, podparł się dumnie pod boki i nie myślał ustąpić.

Wozy się wstrzymały.

Panna Kamilla oczami konesera zmierzyła pięknego chłopa.

— Nie puszczę was, jeżeli mnie nie weźmiecie z sobą—krzyknął rezolutnie.

Antek wyglądał niby książe jaki przebrany w chłopską sukmanę.

Widziała go po raz pierwszy i wzięła za jakąś mistyfikacyą.

— Kto to?—spytała.

— Antek! Antek Gruda,—odezwały się głosy.

— Antek Gruda, —powtórzyła,—i z téj wsi?

— Syn starego Grudy z pod lasu.

— Niech o to jasna panienka przyjmie mnie za fornala, będę służył wiernie i pokażę, co umiem.

— Toż siadaj i wieź nas Antku Gruda.

I tak pół żartem, pół na prawdę Antek został fornalem dworskim.

* * *

Na krakowskim trakcie, o dwie wiorsty od Pokrzykowa, stała wielka karczma zwana Łysianką, zapewne od łysych piaszczystych pagórków, które się świeciły po jednéj stronie drogi i przypierały do samego budynku, podczas gdy z drugiéj strony szumiał gęsty las świérkowy.

Karczma była murowana z wielkim niegdyś zajazdem, odwiedzana w dawnych czasach przez podróżnych jadących do Krakowa, dziś słynęła tylko wielką izbą, do któréj parobcy i dziewki okoliczne zbiegały się na tany.

Cały tydzień świéciła zwykle pustką, ale niech przyszła niedziela albo święto, roiła się ludem niby odpustowy jakiś klasztór.

Na karczmie siedział żyd i dobrze się miał, bo to, co mu przyniosła każda niedziela albo święto, pokrywało niedobory dni powszednich.

Bywały nawet takie niedziele lub święta, zwłaszcza czasu żniw, że karczma, acz obszerna, nie mogła pomieścić biesiadników, wówczas to łyse pagórki pokryte były różnobarwnym tłumem chłopstwa i rozlegały się wesoło piosenki.

Jednéj takiéj niedzieli, w skwarne po południe lipca, kiedy gwar i tany huczały w karczmie na dobre, zajechał przed nią wielki wóz drabiniasty, wysłany sianem i pokryty dywanem, pełen prześlicznie wystrojonych par w krakowskie kostiumy. Wszystko to z ogniem, życiem zawodziło piosnki, śmiało się, potrącało, chichotało. Jedni siedzieli, drudzy stali w malowniczych grupach. Powoził niemi dorodny krakus i z bata walił jak z moździérza.

Cztéry konie cugowe nie wielką snać drogę przebyły, bo parskały i giziły się tak, że trzeba było nie lada ręki, żeby je utrzymać.

Mimo gwaru, jaki panował w karczmie, powybiegało wszystko na dwór jakby na dziwowisko.

— Panna! Panna z Pokrzykowa—wołały głosy.

— I Antek! Patrzcie, Antek psianoga.

— To ci wystafirkowane wszystko, niechże ich.

— Tańcować będą.

— A no to i popatrzym.

A patrzéć było na co.

Antek z powagą oddał lejce parobkowi i podał rękę pannie Kamilli, za nim poszła reszta, sunąc parami, wszyscy do karczmy.

Ta wyszlachetniona, a przecież rasowa postać chłopa, ta panna o pięknych a pełnych, prawie posągowych kształtach, stanowiło to niby legendową jakąś parę, która całéj téj ludowéj zabawie dodawała dziwnego uroku i poezyi.

Gdy się pokazali we drzwiach, muzyka nagle ucichła. Tańczące pary rozstąpiły się jakby za uderzeniem czarodziejskiéj rószczki.

Stanęli na środku izby.

Antek poprawił pasa, czapkę na bakier nasunął, objął w pół tancerkę—panna Kamilla z wdziękiem położyła mu rękę na ramieniu a on krzyknął:

— Krakowiaka!

— I wszyscy, jak tu stoicie za nami,—dodała panna Kamilla.

Ozwał się krakowiak, ozwała się piosnka Antka, powtarzana chórem przez wszystkich, i rozpoczęły się tany.

Z razu chłopskie *hetki* nie śmiało łączyły się z parami *cugowemi*, ale Antek to przecie chłop, to ich krew z krwi, kość z kości, pociągnął najnieśmielszych.

— Walek!—wołał,—Bartosz! Jędrzej! Grzegórz! a dalejże!

Okna karczmy i drzwi natłoczyły się ciekawymi.

W izbie zrobiło się gorąco.

Przetańczono krakowiaka.

— Poloneza! — zawołał Antek — i muzyka na dwór, a my za niemi.

Muzyka zagrała poloneza i wyszła z nim z karczmy a wszystkie pary podążyły za nią na łyse pagórki, gdzie już stały nakryte stoły z jedzeniem i piciem.

Karczma opustoszała.

Panna Kamilla sadzała do stołu biesiadników.

Przy każdéj przebranéj chłopce, która świeciła niby róża woniejąca wobec tych polnych bławatków, sadzała parobka, a przy dziéwkach swoich przebranych oficyalistów.

Antek niby podczaszy nalewał a nalewał i raczył bracię.

Muzyka im przygrywała a zachodzące słońce złotym odblaskiem rumieniło tę dziwną ucztę.

* * *

Stary Gruda spoczął na mogiłkach, Szymon objął Antkową spuściznę i gospodarzył.

Antek zapomniał o domu i o swoich.

Bo i jak nie zapomniéć, kiedy tu każdy dzień coś nowego przynosi, a te nowości wszystkie takie, że się mało serce do nich nie rostopi.

Antek niby zgodzony za fornala, na oczy nie widział swojéj fornalki, ale zaraz na drugi dzień mianowała go panna Kamilla stangretem, a starego forysia Jędrzeja degradowano do sieczkarni.

Był to stary żołnierz z 30-go roku, artylerzysta. Starzec krzepki ale trochę głuchy, wzrok za to miał znakomity tak, że zdawało się przez mury widzi wszystko.

Gdy mu przyniesiono wyrok ze dworu popatrzał na Antka ciekawie, potém rzekł drwiąco:

— Widziałem już i takich wymuskanych adonisów. Biédne moje koniska, nieraz wam przyjdzie głodu przymrzéć. A pamiętaj chłopie trzymać karę luźno w pysku, bo oberwiesz.

Była to klacz, którą tylko jeden Jędrzej zażywać dobrze umiał.

Antek spojrzał z pogardą na starego, jakby mówił:

— Głupiś ty, niby mnie tam twoja kara w głowie.

Oj chodziło téż tam co innego po głowie Antka.

Jednego dnia zachciało się pannie Kamilli wyjechać samej do miasteczka za sprawunkami.

Pogoda była prześliczna, powietrze czyste, bo z rana deszczyk przeleciał, droga równa jak po stole. Antek zaprzągł parę koni do lekkiego koczyka i z fantazyą zajechał przed ganek.

Panna świeża, jak róża rozwinięta, woniejąca, uśmiechnięta rozkosznie, siadła do kabryoletu i pojechali.

Chłop był, jak gdyby odurzony, zapach perfmum, który od niéj dolatywał, upajał go.

Pierwszy to raz był z nią sam na sam.

Nie śmiał się odezwać.

Nie wiedział, jak zagadać.

Chłopskim rozumem oceniał swoje względem niéj położenie. Podobał jéj się to pewna, ale jak się podobał? czy jako rzecz jakaś potrzebna jéj do stroju, do zabawki? czy téż i osoba jego sama zrobiła na niéj wrażenie?

Dotychczas brał tylko udział w hecy, w komedyi, którą panna Kamilla urządzała.

W komedyi téj traktowała go tak, jak innych swoich służących. Rozśmiała się nie raz z jego figla lub dowcipu, ale téż i po wszystkiém.

Antek spojrzał nieraz na nią znienacka, śledząc w twarzy wrażenia, ale nic wyczytać nie umiał.

W tańcu nie raz przyszła mu ochota przycisnąć ją ku sobie, ale się bał.

Panna Kamilla rozparta wygodnie w powozie, z przymkniętemi nieco oczami, w pół otwartemi usty, rozkoszowała się czystém i wonném powietrzem łąk, pól i lasu—i zdawała marzyć o czémś. Antek od czasu do czasu się odwrócił i spojrzał na nią, potém wąsa podkręcał, ujmując się dziwnie pod bok, jakby sobie dodawał animuszu.

Gdyby po tym ruchu się odwrócił, byłby widział w twarzy panny pewien rodzaj pogardliwego skrzywienia, jakby niesmaku, który przecież zjawiał się na bardzo krótko, bo znowu popadła w swoje dawne rozmarzenie.

Do miasteczka było dwie mile. Po dobréj drodze jadąc sporym kłusem, można wrócić do Pokrzykowa przed zachodem słońca— Antek jechał wolno, nie śpieszyło mu się.

Panna Kamila przemówiła:

— Pośpiesz, się mój kochany.

Antek huknął z bata i puścił konie jak szalony, tak że reszta podróży zbiegła szybko i tylko migało po drodze.

W miasteczku stanęli przed bławatnym sklepem Feinkinda, gdzie panna Kamilla wysiadła dla zakupu sprawunków.

Piękny ekwipaż zwabił zaraz gawronów miejskich.

— A co to? a zkąd to?

Przystanęło jakichś dwóch zażywnych szlachciców.

— Patrzaj, panna baronówna.

— A jaki stangret!

— Setny chłop! Co za mina!

— Skąd ona sobie takiego wytrzasnęła?

— Bah, koneserka.

— Rasowa dziéwka.

I zaczęli podśmiéwać i podrwiwać, tylko już po cichu tak, że Antek usłyszéć nie mógł, ale ich z oka nie spuszczał, bo czuł, że wciąż o nim szła gawęda.

Gdy się oddalali, posłyszał tylko jakby zakonkludowanie całéj rozmowy.

— Za głupi on mi się jakiś wydaje na to.

Antkiem jakby coś targnęło, pociągnął lejce ze złością tak, że kara stanęła dęba i o mało nie wywróciła kabryoletu. Potém jakby mu myśl jakaś nagle błysnęła, uśmiechnął się szydersko i uspokoił.

Wracali do domu.

Antek cmokał na konie, pogwizdywał, pokrzykiwał i zdawał się dziwnie rześki i ochoczy.

W tém na połowie drogi palnął z bata i szarpnął gwałtownie karą. Powóz stanął. Nerwowa klacz poczęła wiérzgać, spiął ją więcéj jeszcze i poczęstował biczem. Stanęła dęba. Antek sypał jéj razy, które zupełnie przeciwny wywoływały skutek.

Zdaje się, że tego tylko pragnął, bo się uśmiéchał pod wąsem, szarpał lejcami i okładał klacz, która się wywzajemniała coraz większém wierzganiem. Współtowarzysz jéj kasztan wiele razy chciał ruszyć, tyle razy ona udaremniła jego dobre chęci, iść daléj nie chciała, wspinała się i groziła wywróceniem powozu.

— A cóż to ja malowany,—zawołał z dumą!—ja ją tu poskromię, a jasnéj pannie włos z głowy nie spadnie.

Przejeżdżający chłopi z solą i jeden z mości-panów, tych właśnie, którzy przekpiwali Antka w miasteczku, zatrzymali się na drodze, patrząc na to widowisko.

Już teraz honor Antka wystawiony był wobec publiczności na próbę.

— Trzeba mu chyba pomódz — rzekł furman szlachecki, — bo szkapa potrzaska powozik.

— Zleź no Walek,—zawołał szlachcic.

— Ani się waż!—krzyknął groźnie Antek,—swego nosa pilnować.

I niby drugi automedon, skoczył klaczy na grzbiet, ująwszy krótko lejce.

Panna Kamilla wstała w największéj trwodze, opierając się o przednie siedzenie, gotowa wyskoczyć z kabryoletu.

Podziw i uwielbienie dla Antka objawiły się w grupie patrzących w najrozmaitszy sposób.

— Zuch Antek,—wołali chłopi.

— To mi bestya zacięta,—mówił szlachcic.

— Oho! nie w ciemię on bity, wołał furman szlachecki.

Klacz poczuwszy na sobie Antka, chiała jeszcze więcéj kaprysić. Ujął ją silnie kolanami jak wkleszcze i okładał batogiem, ściągając cugle coraz silniéj. Zwierze pieniło się i ciskało jak wściekłe, aż wreszcie zmordowane pod silną i energiczną dłonią, poddać się musiało.

I w jednéj chwili Antek znów się znalazł na koźle.

Chodziło mu o wywołanie efektu.

Kara szła posłuszna jak dziecko.

— Tak, teraz znać będziesz pana,—rzeknie Antek,—ten stary cię znarowił, ale pod moją ręką musisz mi tańczyć, jak jak każę.

Za pomykającym szybko Antkiem odezwało się głośne hura! trzaskanie z batów i cała gamma wykrzykników.

— Jasna panienka się przestraszyła trochę,—rzekł Antek odwracając się do zarumienionéj i wzruszonéj trochę panny Kamilli. Przepraszam jasną pannę.

— Nie potrzebnieś się narażał, ci ludzie byli by ci pomogli.

— Eh cóż mi to za narażanie. Nie na takie jabym się rzeczy naraził, gdyby było potrzeba dla jasnéj panny.

Cmoknął na konie i czekał na jakieś słówko... ale odpowiedzi nie było.

Chłop stawał się dyplomatą, manewrował.

— Furmanowi wstyd się posługiwać kimkolwiek, sam on musi pomódz sobie, a ja bym ta nie takie jeszcze poskromić umiał. Eh, czego ja bym nie umiał.

Jeszcze milczenie.

— Wié jasna panna, że ja mam taką zapamiętałą naturę, żebym się dał posiekać w kawałki, dopóki bym swego nie dopiął.

— To bardzo dobra natura,—rzekła wreszcie panna Kamilla z uśmiechem.

Nasunął czapkę z fantazyą i wyprostował się dumnie, jakby go o połowę przyrosło.

Pięknym był Antek w téj chwili i panna Kamilla to czuła, choć widziała tylko jego plecy.

* * *

W czeladnéj izbie, gdzie się zbiérali na obiad, Antek zawsze przesiadywał najdłużéj i udawał zaloty do Nastusi, pokojówki panny, w rzeczy zaś wybadywał ją chłop zręcznie o pannę Kamillę.

Dziewczynie pochlebiały zaloty ładnego Antka i plotła mu o wszystkiém.

Antek połykał chciwie te szczegóły, rozbiérał je, kombinował i żył niemi.

Działały one na niego niby opium.

Tymczasem panna Kamilla się nudziła.

Owe maskarady chłopskie i tańce, polowanie, przejażdżki konne, wyścigi, strzelania do celu a nawet teatr amatorski, który urządził pan Sędykowski, wszystko to już dla niéj wyblakło, spowszedniało, znudziło się.

To co wieś jéj dać mogła, to już dała.

Innego zaczerpnąć chciała życia.

Pisała do ojca, że się nudzi.

Pan baron jednak lekko cenił nudy dwudziestoletniéj panny, bo niezawodnie wzruszył ramionami na jéj list, o czém można sądzić było z odpowiedzi dosyć obojętnéj i suchéj.

Jednak przypuszczamy, że po niejakimś czasie głęboko się zamyślił i powiedział sobie:

— Nudy dla panny w tym wieku, to rzecz dosyć niebezpieczna.

Ale czy mu nie przyszedł na myśl żaden środek zaradczy, czy téż nie mógł go na razie uskutecznić, zostawił rzeczy zwykłéj kolei.

Tymczasem, faktem jest, że panna Kamilla się nudziła.

A nudy u takiéj rozkapryszonéj fantastki, to rzecz arcy nieprzyjemna dla otaczających.

Wszystko ją drażniło i gniewało w najnieprzyjemniejszy sposób.

Każdy rad był się zmienić w pyłek, w cień jakiś niewidzialny, fruwać w około niéj, odgadywać myśli, byle nie zasłużyć na gniew, lub ostre szyderstwa.

W takim stanie duszy wyszła raz z pałacu i błąkała się bez celu po dziedzińcu folwarcznym.

Dzień był skwarny. Panna Kamilla w lekkiéj wyciętéj sukni, z piękną różą u gorsu, z parasolką w ręku, na wpół omdlewająca skierowała się ku stajniom.

Antek stał w malowniczéj pozie, głęboko zamyślony z oczyma wlepionemi w budynek pałacu.

Nie widział jéj ani nie posłyszał lekkiego kroku, dopiero gdy przystanęła przed nim zerwał się i zaczerwienił po same białka, panna także pokraśniała trochę, lecz uśmiechnęła się, spojrzała nań wyzywającym okiem, odpięła różę, rzuciła nią w twarz Antka, odwróciła się i odeszła z figlarnym uśmiechem, ale i z pewnym niepokojem w twarzy.

Było to jedno z tych szaleństw, co to się rodzą skutkiem większego napływu krwi do głowy, czasu zwłaszcza dni upalnych. Rozstrojone nerwy potrzebują, jakiegoś wstrząśnienia, dokonania czegoś takiego niezwykłego, co by w nas pewne zaburzenie sprawić mogło.

Antek pochwycił kwiat przycisnął go oburącz do serca, potém do ust. Przypatrywał mu się na wszystkie strony a trzymając go w ręku, przebierał palcami, jak gdyby bał sparzyć, bo wydało mu się, że każdy listek róży jest z jarzącego ognia, nareszcie obejrzał się do koła, czy go kto nie podpatrzył i wbiegł do stajni, jak opętany.

Ten kwiat to niebaczna iskra, co padła w zapalną duszę chłopa.

Kto by go teraz słyszał, odgadłby, że coś niezwykłego kłębi się w jego piersi.

Uczuł potrzebę krzyku jakiegoś wielkiego.

Gdyby Antek był poetą choć trochę, byłby wygłosił najwspanialszy hymn miłości, ale że był tylko Antkiem, krzyczał na konie, które zdumione przypatrywały mu się spokojnie.

— A no kara! Ho! ho! ho! Ty tu psia wiaro! Héj ty złoty siwoszu! Ho kasztanie! Hola dzieci! Prru! Pfui! Oho! ho!

To radość tak mu rechotała się w piersiach, w gardle!

Wreszcie dławiło go to wszystko, krew mu biła do głowy, wybiegł ze stajni i zatoczył się jak pijany, potém oparł się o sztachety, co oddzielały podwórzec pałacowy od folwarcznego i wpatrzył się, raczéj utonął cały w oknach pałacu. A miał minę człowieka niby przygniecionego jakiémś wielkiém brzemieniem. bo się zwiesił cały, jak by pod ciężarem; twarz jego wyrażała zachwyt i jakby osłupienie.

— Cóż, ciemiężycyś się najadł, chłopie?—spytał stary Jędrzej, niosąc na plecach worek z obrokiem.—Patrzcie jak pożera oczami

pałac. Kogóż tam tak wyglądasz? Ej za wysoko to dla ciebie, za wysoko!

Antek drgnął, potém popatrzał nań jak lunatyk.

— Co... gdzie? Czego chcecie?

— Nic... niosę ci obrok, czas zasypać go koniom.

— A no to zasypcie.

— Oj głupio ci z oczu patrzy. Tfu! chłop mi ten na jakiegoś maniaka wygląda. Biédne moje koniska.

I powlókł się do stajni.

Antek pobiegł po za stajniami gdzieś w pole.

Panna Kamilla wróciła do salonu i zagrała jakąś strasznie burzliwą sonatę, tłukąc niemiłosiernie w fortepian, wreszcie zapaliła cygaro i z tomikiem pani Sand położyła się wygodnie na szezlągu.

Przez otwarte drzwi schylające się ku zachodowi słońce rzucało skośne promienie i balsamiczna woń kwiatów z ogrodu rozchodziła się po pokoju.

Jest to chwila w naturze tak urocza, że wywabić musi z domu; to téż i pani Sand i cygaro niedługo było w rękach panny Kamili, rzuciła je i prędko wyszła do ogrodu.

Antek obleciał w około gumna, potém skierował się ku wsi, ale nagle jak gdyby sobie coś przypomniał, wzdrygnął się i wrócił pędem do dworu, okrążając znów po za sztachetami obszerny park pałacowy.

Słońce zaszło. Cichy letni wieczór szarzéć poczynał. Wracali ludzie z pola i patrzyli na Antka zdziwieni trochę. On ich prawie nie widział, nucił sobie jakąś piosnkę, a oczy zapuszczał w zieloną gąszcz pałacowego parku.

Przystanął nagle wydając lekki okrzyk.

Na wzgórku, tak zwanym ślimaku, w samym środku parku stała altana z bluszczów, oświécona łuną zachodzącego słońca, a na tle téj altany rysowała się jasna postać panny Kamilli.

Antek złożył ręce, jak gdyby przed cudownėm zjawiskiem i wpatrzył się w ten obraz bez pamięci.

— A do kogo się tak modlisz, głupi? do niéj tam? Czyż ty Boga już zbył w sercu? czyś zwaryował. Jezus Marya! Prawdę mówił ojciec, że ci się we łbie pomięsza.

Matka odwiédzała Antka co sobotę, i dziś przyszła i nie zastała go w stajni a ludzie jakoś podśmiewali ją, wreszcie powiedzieli, że krąży wokoło parku; zdziwiona a razem jakiémś przeczuciem tknięta, poszła go szukać.

— Cóż bo gadacie? co wam tam za głupstw napletli? A i cóż mi to wadzi? patrzę i patrzę: no, to co?

— To co? Duszę tam swoję topisz, ty głupcze. I gdzież to ty się wspinasz, gdzie? Że po chłopsku ubrana tańcuje z tobą, że jeździ z tobą, że patrzy na cię łaskawie, to już zaraz przybiérasz do głowy Bóg wié co? A toć ona plunie na ciebie potém i odrzuci jak podarty trzewik z nogi.

— Nieprawda, matko. Cicho, nic nie gadajcie, bo gdybyście wiedzieli... Cicho, chodźcie oto, to wam powiem...

I wziął matkę za rękę i jakby się obawiając jakiego ukrytego świadka w cieniu, poprowadził ją w otwarte pole na rżysko po świeżo zżętém życie, gdzie jeszcze stały snopy w mendlach.

Księżyc świécił jak rybie oko. Antek posadził matkę milczącą i zaniepokojoną pod snopami i jął jéj opowiadać o szczęściu swojém, nie tając najmniejszego szczegółu, a opowiadał jak się to ono zjawiło, kiedy pierwszy raz ujrzał pannę Kamillę przebraną w męskie suknie, na polowaniu w lesie, w jednéj z takich chwil, których nazwać nie umiał, kiedy to przeświadczony o swojéj sile i potędze męskiéj piękności, marzył o czémś nieznaném, czegoby chciał dosięgnąć; jak złorzeczył losom, że mu się tylko chłopem urodzić przyszło i jak od téj chwili coś dziwnego nim owładło tak, że przeklinał i odpędzał od siebie, a przecież ono wracało i upajało go jak najtęższy trunek. Potém chciał się dostać do dworu mimo przekleństwa ojca, jak się doń dostał, jak się zbliżył do panny i jak chciał uwagę jéj zwrócić na siebie, poskramiając klacz karą, i jak panna obdarzyła go różą, która paliła niby żar piekielny.

Kobiéta słuchała i patrzała weń szeroko otwartemi oczyma, potém smutnie zwiesiła głowę.

— Opętało go! opętało!

— A jeżeli ona mnie lubi? i lubi mnie bez ochydy. Oh, ale nie tak jak ja, bo ja bym gotów.... Oh, mój Jezu najsłodszy! cobym ja nie zrobił dla niéj!... Wiécie, mateńko ukochana, we mnie taka siła wstępuje, żebym dla niéj przez ogień, przez wodę, przez przepaści poleciał, zabił olbrzyma, jak to tam w bajce, że zda się ot... niebieskich stropów bym dostał.

— A toć ona ciebie, Matko najświętsza, toć ona tobie, nie wiem co... ale chyba do kryminału oddać każe, jeżeli jéj to powiész.

Biedna Grudzina nie znała kobiét, czuła tylko, że z jéj synem coś się stało takiego, co mu pewnie szczęścia nie przyniesie.

* * *

Panna Kamilla odgadła, có się dzieje w sercu Antka, i niby druga Omfala, postanowiła opętać tego chłopskiego Herkulesa.

Z początku przestraszyła się trochę téj myśli, ale potém znajdowała w niéj jakiś szczególny powab.

Romantyczna jéj wyobraźnia została podniecona, przypomniała sobie mnóstwo zdarzeń z poezyi, gdzie to giermek i paź, lub coś podobnego, pozyskuje miłość królewny, a wszystko to kończy się tak cudownie, tak składnie.

Jednak panna Kamilla mimo tego romantycznego podkładu miała umysł pozytywny i wiedziała, że ani cudownie, ani składnie skończyć się to nie może... Ale któżby tam troszczył się o to... Zabawić się trzeba, a dla zabawy nawet nie na takie rzeczy by się ważyła.

Była egoistką, a nawet miała w sobie pewien rys chłodnego okrucieństwa, jak wszystkie tego rodzaju rozkosznisie. Patrzéć jak się ten chłop wić będzie pod strzałami jéj ognistego wzroku, toż to przepyszna *sensacya*.

Rozpoczęła atak zaraz na drugi dzień.

Wybrała się konno z chartami i szczwaczem, a Antek, niby masztalerz, jéj towarzyszył.

Zaraz z początku, kiedy nastał do dworu, chciano go ubrać w liberyą, ale chłop oparł się temu stanowczo. Nie chciał rzucić swojéj ferezyi za nic w świecie, bo wiedział ile by przez to stracił. Rządca nalegał, ale panna Kamilla stanęła po stronie Antka i tak chłop został przy swojéj sukni, która mu dawała tyle piękności i uroku.

Był rozpromieniony. Jechali stępa jedno obok drugiego, charty pomykały przed końmi, a psiarczyk wlókł się zwolna śpiący i ziewający, bo wiedział naprzód, że się cała wyprawa na niczém skończy, bo i pora była nie potemu, — ale panna nie do takich już ich przyzwyczaiła dziwactw.

W Antku wrzało wszystko, jechał „czuj-duch“, a i koń stąpał pod nim jak na rozrzażonych węglach, bo i jego zda się gorączka jeźdźca paliła.

Panna spokojna i zarumieniona trochę, w czarnéj amazonce, rysującéj jéj piękne kształty, namyślała się snać jak rozpocząć kampanią, gdy wtém Antek wszystkie jéj szyki pomieszał.

— Czy to, co mnie wczoraj spotkało, to było naprawdę, czy na żarty?—zapytał, topiąc w niéj rozpłomienione spojrzenie; a w głosie jego czuć było całą namiętność, a przytém ton jego uderzał, jakby stanowczością jakąś i siłą. W tym zapytaniu Antka stosunek chłopa do panny baronówny znikł gdzieś, rozwiał się. Był to mężczyzna obok kobiéty, którą kochał.

Ta prostota w zapytaniu obaliła wszystkie plany panny. Zarumieniła się mocno i targnęła koniem tak, że poskoczył naprzód. Antek się z nią zrównał.

— Widzisz, widzisz, jak psy pomknęły ku brzezince — rzekła.

— Nic tam nie ma — odpowiedział obojętnie.

Pannę podrażniła i oburzyła ta śmiałość chłopa, ale czyż to nie ona sama ją wywołała. Instynktem kobiéty odgadła w nim nie potulnego jakiegoś Celadona, któryby wzdychał w kącie i cierpiał, ale męża, który swych uczuć nie wylewa dla przelotnego kaprysu, ale chce się przeświadczyć, aby w nie włożyć życie.

Te kilka słów, wymówione przez Antka, pokazały go w innem świetle i myśli téż panny Kamilli zupełnie inny wzięły kierunek.

Spojrzała na niego uważnie, jak gdyby go po raz pierwszy zobaczyła.

Antek patrzył w nią ciągle, czekając na odpowiedź.

— Rzeknijcie jedno słówko, które mnie uszczęśliwi, albo zabije.

Ta jedna noc walki uszlachetniła chłopa.

Uczucie go podniosło.

Patrząc w tę twarz piękną, w te oczy, z których dusza czysta wyzierała, z odblaskiem głębokiego smutku, w tę całą rycerską postać, mógłby mu nie jeden herbowicz pozazdrościć; to téż panna Kamilla zaniepokojona mocno i jak gdyby wahająca się, uczuła całą ważność sytuacyi, ale pociągnięta mimowoli jéj urokiem i rozciekawiona tym ogniem, który zażegła, postanowiła bądź-co-bądź prowadzić tę grę daléj.

— Więc cóżbyś począł, gdybym ci „tak“ powiedziała— odrzekła z pewném drżeniem obawy i mimowolnym uśmiechem.

— Cobym począł, o Boże mój jedyny! rzuciłbym wam się do nóg, oddałbym krew moję i życie moje. Czartu bym duszę zaprzedał, albo z niebem się skłócił. Czy ja wiem, cobym zrobił. Wiécie, żem ja od wczoraj inny człowiek. Coście wy ze mnie zrobili? Coście wy zrobili?

Zdarł czapkę z głowy i miął ją w rękach i pocierał sobie czoło.

Panna Kamilla, przestraszona, patrzała na ten wybuch namiętności u téj prostéj natury. Wydało się jéj to czémś tak nowém, szczególném, czémś, czego jeszcze w żadnéj nie wyczytała książce.

I zaniepokojoną i szczęśliwą była, że ją potrafiła w takiéj duszy obudzić.

— Słuchaj Antoni — rzekła po chwili, zdobywając się na ton mentorski, bo dla saméj powagi uczuła jego potrzebę w téj chwili. — Słuchaj! że ciebie lubię, toś mógł dostrzedz zaraz od pierwszéj chwili... ależ téj... tego... przywiązania nie możesz brać tak gorąco...

bo i do czegoż by cię ono przywiodło. Przecież nie możesz zapomniéć czém ja, czém ty?

— Oh pamiętam! pamiętam! to téż szczęście moje zamknę tam głęboko we wnętrzu, że go żadne ludzkie oko nie dojrzy. Wiedziéć będą tylko o niém śpiewające ptaszęta, to słońce, które nad nami, i ten Bóg tam po za słońcem wysoko. Patrzéć na was tylko, patrzéć i modlić się jak do świętéj. Być na wasze rozkazy, skoczyć dla was w ogień, czy w wodę, czy w piekło. Całować proch, po którym wy stąpacie....

Dojeżdżali do lasu. Charty gdzieś w bok skręciły i psiarek za niemi się powlókł, a potém inną drogą wrócił do domu, klnąc i podrwiwając kaprysy panny.

Ona, upojona potokiem namiętnych słów Antka, zapomniała już o polowaniu. Oddychała błogo rozkosznym chłodem lasu i balsamicznem jego powietrzem tak dobrze, jak i melodyjnemi słowami namiętności. I to i tamto sprawiało jéj przyjemność.

Wtém koń jéj potknął się o korzeń drzewa i gwałtownym ruchem zerwał uzdeczkę. Antek zeskoczył szybko, naprawił szkodę i podając jéj lejce, rzekł z głębokiém uczuciem.

— Oh, gdybym ja mógł dla was w otchłań skoczyć.

Panna jedną ręką wzięła podaną sobie lejc, a drugą położyła na gorących ustach Antka.

* * *

I oto zaczęły się coraz częstsze spacery i wycieczki panny baronówny z Antkiem, furmanem dworskim.

Kronika skandaliczna okolicy plotła o nich dziwy niestworzone, — ale na co się to złość ludzka nie zdobędzie....

Kto wié jednak, coby się było stało, gdyby nie wypadek. A ten wypadek tak zawsze w porę i w powieściach i w życiu się zjawia, że najzawikłańsze sytuacye rozcina z korzyścią i dla autora w powieści i dla społecznego porządku w świecie.

Takim wypadkiem był przyjazd pana barona.

Zjechał on nagle, nieczekany, niespodziewany, jak gdyby uprzedzony o tém, co się dzieje w Pokrzykowie.

Zaczęły się porządki, których pierwszą ofiarą padł Antek.

Wydalono go ze dworu.

Panna miała z ojcem częste rozprawy, po których nadzwyczaj spoważniała.

Z oczu jéj strzelała duma, w słowach była małomówną i stanowczą.

Pan baron, zdawało się, że na długi czas osiadł na wsi.

Ciągle porządkował i urządzał się. Dwór był zaniedbany, trzeba go było odświeżyć i umeblować trochę. Zaroiło się od rzemieślników wszelkiego rodzaju.

Na tém zeszła reszta lata.

Powoli też i goście zaczęli zaglądać z różnych stron, a między niemi był coraz częstszym książe L., zużyty już trochę lew, ale jeszcze dość piękny i dystyngowany. Od niejakiegoś czasu bawił w swoim majątku, Jankowicach, o trzy mile od Pokrzykowa.

Mówiono, że to konkurent panny Kamilli.

Spotykano ich często na spacerach i przejażdżkach.

Dobry ton zapanował na Pokrzykowskim dworze. Ktoby spojrzał dziś na tę majestatyczną piękność, nie przeszłoby mu nigdy przez głowę posądzać ją o romans z furmanem dworskim.

Książe był wielkim sportsmenem i uprawiał ten rodzaj z całą nieskazitelnością anglika. Stajnia też barona przybrała całkiem inną powierzchowność.

Przyjęto masztalerza, stangreta, stajennego—jakichś niemców, którzy uchodzili za anglików.

Odnowiono we dworze całą służbę.

Nadeszła jesień, ta jesień, z którą nam tak dobrze, a która zwykle wypędza naszych panów gdzieś pod obce niebo, aby tracić pieniądze i zdrowie.... To téż i tu się zanosiło na jakiś wyjazd, ale wprzód mówiono o ślubie księcia z panną Kamillą.

Zbliżył się nareszcie dzień oznaczony, 25-go października.

Młoda para miała wziąć ślub w parafialnym kościele w Kobylinie.

Ten parafialny kościołek miała panna Kamilla zobaczyć po raz drugi w życiu. Raz—gdy ją tu chrzczono, drugi raz—gdy ślub wziąć miała.

Wszystko gotowe, kazano zaprzęgać.

W stajniach wszczął się jakiś gwar i rozruch.

— Co się takiego stało?

— Wszystkie zaprzęgi pokrajano w drobne kawałki.

— Kto? co?

Widocznie złość jakaś lub zemsta.

Wszyscy przypuszczali, badali, ale nic wykryć nie mogli.

Panna Kamilla, gdy jéj o tém powiedziano, pobladła trochę i przygryzła wargi—i nic dziwnego, znamionowało to zawsze jakiś zły prognostyk dla młodéj pary.

Ślub się przez to opóźnił.

Trzeba było nowy zaprząg sprowadzić z miasteczka, a ten okazał się angielskim niemcom nadzwyczaj nędzny i ordynaryjny.

Ale cóż było robić, pojechano takim, jaki się znalazł.

Ceremonia odbyła się nadzwyczaj uroczyście. Dużo zjechało na nią osób.

Wracano już nad wieczorem, kiedy słońce schylało się do za chodu.

Państwo młodzi jechali przodem.

Wtém, już o kilkanaście tylko kroków od bramy wjazdowéj, kara klacz, która była właśnie w zaprzęgu, wspięła się straszliwie i złamała dyszel, za nią poszła reszta koni, powóz był bliskim zgruchotania, a zamknięci w nim groźnego szwanku.

Wszystko, co jechało za państwem młodemi i służba ze dworu wybiegło na ratunek.

Panna Kamilla wyjrzała oknem karety, wydała straszny okrzyk grozy i upadła na ręce męża zemdlona.

Za jéj przykładem i reszta widzów stanęła w osłupieniu.

Na gałęzi lipy, już opadłéj z liści, po nad samą drogą wisiał trup, straszny, siny, z oczami wyłażącemi prawie z czaszki, z językiem wybiegłym z gardła, oświecony purpurą zachodzącego słońca.

Był to trup Antka.

W. Rapacki.





HISTORYA NA USŁUGACH POLITYKI.

(Dokończenie).

Historycy w rodzaju p. Treitschkego, historycy, których zadaniem nie przedstawiać obrazu przeszłości według historycznéj prawdy, ale pracować przez historyą dla pewnéj idei politycznéj, lubią i zwykli w miarę większéj lub mniejszéj zręczności sofistycznéj, układać sobie zdaleka plan i metodę swoich elaboratów. W obecnym przypadku chodzi o dwie przedewszystkiém rzeczy: po pierwsze, o usprawiedliwienie pruskiego antagonizmu z Austryą, jako z potęgą przeciwną wolności i jedności Niemiec, w czémby była zgoda z dotychczasowém stanowiskiem liberalnéj szkoły historycznéj niemieckiéj; po drugie, o usprawiedliwienie antagonizmu pruskiego z postępem i liberalizmem niemieckim z téj bardzo prostéj przyczyny, że system Bismarkowy nie jest obecnie liberalnym, że Prusy w przeszłości bundestagowéj, między 1815 a 1848, z pewnością nie lepiéj, a nie gorzéj od Austryi, uważały za swój obowiązek i zadanie walczyć przeciw aspiracyom liberalizmu niemieckiego. Ztąd to rozwija się metoda dziejopisarska, ogarniająca i przenikająca w opowiadaniu autora całe pasmo niemieckich wypadków od czasu świętego przymierza aż do rewolucyi lipcowéj. Ciekawa akrobatyka, starająca się z góry usprawiedliwić wystąpienie Prus przeciw Austryi w r. 1866, usiłująca zrzucić wszelkie grzechy przeciw „jedności i wolności niemieckiéj“ z rachunku Prus na obciążone i tak już aż nazbyt barki Austryi, mająca zaś w dodatku trudne zadanie pogodzenia tego wszystkiego razem ze stanem politycznéj przyjaźni, w jakim się obecnie Prusy z Austryą nibyto znajdować mają. Mimowolnie przypomina się tu z Mickiewiczowskiéj balady „Pani Twardowska“, ów szereg trudnych zadań, któremi przemyślny szlachcic Belzebuba na ciężką próbę wystawia, a z których się bie-

dny dyabeł ku zadowolnieniu chwilowego swego pana wywiązuje. Nie inaczéj p. Treitschke w roli powierzonéj sobie po Rankem historyografa pruskiego. Kto w téj paraleli Belzebubem, kto panem Twardowskim, niechaj sobie powié nasz czytelnik, a tymczasem zobaczmy, jak się autor z zadania na samym wstępie wywiązuje. Po r. 1866 powiedział, jak wiadomo, w redagowanych przez siebie *Preussische Jahrbücher*: „Z politycznym trupem, jakim jest Austrya, nie zawiera się przymierzy!" Nie przeszkadza to wystąpić dzisiaj nowemu historyografowi pruskiemu z twierdzeniem: „Przyjaźnią, która wiąże nasze państwo z Austryą, może tylko głupiec *(ein Thor)* chcieć wstrząsać." Nie naszą naturalnie rzeczą ujmować się o podobną obelgę, wyrządzoną przez historyografa Treitschkego redaktorowi *Preussische Jahrbücher* Treitschkemu.

Co znów tylko uwydatnić po podobnym wstępie należy, to antagonizm między Austryą a Prusami przez ciąg egzystencyi związku niemieckiego, antagonizm, na który autor szczególny kładzie przycisk, aby, mimo stanowiska pietystyczno-protestancko-konserwatywnego, jakie Prusy zajmowały w swéj ówczesnéj polityce, — w charakterystyce owéj epoki,—wszelki cień rzucić na Austryą, na jéj reprezentantów, Metternicha, Müncha von Bellinghausen, Buola von Schauenstein. Jest-że zaś Austrya tak wyłącznie winną, sąż Prusy tak wyjątkowo wielkie i cnotliwe, jakby to autor w wierzącego mu czytelnika chciał wmówić?! Odpowiedzią na to przedewszystkiém duch publiczny Niemiec, ani tak zadowolnionych swoją emancypacyą, ani tak wstrętnych obalonemu panowaniu Francyi, ani tak zentuzyazmowanych tryumfem Prus i Austryi, jakby się zdawać było mogło. Prawdzie podobnéj nie jest nawet w stanie zupełnie zaprzeczyć autor, gorszący się przedewszystkiém prądem ówczesnego liberalizmu niemieckiego. Gorszy się w pierwszym rzędzie liberalnym naówczas duchem uniwersytetów niemieckich, gorszy się nie mniéj duchem kosmopolitycznego liberalizmu, jaki wówczas, według niego, przenika literaturę niemiecką. „*Conversations - lexicony*" wydawane wówczas, literaturę historyczną i powieściową ogarnia naówczas, ku najwyższemu niezadowolnieniu a według zdania autora, prąd zdawkowego liberalizmu i taniego romantyzmu, z pośród którego poziomu wybijają się dodatnio i charakterystycznie postaci Grillparzera, Schlegla i Tiecka, Uhlanda, Arnima i Brentany. Charakterystycznym d l a a u t o r a przedewszystkiém jest ustęp poświęcony Göthemu. Nie może wprawdzie wyprzéć się dlań entuzyazmu i uwielbienia, bo by to było zbyt wyraźną żeglugą przeciw strumieniowi narodowemu, ale równocześnie nie może mu oszczędzić ze stanowiska panującego o b e c n i e w Prusach kierun-

ku, pietystyczno - protestantckiego, naganněj uwagi, „iż Göthe nie uznawał żadnego pozytywnego chrześciańskiego kierunku.“

W charakterystyce podobněj niemieckiego ducha i niemieckiéj kultury po wojnach napoleońskich postępuje autor daléj i ten ustęp w jego dziele, jak wszystkie inne podobne, stanowiłby może najdodatniejszą jeszcze cząstkę jego. Autor przechodzi przy téj sposobności, naturalnie ze swego stanowiska, wszystkie objawy ówczesnego życia niemieckiego, nie wyjmując nawet opisów podróży, *Reisebücher*, przyczém, nie wiadomo nam już dobrze dla czego, chłoszcze po swojemu Polaków z powodu stanu malborskiego, krzyżackiego zamku. Rzeźba, malarstwo i budownictwo, Rauch z arcydziełami swego dłuta, między innemi w mauzoleum Charlotenburskiém, Schadow, Cornelius, Schinkel; artystyczne mecenasostwo ówczesnego królewicza bawarskiego, Ludwika, znajdują tu równie swoje miejsce, jak dzieła i reprezentanci ówczesněj, poważněj nauki niemieckiéj, jak filozofia, historya, filologia niemiecka. Spotykamy się w owéj charakterystyce j u t r a napoleońskich wojen z tak świetnie znanemi w annalach nauki niemieckiéj imionami Thibauta, Savigny'ego, Niebuhra, Baadera, Mesmera, Hegla, Schellinga, Schleglów, Humboldtów, Rottecka. Wszystko to przenikają przeważnie, zwłaszcza w południowych Niemczech, ku szczeremu niezadowolnieniu autora, prądy anti-religijne, anti-szlacheckie, anti-konserwatywne, przyczém, nawiasowo powiedziawszy, darujemy wypróbowaněj dla nas życzliwości i znajomości rzeczy autora, jeżeli z naszego Kopernika, który w jego obraz kultury z XIX wieku, wchodzi istnie jak Piłat w *credo*, robi „niemieckiego uczonego.“ Kto zna dotychczasowe zapatrywania się historyografów niemieckich na ten peryod historyi niemieckiéj, kto zna zapatrywania się Rottecka, Schlossera, Hagena, choćby nawet Haüssera na tę epokę, kto zna przedewszystkiém znakomite dzieło Gervinusa, *Historyą Europy* od czasu wiedeńskich traktatów, znajdzie jaskrawe przeciwieństwo ich poglądów, pojęć i wyobrażeń z najprzykładniéj królewsko-pruskiém stanowiskiem p. Treitschkego. I tu jednakże znów, powiedzmy zaraz z góry, sprzeczność w sprzeczności, bo nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, że j e d n o ś ć Niemiec była jednym z najpoważniejszych postulatów l i b e r a l i z m u niemieckiego między rokiem 1815 a 1848, że bez owego liberalizmu, że bez owéj idei jedności niemieckiéj, prześladowanych naówczas przez Prusy nie mniéj aniżeli przez Austryą, dzieło spełnione przez Prusy i na wyłączną korzyść Prus nie byłoby mogło nigdy być przyprowadzoném do skutku, czyli, że ktoś, wojujący z podstawnemi tezami liberalizmu niemieckiego we wskazaněj wyżéj epoce, obala po prostu Prusom całą pod-

stawę przyszłéj ich akcyi. O co jednakże chodzi historykom w rodzaju p. Treitschkego? Czy o objektywną prawdę historyczną, czy choćby o wyzyskanie popularnych godeł i idei na rzecz Prus? Nie, ale o pogodzenie Prus epoki, w któréj dzieło swe pisze, Prus pogniewanych z liberalizmem niemieckim i jego postulatami, z poglądami własnemi na epokę bundestagową.

Takiéj to akrobatycznéj sztuki ma dokonać dzieło p. Treitschkego; ztąd tłómaczymy sobie jego rozmaite ewolucye i oscylacye anti-liberalne, mimo wszelkiéj pracy na rzecz interesu pruskiego, a po téj ogólnéj charakterystyce przypatrzmy się z kolei rzeczy obrazowi szczegółowemu Niemiec, państw i państewek niemieckich, jaki znajdujemy w jego dziele. Rzeczą naturalną, że obraz podobny nie może nie mieć za tło *Bundestagu* frankfurckiego, instytucyi stanowiącéj wyraz ówczesnéj ich łączności na zewnątrz. W charakterystyce téj nowa sprzeczność. Należałoby się spodziewać, że instytucya będąca celem pocisków i zaczepek ze strony liberalizmu, że instytucya, która była przez czas swego trwania przedmiotem równéj obrony, równych środków represyi tak ze strony Prus samych, jak ze strony Austryi, będzie przecież oszczędzaną przez anti-liberalnego historyografa pruskiego. Podobnie logiczne, jakby się zdawać mogło, przypuszczenie zawodzi w obecnym razie. Nie zapominajmy przecież, że jakkolwiek związek niemiecki był instytucyą konserwatywną, że jakkolwiek duchem swym i dążnością mógłby odpowiadać nibyto stanowisku i poglądom autora, stwierdzał cóżkolwiekbądź przewagę Austryi nad Prusami w Niemczech, przeszkadzał hegemonii pierwszych, że ostatecznie po obaleniu jego dopiéro Prusy mogły przystąpić do opanowania Niemiec, nazwanego ich zjednoczeniem. Znów więc rzeczą aż nazbyt naturalną, że niemiecki związek, że *Bundestag* frankfurcki występują odrazu i w świetle opowiadania Treitschkowego, jako karykatura, w któréj Austrya paraliżuje ciągle tylko na każdym kroku działanie Prus, w któréj Metternichy i Buole odnoszą górę nad Hardenbergami i Humboldtami, w któréj partykularyzm niemiecki święci swoje orgie, w któréj restaurowany elektor heski wyprawia bezkarnie swe ultra-reakcyjne sztuki. W dodatku przychodzą jeszcze jako żywioł ujemny stosunki celne i handlowe, tém mniéj nawiasowo powiedziawszy, zasługujące iść na karb win *Bundestagu* frankfurckiego, że przecież istnienie jego najprzykładniejsze nie przeszkodziło w r. 1840 w niczém wprowadzeniu w życie związku celnego niemieckiego.

Po podobnéj dopiéro charakterystyce związku niemieckiego i *bundestagu* frankfurckiego, zwraca się autor w osobnym rozdziale do przedmiotu tak zwanéj rekonstytucyi Prus. Autor charaktery-

zuje tu nasamprzód króla Fryderyka Wilhelma III i księcia-kanclerza Hardenberga. Naturalnie nie zbywa autorowi na jak najlepszéj chęci idealizowania monarchy, który do tego bardzo niewiele w osobie swéj przedstawiał warunków. Znany przysłowiowo ze swego lakonicznego sposobu wyrażania się, ze szczupłości swego duchowego horyzontu władca wychodzi w opowiadaniu autora na zamkniętego wprawdzie nieco w sobie, szorstkiego może męża stanu i myśliciela politycznego, cóżkolwiekbądź jednak męża stanu i myśliciela, jakiego szukalibyśmy nadaremno nietylko już w złośliwych i sceptycznych zapiskach Varnhagena von Ense, ale nawet w tyle „wiernopoddańczych" wspomnieniach nieodstępnego od króla, biskupa królewskiego Eylerta. Jedyną stroną, któréj p. Treitschke niezupełnie przynajmniéj w obrazie życia i pożycia króla Fryderyka Wilhelma zasłania, jest jego słabe dla płci pięknéj usposobienie. Zapiski Varnhagena von Ense mówią wprawdzie pod tym względem nieskończenie więcéj i szczegółowiéj. Nie można jednakże twierdzić, aby p. Treitschke przemilczał tę stronę całkiém, a mianowicie przyznaje z należném osobom i rzeczy nabożeństwem, że król był już bardzo bliskim ożenienia się z pewną piękną francuską, niejaką panią Dillon i że trzeba było bardzo poważnych przedstawień, aby go od tego zamiaru powstrzymać. Nie inaczéj działo się z wysoko uzdolnionym swoją drogą i pełnym rzeczywistéj zasługi w annalach Prus, kanclerzem Hardenbergem. Kanclerz, mimo sędziwego wieku i skołatanego zdrowia, nie przestał być ciągle nader wrażliwym na wdzięki niewieściego świata, a następstwa podobnego usposobienia znakomitego męża stanu nie omieszkały wywierać przykrych skutków i na sferę publicznéj jego działalności.

Co się tyczy saméj ludności monarchii pruskiéj, przedstawiała ona w owém jutrze wojen napoleońskich obraz pełen rozmaitości i partykularystycznych, według różnych prowincyi, usposobień. Zbywało, nawet według takiego historyografa jakim jest p. Treitschke, ludności owéj i prowincyom owym na uczuciu naturalnéj spoistości, a mimo wszelkiego patryotyzmu niemieckiego, odzywały się w wielu częściach kraju, mianowicie nad Renem, sympatye za Francyą. Inne prowincye, jak np. skrawek szwedzki Pomorza i Rugia tęskniły za panowaniem szwedzkiém. Saksonia przyjęła z oburzeniem wyrzeczony przeciw sobie na kongresie wiedeńskim wyrok podziału, a część jéj, która przypadła Prusom, nie przestała przez długie lata uważać panowania pruskiego za narzucone sobie jarzmo. Naturalnie winniśmy być na to przygotowani, że w podobnéj lustracyi jednéj prowincyi pruskiéj po drugiéj, dostają się szczególne dowody życzliwości ze strony autora wrąz z niemniejszemi dowodami jego

znajomości rzeczy— obu prowincyom polskim, Prusom Zachodnim i w. ks. Poznańskiemu. Przy téj sposobności spotykamy się poraz pierwszy doprawdy w życiu naszém z dokonaném przez wiedzę historyczną p. Treitschkego odkryciem, że mieszkańcy Wschodnich Prus mieli spoglądać na mieszkańców Zachodnich Prus niechętném okiem, jako na zdrajców, ponieważ swego czasu zbuntowali się przeciw panowaniu rycerzy krzyża i zrzucili ich jarzmo. Dowolność i fałszywość podobnego odkrycia historycznego tém więcéj kłująca w oczy, im łatwiéj było oficyalnemu historyografowi pruskiemu choćby tylko z dzieła Droysena o „Historyi polityki pruskiéj" dowiedziéć się, do jakiego stopnia swego czasu Prusy książęce opierały się panawaniu brandeburskiemu i pragnęły podzielić los połączonych z Polską Prus królewskich. Fantazya autora wznosi się do nierównie podnioślejszych jeszcze wyżyn, gdy w swéj lustracyi ośmiu prowincyi, składających ówczesną monarchią pruską, przychodzi koléj na obraz w. ks. Poznańskiego. Tutaj to dopiéro rozpoczyna się stos płytkich bredni, nienawistnych przeciw polskiemu żywiołowi wycieczek, z pośród których raz poraz, istnie jak niekiedy złoto z pośród rupieci zawleczonych do kruczego gniazda, napotyka się niezużytkowany należycie, archiwalny szczegół. Tak np. dowiadujemy się od lubiącego poetyzować swoje opowiadanie p. Treitschkego o istnieniu jakiéjś cudownéj Matki Boskiéj *„in der Karmeliterkirche zu Posen"*; daléj dowiadujemy się, że „miasto Poznań było zbiorowiskiem domów pokrytych gontami bez bruku"; że znane stowarzyszenie „Kosynierów" było c h ł o p s k ą k o n s p i r a c y ą, zainicyonowaną przez generała Dąbrowskiego; że „biedna literatura polska nie miała Niemcom nic do zaofiarowania." Pośród tego znajdujemy charakterystykę namiestnika królewskiego w w. ks. Poznańskiém, księcia Antoniego Radziwiłła i naczelnego prezesa Zerboniego di Sposetti, charakterystyki równie fantazyjne, ile starające się uwłaczać osobom charakteryzowanym. Jeżeli zaś obok tego spotykamy się ze wzmianką o korespondencyi między generałem Amilkarem Kosińskim a ministrem wojny pruskim Boyenem, w przedmiocie utworzenia osobnéj polskiéj dywizyi w. ks. Poznańskiego, rzecz wydobytą widocznie z archiwów państwowych, należy w te tropy zauważyć, że autor nie rozumiejąc najzupełniéj ówczesnéj sytuacyi, nie wiedząc, że podobna korespondencya miała swoję dobrą i naturalną racyą w stosunku politycznym, jaki wytworzyły traktaty wiedeńskie z r. 1815 do monarchii pruskiéj,—dopatruje się w jéj fakcie dowodu tylko zgroźliwéj pożądliwości polskiéj.

Co się tyczy innych prowincyi pruskich, mianowicie anektowanéj świeżo części Saksonii i prowincyi nadreńskiéj, przychodzi,

jak już zauważono wyżéj, choćby nawet historykowi, jakim jest p. Treitschke, stwierdzić ich najwyższe niezadowolnienie z nowego stanu rzeczy. Prowincya saska nie przestała żałować swego oderwania od Saksonii. W prowincyi nadreńskiéj było wprost rzeczą niebezpieczną odzywać się z patryotyzmem pruskim. Mianowicie było miasto Koblencya główném ogniskiem agitacyi i usposobień antipruskich. W Kolonii szykanowano głośno tak zwany narodowy hymn pruski *Heil dir im Siegeskranz* a podczas karnawału wywieszono transparent przedstawiający stokfisza otoczonego laurem pruskim. Nad usposobieniami i prądami innych prowincyi nie mamy się powodu rozpisywać szeroko za autorem. Tyle tylko pewna, że stanowiły one luźne części organizmu, nie poczuwające się do jakiejś spontanicznéj całości, czemu naturalnie nie był wstanie dopomódz system rządowy idealizowany mimo to przez autora, stojącego na stanowisku monarchicznéj dyktatury i tak zwanego „cywilizowanego despotyzmu." Kraj, mniejsza o to czy słusznie, domagał się koniecznie swobód konstytucyjnych i parlamentarnych, poddawał się prądom wyobrażeń rewolucyi francuskiéj, począł wchodzić od razu w zatarg z absolutną monarchią. Zdawał się zaś miéć do tego tém większe prawo, że król sam w uroczystym swym manifeście do narodu z dnia 22 maja 1815, przyrzekł w najformalniejszy sposób obdarzyć go swobodami konstytucyjnemi. Na podstawie tych przyrzeczeń, wśród nieprzestannego echa wołań, wrażeń i wyobrażeń rewolucyi francuskiéj, odzywały się w podobnym sensie żądania notablów różnych prowincyi pruskich. Tymczasem, jeżeli rząd pruski starał się ulepszać organizm swego wojska i swéj administracyi, rozporządzając znakomitemi w tym dziale osobistościami, jak Schoen w Królewcu, jak Maassen, Bülow, Klewitz; jeżeli organizował nie odpowiadające wszędzie życzeniom ludności, mianowicie nad Renem, sądownictwo; jeżeli zakładał nowe uniwersytety jeżeli starał się o podniesienie handlu i przemysłu przez wprowadzenie w życie racyonalniejszego systemu celnego, — nie myślał tenże sam rząd o parlamentaryzmie i konstytucyi.

Nie rozbierajmy kwestyi, o ile wołania ówczesnéj epoki o swobody konstytucyjne mogły być zrównoważone w opinii publicznéj przez zadekretowane i przeprowadzone w r. 1817 ze strony króla Fryderyka Wilhelma III zjednoczenie wszystkich protestanckich wyznań, przez akt, który wywołuje podziw i entuzyazm nowego historyografa pruskiego. Faktem pozostanie, że w Prusach, mianowicie nad Renem i w Saksonii, podobnie jak w całych Niemczech, objawiło się jako wyraz publicznego usposobienia,—ogólne niezadowolenie, przedmiot prześladowania w swoim czasie dla rządów

niemieckich, przedmiot zgorszenia antiliberalnego dzisiaj dla autora. Nie inaczéj przedstawiają się w następnéj lustracyi autora inne, pozapruskie kraje, mianowicie południowych Niemiec. O ile p. Trèitschke umie być sprawiedliwym, mierzyć wypadki, systemy i ludzi równą miarą, dowodzi nie zgorzéj zaraz jego połągląd na Wirtembergią. Co wolno Prusom, niewolno Wirtembergii. Odmówić Prusom przyrzeczonéj konstytucyi—wolno, ale jakim że grzechem obu królów wirtemberskich, czy to znanego sprzymierzeńca Napoleonowego, Fryderyka I, czy jego następcy, Wilhelma I, chociaż mieli światłych ministrów, jak Vangenheima i Malchusa, chociaż nadali swemu krajowi konstytucyą, że byli,—niewiadomo dobrze dla czego,—według autora „despotami w kierunku bonapartystowskim,“ że „prześladowali i ciemiężyli swych poddanych,“ że „postępowaniem wywoływali niebezpieczne starcia między dawnym krajem wirtemberskim a nowemi jego nabytkami. Rzeczą to już publicystów i historyków w rodzaju p. Treitschkego, upatrywać źdźbło w oku małych państw niemieckich, nie mogąc się dopatrzéć belki w oku pruskiém. Stosunkowo wychodzi jeszcze łaskawie w opowiadaniu autora Bawarya, choć także przecież królestwo z łaski Napoleona a pod względem dążności separatystycznych i niechęci pruskich, co najmniej, nie lepsza od Wirtembergii. Król Maksymilian Józef jest popularnym w kraju, mimo sympatyi francuskich, mimo wyraźnéj opieki, jaką otacza pozostającego w Bawaryi księcia Eugeniusza Beauharnais. Minister Montgelas, istna *bête noire* wszystkich germanofilów i prusofilów, nie wyjmując autora, stoi na czele kierownictwa spraw publicznych, a p. Treitschke odmawiając mu swych sympatyi, nie może mu odmówić wysokiego uzdolnienia. Godzi wreszcie tak z nim, jak z królem Maksymilianem Józefem autora opozycya początkowa przeciw kuryi Rzymskiéj, która po śmierci pierwszego a wstąpienia na tron jego syna Ludwika, ustępuje miejsca konkordatowi z Rzymem. Autor uważa go za wielce upokarzający dla Bawaryi. Udzielona jednakże równocześnie ku widocznemu niesmakowi autora ustawa konstytucyjna krajowi, jest dowodem, że piętnowana przezeń jako ultramontańska i reakcyjna Bawarya uznaje więcéj obowiązek i potrzebę liczenia się z wolnomyślnemi prądami Niemiec, aniżeli idealizowane Prusy. Prąd ten konstytucyjny ogarnia coraz więcéj, mianowicie południowe Niemcy, ku nie małemu rozdrażnieniu autora, gniewnego *ex officio* zawsze, ile razy w wyścigu do zyskania popularności w Niemczech, widzi Prusy wyprzedzone przez jakie bądź inne państewko czy żywioły niemieckie. Badeńskie widzimy postępujące za przykładem Bawaryi i Wirtembergii. Słaby i chory w. książę badeński

Karol, mąż Stefanii Beauharnais, nie mógł i nie chciał się opierać wołaniom swego kraju o nadanie ustawy konstytucyjnéj, któréj ogłoszenie nastąpiło w r. 1848. Obie Hesye i księstwo Nasauskie poszły za tym przykładem i podobnież małe księstwa turyngskie, mianowicie Karol August jako w. książę Weimarski. Całe, słowem, południowe i środkowe Niemcy pokryła sieć ustaw konstytucyjnych a tam, gdzie ich jeszcze nie było, odzywały się tém gorętsze, za podobną formą rządu wołania, wzrastał tém groźniéj i natarczywiéj, ku historycznemu zgorszeniu autora, prąd rewolucyjnego rozdrażnienia. Oko Austryi zwracało się ku objawom tego ducha z nie mniejszą obawą, co podejrzliwością. Była to epoka owych kongresów monarchicznych i ministeryalnych, mających na celu okiełznanie i powściągnienie aspiracyi wywrotu. Rozpoczęły się one od kongresu akwizgrańskiego w roku 1818, a pierwsze te próby znamionującéj fakt swéj obecności reakcyi, były chyba tylko zdolne dolać oliwy do ognia. Prasa weimarska w czasopismach swych, jak *Isis*, jak *Nemesis*, przodowała ruchowi, domagającemu się konstytucyi i innych politycznych reform. Profesorowie uniwersytetu jeneńskiego, jak Oken i Luden, głosili potrzebę politycznéj zmiany z wysokości uniwersyteckich katedr. Rozumié się, że turnerzy, że *Burschenschaftery*, że ludzie raczéj zapalnych aspiracyi, aniżeli dojrzałego umysłu, jak Jahn i Maurycy Arndt, szli za nimi, że ciągnęli młodzież za sobą. Prusoman Jahn głosił teoryą: „że twórcę świata i stworzyciela jedności czci każdy naród jako zbawiciela i ma na pogotowiu przebaczenie dla wszystkich jego grzechów.“ Mimo podobnych, przygotowujących z góry drogi i rozgrzeszenie Bismarkowi teoryi, żżyma się przecież zachowawczo-biurokratyczny zmysł autora przeciw całemu owemu reformistycznemu ruchowi, przeciw owym Jahnom, Arndtom, Schenkendorffom, by stanąć od razu wraz z ludźmi reakcyi pruskiéj, jak Maussmannem, Kamptzem, Dambachem, Tzschoppem, przeciw liberalnym aspiracyom czasu, przeciw burzliwéj młodzieży uniwersyteckiéj, święcącéj uroczystość na Wartburgu, wyprawiającéj *auto da fe* pismom reakcyi, oskarżeniom różnych Schmaltzów i Kotzebue'ów. Mianowicie świecą w szeregach rewolucyjnie usposobionéj młodzieży bracia Follenowie z Giessen. Autor przytacza niektóre ich, krwiożercze poezye i pyta czytelnika, czy agitacya i propaganda tego rodzaju mogła się skończyć inaczéj, aniżeli morderstwem i krwi żądnemi zamachami. Rok 1818, rok kongresu akwizgrańskiego, odwiedzin cesarza Aleksandra w Niemczech, tryumfu cesarza Franciszka odniesionego w czasie podróży nadreńskiéj nad pokornym i mało pokaźnym królem pruskim, zagrażających wysiłków Metternicha i Gentza przeciw uniwersytetom

i rewolucyjnym porywom, był właśnie datą najbujniejszego ich rozkwitu. Na ten czas to właśnie przypada (w marcu 1819) fakt zamordowania Kotzebuego przez młodego marzyciela, Karola Sanda. Autor rozpisuje się w sposób nader szczegółowy nad tym tragicznym wypadkiem, przypisuje jego główną, moralną winę braciom i usiłuje, na ten raz nie bez słuszności, zedrzéć trochę ową idealną maskę, w jaką do téj chwili przybierać zwykli oblicze tępego i ograniczonego zkądinąd Sanda niewcześni entuzyaści niemieccy. Entuzyazm ten posunął się tak daleko, że skrytobójcy nie wachającemu się zamordować bezbronnego, niewinnego w gruncie rzeczy profesora w obecności przybiegającego mu z bezskuteczną pomocą czteroletniego dziecięcia, wystawiono w r. 1870, w pięćdziesięcioletnią rocznicę jego egzekucyi w Mannheimie, na jéj miejscu, pomnik ku uczczeniu jego osoby i czynu. Dziwny i charakterystyczny obłęd, w którego stanowczém potępieniu na ten raz z autorem najzupełniéj jesteśmy zgodni. Inne pytanie, o ile stanowisko autora po spełnionym na nieszczęsnym radzcy legacyjnym zamachu, jest znów nie czém inném, aniżeli tylko znów materyałem do charakteryzowania go jako publicysty i historyka nakręcającego prawdę historyczną i przekonania *ad usum Delphini*, na rzecz potrzeby i interesu pruskiego. Jak zwykle, tak i w obecnym przypadku, stał się morderczy wybryk rewolucyonistów niemieckich hasłem i powodem tém gwałtowniejszéj reakcyi. Prąd konstytucyjno-reformistyczny zaczynał już być nie bez widoków w Prusach samych, znajdował tamże w Wilhelmie Humboldt'cie, w kanclerzu Hardenbergu mniéj lub więcéj wyraźnych zwolenników, podobnie jak w Bawaryi, w Wirtembergii, w Badeńskiém znajdował ich w osobistościach, jak Rotteck, Winter, Türkheim. W Badeńskiém znajdował ruch reformistyczny stanowczego rzecznika w pośle pruskim, tyle głośnym jako pisarzu i publicyście Varnhagenie von Ense. Jeżeli go autor zaszczyca wyjątkową nienawiścią, przypiszmy to ogłoszonym przed dwudziestu kilku laty jego pamiętnikom, w których dwór i polityka znajdują się przedstawione w nieszczególnie pochlebném świetle.

Cóżkolwiekbądź, stało się zamordowanie Kotzebuego, hasłem ogólnéj w Niemczech, zainicyonowanéj nie mniéj przez Prusy, jak przez Austryą reakcyi, która przedewszystkiém zaszkodziła śmiertelnie sprawie, któréj wybryki ruchu rewolucyjnego służyć mniemały. Stanowisko stronnictwa reformistycznego stało się wszędzie utrudnioném, jeżeli nie niemożliwém. Mianowicie tyczy się to samegoż księcia Karola Augusta w Weimarze. Przyczepiano się bez właściwego powodu i bez właściwéj winy do głośniejszych osobistości liberalnego stronnictwa, jak Maurycego Arndta, Jahna, Dorowa,

Steffensa, powięziono je, prześladowano sądowemi śledztwami i policyjnemi rewizyami. Ustanowiono tak zwaną Moguncką komisyą śledczą, znienawidzoną późniéj do najwyższego stopnia w Niemczech, postanowiono wreszcie słynne w dziejach Niemiec po roku 1815, znienawidzone środki represyi przeciw uniwersytetom i prasie na zjazdach w Karlsbadzie i Teplicach. Protesty reprezentantów małych książąt niemieckich, jak mianowicie w. księcia weimarskiego Karola Augusta nie robiły żadnego wrażenia. Natomiast należy się państwom południowo-niemieckim, jak Bawaryi, Wirtembergii, Badeńskiemu uznanie, że się faktycznie oparły uchwałom teplicko-karlsbadzkim i nie dopuściły u siebie faktycznego ich wprowadzenia w życie. Prusy i Austrya stały natomiast na czele reakcyjnéj roboty a druga nie ma w tym względzie nic do pozazdroszczenia pierwszym. Trzeba jednakże wypróbowanego serwilizmu nowego historyografa pruskiego, aby wbrew najwyraźniejszéj, nie dającéj się żadną miarą zaprzeczyć oczywistości, zrzucić wszelką winę i odpowiedzialność za ówczesne orgie reakcyi niemieckiéj na rachunek Austryi i barki Metternicha a uwolnić od niéj obłudnie Prusy. Zresztą zmuszony autor o kilka stronnic daléj zaprzeczyć swemu uniewinniającemu Prusy wyrokowi i powiedzićć, jak dalece uchwały karlsbadzkie oddziałały na Prusy, jak dalece przyczyniły się do zmiany gabinetu pruskiego, jak dalece spowodowały zwycięstwo przechodzącego stanowczo do obozu reakcyi Hardenberga nad osobistościami liberalnéj barwy, jak Beymem, Boyenem i Wilhelmem Humboldtem. Zresztą rozpoczęła się już wtedy emigracya co więcéj skompromitowanych głów liberalizmu do Francyi, mianowicie do Strassburga. Mianowicie poszukali tamże schronienia zacny Görres i Badeńczyk Welcker, a jeżeli jest coś, co nędzę i posuchę duchową owéj epoki wynagradza, to chyba tylko poprzedzające późniejszy związek celny niemiecki, ekonomiczne projekta ludzi, jak Lista, Nebeniusa, Eichhorna.

Taki to obraz przedstawiają Niemcy, przedstawiają Prusy nazajutrz po uchwałach zjazdu karlsbadzkiego, obraz, który nawet historykowi w rodzaju p. Treitschkego nie dostarcza zbyt pożądanego materyału do śpiewania Prusom hymnów chwały.

Jak jednakże zobaczymy niżéj, nie omieszka oficyalny historyograf pruski wrócić entuzyastycznie do swego ideału w niezrównanie ciekawy i charakterystyczny sposób, a tymczasem przypatrzmy się wraz z nim, bezpośrednim dla Prus następstwom karlsbadzkich rezolucyi. Pierwszém z nich, najważniejszém politycznie i praktycznie był tak nazwany akt ostatni wiedeński (*Die Wiener Schlusacte*) z dnia 8 czerwca 1820. Akt ten nazywamy dla tego ważnym poli-

tycznie i praktycznie w ówczesnych wewnętrznych stosunkach Niemiec, że strącił stanowczo Prusy z ich stanowiska, dającego im prawo rywalizacyi z Austryą, a zapewnił tejże niezaprzeczoną przewagę w organizacyi i decyzyach frankfurckiego *Bundestagu.* Był to jeden z najlepszych jeszcze stosunkowo manewrów nie zawsze szczęśliwego w swéj polityce Metternicha. Odtąd to prowadzi się przez lat kilka następnych, równie moralnie, jak materyalnie niekorzystna dla Prus wojna ze strony małych, mianowicie południowych państw niemieckich, walka ekonomiczna i walka polityczna, po za którą stoi właściwie Austrya. Ekonomicznie toczy się ta walka ze strony małych państw niemieckich przeciw pragnącym zabsorbować je Prusom w dziedzinie celnéj. Podejmuje tę walkę minister nassauski Marschall, podejmuje ją ku wielkiemu zgorszeniu autora adwokatującego wiernie Prusom, p. Treitschkego, minister anhalt-köthenski Adam Müller. Politycznie rywalizują w niemniéj pożądany sposób z Prusami wszystkie prawie południowo-niemieckie państwa, przedstawiając się, nie bez cichéj zachęty mądrego na ten raz Metternicha, w roli rzeczników liberalizmu i konstytucyonalizmu niemieckiego przeciw reakcyjności pruskiéj. Centner, minister bawarski po ustąpieniu Montgelasa, badeński minister Berstett, Wirtembergia, obie Hesye,—wszystko to bawi się, pod patronatem Metternichowym, w wojnę liberalno-konstytucyjną przeciw Prusom, wobec przyklaskującéj pierwszym opinii publicznéj. Wobec wzrastającego nurtu rewolucyjnego w krajach romańskich i w Grecyi, wobec przeciwieństwa, jakie przedstawia naturalnie zimny i suchy, administracyjny „szablon“ pruski z rozwijającą się cokolwiekbądź żywiéj swobodą polityczną w południowych państwach i państewkach niemieckich, cóż dziwnego, że sympatye niemieckiego ogółu ku nim się zwracają? Ta właśnie okoliczność jednakże wywołuje najnieszlachetniejsze zazdrości autora, odsłaniając w nim równocześnie, jak wyraźniéj i charakterystyczniéj być nie może, tylko i wyłącznie rzecznika interesu pruskiego bez względu na prawo i prawdę. Mniejsza już o to, że czychając na każdą możność i sposobność zdepopularyzowania południowo-niemieckiéj konstytucyjności, opowiada z uczuciem, nazywaném przez Niemców tak słusznie „radością z cudzéj szkody“ (*Schadenfreude*) niesprawiedliwe prześladowania, na jakie się znalazł wystawionym na ówczas w Wirtembergii słynny ekonomista Fryderyk List. Ciekawszym nierównie a więcéj kompromitującym dla jego charakteru i rozumu politycznego jest wyrywający mu się mimowolnie wykrzyk przeciw liberalizmowi i konstytucyonalizmowi niemieckiemu, przeciw małym, południowym państwom niemieckim,—dla czego? Że darząc swoje społeczeń-

stwa większym od Prus zakresem swobody politycznéj, kompromitują tém tylko owo pierwszorzędne państwo niemieckie a przez to samo przeszkadzają dziełu jedności niemieckiéj, mogącemu być spełnioném jedynie przez Prusy; *Unglaublich, aber wahr*, nie do wiary a jednak prawda, zwykł mówić wobec podobnych wybryków złéj fantazyi i złéj logiki Niemiec. Niechaj zaś czytelnik z następnego, dosłownego przytoczenia zechce sam osądzić, o ile do podobnego zadziwienia mamy prawo. „Tak to,“ mówi p. Treitschke, „dostała się do panowania w całych południowych Niemczech konstytucyjna forma rządu a jakkolwiek podobny obrót rzeczy mógł być koniecznym i zbawiennym, tak również pewno gotował zjednoczeniu, narodu ważne niebezpieczeństwa. Dopiero przez Napoleona i zwycięstwa konfederacyi Reńskiéj zbudziło się w pokrajanych obszarach południa uczucie wspólności, uczucie świadomości niemieckiego pochodzenia, które jeszcze w w. XVIII drzémało. Teraz znów zaostrzył się ów duch seperatyzmu, odkąd poczęto piękną ojczyznę domową czcić jako klasyczny kraj niemieckiéj wolności, lekceważyć z niechęcią wielkie narodowe wspomnienia odznaczonéj powodzeniami i siłą broni północy. Przepaść między północą a południem rozszerzała się w ciągu lat następnych a dopiéro po smutnych rozczarowaniach zrozumieli Niemcy południowi, że tylko jedność Niemiec mogła im zabezpieczyć wolność polityczną.“ Trudno zaiste o cyniczniejszą nieprawdę, bo cóż prawdziwszego, jak że jedność właśnie niemiecka w sposób, w jaki przyszła do skutku, pozbawiła Niemców południowych wolności politycznéj a cały powyższy frazes pozostanie jednym z najcharakterystyczniejszych wybryków hyperborusyzmu autora.

Po téj ogólnéj charakterystyce stosunków południowo-niemieckich i powyższego sensu moralnego, jaki z nich wywodzi, zwraca się autor w osobnym rozdziale do Prus ku bliższemu rozbiorowi polityki ich celnéj, handlowéj, ekonomicznéj, tudzież ocenieniu ostatnich przed zgonem reform kanclerza Hardenberga. Co się tyczy pierwszéj, poświęca p. Treitschke obszerny traktat działalności tak zwanego „Handlu morskiego“ pruskiego (*Preussische Seehandlung*), instytucyi wyprowadzającéj swoje istnienie jeszcze z czasów Fryderyka II, tudzież czynności wielce zasłużonych około handlu i przemysłu pruskiego dwóch ministrów Rothera i Motza? W dziedzinie reform politycznych, wspomina autor z uznaniem kanclerza Hardenberga, skreśla usiłowania jego, które nie mogąc doprowadzić do pożądanego celu, do nadania Prusom ustawy konstytucyjnéj, ograniczają się na reformy raczéj administracyjnéj, aniżeli politycznéj natury. Do takich zaliczyć należy reformę stosunków gmin-

nych, przygotowania do tak zwanego prawodawstwa stanowego (*Ständische Gesetzgebung*) mającego zastąpić organizm konstytucyjno-parlamentarny, wreszcie ową zawartą przez Niebuhra i Bunsena, uświęconą przez bullę *De salute animarum* z 16 czerwca 1821, zgodę między kuryą Rzymską a gabinetem berlińskim. Takie to były ostatnie, przynajmniéj intencyą polityczną poprzedzającéj epoki nacechowane wysiłki Hardenberga, który wkrótce po ich wprowadzeniu w życie zmarł 26 listopada 1822 w Genui, jako osobistość nie żałowana przez nikogo i poczynająca być niewygodną. Naturalnie, że już wśród podobnego położenia rzeczy, wśród roztaczającéj się coraz więcéj reakcyi, wśród stłumionych przez karlsbadzkie uchwały uniwersytetów i swobody prasy, nie było miejsca dla ludzi jak Wilhelm von Humboldt, jak namiętnie nienawidzony przez autora Varnhagen von Ense. Austrya miała swój organ publicystyczny na Niemcy *Augsburger Allgemeine Zeitung*, miała na południowe Niemcy oddaną sobie pod naczelnym zarządem księcia Thurn-Taxis, otwierającą według potrzeby listy i korespondencye wszelkiego rodzaju pocztę. Prusy nie miały jéj nic do pozazdroszczenia, trzymając w podobnych kleszczach prasę i uniwersytety, mając swojego generalnego dyrektora poczt Naglera szanującego w podobny sposób tajemnicę pocztową, rządy osobiste króla tém więcéj ponure, tém gorzéj skłócone z duchem czasu i wołaniami Niemiec, im głośniéj kołatały do nich głos rewolucyi romańskich i greckiéj, powstania piemonckie, neapolitańskie, hiszpańskie, wojna Grecyi z Turkami, pomruki opozycyjne we Francyi i Anglii. Niemcom skrępowanym w powijakach uchwał karlsbadzkich, nie wolno się było odezwać. Minister wirtemberski Wangenheim nie mógł się ostać wobec reakcyi ze swemi próbami protestu przeciw dłuższéj trwałości uchwał karlsbadzkich. Był zmuszony ustąpić a jeżeli współcześnie niemal ze zgonem Hardenberga nastąpił ze strony Prus jaki objaw interesu dla związku i wspólności z Niemcami, to chyba tylko ich udział w kongresie handlowym darmsztadzkim z roku 1822, wprowadzającym pewne ulepszenia komunikacyjne i pewne ulgi we wzajemne stosunki handlu niemieckiego. Zresztą panowało na widowni ówczesnéj niemieckiéj ponure milczenie, przerywane raz po raz bądź to usunieniem jakiego Wangenheima, bądź przełamaniem konstytucyjnego oporu jakiéj Hesyi. Zaiste obraz ani pociągający życiem i barwnością, ani też nie przedstawiający szczególnego materyału do apoteozy Prus przedewszystkiém, rządzonych osobiście, sucho i absolutnie przez króla Fryderyka Wilhelma III. Nie trzebaby być jednakże p. Treitschkem, aby nawet na tak mało harmonijnéj strunie nie wygrać pochwalnego hymnu na cześć Prus. Na ten raz dzieje się

to w sposób niekoniecznie szlachetny i faktycznie prawdziwy, w dodatku zaś odpowiadający dosłownie, jak wierniéj i lepiéj być nie może, znów recepcie obecnego systemu. Wiadomo otóż powszechnie, że rządy późniejszego króla Fryderyka Wilhelma IV nie są obecnie w Prusach *in odore sanctitatis*, że nie tylko ów zdawkowy i tani liberalizm, ale że nawet sam książę kanclerz niemiecki poczuwa się do obowiązku jego krytyki, że nazwał z wysokości trybuny parlamentarnéj niektóre czyny tego monarchy „obłędem szlachetnego umysłu.“ Ówczesny następca tronu, późniejszy Fryderyk Wilhelm IV uchodził za panowania swego ojca za opozycyonistę, za zwolennika reformy politycznéj, za opiekuna i rzecznika narodowéj idei niemieckiéj. Nie trudno więc znajduje się rada wystąpienia przeciw następcy tronu, będącemu w opozycyi z absolutystycznym ojcem, entuzyaście Hellady, może cichemu zwolennikowi Riega i Pepego. Robi go po prostu historyograf nowy pruski już na ówczas człowiekiem ulegającym pomieszaniu zmysłów, czego się wprawdzie nie mogą dopatrzéć ani Humboldt, ani Ranke, ani Reumont, ale co odpowiada dzisiejszéj potrzebie a stawia nieszczęśliwego monarchę w cieniu tyle pożądanym dla światła innych.

Trwa zresztą ów stosunek zastoju bundestagowego, panowania rezolucyi karlsbadzkich aż do r. 1825. Wtedy to składa się kilka okoliczności razem, aby bez zasługi, bez inicyatywy idealizowanych przez autora Prus, dopuścić nieco wolnego powietrza do wnętrza organizmu niemieckiego. Komisya śledcza moguncka zamknęła nareszcie swój żywot i swe akta, dzięki niedostatkowi materyału i zatrudnienia. Daléj zakończył życie cesarz Aleksander I, wywierający w ostatnich latach swego panowania przeważny wpływ na losy Niemiec podczas kongresów w Opawie, Lublanie i Weronie. Umarł również król bawarski Maksymilian Józef, pozostawiając następstwo tronu idealiście i szlachetnemu fantaście, jakim był król Ludwik I. Nie dość na tém, wziął Canning, ku niesłychanemu zgorszeniu Metternicha i satellitującego mu wiernie gabinetu berlińskiego, w gorącą opiekę równie zrewolucyonizowane przeciw Hiszpanii kolonie południowéj Ameryki, jak kłującą w oczy nieprzestannie kanclerza austryackiego Grecyą. Wszystko to nie mogło wprawdzie zmienić ani osobistych, absolutystycznych usposobień króla Fryderyka Wilhelma III, ani charakteru jego polityki; cóżkolwiekbądź, nie pozostało jednakże bez wpływu i wrażenia choćby na zacofaną, berlińską widownię. Na czele rządu stał ze swą absolutną i absolutystyczną wolą sam król Fryderyk Wilhelm III. Obok niego, jako wykonawca administracyjny, kierujący minister hr. Zottum. Naturalnie nie trzebaby chyba znać autora, aby przypuszczać, że choćby i taki

stan nie będzie wzbudzał jego entuzyazmów, że znów nie spotkamy się z przytoczeniami poetyckiemi i strzelistemi frazesami na cześć Prus, choćby z powodu tak wiekopomnego wypadku, jakim była przygotowana jeszcze za życia Hardenberga, wprowadzona w życie przez prawo z dnia 5 czerwca 1823 instytucya sejmów prowincyonalnych dla całéj monarchii pruskiéj. W gruncie rzeczy doznała ta reforma zimnego przyjęcia, choćby dla tego, że nie dorównowywała konstytucyonalizmowi południowych Niemiec i nie zadowolniała rozbudzonych zaręczeniem królewskiem z dnia 22 maja 1815 nadziei. Co więcéj wywołała niezadowolnienie sfer mieszczańskich i liberalizmu przewaga, jaką przez nowe prawo szlachta i arystokracya wyższa zyskiwały w reprezentacyi stanowéj. Przy téj sposobności nie może się autor powstrzymać w charakterystyce rozpoczynającéj się czynności sejmów prowincyonalnych od równie złośliwych, jak kłamliwych wycieczek przeciw sejmom prowincyonalnym poznańskim i postawie w nich szlachty polskiéj. Między innemi pozwala sobie, kłamiąc najdowolniéj, twierdzić, że szlachta na sejmach poznańskich występowała z protestami przeciw uwłaszczeniu włościan, jak gdyby szlachta polska w Poznańskiém była niemiecką szlachtą Prus Wschodnich i brandenburskiéj Marchii, buntującą się przeciw społecznym reformom tak zwanéj „epoki regeneracyjnéj" Prus.

Wspomniawszy o téj ostatniéj pozostałości reformistycznych usiłowań Hardenberga w powyższy sposób, przedstawia autor w osobnym, obszernym ustępie obraz stosunków na ówczesnym dworze pruskim, obraz swoją drogą wielce interesujący, jakkolwiek dziwić się nie można, jeżeli autor tutaj właśnie czuje się, o ile możności więcéj jeszcze, aniżeli gdziebądź indziéj w swojém dziele, nowo-kreowanym historyografem pruskim. Drugie małżeństwo króla Fryderyka Wilhelma III z hrabianką Augustą Harrach znajduje tylko w opowiadaniu autora faktyczną, dość suchą wzmiankę. Co się tyczy następcy tronu, późniejszego króla Fryderyka Wilhelma IV, powtarza o nim autor, w zmienionéj nieco tylko formie to, co powiedział wyżéj. Mówi o jego nie-wojskowém usposobieniu, o jego romantycznych gustach, o niepraktycznéj, stroniącéj od wymagań rzeczywistości naturze i wreszcie o jego małżeństwie z Elżbietą, siostrą króla bawarskiego Ludwika I, związku nie zapowiadającym potomstwa i odsłaniającym dla tego w królewskim bracie Wilhelmie (późniejszym cesarzu) reprezentanta rodu. Około tego téż to, młodego naówczas księcia streszczają się wszelkie uwielbienia i entuzyazmy autora, uniesienia, w których wyrazie nowy historyograf nie zadaje sobie wcale przymusu. Posłuchajmy następnego,

wielce interesującego téj części opowiadania jego ustępu. „Ponieważ“, mówi p. Treitschke, „małżeństwo następcy tronu (późniejszego króla Fryderyka Wilhelma IV) pozostawało bezdzietném, należało się teraz już liczyć z prawdopodobieństwem, że korona przejdzie kiedyś na księcia Wilhelma (obecnie cesarza niemieckiego). W synu tym doczekał się król radości, która każdemu ojcu jest najmilszą i widział w nim wyraźny odblask własnéj istoty. Równie skromny, rozsądny i miłujący obowiązek, ale nierównie żywszéj natury, silniejszy w postanowieniach, świeższych usposobień, aniżeli ojciec, był rycerski młody książę już teraz nadzieją armii, urodzonym wodzem, surowym a zarazem dobrego serca, jak to być zwykło właściwością żołnierza. Oficerowie i żołnierze gotowi byli iść za nim w ogień. Ojciec kazał go wychowywać zupełnie na żołnierza, popo ponieważ nie-wojskowa natura następcy tronu wkrótce wyszła na jaw. Książe Wilhelm oddawał się swym wojskowym obowiązkom z wytrwałą gorliwością. Miał sobie oddane równocześnie dwie wielkie komendy, nad brandeburskim korpusem armii i nad dywizyą gwardyi. Polityczny jego sposób myślenia stał się do tyla tylko wiadomym, że o zadaniu nieograniczonéj niczém królewskości pruskiéj bardzo wysokie miał wyobrażenie i czuł się zupełnie drugim poddanym swego ojca. Żył i trwał w tradycyach wojny Napoleońskiéj a oddawał bohaterom téj wielkiéj epoki serdeczną cześć, nie wyjmując sędziwego Yorka, który się na dworze szczególną łaską nie szczycił. Podszepty potwarców nie bałamuciły jego swobodnego umysłu. Równie jak jego ojciec, uważał alians mocarstw wschodnich jako rękojmią pokoju europejskiego a podobnie też jak ojciec, dawał pierwszeństwo Rosyi nad Austryą. Z armią pierwszéj odbył niegdyś swą pierwszą kampanią a odkąd towarzyszył swéj najukochańszéj siostrze, wielkiéj księżnéj Karolinie, w jéj podróży ślubnéj, pozostał z dworem petersburskim w najpoufniejszych stosunkach. I temu to synowi, który sercu jego był tak blizkim, zniszczył król z konieczności okrutnie najsłodsze marzenia młodości. Książę Wilhelm kochał księżniczkę Elizę Radziwiłłównę, najpiękniejszą, pełną uroku dziewicę z pośród młodych dam dworu. Zdawała się jakby stworzoną dla niego, ale podawano w wątpliwość jéj równe urodzenie. Jakkolwiek bowiem dawny ten ród litewskich dynastów bogactwem i historyczną sławą nie jeden dom książęcy niemiecki przewyższał a niegdyś już za dni wielkiego elektora, książę z rodu Hohenzollernów Radziwiłłównę jako równie urodzoną małżonkę pojął, zapanowały od niedawna tak na pruskim, jak na wszystkich królewskich dworach Niemiec, surowsze w tym względzie pojęcia. Od czasu Fryderyka Wielkiego utrwaliła się

zasada, że tylko córki panujących domów książęcych i dawniejszych magnatów Rzeszy, miały być uważane zarówno urodzone. Król sam uznał tę zasadę, wypowiadając przy drugiém swém zawarciu małżeństwa, że według statutów swego domu, z córką rodziny należącéj do hrabiów Rzeszy, tylko morganatyczne małżeństwo zawrzéć może...

Przez pięć lat tedy dokładano z obu stron wszelkich starań, aby wszelkie wątpliwości usunąć a księciu uczynić możliwém jego upragnione szczęście małżeńskie. Zawezwany przez księcia Antoniego Radziwiłła, napisał Karol Fryderyk Eichhorn prawne sprawozdanie, które orzekało równouprawnienie domu Radziwiłłów. Zdanie znakomitéj powagi na polu prawa publicznego, spotkało się jednakże z dobrze uzasadnionym protestem innych znakomitych prawników.

Wtedy to pojawił się projekt, aby książę August (brat księżnéj Antoniowéj Radziwiłłowéj) adoptował księżniczkę. Pięciu jednakże ministrów odpowiedziało stosownie do swego urzędowego obowiązku, że adopcya nie może krwi zastąpić. Tymczasem ożenił się trzeci syn króla, książę Karol z księżniczką weimarską a wielko-książęcy dwór saski oświadczył stanowczo, że żąda dla dzieci z tego małżeństwa pierwszeństwa, w razie, gdyby starszy brat poszedł za głosem swéj skłonności. Wtedy to nabrała ta sprawa krytycznéj wagi. Zanosiło się na spór o następstwo tronu, mogący podać w niebezpieczeństwo istnienie dynastyi. Wskutek ponawiających się przedstawień swoich doradzców postanowił król, głęboko zakłopotany, użyć swéj powagi (1826). W liście pełnym serdeczności przedstawił synowi, wszystko co nadaremno usiłowano a że teraz pozostaje tylko twardy obowiązek poświęcenia szlachetnéj skłonności na rzecz dobra państwa i królewskiego domu. Po odebraniu pisma tego z rąk generała Witzlebena (adjutanta królewskiego), był książę początkowo jakby całkiem złamany. Potém nabrał siły i tego samego wieczora jeszcze napisał do króla, że będzie posłusznym. W sposób prosty, nie wymuszony a przecież tak głęboko przemawiający do serca, jaki mu był właściwym, wypowiedział ojcu tajemnicę swego serca. Przyrzekł usprawiedliwić zaufanie króla przez zwalczenie swéj głębokiéj boleści, przez wytrwanie w tém, co się zmienić nie da a prosił o pomoc Boską, aby go w téj ciężkiéj próbie nie opuściła. Drogiemu ojcu miało zaś odtąd serce jego wyłączniéj, niż dotąd, należeć, ponieważ jego ojcowska miłość nie była nigdy wyższą, aniżeli w chwili téj ciężkiéj decyzyi. Witzleben pisze o tém w swoim dzienniku: Jaki syn, taki ojciec!...

We trzy lata późniéj zawarł książę (Wilhelm) związek małżeński z księżniczką Augustą Weimarską, która królewski dom obdarzyła następcą. Tak to mądre w swym nieodgadnionym przebiegu rozporządzenie, wychowało narodowi jego bohatera a nauczyło być posłusznym i rezygnacyjnym tego, który kiedyś miał nad Niemsami panować"... Otóż ustęp opowiadania Treitschkowego, dowodzący, jak bliskim swego czasu był dzisiejszy kanclerz niemiecki niebezpieczeństwa nazywania córy znakomitego rodu polskiego swą cesarzową.

Od téj charakterystyki dworu i dworskich stosunków, przechodzi autor nieco stromo do poglądu na wewnętrzny stan rzeczy w rozmaitych jego objawach. Obraz to nieco mozajkowy, nie układający się wszędzie w harmonijną, zaokrągloną, artystyczną całość, jakkolwiek autor, jeżeli gdzie, to tutaj, nie żałuje licznych przytoczeń z rozmaitych poezyi i poetów niemieckich. Na pierwsze więc spotykamy się w tym ustępie z obrazem stosunkow kościelnych pruskich, nie mniéj katolickich szczególnie nad Renem, rozwijających się wówczas ku zadowolnieniu kuryi, dzięki pojednawczemu usposobieniu posła pruskiego Bunsena w Rzymie, jak protestanckich. Jeżeli sprawa mieszanych małżeństw wywołuje już wówczas pewne nieporozumienia między arcybiskupem kolońskim Drostem von Vischering a rządem,— nieporozumienia przecież dopiero późniéj wybuchną w stanowczy zatarg, — panuje natomiast ku wielkiemu zgorszeniu autora wyraźna opozycya ze strony tak zwanych starych luteranów i kalwinów przeciw ułożonéj na rozkaz królewski agendzie dla połączonego kościoła protestanckiego. Opozycya ta jest dość naturalna, tłómaczy się przynoszącym jéj zaszczyt pierwiastkiem uczciwéj niezależności i samodzielności w rzeczach religijnych. Opozycya ta jednakże zwraca się przeciw władzy i powadze królewsko-pruskiéj, co wystarcza, aby była przezeń oceniona wśród objawów, które Niemiec zwykł nazywać akcentem moralnego oburzenia.

Organizacya armii, mianowicie tak zwanéj landwery, zajmuje drugie, krótkie w tym obrazie wewnętrznych stosunków miejsce, by nierównie obszerniejszego ustąpić ocenieniu ludzi i usiłowań, starających się podniecić przemysł i handel pruski, stworzyć Prusom racyonalną, obliczoną na związek z Niemcami, ekonomiczną politykę. Pod tym względem wspomina autor o licznych zjazdach i handlowych traktatach z małemi państwami niemieckiemi a następnie z Rosyą, oddaje mianowicie zasłużone na tém polu pochwały, ministrowi Motzowi i naczelnemu prezesowi królewieckiemu Schönowi. Że swoją drogą Schön poza tém był zaciekłym, bezwzględnym ger-

manizatorem w Prusach Zachodnich i Wschodnich, nie wspomina autor, gdyby zaś wspomniał, nie byłaby naturalnie w oczach jego żadną ujemnością dla zabiegłego germanizatora.

Co się tyczy ogólnego charakteru ówczesnéj sytuacyi wewnętrznéj w Prusach, nie przestała ona nosić cechy owéj ponuréj reakcyi, jaka się roztoczyła nad krajem od czasu postanowień karlsbadzkich a jakiéj wyłączną winę autor przypisuje Austryi i Metternichowi. Mniejsza o to, że komisya śledcza moguncka została w r. 1829 ostatecznie rozwiązaną, nie wydobywszy niczego na jaw; mniejsza, że cała przyczyna, jaka ją wywołała, okazała się czczem uwidzeniem. Stan rzeczy, stworzony dla Niemiec na zjeździe karlsbadzkim, trzymał się ciągle, mianowicie w Prusach, siłą pewnego przedawnienia, mając swych najczynniejszych wykonawców w ministrze Kamptzu, w osobistościach, jak Dambachu i Tschoppem, swe ofiary w Arndtcie, Jahnie, Rugem, Liebiegu, Brüggemannie. Niektórzy z zagrożonych prześladowaniem, znaném w Niemczech długie lata pod nazwą „*Demagogenverfolgungen*“, usunęli się za granicę, do Szwajcaryi, Francyi, Anglii, Ameryki. Idealizowany przez autora król, mimo ludzkich osobiście usposobień, był przecież w zasadzie niezachwianym zwolennikiem represyi reakcyjnéj.

Najniewątpliwiéj, jak w ciągu całego dzieła, które autor nazwał historyą Niemiec w czasach nowszych, jest w mozajkowym tym obrazie wewnętrznych stosunków pruskich, najlepszym krótki pogląd na ówczesne objawy nauki, literatury, sztuki i kultury w Prusach wogóle. Jestto właśnie początek owéj, mającéj dopiero za panowania króla Fryderyka Wilhelma IV przyjść do zupełnego rozkwitu ery, która zyskała Berlinowi przydomek „Aten nadsprewskich“. Upiększał się też naówczas Berlin, poczęły się wznosić muzea, biblioteka. Rauch i Schadow przyozdobiali stolicę w znakomite utwory swego dłuta; Schinkel świecił w architekturze, obaj Humboldtowie w nauce. Pod tym względem jest obraz autora prawdziwym i nie razi owym akcentem usłużności, gotowéj chwalić i wielbić, przez wzgląd na „zajmowane stanowisko“, wszystko, co tylko nosi cechę polityczną a z dziedziną polityki ma choćby najodleglejszy związek. Na nieszczęście trudniéj jednak p. Treitschkemu powstrzymać się od praktyki owéj usłużności, skoro tylko konieczność wprowadza go na gołoledź polityczną, aniżeli wielbłądowi przedostać się przez otwór igły. Że zaś jest tak a nie inaczéj, przekona nas dowodnie jego pogląd na współczesne małe państwa niemieckie, na to, co pogardliwie nazywa *die deutsche Kleinstaaterei*, zaczynając od ojczystéj Saksonii. Pogląd ten wymaga krótkiego wstępnego słowa. Autor oddawszy się, mniejsza o to z jakich

pobudek i w jakim celu, kultowi wielkopaństwowéj idei, absorbującéj ciało i ducha podległych sobie społeczności wszechwładzy i wszechinteresowi państwa, idei, któréj najcharakterystyczniejszym, praktycznym wyrazem pozostaną po wszystkie czasy Prusy z czynem konfiskaty ciała i ducha niemieckiego nazwanéj zjednoczeniem Niemiec,—nie rozumié czy nie chce rozumiéć wartości i zasługi *„der deutschen Kleinstaaterei“* w organizmie, w nowoczesnéj historyi politycznéj i duchowéj Niemiec. Małe państwa niemieckie były między rokiem 1815 a 1848 ogniskiem prawdziwego ducha niemieckiego, warsztatem myśli i aspiracyi, które zużyte i wyzyskane późniéj zręcznie przez Prusy, uczyniły możliwém zjednoczenie Niemiec, naturalnie nie takie, jakie przyszło do skutku. Choćby powyżéj streszczone opowiadanie autora dowodzi, do jakiego to stopnia duch niemiecki, myśl niemiecka i jéj swobodny wyrób szukały i znajdowały swobodny przybytek w niemieckiéj *„Kleinstaaterei“*, kiedy wielkie mocarstwa, jak Austrya i Prusy, miały dla nich tylko prześladowanie i środki represyi. Kto rozumié rozwój ducha niemieckiego i dziejów niemieckich w pierwszéj połowie bieżącego stulecia wraz z ich logicznemi następstwami w drugiéj, kto wyznaje cześć dla swobodnych wyrobów niemieckiego ducha a rozumié jakotako elementarne pojęcia wolności, wyrażające się praktycznie najnaturalniéj w organizmie federacyjnym,—winien raczéj mieć wyrazy uznania i sumiennéj sprawiedliwości, aniżeli płytkiego lub natchnionego nieszczególnie szlachetnemi pobudkami lekceważenia dla niemieckiéj „małopaństwowości“ po r. 1815. Inaczéj autor. Będąc rzecznikiem interesu lewiatanowéj potęgi, pochłaniającéj mniejsze twory, ma tylko dla pochłanianych słowa zimnego szyderstwa, bez uznania dla owego Weimaru, który był ciepłem gniazdem dla Wielanda, Schillera, Goethego, i dla Drezna będącego przybytkiem sztuk pięknych, miejscem zamieszkania Teodora Körnera, i dla Stutgardtu, ogniska „szwabskiéj szkoły“ w nowoczesnéj literaturze niemieckiéj, i dla Badeńskiego, którego sejmowe izby były pierwszą szkołą politycznéj wymowy dla Niemiec, które wydały Rottecka i Welckera, Itzsteina i Heckera. Krytyka ta, szarpiąca i obelżywa, rozpoczyna się od Saksonii. Nadaremno postawiła późniejsza za dni już naszych wdzięczność ludowa, pierwszemu królowi saskiemu, Fryderykowi Augustowi, na dziedzińcu drezdeńskiego Zwingera spiżowy posąg. Według sądu autora, jest to mimo niektórych osobistych przymiotów odstępca sprawy niemieckiéj. Dla czego? Bo po bitwie pod Jeną nie mógł ocalić Prus, które się same obronić nie umiały i poszedł za przykładem tylu innych książąt niemieckich, z których żaden nie kwapił się zostać męczennikiem

za sprawę ojczyzny niemieckiéj. Po śmierci króla Fryderyka Augusta dostały się rządy Saksonii w ręce jego brata Antoniego, którego autor przedstawia w świetle niewiele dodatniejszém od jego poprzednika. Administracya pierwszego ministra obu królów, hr. Einsiedel, odznaczała się według autora martwym zastojem, wszystko zaś razem miało przedstawiać w ówczesnéj Saksonii obraz najwzorowszéj niemieckiéj *Kleinstaaterei*. — Niechęć ta autora do ojczystego gniazda znajduje przecież we własném jego opowiadaniu osobne jeszcze, dodatkowe objaśnienie. Sam otóż nie może zaprzeczyć i stwierdzić zniewolony, że jeżeli był zakątek Niemiec, który nie kochał Prus z powodu doznanéj krzywdy, który nie mógł przeboléć spełnionego na sobie podziału, była nim z pewnością Saksonia. Prusy i Prusacy nie przestali tutaj według autora być przez długie lata przedmiotem wyraźnéj nienawiści.

Więcéj podstawy i racyi ma sąd autora o elektoracie Heskim Restauracya z r. 1815 przywróciła tutaj wiernie stan rzeczy przedrewolucyjny, dowodzący chyba znanéj prawdy Napoleona o Burbonach, „iż niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.“ Restaurowany elektor był jakoby wierną kopią swego protoplasty, sprzedającego swych poddanych Anglikom na wojnę amerykańską, owym klasycznym księciem z „Intrygi i Miłości“ Schillera, który nie wstydził się krzywdzić własnego ludu, urzędników, wojska na rzecz własnéj szkatuły, poświęcał ogromne sumy dla kochanki swéj Ortlepp, wyniesionéj do godności hrabiny Reichenbach, znęcał się nikczemnie nad swoją małżonką, siostrą króla pruskiego.

Dodatniejsze i względniejsze nieco miejsce w opowiadaniu autora zyskuje sobie Hanower, jakkolwiekby mu nieustająca dotąd jeszcze opozycya większości kraju przeciw panowaniu pruskiemu, do względności podobnéj ze strony jego nie zdawała się dawać prawa. Mianowicie oddaje p. Treitschke wszelkie uznanie sumiennéj i zdolnéj administracyi hanowerskiéj, będącéj prawdziwém błogosławieństwem kraju, mimo że charakter jéj nie był narodowym, że nabrał cechy angielskéj, że elektorowie, późniejsi królowie hanowerscy, przedewszystkiém Jerzy III i IV-ty, wyszli pod względem uczuć i języka na zupełnych niemal Anglików. Kto wié jednak, czy nie ten właśnie przymiot, nabyty w obcowaniu z żywiołem tak skrupulatnym w przestrzeganiu wszelkiego prawa, przyczynił się do tego, iż w kraju swym rodzinnym, że i w ojczystym Hanowerze, z którego wyszli, rządy ich umiały szanować aż do najdrobiazgowszéj sumienności miejscowy stan prawny. Pod względem zaś oświaty, pod względem udziału hanowerskiéj dzielnicy w ogólnéj kulturze Niemiec, pozostanie wszechnica Göttingeńska,

istniejąca i czczona do dziś dnia *Georgia Augusta*, świetnym pomnikiem zasługi rodu Welfów około duchowego dobra i rozwoju kraju.

Pokrewny pod każdym względem Hanowerowi Brunświk przedstawiał równocześnie na swéj maleńkiéj widowni ciekawą, jaskrawą sprzeczność z jednéj strony pomiędzy sumienną i światłą administracyą kierującego ministra, barona Phiseldecka, a z drugiéj strony młodym, protegowanym przez Metternicha księciem Karolem, pozostającym pod opieką króla angielskiego Jerzego IV. Późniejszy, tak zwany „*Diamantenherzog*“ (książe dyamentowy) wiódł ten gorszący spór z opieką przez długie lata. Nadaremno wdawała się weń i usiłowała go zagodzić interwencya frankfurckiego *Bundestagu*. Położyć mu miała dopiéro ostateczny koniec rewolucya z r. 1830.

Ciekawszym nierównie jest w owéj lustracyi „*der deutschen Kleinstaaterei*“ ustęp poświęcony obu księstwom Meklemburskim, nie dlatego może, iż tonie w pochwałach dla panującego domu, spokrewnionego blisko z dworem pruskim, ile raczéj z powodu politycznych poglądów, którym tutaj wynalazł autor pożądane miejsce. Nie wiadomo otóż, dla czego właściwie uważa on za rzecz retoryki historycznéj sięgnąć w zamierzchłą przeszłość, wstąpiwszy na klasyczną ziemię Obotrytów, Wagrów i Ranian w jéj prozaicznéj teraźniejszości niemieckiéj. Dzisiaj ta ziemia słowiańską nie jest, nie jest nią oddawna, autor mógłby doprawdy przeszłości jéj dać pokój. Autorowi żal jednakże, iż kraj dawnych Obotrytów, Wagrów ani dość prędko, ani dość gwałtownie pierwotnéj swéj narodowości pozbawionym nie został, a pod melancholijném wrażeniem téj smutnéj, odkrytéj przezeń wbrew Helmoldom i Arnoldom Lubeckim prawdzie, wznosi się autor do wyrzeczenia następnego, zasługującego na wieczną pamięć aksyomatu historyczno-politycznego: „Nierównie łagodniéj, aniżeli nad Sprewą i Hawolą, wystąpili niegdyś tutaj (w Meklemburgii) niemieccy zdobywcy nad Baltykiem. Nie dla dobra kraju, ponieważ przy zetknięciu się wrogich sobie narodów w o l n o ś ć i c y w i l i z a c y a dla przyszłości najpewniéj znajdują się ocalonemi, jeżeli silniejszy narodowy żywioł właściwość swoją z bezwzględną gwałtownością *(mit rücksichtsloser Haerte)* przeprowadza.“ Ostatnie czasy przyzwyczaiły nas wprawdzie do rozmaitych teoryi i aksyomatów, z któremi się naszym pojęciom o sumieniu i uczciwości, o zdrowéj logice i zdrowém sercu pogodzić trudno. Spotykaliśmy się z teoryami różnych Hartmannów i ich adeptów. Wieniec nagrody odniesie jednakże niewątpliwie w podobnym wyścigu bałwochwalców racyi stanu teorya p. Treitschkego „o zabezpieczeniu *wolności i cywilizacyi* przez bezwzględne tępienie słabszych narodowości.“ Co go zaś do podobnéj potworności

skłania, to przerażający jego wyobraźnię teutońską fakt, że dom panujący w obu księstwach meklemburskich, jakkolwiek zniemczony, wywodził przecież początek słowiański, że pochodził od Niklota i Przybysława, że nie odznaczał się po wszystkie czasy „germańską energią.“ „Niepowstrzymana żądza czynu Germanów, pozostała obcą łagodnéj krwi Wendów.“

Przechodząc od tych historycznych reminiscencyi do teraźniejszości, wspomina autor o traktacie wzajemnéj sukcesyi pomiędzy obu księstwami meklemburskiemi, o popularnym księciu Franciszku Fryderyku, którego popularność i przystępność nie przeszkadzała przecież w niczém prawdziwie zgroźliwemu położeniu stosunków społecznych w jego kraju. Mniejsza już o to, że w politycznym składzie reprezentacyi kraju, że w organizacyi tak zwanych stanów krajowych panowała przygniatająca przewaga szlachty nad mieszczaństwem, nad chłopami, nad licznymi w kraju Żydami, znajdowała się społecznie cała warstwa włościan w obu księstwach meklemburskich pod straszną i przerażającą niewolą. Autor, który stwierdzając tę smutną prawdę, śmié porównywać stan chłopów meklemburskich z równoczesném położeniem chłopów polskich, zapomina, że zasadniczo wzięła tychże pod opiekę prawa ustawa z 3-go maja 1791, że prawnie orzekło ich swobodę postanowienie rządu księstwa Warszawskiego z dnia 21 grudnia 1807, kiedy niewola osobista, *Leibeigenschaft*, włościanina trwała jeszcze naówczas nieprzerwanie i została dopiéro zniesioną prawem z dnia 18 stycznia 1820. I to prawo jednakże było tylko reformą na papierze, a dopiéro burza roku 1848 podziałała na wewnętrzne stosunki społeczne księstw meklemburskich użyźniająco i przyniosła miejscowemu chłopu zupełną swobodę osobistą wraz z prawem nabywania wolnéj własności ziemskiéj.

Dalsza podjęta stąd wędrówka autora po wielkiém księstwie Oldenburskiém, po miastach hanzeatyckich Hamburgu, Bremen i Lubece nie przedstawia w jego opowiadaniu nic uwagi godnego. Północno-zachodni zakątek ten Niemiec wegetował sobie spokojnie, stroniąc w cieniu karlsbadzkich i bundestagowych dekretów od wszelkiéj polityki, ciesząc się swym, nie szczerbionym jeszcze przez dobrodziejstwo jedności niemieckiéj materyalnym dobrobytem. Inaczéj ma się naturalnie rzecz z obu księstwami zaelbiańskiemi, Szlezwigiem i Holsztynem. Tutaj wymaga już naturalnie publicystyczna kampania, jaką Niemcy prowadziły przez długie lata przeciw Danii, tutaj wymagają wojny z lat 1848, 49 i 64 wraz ze swym finałem aneksyjnym, aby upozorować „prawo“ Prus do inwazyi i aneksyi, aby rządy duńskie przedstawić w karykaturalnych barwach, aby pre-

tensyom pruskim nadać znaczenie aspiracyi emancypacyjnych. Nie można powiedzieć, aby się podobna dążność była powiodła autorowi. Rządy duńskie w obu księstwach zaelbiańskich były zbyt ludzkie, łagodne, zbyt względne dla wszelkich pretensyi, cóż dopiéro potrzeb i praw niemieckich; dobrobyt kraju kłuł zbyt widocznie w oczy, aby Danii było można choć z cieniem prawdopodobieństwa wytoczyć zarzut jakiegobądź ucisku i ciemięstwa. Uczciwszy od autora Beust przyznaje stanowczo w swych pamiętnikach, że zarzut owego ucisku, czy złamania ustawy względem ludności szlezwicko-holsztyńskiéj, był tylko dla Niemiec i Prus pozorem. To téż rozwodnia autor cały swój akt oskarżenia w długą, niesmaczną gadaninę, z któréj ostatecznie wyczytuje się „między wierszami“, że uniwersytet niemiecki w Kielu, z profesorem Dahlmanem na czele byli wynalazcami owego „węża morskiego“, który przybrał nazwę „kwestyi szlezwicko-holsztyńskiéj.“

Kończy wreszcie ów ogólny pogląd autora po Niemczech rzut oka na Bawaryą, najprawdopodobniéj dla tego, że po zgonie Maksymiliana Józefa, dostała w osobie jego następcy, króla Ludwika I, osobistość nadającą tak dodatniemi, jak ujemnemi właściwościami swemi pewien odrębny, wyróżniający się charakter południowemu królestwu niemieckiemu. Autor przedstawia króla Ludwika I, na ten raz może nie bez słuszności, jako dziwaczną mieszaninę ultrateutonizmu z będącym naówczas w modzie filhellenizmem. Pewna chłodna sympatya do Prus łączyła się u niego z pewną dozą rywalizującéj niezależności względem Austryi; wielkopaństwowe pretensye, szukające zadowolnienia kosztem w. księstwa badeńskiego, powstrzymywane przez Austryą i *bundestag* frankfurcki, obok nich kosztowne, ciążące krajowi, ale nie bez zasługi dla cywilizacyi, sztuki i nauki niemieckiéj instytucye i muzea, uniwersytet monachijski, glyptoteki, pinakoteki, Walhalla, ze znakomitościami, jak Thiersch, Rudharth, Fallmerayer.

Zresztą wyczerpuje się w owych kilku latach przed rewolucyą lipcową na widowni nie tylko mniejszych, ale i większych państw niemieckich, z wyjątkiem Austryi, interes polityczny, aby raczéj ustąpić miejsca interesom ekonomicznéj natury, celnym i handlowym, a kronika wewnętrzna owéj epoki zapisuje rozliczne próby uregulowania stosunków handlowo-celnych niemieckich, które o wiele późniéj dopiéro w r. 1840, mają znaleść ostateczne rozwiązanie w tak zwanym *Zollvereinie*, a tymczasem wywołują ciągle zazdrości jednych, pretensye drugich. Tak np. gorszy Bawaryą niesłychanie traktat handlowo-celny między Prusami a w. księstwem hesko-darmsztadzkiém. Odpowiedzią nań takiż traktat między Ba-

waryą a Wirtembergią, rozdrażniający do najwyższego stopnia Prusy. Zaledwie minęły te pierwsze próby, rozpoczęły się następne. Saksonia, Hessya elektoralna, księstwa turyngskie zawarły między sobą tak zwany „centralno-niemiecki związek celny“ z wykluczeniem Prus i ku ponownemu ich utrapieniu. Śmierć ministra Motza (r. 1830), największéj znakomitości finansowo-ekonomicznéj, jaką Prusy w owéj epoce posiadały, dała im się wśród podobnych okoliczności dotkliwie we znaki, aż dopiéro trzeba było interwencyi rutynowanego w rzeczach finansowych augsburskiego księgarza Cotty, rozgłośnego w całych Niemczech i Europie nakładcy *Allgemeine Augsburger Zeitung*, aby naprężenie między Prusami a Bawaryą uspokoić, stosunki celno-handlowe obu krajów doprowadzić do stanu pewnéj normalności, który miał przetrwać aż do utworzenia *Zollvereinu* w r. 1840. Przyłączyła się, również za pośrednictwem Cotty, do tego traktatu i Wirtembergia, a autor wita w podobném tymczasowém uregulowaniu stosunków celno-handlowych Niemiec, fakt zwycięstwa finansowo-handlowéj polityki pruskiej.

W charakterystyce owego przedednia lipcowéj rewolucyi francuskiéj, są jeszcze tylko dwa przedmioty, zatrudniające we właściwy sobie sposób uwagę autora. Pierwszym jest nowa faza ruchu naukowego i literackiego; drugim sprawa wschodnia z naturalném swém oddziaływaniem na politykę państw niemieckich. Co się tyczy pierwszego przedmiotu, przenika znów jego sąd o znakomitościach naukowych i literackich téj epoki ów borusyzm, bez którego autor ani siebie samego, ani żadnego swego dzieła, zdania czy słowa pojąć nie jest w stanie. Starzejący się na swém wygodném weimarskiém stanowisku Goethe jest dlań wprawdzie niewinną, archeologiczną już tylko relikwią; z Tieckiem, Rückertem, Platenem obchodzi się bez szczególnéj sympatyi, nie inaczéj zresztą, aniżeli inni téj epoki historyi literatury niemieckiéj dziejopisowie. Jeżeli uczciwy pesymista Schlosser szczyci się chłodem jego uczuć, cieszą się przeciwnie zapałem jego uznania czy to poprzednik na stanowisku historyografa pruskiego Ranke, rozpoczynający naówczas swój dziejopisarski zawód, czy to kaznodzieja i słynny teolog Schleiermacher, czy filozof Hegel, z powodu idealizowania państwowego wszechwładztwa. Odkąd się dopiéro rozpoczyna objaw niezadającéj sobie przymusu nienawiści autora, to od chwili, w któréj się pod jego skalpel krytyczny dostają dwie najpopularniejsze i najwybitniejsze znakomitości owéj epoki, Henryk Heine i Ludwik Boerne. Autor nie posiada się z gniewu na genialnych reprezentantów krytycyzmu semickiego pośród literatury niemieckiéj. Nie uznając w nich nawet tego, czego nie uznać trudno: w Heinem dowcipu, uroku i artyzmu

stylowego; w Boernem ducha niezależności, prawdy i siły analizy krytycznéj, zarzuca autor obu semickim pisarzom, że zatruli niemieckiego ducha fałszywym liberalizmem i niepatryotyczną francuzomanią, Heine w dodatku grzesznym kultem Napoleona. Tak to mści się urzędowy historyograf pruski na dwóch pierwszorzędnych znakomitościach owéj epoki literatury niemieckiéj za wojnę, jaką wypowiedzieli w swych pismach idei borusyzmu, państwowemu wszechwładztwu.

Co się tyczy równocześnie sprawy wschodniéj i oddziaływania jéj na politykę państw niemieckich, wspomina autor nasamprzód o znaném skądinąd zbliżeniu, jakie ówczesna konstelacya europejska sprowadziła między Karolem X a cesarzem Mikołajem, o kombinacyi, która miała przynieść Rosyi w zysku Gdańsk, Francyi lewy brzeg Renu. Rewolucya lipcowa, obalająca tron starszéj linii Burbonów, miała tę kombinacyą udaremnić. Bardzo chłodny daléj zwolennik sprawy greckiéj, gani autor politykę mocarstw podpisanych na protokóle londyńskim z dnia 6 lipca 1827, politykę, która umożliwiła zniszczenie floty tureckiéj pod Nawarynem. Nie znajdując daléj dość energicznych słów ku potępieniu niedołężnéj, według niego, polityki Austryi, a mianowicie wstrętnego sobie księcia Metternicha, podczas wojny turecko-rosyjskiéj z lat 1828 i 29, przesadza autor w nieskończoność zasługę i energią gabinetu berlińskiego, który wyprawiając w stanowczéj chwili generała Müfflinga na pole walki w miesiącu wrześniu 1829, zdołał wpłynąć głównie na zawarcie pokoju Adryanopolskiego, powstrzymującego niebezpieczne dla Niemiec postępy Rosyi na półwyspie bałkańskim. Ostatnie stronice ostatniego tomu tego ciekawego dzieła kończą się gorącą apoteozą Prus.

Na tém zamykamy nasze sprawozdanie z publikacyi p. Treitschkego wraz z nastręczającemi się nad nią natarczywie uwagami. Powtarzamy to, co powiedzieliśmy na wstępie naszego krytycznego sprawozdania: dzieło nowego historyografa pruskiego po Rankem, to nie zwyczajna sobie książka, która się ukaże, przeczyta i przeminie; to f a k t nader charakterystycznego znaczenia, odsłaniający rozmaite chore strony obecnego, sprusaczonego organizmu niemieckiego. Po pierwsze pokazuje on jaskrawym przykładem smutny poziom tyle świetnéj niegdyś nauki niemieckiéj. Po Rankem Treitschke urzędowym historyografem pruskim; po świetnym autorze historyi *Cesarzy i Papieży w średnich wiekach*, redaktor *Preussiche Jahrbücher*, twórca teoryi odpowiadających potrzebom dnia, nazywający

wczoraj Austryą politycznym trupem, czczący ją dzisiaj jako niezbędnego sprzymierzeńca Niemiec; nie wiedzący, że warszawska Praga leży na prawym brzegu Wisły, głoszący twardy ucisk innych narodowości jako najlepszy środek ocalenia wolności i cywilizacyi na przyszłość. Otóż to reprezentant dzisiejszego stanu niemieckiéj nauki.

Nie dość na tém, a co równie pojawem charakterystycznym i smutnym, starczy i podobny charakter i podobna inteligencya do zyskania wysokiego, pierwszorzędnego stanowiska naukowego w obliczu tych, co rozdawaniem podobnych stanowisk rozporządzają.

Samo dzieło wreszcie czém jest, jak się przedstawia, staraliśmy się wykazać w ciągu długiego naszego sprawozdania. Charakterystyczny specymen przekrzywiania dziejowéj prawdy, faktów, fizyonomii wypadków, ludzi, akcyi politycznych w interesie ideałów bardzo nieidealnéj wartości. Niechajby nauka niemiecka dzisiejszego dnia spojrzała w ciekawe dzieło tego nawróconego na pruską wiarę Sasa, jako w zwierciadło swego obecnego poziomu. Miałaby wszelki powód wystraszyć się swego wykrzywionego oblicza, ocknąć się ze swéj pobłażliwéj drzémki, przypomniéć sobie, że kult dziejowéj prawdy i kunszt dziejopisarski to co innego, aniżeli kult sukcesu, aniżeli sztuka wynajdywania mu tytułów prawa i prawdy przez torturowanie przeszłości. Nie można zaprzeczyć, że tu i owdzie odzywa się i krytyka niemiecka w niewiele pobłażliwszym od naszego kierunku o niezrównaném dziele p. Treitschkego. Dość źle jednakże, jeżeli głos podobnéj krytyki nie wyrasta w opinią dość silną, dość poważną, którąby uczyniła raz nazawsze niemożliwém wynagradzanie wysokiemi stanowiskami naukowemi nieudolności, niewiadomości, paradoksalności osłaniającéj się czelnie i pokaźnie maską tego, co język niemiecki nazywa tak trafnie: „*Gesinnungstüchtigkeit*“!

Kazimierz Jarochowski.





CZY SIĘ WYRADZAMY?

Stan sił fizycznych i zdrowia ludności Galicyi i Królestwa Polskiego w porównaniu z innymi krajami wschodnio i zachodnio-europejskimi, skreślony na podstawie cyfr poboru wojskowego).

Dzięki wprowadzeniu powszechnego obowiązku służby wojskowéj we wszystkich państwach kontynentu Europy demo- i etnografia, oraz topografia medyczna zdobyły sobie nadzwyczaj cenny materyał statystyczny w wykazach, sporządzanych przez biura poborowe. Rewizya bowiem rekrutów przy poborze dostarcza bardzo dokładnych danych co do wzrostu, budowy cielesnéj i zdrowia młodzieży męskiéj w jednym i tym samym wieku, daje więc możność przez porównanie cyfr z różnych czasów i rozmaitych miejscowości wyprowadzania nader pouczających wniosków tak co do poprawy, lub pogorszania się sił fizycznych i zdrowia ludności jednego jakiegoś kraju, czy prowincyi, jak co do lepszego, lub gorszego stanu pod tym względem w danym czasie ludności różnych krajów i miejscowości. Badanie przyczyn tych różnic przez zestawienie ich z warunkami ekonomicznymi i geograficznymi, w jakich dana ludność żyje, oraz ze stanem jéj oświaty i moralności, może z czasem rozjaśnić wiele nierozwiązanych dotąd zagadnień i zagadek społecznych i ludoznawczych.

W pracy niniejszéj zamierzam na podstawie cyfr poboru wojskowego w różnych państwach, rozpatrzéć stan sił fizycznych i zdrowia ludności naszéj w Królestwie Polskiém i Galicyi w stosunku do innych narodowości wschodnio i zachodnio-europejskich, oraz zbadać, czy stan ten w jednéj i drugiéj dzielnicy dąży ku poprawie, czy ku pogorszeniu. Sprawa ta poruszona została w prasie naszéj po raz pierwszy już przed rokiem przeszło. Dotąd jednakże nietylko nie została należycie wyjaśniona, ale nawet pod pewnymi względami

nie próbowano jéj wcale rozjaśnić. Pomimo wielkiéj doniosłości téj kwestyi traktowano ją wogóle nadzwyczaj powierzchownie (1). Dość powiedzieć, że, z wyjątkiem jednego „*Kraju*“, wszystkie inne pisma, które głos w téj materyi zabrały, poprzestawały wyłącznie na kilku zaledwie gotowych danych, jakich dostarczyła im reporterska notatka o rezultatach poboru wojskowego w cesarstwie Rosyjskiém i królestwie Polskiém. Nikt nie pomyślał o rozejrzeniu się przynajmniéj w samém źródle, o porównaniu cyfr naszych z różnych czasów, oraz naszych z zagranicznemi. A jednakże pomimo to kilku publicystów na téj jedynie podstawie, że cyfry uwolnionych od wojska z powodu chorób i wad cielesnych były w Królestwie wyższe, niż w Cesarstwie, wyprowadziło wniosek, iż ludność pierwszego „wyradza się“, tygodnik zaś „*Głos*“ posunął się nawet do twierdzenia, iż przyczyną owéj rzekoméj degeneracyi jest jakoby niższość rasowa Polaków, jakieś niefortunne ich „właściwości antropologiczne,“ które sprawiają, że nawet umysłowość nasza wyjałowiała całkowicie w dzielnicach czystopolskich i ratuje się jedynie dzięki mieszkaniu, czy mieszaniu się (nie wyjaśniono tego dokładnie) z Małorusinami garstki Polaków osiadłych na wschodnich kresach etnograficznych naszego kraju. Tego ostatniego twierdzenia nie będziemy dotykali wcale, gdyż niepodobna go rozbierać poważnie. Co zaś do kwestyi fizycznego wyradzania się ludności naszéj w królestwie Polskiém, to możemy tu już naprzód powiedzieć, iż bliższe zbadanie téj sprawy przekonało nas, że przypuszczenia „*Głosu*“ tak co do mniemanego faktu degeneracyi, jak jéj fantazyjnych przyczyn były zupełnie błędne.

Ponieważ jak pod względem warunków ekonomicznych i politycznych, tak i pod względem zdrowotności ludu, o czém wkrótce się przekonamy, stosunki w Galicyi i Królestwie przedstawiają rażące różnice, przeto każdą z tych dzielnic rozpatrzymy osobno. Zaczynam od Galicyi, co do któréj wszystkie dane zaczerpnąłem z referatu d-ra Pawła Myrdacza, czytanego na zeszłorocznym kongresie hygieniczno-demograficznym w Wiedniu (2).

---

(1) Mam tu na myśli wyłącznie Królestwo, gdyż w Galicyi przedmiot ten opracowali bardzo gruntownie d-rowie Majer i Kopernicki w szeregu studyów, pomieszczonych w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowéj.“ Badania ich wszakże ograniczały się jedynie do charakterystyki wzrostu, rozwoju klatki piersiowéj i innych cech fizycznych Polaków, Rusinów i Żydów galicyjskich, bez uwzględnienia zmian dodatnich, lub ujemnych, jakie z biegiem czasu w wymienionych przez nas cechach się ujawniły.

(2) Referat ten wydany został jako XXI zeszyt prac kongresu pod tytułem: *Die Verbreitung der zu Kriegsdiensten untauglich machenden Gebrechen der Wehrpflichtigen in Oesterreich-Ungarn.* Wiedeń, 1887.

Jak już o tém wzmiankowałem, rekruci przy poborze do wojska badani są pod trojakim względem: 1) co do wzrostu, 2) rozwoju klatki piersiowéj i 3) zdrowia i ułomności cielesnych. W rozmaitych państwach pod każdym z tych względów rozmaite bywają wymagania. Przy porównaniach więc należy okoliczność tę brać pod uwagę. W Austro-Węgrzech minimalnym wzrostem, wymaganym od rekruta, jest 1 metr i 554 milimetry. Dla celów administracyi wojskowéj całe to państwo dzieli się na 12 okręgów (*Generalcommando*), z których każdy nosi nazwę głównego swego miasta. Otóż z pomiędzy rekrutów zrewidowanych w czasie od r. 1870—1882 nie dosięgło wymaganéj miary, licząc przeciętnie:

w okręgu	miasta	Zary	54 na 1.000
„	„	Tryestru	55 „ „
„	„	Innsbrucku	57 „ „
„	„	Pragi	67 „ „
„	„	Zagrzebia	75 „ „
„	„	Grazu	77 „ „
„	„	Berna	84 „ „
„	„	Wiednia	95 „ „
„	„	Buda-Pesztu. . . .	145 „ „
„	„	Hermannstadtu . .	157 „ „
„	„	Lwowa	201 „ „
„	„	Krakowa (*) . . .	251 „ „

Ludność więc polska wyróżnia się najniekorzystniéj z pomiędzy wszystkich innych narodowości w Austro-Węgrzech i to tak niekorzystnie, że daje rekrutów za nizkich 3 do 5 razy więcéj, aniżeli większość innych narodowości. Nie można jednak przypisywać tego faktu, bez uwzględnienia wielu innych przyczyn, jakie mogły go wywołać, upośledzeniu „rasowemu“ Polaków, gdyż w królestwie Polskiém rekrutów, nie dosięgających wzrostu cokolwiek nawet wyższego, a mianowicie 1 metra i 556 milim., jest zaledwie 66 na tysiąc, czyli 4 razy mniéj, niż w okręgu krakowskim, i 3 razy mniéj, niż w małorusińskim lwowskim. Czém się to dziwne zjawisko tłómaczy, dowiemy się zaraz.

Każdy główny okrąg wojskowy (*Generalcommando*) w Austro-Węgrzech rozpada się dla celów poboru rekruckiego na poddziały zwane *Ergänzungsbezirke*, którym dla krótkości damy miano *obwodów*. Ciekawą więc jest rzeczą porównanie cyfry rekrutów za nizkich w pojedyńczych obwodach Galicyi Zachodniéj i Wschodniéj.

(*) Cyfra ta jest przeciętną z lat tylko 8, a mianowicie 1875—1882, gdyż poprzednio okręg krakowski był połączony z lwowskim.

Wypiszemy je tutaj w porządku postępu rosnącego, przyczém nadmieniamy, że do głównego okręgu krakowskiego należą tylko obwody: wadowicki, krakowski, nowosądecki, tarnowski i rzeszowski, wszystkie inne zaliczone są do okręgu lwowskiego (1). I tak tedy uwolniono z powodu za niskiego wzrostu w obwodzie: czerniowieckim 98, kołomyjskim 139, lwowskim i tarnopolskim 178, brzeżańskim 181, złoczowskim 196, *wadowickim* 203, stanisławowskim 207; *krakowskim* 219, samborskim 237, przemyskim 244, *rzeszowskim* 246, sanockim 252, stryjskim 257, *nowosądeckim* 278, *tarnowskim* 282 na tysiąc. Cyfry te wszakże podobnie jak przytoczone wyżéj dla okręgów głównych całego państwa obejmują zarazem uwolnionych czasowo (do poboru w następnym roku) i ostatecznie. Rekruci austryaccy stają według reguły po raz pierwszy do popisu w 20-tym roku życia, a ci z nich, którzy zostali uwolnieni czasowo, podlegają jeszcze rewizyi w 21 i 22-gim roku. Jest jednakże wielu takich, którzy z rozmaitych powodów zjawiają się do rewizyi po raz pierwszy dopiero w dwóch późniejszych terminach. Otóż z cyfr szczegółowych dla oddzielnych klas wieku okazuje się, że w Galicyi tak Zachodniéj, jak Wschodniéj ma miejsce stosunkowo najznaczniejsze w całém państwie zmniejszanie się procentu rekrutów za niskich w 22-gim roku życia w porównaniu z rokiem 20-tym (2). Zaraz po Galicyi idą w tym względzie Węgry. Wynika z tego, iż niezwykłą wysokość cyfry ogólnéj rekrutów nizkich w obu tych krajach powoduje *opóźnienie* rozwoju fizycznego ich ludności. Ponieważ w królestwie Polskiém pobór zaczyna się dopiero w 21 roku życia, przeto tém się prawdopodobnie w znacznéj części wyjaśnia tak wielka pozornie między temi dwiema prowincyami różnica. Pomimo to wszakże fakt, że i w Królestwie gub. kielecka daje największą liczbę rekrutów za małych (3) każe przypuszczać, iż krakowiacy wyróżniają się z pośród Polaków albo najniższym wzrostem, albo największém jego opóźnieniem. Za prawdziwością *drugiego* z tych przypuszczeń

---

(1) W obwodzie wadowickim, krakowskim i tarnowskim Rusinów nie ma prawie wcale; w rzeszowskim i nowosądeckim jest ich nie wielu; w sanockim, przemyskim, lwowskim i samborskim stanowią już większość, lecz Polacy mieszkają jeszcze w tych obwodach w bardzo poważnéj liczbie, wynoszącéj od 25 do 40% ogółu ich ludności.

(2) Pomiędzy obwodami, które dają najznaczniejsze obniżenie wzmiankowanego procentu, od 1 do 3-ciéj klasy wieku pierwsze miejsce w całem państwie zajmują następujące: *wadowicki* z 1276 do 11‰, *rzeszowski* z 307 do 168‰, *nowosądecki* z 335 do 196‰, sanocki z 315 do 177‰, przemyski z 297 do 165‰, *krakowski* z 272 do 141‰ *tarnowski* z 337 do 214‰, brzeżański z 204 do 101‰ i stanlsławowski z 239 do 138‰.

(3) W gubernil téj było rekrutów niemierzących 1,556 m. aż 95 na tysiąc, czyli o 50% więcéj, niż w całém królestwie Polskiém.

przemawiają rezultaty badań d-rów Majera i Kopernickiego, według których wzrost średni Polaków galicyjskich pomiędzy rokiem 20 a 25 życia (162,2 cm.) jest mniejszy od takiegoż wzrostu Rusinów (164 cm.), pomiędzy zaś rokiem 25 a 30-tym przeciętna wysokość ciała u obu tych narodowości wyrównywa się (Polacy 164,8, Rusini 164,7 cm.) (1). Polacy więc w krakowskiém opóźniają się w rozwoju fizycznym jeszcze znaczniéj od Rusinów i skutkiem tego jedynie dają więcéj od nich rekrutów za nizkich.

Gorzéj jeszcze, niż w rubryce małego wzrostu, przedstawia się okrąg krakowski pod względem liczby uwolnionych od powinności wojskowéj z powodu niedostatecznego rozwinięcia klatki piersiowéj, oraz chorób i ułomności. Mianowicie z powodu wszystkich tych przyczyn razem w latach 1870—1882 uwolniono przeciętnie na każdy 1000 rekrutów, mających wzrost wymagany:

w okręgu	miasta	Tryestu	710
„	„	Buda-Pesztu	724
„	„	Zary	759
„	„	Zagrzebia	766
„	„	Innsbrucku	770
„	„	Hermanstadtu	778
„	„	Wiednia	778
„	„	Lwowa	787
„	„	Gracu	794
„	„	Pragi	796
„	„	Berna	803
„	„	Krakowa (2)	847

I tu jednakże upośledzenia ludności okręgu krakowskiego nie można objaśniać niższością rasową Polaków w stosunku do wszystkich innych narodowości, kiedy w królestwie Polskiém z powyższych przyczyn, pomimo większych pod pewnymi względami wymagań, uwolniono przeciętnie 531 na tysiąc, czyli o 179‰ mniéj, niż w najlepszym okręgu austryackim—miasta Tryestu Dodajmy nadto, że w wojsku rosyjskiem wymagano początkowo, ażeby objętość klatki piersiowéj równała się *minimalnie* połowie wzrostu mniéj ½ werszka, a następnie całkowitéj połowie wzrostu, w Austryi zaś poprzestawano wogóle na 76 cm. obwodu piersi (3) bez względu na

---

(1) Por. „Charakterystykę ludności galicyjskiéj“ w „Zbiorze wiad. do antropologii krajowéj“, tom I i IX.

(2) Cyfra ta jest za wysoka, z powodu że nie obejmuje lat 1870—1874, w których liczba rekrutów niezdatnych do służby we wszystkich okręgach, a więc bezwątpienia i w krakowskim była znacznie mniejsza, niż w latach następnych aż do r. 1880.

(3) P. D-ra Titeca *Faiblesse de complexion et prédisposition à la phtisie pulmonaire* w pracach zeszłorocznego kongresu hyg. demogr. w Wiedniu.

wzrost, czyli żądano mniéj niż w Rossyi, a pomimo to z jednego powodu niedostatecznego rozwinięcia uwolniono:

w całych Austro-Węgrzech	412	na tysiąc
w najlepszych okręgach: insbruckim i grazkim	344	„ „
w najgorszym okręgu—krakowskim	541	„ „
w królestwie Polskiém	270	„ „
w gubernii kieleckiéj	332	„ „

Dla okręgu lwowskiego ogólnéj cyfry przeciętnéj, obejmującéj wszystkie trzy klasy wieku rekrutów co do uwolnionych z powodu słabéj budowy, nie posiadam; wiem tylko, że przy pierwszém stawiennictwie w 20-tym roku życia było ich 523‰. W okręgu krakowskim pierwsza klasa wieku dała 595 za słabych, druga 544, trzecia 457. Różnice w sile, albo raczéj w słabości budowy cielesnéj Rusinów i Polaków galicyjskich przedstawią nam dokładniéj cyfry uwolnionych z tego powodu w pojedynczych obwodach. Mianowicie na 1000 rekrutów było za słabych w obwodzie: stryjskim 393, samborskim 415, kołomyjskim 447, *nowosądeckim* 450, czerniowieckim 451, *wadowickim* i stanisławowskim 456, złoczowskim 466, tarnopolskim 474, lwowskim 480, przemyskim 482, brzeżańskim 487, *krakowskim* 493, sanockim 503, *tarnowskim* 526 i *rzeszowskim* 528. Poprawa procentu uwolnionych była i tu, jak w rubryce wzrostu, w Galicyi stosunkowo znaczniejsza, niż w innych dzielnicach państwa. Dokładnych jednak cyfr w tym względzie d-r Myrdacz nie przytacza, nadmienia tylko ogólnie, że bardzo wybitną poprawą wyróżniały się *wszystkie* obwody okręgu krakowskiego i *większość* lwowskiego. Z danych powyższych należałoby wnosić, że w epoce od 20 do 22-go roku życia:

1) Rusini galicyjscy mają lepiéj rozwiniętą klatkę piersiową, niż Polacy, większość bowiem obwodów rusińskich daje cyfrę słabo rozwiniętych niższą od średniéj, większość polskich—przeciwnie.

2) Mieszkańcy okolic górzystych, bez względu na rasę, odznaczają się silniejszą budową, niż mieszkańcy równin i nizin, gdyż pierwsze miejsca w podanym wyżéj szeregu obwodów zajmują miejscowości górskie.

3) Rusini w niektórych okolicach wykazują od roku 20 do 22-go mniejszą *poprawę* w rozwoju piersi, niż Polacy.

Wnioski te potwierdzają badania d-rów Majera i Kopernickiego, według których przeciętny stosunek obwodu piersi do wzrostu, czyli t. zwany „wskaźnik piersiowy“ wynosi w Galicyi ([1]):

([1]) P. pracę cytowaną, tom I „Zbioru wiadomości do antrop. kraj“.

	w r. 20-tym	21-ym	22-gim
u Polaków górali	0,504	0,512	0,514
„ równiaków . . .	0,505	0,506	0,511
u Rusinów górali	0,503	0,515	0,524
„ równiaków . . .	0,513	0,510	0,502
u Polaków wogóle	0,505	0,506	0,513
u Rusinów	0,512	0,511	0,510
u Żydów	0,490	0,489	0.494

Polacy więc, którzy na wysokość ciała pomiędzy rokiem 20 a 22-gim rosną wolniéj od Rusinów, rozrastają się za to w piersiach w téj epoce szybciéj od nich. Żydzi wogóle odznaczają się słabym rozwojem piersi.

Jeżeli jednak różnice we wzroście i sile budowy mieszkańców różnych krain i ludzi różnego pochodzenia plemiennego, rozpatrywane, że tak powiem, z punktu widzenia *statycznego*, bez względu na ich zmiany w czasie, można wyjaśnić właściwościami rasowemi, oraz wpływem warunków topograficznych i klimatycznych, to zachodzi jeszcze pytanie, jak wytłomaczyć zjawiska *dynamiczne* w tych różnicach, czyli ogólną poprawę, lub pogorszenie w stosunkach pod tym względem w pewnéj danéj miejscowości z biegiem czasu. Zmian tych nie mogą wywoływać ani właściwości rasowe, ani warunki topograficzne i klimatyczne, ponieważ są to przyczyny stałe, a przeto i skutki ich, *ceteris paribus*, stałe być muszą. Powodów więc tych zmian należy szukać w warunkach zmiennych, a przedewszystkiém zapewne w podniesieniu się, lub upadku ogólnego dobrobytu i oświaty. O wpływie téj ostatniéj na zdrowie i siły ludności pomówimy dopiéro w drugiéj części pracy niniejszéj, kiedy zgromadzimy dostateczną ilość faktów do ilustracyi swych poglądów. Tutaj chcemy tylko zwrócić uwagę na oddziaływanie w tym względzie warunków ekonomicznych. Badania statystyczno-antropologiczne wykazały, iż życie w dostatku wywiera bardzo wyraźny wpływ na rozwój wzrostu i siłę budowy cielesnéj ludzi; nie mniéj widocznie oddziaływa w przeciwnym kierunku nędza. „Dobrobyt—mówi Haushofer — (1) lepsza odzież, mieszkanie i pokarm, małe nadwyrężenie sił, szczególnie w dzieciństwie, *nietylko powiększają, ale i przyśpieszają wzrost człowieka*“. „Rozwój wzrostu u ludzi na wolności jest znacznie większy, aniżeli u więźniów. Wzrost dzieci, nie pracujących w fabrykach, rażąco przewyższa wzrost dzieci, oddających się téj pracy“. Łatwo stąd zrozumiéć, że im gorzéj lud danéj miejscowości żywi się i mieszka, tém jego rozwój fizyczny

(1) Patrz „Wykład statystyki na zasadzie najnowszych badań nauki.“ Warsz. 1875.

musi być stosunkowo słabszy i powolniejszy. Takież zdanie wygłasza antropolog francuzki, d-r Jakób Bertillon (1). Na poparcie swoich zapatrywań przytacza on między innemi tablicę wzrostu rekrutów, podzielonych według zajęć, z poboru w Saksonii w latach 1852—54. Tablica ta (2) wykazuje, że wszyscy ludzie oddani pracom ręcznym wyróżniają się znacznie niższym wzrostem od cieszących się lepszym bytem przedstawicieli t. zw. „zawodów wolnych“. Pierwsi bowiem dają we wszystkich rubrykach wzrostu mniejszego, niż średni, procent znacznie większy, większego zaś—mniejszy od drugich. Najlepiéj wśród pracowników ręcznych przedstawiają się słudzy, którzy zazwyczaj dzielą do pewnego stopnia dobrobyt panów, oraz mularze, kowale, rzeźnicy i młynarze, widocznie skutkiem tego, że zajęcia ich wymagają większych sił, niż inne, a więc pociągają ku sobie jednostki mocniéj zbudowane, a przytém mają się oni pospolicie lepiéj od robotników pozostałych kategoryi.

---

(1) Patrz jego pracę: „La taille de l'homme en France.“ Nancy, 1886.

(2) Podajemy ją tutaj z tą jedynie różnicą, że usunęliśmy zbyt drobiazgowy podział wzrostu na kilkanaście kategoryi i sprowadziliśmy go do czterech tylko rubryk: wzrostu niskiego, średniego, wysokiego i bardzo wysokiego.

RODZAJE ZAJĘĆ	Na tysiąc zrewidowanych rekrutów było				Liczba absolutna zrewidowanych rekrutów
	wzrostu mniejszego od 1,557 m.	od 1,557 m. do 1,628 m.	od 1,628 m. do 1,699 m.	wyższego nad 1,699 m.	
Prace ręczne.					
Słudzy	70	271	424	235	941
Mularze	80	297	449	174	1,316
Kowale	101	322	424	153	850
Rzeźnicy	113	303	406	178	789
Młynarze	120	309	403	168	1,208
Szynkarze	138	284	477	101	109
Wyrobnicy, stangreci, tragarze	142	276	416	158	1,540
Pończosznicy	146	365	365	124	3,383
Piekarze	150	380	367	103	953
Stolarze meblowi	151	343	392	114	984
Włościanie i parobcy folwarczni	154	319	373	154	16,749
Tkacze	159	333	382	126	6,638
Górnicy	183	349	343	124	1,740
Introligatorzy	191	382	348	79	178
Szewcy	219	332	331	118	2,455
Blacharze	225	277	399	99	231
Krawcy	230	342	329	99	1,446
Zawody wolne.					
Studenci	23	116	417	444	439
Uczniowie seminaryów	40	188	485	287	377
Nauczyciele publiczni i prywatni	44	194	432	330	206
Subiekci, buchalterzy i t. p.	87	262	414	237	1,419
Przeciętna dla Saksonii wogóle	147	318	381	154	52,418

Wziąwszy pod uwagę ten tak jawny wpływ warunków bytu na rozwój fizyczny ludzi, jestem skłonny do przekonania że słaba budowa cielesna ludności w całém państwie habsburskiém wogóle, a nadewszystko w jego ziemiach polskich i rusińskich, ma za główną przyczynę powszechne prawie ubóstwo krajów téj korony, wywołane małym ich postępem ekonomicznym przy gęstém zaludnieniu i stosunkowo szybkim jego wzroście. Inaczéj niepodobna wytłomaczyć tego smutnego, rozpaczliwego dla wszystkich tamtejszych obywateli faktu, iż cała ludność tego państwa bez względu na różnice swego pochodzenia plemiennego, narodowości, stopnia oświaty i zamieszkiwania w rozmaitych warunkach klimatycznych i topograficznych rzeczywiście *wyradza się fizycznie ze straszliwą stałością i szybkością*. Ujawniają to bardzo wyraźnie cyfry poboru wojskowego aż do początku bieżącego dziesięciolecia. Nie dość bowiem na tém, że procent rekrutów niezdatnych do służby jest w Austro-Węgrzech znacznie wyższy, aniżeli we wszystkich innych państwach europejskich, ale jak wykazują cyfry poboru wojskowego od r. 1870 do 1880 wzrastał on jeszcze corocznie z niesłychaną chyżością, kiedy w innych krajach przeciwnie przynajmniéj w rubryce małego wzrostu i słabéj budowy ciała prawie powszechnie zmniejszał się, dzięki zapewne podniesieniu się oświaty i dobrobytu ich ludności. W r. 1870 uwolniono od spełnienia powinnosci wojskowéj w całéj monarchii habsburskiéj z powodu słabéj budowy i chorób 657 rekrutów na 1000; w 1875 już 766, a w 1880 aż 821! Przyrost więc ludzi niezdatnych do służby w armii dosięgnął w ciągu lat 10 niebywałéj nigdzie cyfry 164‰! W samym okręgu lwowskim od r. 1871 do 1880 wzrósł *promille* niezdatnych z obu powyższych przyczyn z 702 do 837, czyli 135‰, a w krakowskim od r. 1875 do 1880, czyli w ciągu lat 6-ciu z 806 do 878, t. j. o 72‰!

Serce się nam z bólu ściska i oddech w piersiach zamiéra, gdy przeglądamy te straszne, tragiczne swą niemą wymową cyfry!

Z początkiem jednakże bieżącego dziesięciolecia spotykamy fakt, który dla ludów tamtejszych zdaje się rokować do pewnego stopnia lepsze na przyszłość nadzieje. Mianowicie procent rekrutów uwolnionych z powodu chorób i słabości budowy cielesnéj, który do r. 1880 stale i gwałtownie wzrastał, zaczyna podlegać bardzo znacznym wahaniom tak, że cyfra przeciętna z r. 1881 do 1885 wykazuje pewne zmniejszenie w stosunku do r. 1880. W tym ostatnim roku uwolniono z obu wymienionych powodów 821‰, w latach zaś następnych kolejno 822,5 824,3; 790,5; 822,8; i 840,4‰, czyli w przecięciu za lat pięć 820,1‰. W każdym razie więc pięciolecie to nie wykazuje już dalszego przyrostu ludzi słabych, a przytém

znacznie lepiéj przedstawia się poprawa stosunków w rubryce uwolnionych z powodu za nizkiego wzrostu.. Kiedy bowiem w latach 1870—1882 było przeciętnie w całém państwie rekrutów za małych 139‰, to w latach 1883—1885 tylko 117‰, czyli o 22‰ mniéj. Pragnęlibyśmy, żeby to zmniejszenie było skutkiem znanych usiłowań, przedsiębranych w ciągu ostatnich lat kilkunastu w Austro-Węgrzech ku podniesieniu oświaty i dobrobytu ludowego. Nie możemy jednakże twierdzić stanowczo, że tak jest rzeczywiście.

Jak widzieliśmy, najgorzéj ze wszystkich okręgów przedstawia się nieszczęsny szmat naszéj prastaréj ziemi—okrąg krakowski. Że główną przyczyną tego głęboko zasmucającego nas zjawiska jest biéda tamtejszego ludu, dowodzi niezbicie, zdaniem mojem, fakt, iż tenże okręg wyróżnia się zarazem z pomiędzy wszystkich innych najniższym procentem ludzi chorych i ułomnych. Przeciętnie w całém państwie było rekrutów niezdatnych do wojska z tego powodu 359‰; w okręgu zaś krakowskim 306‰, a więc znacznie mniéj. Dr. Myrdacz wylicza kolejno wszystkie choroby i ułomności, uwalniające od wojska, i przy każdéj z nich wymienia te okręgi, które dały najznaczniejszy i najmniejszy procent uwolnionych. Otóż okrąg krakowski daje cyfry najwyższe tylko w rubryce za nizkiego wzrostu (251‰), niedostatecznego rozwinięcia klatki piersiowéj (541‰) i niemoty oraz głuchoniemoty (zaledwie 13 na 10.000), a obok tego we wszystkich prawie rubrykach innych ułomności i wszelkich chorób *wykazuje procent najniższy* z *całego państwa,* lub przynajmniéj niższy od średniego. Przekonywa nas to stanowczo, że lud nasz tamtejszy nie jest zgangrenowany żadnemi chorobami, lecz przymiera widocznie głodem i dlatego coraz bardziéj słabnie i marnieje. Wiadomo, że jednym z najważniejszych warunków zdrowia jest posiadanie dobrych zębów. Otóż cyfra uwolnionych od wojska z powodu braku i psucia się zębów jest w okręgu krakowskim nietylko najniższa z całego państwa, ale wogóle nie zwykle niska, bo zaledwie 0,3%, kiedy w okręgu miasta Tryestu wynosi 5,3% miasta Pragi 3,8%.

W rubrykach chorób ludność Galicyi Wschodniéj wykazuje stan znacznie gorszy, niż Zachodniéj. Najniższe cyfry uwolnionych ze wszystkich okręgów państwa dał okrąg lwowski z powodu kretynizmu i obłędu, oraz wola; najwyższe z powodu: skrofuł (12,3‰, w krakowskim najmniéj i tylko 3,8‰), zapalenia chronicznego tkanki łącznéj oka (3,5‰) i świdrujących bólów kolana (39,3‰), oraz względnie najwyższe z powodu chorób ocznych wogóle i chronicznych chorób skórnych (w krakowskim obu najmniéj).

O tém, żeby przyczyną wyradzania się ludu galicyjskiego było jakieś przeżycie się, wyczerpanie sił skutkiem starości rasy, nie mo-

że wcale być mowy, raz dlatego, że jako naród nie należymy bynajmniéj do najstarszych ludów Europy, a powtóre, że wogóle gadanina o różnicy wieku tych ludów nie wiele ma sensu. Badania lingwistyczne wykazały, że wszystkie ludy rasy indoeuropejskiéj z jednego pnia biorą początek. Wszystkie więc biologicznie są jednakowo stare. Krótsze zaś, lub dłuższe życie historyczne mogło wywierać wpływ korzystny, lub niekorzystny chyba na te tylko warstwy narodu, które „tworzyły historyę,“ ale nigdy na cały lud. Na warstwy niższe mogły oddziaływać ujemnie, lub dodatnio jedynie gorsze, lub lepsze warunki ich dziejowego bytu. Pod tym jednakże względem lud nasz nie miał czego zazdrościć innym. Poddaństwo i pańszczyzna nie trwały u nas dłużéj i nie były cięższe, niż na Zachodzie i Wschodzie Europy. Na Zachodzie wprawdzie zostały zniesione wcześniéj, niż u nas, ale téż i wcześniéj były zaprowadzone. Wreszcie, pod tym względem lud Królestwa i Galicyi aż do upadku rzeczypospolitéj znajdował się mniéj więcéj w jednakowém położeniu, tymczasem siły fizyczne jednego i drugiego przedstawiają dzisiaj, jak widzieliśmy, wielkie różnice.

W życiu więc historyczném naszego narodu, sumiennie się nad niém zastanawiając, nie podobna odnaleść żadnych przyczyn, któreby mogły wywołać większe zwyrodnienie ludu naszego, niż innych narodów. Natomiast dzisiejsze położenie ekonomiczne różnych odłamów ludu polskiego ujawnia najzupełniejszą analogią z ich względnemi siłami fizycznemi. Wiadomo, że Galicya jest najuboższą prowincyą Austryi i daje zarazem największe odsetki rekrutów za słabych do służby wojskowéj. Królestwo, stojące na wyższym, niż Galicya, stopniu rozwoju ekonomicznego i odznaczające się od niéj lepszém położeniem ludu rolnego, wykazuje i pod drugim względem rezultaty znacznie korzystniejsze. Pan Stanisław Szczepanowski w świeżo wydanéj swéj pracy „Nędza Galicyi“ (1) dowodzi cyframi, że galicyanie żywią się w przybliżeniu 2 razy gorzéj, niż kongresowiacy, a 3 razy gorzéj od Francuzów. Oblicza on przytém, że przeciętnie umiera w téj nieszczęsnéj dzielnicy 50.000 ludzi rocznie— z głodu! Wiadomość o tém dostatecznie nam wyjaśnia ten fakt bolesny, dlaczego z pomiędzy tysiąca młodzieńców powołanych do wojska, jest tam zaledwie 115 dość rosłych, zdrowych i silnych dla zniesienia ciężarów służby!

(D. n.) *W. Wścieklica.*

---

(1) Obszerne sprawozdanie z tego dzieła podało *Ateneum* w zeszycie marcowym z r. b. w liście J. Rogosza „Z Galicyi“.



ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza, pod redakcyą Romana Pilata. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa. 1887, str. 279, w 8-ce.

Pierwszym dojrzałym owocem pracy zawiązanego we Lwowie w roku 1886 Towarzystwa literackiego imienia Ad. Mickiewicza jest ów w tytule wymieniony „Pamiętnik.“ Książka ta treścią swą dobitnie stwierdza stowarzyszenia dążności i cele, określone statutem w ten sposób: „*a*) zbieranie i porządkowanie materyałów odnoszących się do pism i życia tego największego poety naszego i do całego współczesnego ruchu umysłowego, o ile zostaje on w bliższym związku z działalnością poety; *b*) rozjaśnianie tych pism i tego żywota, znaczenia poety dla społeczeństwa, jego stanowiska w literaturze polskiéj, jego stosunku do swoich i obcych pisarzy; *c*) rozpowszechnianie dzieł poety i wogóle krzewienie czci dla niego i jego poezyi.“ Cel ów pięknemi słowy jeszcze raz stwierdza przedmowa, podając za główny cel Towarzystwa „krzewienie czci dla wielkiego naszego wieszcza i jego poezyi.“ „Pamiętnik“ zaś ma mieścić rozprawy o Mickiewiczu i jego dziełach, zbierać i porządkować materyały odnoszące się do jego pism i życia, roztrząsać utwory poety i śledzić także ogólny ruch historyczno-literacki w wymienionym powyżéj kierunku.

Tym wyrazom, dającym dowód, że założyciele Towarzystwa jasno zdawali sobie sprawę, czém ma być ów związek, jakiemi iść ma drogami i jaka mrówcza, mozolna praca ich czeka, odpowiada dokładnie podział treści „Pamiętnika.“ A więc nasamprzód idą trzy obszerne r o z p r a w y, następnie *miscellanea*, którą to nazwą redakcya ochrzciła wszystkie pomniejsze artykuły, późniéj k o r e s p o n d e n c y e, w s p o m n i e n i a, p a m i ą t k i, rzeczy drobne,

przynoszące maleńkie cegiełki do budowy olbrzymiego gmachu, lecz mimo to zawsze cenne, zawsze godne uwagi. Recenzye i sprawozdania zawierają trzy podziały: *a*) listy, *b*) wydania, *c*) opracowania i rozprawy. Dzieła dopełnia bibliografia Ad. Mickiewicza za rok 1886, prawie wzorowo opracowana p. M. Stankiewicza, oraz kronika.

Rozprawa p. t. *Idea Wallenroda*, pióra p. Józefa Tretiaka, porusza, kwestyę bardzo ważną i dotychczas mimo licznych starań nie rozjaśnioną. Autor, świadom usiłowań poprzedników, przebiega je w krótkości, zestawia i ocenia, a skutkiem téj oceny jest odrzucenie wszystkich dotychczasowych sądów, bo jak powiada: „W istocie każdy z podanych tu wyżéj domysłów objaśniał częściowo zagadkowość poematu, ale całkowicie zagadki nie rozwiązywał. Po za każdym domysłem pozostawało jeszcze coś niedocieczonego, jakaś ciemność, któréj żaden domysł rozproszyć nie mógł.“ Owę ciemność chce tedy rozjaśnić p. Tretiak, „zwracając uwagę na ustępy, dotychczas pomijane zwykle przy rozbiorach Wallenroda.“ A mianowicie ważną podług niego wskazówką jest przyznawanie się samego Mickiewicza w liście do Odyńca do téj okoliczności, że zmienił on plan poematu w czasie pisania jego, że pierwotnie poemat ten miał się składać z dwóch powieści, czyli części odrębnych, a pieśń Wajdeloty winna była obie je poprzedzać jako przygrywka, i że wreszcie zmiana planu wpłynęła niekorzystnie na jedność charakteru Konrada i zmusiła poetę, iż przygrywkę i pierwszą powieść włożył w usta wajdeloty. Stąd w owéj pieśni Wajdeloty widoczne ślady pierwotnego przeznaczenia: „miała być wyrazem uczuć poety, wprost przez niego samego wypowiedzianych.“ Zresztą jest ona niestosowną w ustach Halbana, jeżeli ten ma być tylko spowiednikiem mistrza i kapelanem zakonu, jak sądziła dotychczasowa krytyka. P. Tretiak uważa tę rolę za niegodną Halbana i podnosi ją znacznie wyżéj, robiąc z niego uosobienie zemsty i nienawiści, z pieśni zaś „najwspanialszy hymn na cześć poezyi takiéj, jaką wyznawali nasi młodzi romantycy, a przedewszystkiém Mickiewicz.“ W téj pieśni, apoteozie poezyi narodowéj, najwspanialszym manifeście poetycznym, jaki gdziekolwiek wydał romantyzm, „odzwierciedliło się pojmowanie poezyi, właściwe Mickiewiczowi.“ „Poezya według Mickiewicza nie była sferą oderwaną od życia", ale „dawała ideały, aby je naśladowano i w krew i w kości zamieniano.“ To téż „nie sposób, jakiego się chwycił Wallenrod dla pomszczenia kraju, to jest nie zdrada, jakiéj się dopuścił względem Zakonu, ale ta głębia uczucia, która się nawet przed tak straszliwym sposobem nie cofnęła, gdy ten wydawał się jéj jedynym, ta głębia uczucia i moc

charakteru magnetycznie pociągnęły ku sobie serce i fantazyę poety.“ „Poeta, pojmując zadanie poezyi, jako „arki przymierza między dawnemi i młodszemi laty“, jako mistrzyni życia, która, wydobywając z przeszłości bohaterskie czyny przodków, ma zachęcać potomków do czynów podobnych, wziąwszy Wallenroda za temat poematu, chciał własne ognie uczuć przelać w piersi słuchaczów i obudzić w nich dawne serca bicie, dawną wielkość duszy.“ Podług p. Tretiaka te właśnie myśli i uczucia, widoczne w przygrywce, kierowały poetą przy obiorze tematu i jego pierwotnym układzie, w którym wajdelota miał podrzędne znaczenie, bo odgrywał jedynie rolę wiatru, rozdmuchującego słabe iskierki nienawiści w serduszku dziecka, przemocą porwanego w niewolę. Z chwilą, gdy Walter wyrósł na męża, stary wajdelota usuwa się na drugi plan, maleje i niknie. Dopiéro, gdy skutkiem zmiany planu przygrywka dostała się w usta Halbana, ten spotężniał i zolbrzymiał, ponieważ poeta utożsamił się z wajdelotą. Teraz Halban nie był już pomocnikiem Konrada, lecz uosobieniem poezyi narodowéj. Dlaczego pierwotny plan w czasie pisania uległ zmianie, dokładnie nie wiemy. P. Tretiak przypuszcza, że ówczesne stosunki cenzuralne i względy etyczne nie mało tutaj zaważyły na szali. Pierwsze są zbyt dobrze znane, by trzeba o nich szerzéj się rozpisać. O drugich autor nie mówi wiele, popełnia atoli ten błąd, że hipotezę swą o idei przewodniéj Wallenroda przyjmuje za pewnik i tworzy z niéj podstawę do dalszych rozumowań. Jako miejsca, w których idea przewodnia poematu wydobywa się na jaw, oznacza p. Tretiak nasamprzód końcowy ustęp charakterystyki Konrada w pierwszym rozdziale powieści, kiedy to zimny i poważny wzrok starego kapelana wywierał taki zawsze stanowczy i magnetyczny wpływ na pijanego mistrza. Daléj korzysta p. Tretiak z okoliczności, że tę właśnie sytuacyą poeta pragnął widzieć na winietce, którą do pierwszego wydania miał zrobić Gotard Sobański, i na téj podstawie twierdzi, że uosobienie poezyi—Halban—przypomina obowiązki i zagrzewa do czynu leniwiejącego powoli Waltera. Jeden ustęp z pierwszéj rozmowy Konrada i Aldony i wreszcie u c z t a uwidoczniają pierwotną ideę poematu. Z tego streszczenia tak poglądu autora, jak i motywów owego poglądu łacno można spostrzedz, że podług niego zdrada jest rzeczą podrzędną, a ideą przewodnią ma być apoteoza pieśni, zagrzewającéj do czynu. Dziwna rzecz atoli, że p. Tretiak przypuszcza, iż potęga poezyi może objawić się tylko wtedy w całym blasku, jeżeli działa na umysły chwiejne i duchy słabe. Nie stanowiłoby to w takim razie wielkiéj zasługi, gdy przeciwnie chlubą

jest wywrzéć wpływ na człowieka przekonań stałych, nieustraszenie i śmiało dążącego do celu. Daléj przyznaje autor, że idea przez niego odkryta nie występuje z równą siłą we wszystkich miejscach poematu. I uwaga ta trafna, bo kto wié, czy sam Mickiewicz, tworząc „Wallenroda“, zdawał sobie zupełnie jasno sprawę, jaką to myśl przewodnią chce przeprowadzić. Poeci często bezwiednie przyodziewają swe pomysły w taką a nie inną artystyczną szatę, tak a nie inaczéj grupują szczegóły, nie rządząc się zbytnią refleksyą.

Tajemnicę, która okrywa twórczość artystyczną, nie podlegającą żadnym, a przynajmniéj dotychczas nieznanym prawom i zależącą jedynie od indywidualności poety, uwydatnił najlepiéj Włodzimierz Spasowicz w rozprawie p. t. *Mickiewicz i Puszkin przed pomnikiem Piotra Wielkiego.* Porównywając dwa utwory („Pomnik Piotra Wielkiego“ Mickiewicza i Puszkina „Jeździec Miedziany“) tych poetów, zrodzone na podstawie tego samego pomysłu, rzucił zarazem światło na sposób tworzenia Mickiewicza, na jego stosunek z wieszczem rosyjskim, a zarazem na pewną część działalności i na poglądy polityczne tego ostatniego. „Obcowanie poetów, przerywane częstemi odjazdami Puszkina, trwało około dwóch lat, od początków 1827 roku do marca 1829“. W marcu tegoż roku się rozstali, nie widzieli się nigdy więcéj w życiu, lecz zawsze zachowali dla siebie nieodmienny szacunek i życzliwość mimo wielu burz i wielu wypadków, które śmiało mogły wpłynąć na zmianę ich usposobień. Wytyka kilka błędów, jakich dopuścił się Mickiewicz, opisując powódź w Petersburgu, a przez to zaznacza, że ten sam poeta, który niebawem z taką prawdą i plastyką odtworzył świat rzeczywisty w „Panu Tadeuszu“, tutaj fantazyował na temat powodzi. Z wielką ostrożnością stara się daléj wydobyć pewne biograficzne wskazówki z obu utworów. W końcu przeprowadza porównanie między tymi największymi wieszczami Słowiańszczyzny, „których bardzo różne drogi przecięły się raz tylko w życiu i to prawie pod kątem prostym“. Różnili się od siebie temperamentem, bo każdy z nich nosił wybitne cechy swéj narodowości. Podobieństwo zaś polegało na tém, że obaj wywarli wpływ na swoje społeczeństwo, obaj byli romantykami i obaj wreszcie mieli się za polityków, chociaż nimi być nie mogli, dla braku odpowiedniego uzdolnienia. Prócz tego Puszkin był człowiekiem sympatycznym, lecz nie bohaterem, owszem istotą nader wrażliwą, mięką jak wosk i łatwo poddającą się wszelkim wpływom. Wesołemu wiecznie nastrojowi umysłu zawdzięczał tę okoliczność, że smutki, choćby czarne, znosił łatwo, z boleści prędko się otrząsał, a przez to nigdy nie podlegał zniechęceniu i rąk nie opuszczał. O ile wiemy, ów wizerunek Puszki-

na, oparty na umiejętnym rozbiorze dzieł jego, jest nowością w naszéj literaturze.

P. Roman Pilat, ugruntowując gołosłowne dotychczas zapewnienia o wpływie Lelewela na rozwój umysłowy i twórczość poetycką Mickiewicza, dokładnie rozpatrzył wiersz tego ostatniego, napisany w roku 1822 z powodu powrotu znakomitego historyka do Wilna. Skutkiem tych badań było stwierdzenie, że w wierszu Ad. Mickiewicza „Do J. Lelewela" odźwierciedlają się nader wyraźnie nie tylko poglądy tego ostatniego, lecz także znajduje się mnóstwo wyrażeń, prawie dosłownie wyjętych z jego dzieł.

Naczelne miejsce w dziale następnym należy się obszernéj i gruntownéj, jakkolwiek może chybionéj rozprawie p. Franciszka Konarskiego, który chce powiększyć skarbiec poetyczny A. Mickiewicza jednym wierszem więcéj, a mianowicie e r o t y k i e m: „Gdybym się zmienił w stęgę złocistą." O autentyczności tego wiersza w ostatnich czasach zwątpiono, a to dlatego, że okazała się niezgodność co do chwili i miejsca powstania, jak i co do jego autora. Jako tego bowiem wymieniano prócz Mickiewicza nieznanego bliżéj Mikołaja Wąża i Cypryana Norwida. P. Konarski nie wątpi jednakże o tém, że prawdziwym twórcą erotyku, jedynie w części oryginalnego, w części zaś tłómaczonego i naśladowanego z liryków greckich jest Mickiewicz. Opiera swe twierdzenie na duchu utworu, na jego wewnętrznéj wartości, na stylu i obrazowaniu, wielce podług niego spokrewnionėm z obrazowaniem Mickiewicza. By tego dowieść, p. Konarski pracowicie przepatruje poezye wieszcza i gorączkowo a radośnie zapisuje każde, choćby najmniejsze podobieństwo. Zestawiwszy tylko takie, a nie inne dowody, stanowczo uznaje autentyczność erotyku. Zapomniał atoli o tém, że owo powinowactwo zwrotów, rytmu i budowy wiersza bardzo łatwo można wyjaśnić inną jeszcze okolicznością. Wiersz ów poraz pierwszy został wydrukowanym w r. 1831, a więc w czasie, kiedy sława Mickiewicza była już ustaloną i kiedy za jego poetyckim rydwanem biegło całe mnóstwo dobrych, gorszych i zupełnie lichych naśladowców. Każdy z nich wczytywał się pilnie w poezye pierwowzoru, starał się przejąć jego duchem, usiłował wykraść tajemnicę powodzenia. Czyż więc nie byłoby możebném,—stawiamy tutaj tylko hipotezę — że wiersz ów wyszedł z pod pióra gorliwego Mickiewicza naśladowcy, który do pewnego stopnia przyswoił już sobie manierę mistrza.

Szczęśliwszymi są pp. Zipper i Henryk Kopia. Pierwszy udowodnił, że wiersz Mickiewicza p. n. *The meeting of the waters* jest przekładem tak samo zaczynającego się wiersza Tomasza Moore'a;

drugi stanowczo wykazał, że autorem czterowiersza: Na twą pierś białą wpadł śnieżek biały jest Franciszek Morawski, a nie autor „Dziadów“, Lud. Osiński lub Seweryn Rzewuski.

P. Bełza polemizuje z p. P. Chmielowskim co do wspólnictwa Mickiewicza w napisaniu wiersza p. n. „Panicz i dziewczyna.“ Dotychczas sądzono, że autorem pierwszéj części był Odyniec, a za twórcę dwóch innych, mimo wyraźnego ostrzeżenia w pierwszém wydaniu poezyi Odyńca, uważano Mickiewicza. Uwagę na to ostrzeżenie wskazujące, że tylko dwie ostatnie strofy wyszły z pod pióra Adama, po raz pierwszy zwrócił p. Chmielowski i w warszawskiém wydaniu pism Mickiewicza wiersz ten opuścił. P. Bełza, biorąc za podstawę fakt, że Mickiewicz sam umieścił go w zbiorze swych poezyi, wydanych w 1844 r., a nadto twierdząc, iż pod wyrażeniem strofa należy rozumiéć nie czterowierszową zwrotkę, lecz jedną z trzech części poematu, stara się dowieść, jakoby Odyniec miał prawo jedynie do początkowych dziewięciu zwrotek „Panicza i dziewczyny.“ Drugiego argumentu, jako zbyt dowolnego, zwalczać nie trzeba. Na pierwszy odpowiedziéć można przypomnieniem, że właściwie wydaniem zajmował się Aleksander Chodźko, a sam Adam, zajęty mesyanizmem, zapewne tylko pobieżnie je przeglądał. Mógł tedy łatwo zapomniéć, komu ten mały zresztą utwór istnienie swe zawdzięcza.

Z innych rzeczy, pomieszczonych tutaj, wymienimy *Notatkę Mickiewicza o Bürgerze*, podaną przez p. Bełzę, i *Waryanty* z *autografów A. Mickiewicza*, wskazane przez ks. J. Siemieńskiego.

W dziale trzecim wielką wagę mają *Listy o Adamie Mickiewiczu i jego tawarzyszach, pisane do Joachima Lelewela w latach 1813—1829*. Wybrał je z rękopismów, znajdujących się w Bibliotece Jagielońskiéj p. Maurycy Stankiewicz. W listach tych „obszerne relacye z Moskwy przesyła Lelewelowi Cypryan Daszkiewicz, oraz Józef Jeżowski, Malinowski zaś i Pruszyński donoszą z Petersburga; w listach Łukaszewicza i Muczkowskiego mamy nieznane szczegóły o poznańskiém wydaniu „Poezyi Mickiewicza z roku 1828 i 1829.“ W liście Józefa Muczkowskiego (Poznań 3 września 1829) znajdujemy jeden ciekawy szczegół. Oto Adam był niezadowolonym z poznańskiego wydania i głośno o tém mówił, Muczkowski więc, kwaśny i rozżalony, przypomina Lelewelowi, że podjął się owych ciężkich obowiązków bezinteresownie, jedynie w chęci przysłużenia się poecie. Inne rzeczy, znajdujące się w „Pamiętniku“, opuszczamy, nadmieniając, że każdy najdrobniejszy nawet szczegół jest cennym przyczynkiem i nieraz może pomódz do rozświetlenia spornych kwestyi, które raz porazu wychodzą na światło dzienne.

Recenzye i sprawozdania chlubnie świadczą o gorliwości i pracy redakcyjnego grona, a zarazem i o tém, że umie ono cenić pracę drugich, że wgląda w myśl i chęci utworów, sumiennie, lecz zarazem spokojnie i sprawiedliwie wytykając usterki, które musi posiadać każde dzieło.

Z umieszczonéj na końcu kroniki dowiadujemy się, że Towarzystwo opracowuje dokładną i szczegółową bibliografią dzieł o Mickiewiczu, jako pracę przygotowawczą dla szczegółowych studyów i badań nad życiem i dziełami poety. Nie potrzeba objaśniać, jak ważném i trafnie obraném jest to zadanie. Drugą sprawą, podjętą przez Towarzystwo, jest gromadzenie biblioteki Mickiewiczowskiéj, któréj cel skreślił p. F. Konarski w osobnym artykule. Należy jedynie życzyć Towarzystwu, by nie ustawało w swych pożytecznych pracach i by coraz dalszemi kręgi rozbiegała się jego działalność. *Adam Nowicki.*

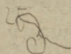
— **Byron (w urywkach)** *w setną rocznicę jego urodzin wybrał i ułożył Nap. Hirszband* (Warszawa, nakład „Prawdy“, 1888, str. 188). Po zwięźle napisanym życiorysie i wskazaniu z jakich tłomaczeń korzystał p. H. w układzie wyjątków z dzieł Byrona, oraz które jego utwory jako niespolszczone lub nieudolnie przetłómaczone sam musiał tłomaczyć, następuje wybór krótkich, może aż zanadto, ustępów, ujętych w pewne kategorye. Poznajemy więc kolejno Byrona jako liryka własnego życia, jako estetyka i polemistę, jako poetę miłości, jako poetę natury i walki, jako poetę południa i wschodu, jako poetę klasycyzmu i dziejów, jako poetę dumy i cierpienia, jako myśliciela, jako szermierza polityczno-społecznego, jako satyryka wreszcie i humorystę. Niezupełniebyśmy się godzili na takie ugrupowanie; gdyż niektóre działy są z sobą ściśle związane i lepiéj może było je zlać z sobą w jednę całość; np. Byron jako satyryk i humorysta przedstawia równie wydatnie właściwości swoje w polemice ze swymi krytykami w wypowiadaniu swoich poglądów estetycznych, jak w szermierce z powodu zagadnień polityczno-społecznych. Sądzimy, że w takiém zestawieniu z zachowaniem czy to zasady stopniowania, czy chronologii, lepiejby się dla czytelnika ta strona twórczości Byrona ujawniła. Podobnież trzy działy: poeta natury i walki, południa i wschodu, klasycyzmu i dziejów, właściwie w dwu tylko zawrzéć wypadało, to jest jeden, któryby mieścił to, co poeta angielski o przyrodzie wypowiedział zarówno wschodniéj, południowéj jak północnéj, a drugi, w którymby się jego poglądy na dzieje Wschodu czy Grecyi, czy wieków średnich i nowo-

żytnych zaznaczyły. Uniknęłoby się tym sposobem kawałkowania ustępów, zostających z sobą w związku np. w Wędrówkach Child Harolda, i dawałoby się czytelnikowi trochę coś więcéj niż oderwane myśli lub obrazy, bo ich połączenie naturalne w duchu poety. Zauważyć téż trzeba, że p. H. w wyborze i układzie urywków nie kierował się systematycznie ani zasadą chronologiczną, ani estetyczną, to jest nie dawał wyjątków w ten sposób, ażeby czytający mógł albo śledzić rozwój zarówno zakresu pojęć czy uczuć jak i zdolności ich formułowania i wyrażania; ale zupełnie dowolnie brał jedne kawałki po drugich i umieszczał je, jak się zdarzyło. Np. w ustępie o miłości mamy najprzód wyjątki z Giaura, potém z Child Harolda, późniéj znowu z Giaura, daléj z Mazepy, Żalów Tassa, Don Juana i znów Giaura; i dopiero po wielu takich urywkach dwa dość zresztą słabe kawałki z Godzin Wczasu, t. j. najpierwszego chronologicznie zbioru Byrona. Książka w takim układzie nie nadaje się oczywiście do czytania odrazu, w całości tylko do wyszukiwania w niéj ustępów, które nam z tego lub innego powodu w danej okoliczności są potrzebne. Wyjątki z utworów nietkniętych dotychczas pisma naszych tłómaczów podał p. H. we własnym częścią rymowanym, częścią bezrymowym przekładzie, który ma zaletę wierności i staranności. Wydanie książki jest skromne, ale ładne; życzyć jéj należy szybkiego rozejścia się, bo należy istotnie do rzędu pożytecznych.

— **Panna Antonina**.... **W zimowy wieczór** (2 tomy, Warsz., Gebethner i Wolff, str. 229, 272). Co do dziedziny pomysłów i sposobu obrobienia nowelle i obrazki zawarte w tych dwu tomach najwięcéj mają pokrewieństwa z trzytomowym zbiorem p. t. „Z różnych sfer“, o którym w swoim czasie pisaliśmy w *Ateneum*. Taż sama co tam przedmiotowość, a więc i powstrzymywanie się od uwag osobistych, taż sama głębia uczucia ukrywającego się ze swemi objawami ale serdecznie, „magnetycznie“ biorąca z piersia cierpienia i niedole ludzkie, toż samo śledzenie rozwoju namiętności czy usposobienia w całym ich przebiegu, bez sztucznych naciągań i naginań—odznaczają większą część utworów. Pod względem piękności, siły i głębi psychologicznéj na pierwszém miejscu wypadałoby postawić obrazek zatytułowany: „W zimowy wieczór“, który obok realizmu w odtworzeniu szczegółów z wnętrza wiejskiéj chaty podczas zaimprowizowanéj wieczornicy ma wysoki polot poetyczny i treść pełną dramatyczności. Syn wieśniaczy, burzliwego temperamentu, osadzony w więzieniu za sprzeciwienie się władzy w obronie kawałka ziemi, przewrotnemi myślami tam się przejmuje i gdy wyszedł już nie mógł wysiedzieć spokojnie w domu, a drażniony

surowém obchodzeniem się ojca, uciekł z chaty, popełnił kryminał i został do robót skazany. Uszedł i stamtąd, chciał pracować i znalazł zajęcie w fabryce, lecz poznany, znowuż powędrował w dalekie strony. Powtarzało się to razy kilka. Zasłynął jako rozbójnik Bąk, na którego urządzono pościg. Po latach dwudziestu zjawia się on w chacie rodzicielskiéj i niepoznany, przyjęty jako podróżny, stara się wybadać usposobienie ojca względem syna, który się zmarnował. W słowach ojca słyszy groźbę i stanowcze potępienie, ale rozbierając szczegóły jego zachowania się z pamięcią syna w przeciągu lat 20, nabywa niemal pewności, że tam w głębi serca jest jeszcze miejsce na przebaczenie. Serdeczne słowa niektórych członków rodziny, a zwłaszcza widok tego spokojnego szczęścia, jakiém się tam wszyscy cieszą pomimo nieodłącznych od życia smutków, działają nań potężnie i w przygotowaném już do przyjęcia rzewniejszych uczuć sercu wywołują potrzebę choć całowania stóp ojca. Gdy niektórzy z parobków zebranych na wieczornicy poznali w nim Bąka i chcieli go wiązać, on z początku rzucił się jeszcze wściekle ale potém uciekł się do prośb, do których niewątpliwie nie nawykł; a gdy ojciec, który w nim syna poznał, ale nie chciał tego okazać, polecił puścić go parobkom, syn skruszony upadł mu do nóg i usłyszał słowa przebaczenia i przestrogi: idź i nie grzész więcéj. Cały ten dramat, odbywa się niemal w milczeniu, zgodnie z charakterem ludu, który najgłębszych uczuć swoich nie zwykł rozwadniać w słowa; działa on jednak silnie na czytelnika w skutek prawdziwie artystycznego a głęboko obmyślanego ugrupowania szczegółów znamiennych.—Zaledwie naszkicowany jest obrazek p. t. „A... B... C...“ przedstawiający jednę z tragicznych sytuacyj narodu, któremu narzucony jest z góry sposób wyłączny kształcenia dzieci i wszelki inny srogo karany. Rzecz to wzięta z najświeższej rzeczywitości, i o ile się dało wykonana dość jasno. Kobiéta, która chcąc dopomódz bratu i choć w części na utrzymanie swoje zarobić, podjęła się uczenia początków wśród rodzin ubogich, która swojemi naukami wpływała dobroczynnie na zdrowie moralne ogółu, odsunięta została na mocy wyroku sądowego od tego rodzaju pracy i skazana na zapłacenie znacznéj grzywny. Z téjże sfery pomysłów jest opowiadanie „Przy dochodzeniu śledczém“. Urzędnik przybyły w strony, które kiedyś w dzieciństwie widział, ale których potém zapomniał, przejęty zasadami demokratycznemi, choć starał się sprawiedliwość dla wszystkich jednakową zachować, w gruncie duszy ma oburzenie na szlachtę za jéj obchodzenie się z chłopami; zgnębić ją było według niego zadaniem sprawiedliwości. Otóż przy dochodzeniu śledczém odkrywa z przerażeniem, że gnębicielem podda-

nych był własny jego ojciec nie ze złéj woli, ale z natury położenia i z konieczności życia wystawnego. Odebrał srogą naukę, ażeby w ferowaniu wyroków o przeszłości nie był bezwzględnym. „Gedali“ to wdzięczny obrazek kramarza, zbiédzonego i schorowanego, który wprawdzie będąc głodny i spragniony, chciwie zjada cudzy groch przy drodze, ale w duszy ma piękne uczucia i rozumne myśli; powszedniość zajęcia i nastrój niemal mistyczny łączą się w nim dziwnie a jednak zgodnie z prawdą. — „Tadeusz“ to piękne opowiadanie o śmierci dziecka, jedynéj pociechy rodziców, biednych wieśniaków, i zaznaczenie jak śmierć taka przechodzi w naturze niepostrzeżenie.—„Romanowa“ to matka całą duszą kochająca jedynaka, chłopca o burzliwém usposobieniu, bardzo zdolném, ale lubiącém wybryki. Miłość jéj przybierająca pokolei formy gniewu, surowości, pieszczoty, litości, rezygnacyi nader prawdziwie jest odmalowana w przeciwstawieniu do niezwalczonego nałogu syna. Wraz z upadkiem tego syna, wszystko dla Romanowéj straciło powab; zestarzała się niemal odrazu, opuściła się, została żebraczką.— „Panna Antonina“ to jedna z tych nauczycielek, co swój zawód za kapłaństwo poczytują, co się przywiązują do domu, w którym czasowo bawią, jakby w nim zostać miała nazawsze, rozczarowują się a jednak do pracy nie zniechęcają; życie ich mało ma w sobie chwil złotych, ale w ich sercu idealistycznie nastrojoném nieprzebrane są skarby, które im do wytrwania starczą. — Tyle pięknych uczuć przepływa w tym zbiorze, że zalecić go do czytania jest miłym obowiązkiem.







KRONIKA MIESIĘCZNA.



Broszury agitacyjne. — Najprędzéj starzejący się wytwór ducha ludzkiego. — Przyczyny obecnego zobojętnienia dla pism agitacyjnych.—Zacofani twórcy opinii publicznéj.—Pozytywny duch czasu i utopiści.—Pożytek i możliwość wpływu broszur. — „Nędza Galicyi“ p. S. Szczepanowskiego to stwierdza.—List wraźliwego przyjaciela z Galicyi.—Podstawy i metoda w programowéj książce. – Kilka wyjątków z niéj. —P. Szczepanowski i Stańczycy.—P. Szczepanowski i stronnictwa prasy Warszawskiéj.—Oś nowego programu.—Czy go poprzemy. — Czém się wszystko skończy. *P. S.* Nowa metoda polemiczna. oparta na podrabianiu.



Kto u nas w swoim czasie nie czytywał broszur agitacyjnych? Kto, cokolwiek chociaż interesujący się sprawami ogółu, nie przypomina sobie tych wrażeń, wstrząśnień serca i umysłu, jakie wywoływał sam widok podartego najczęściéj szpargału.... Dzisiaj te książki zapisane do katalogów, leżą spokojnie jak baranki niewinne, opuszczone, zapomniane na półkach biblioteki akademickiéj w Krakowie, nic im dawnéj potęgi nic przywróci, ani skupione studyowanie w ciszy samotnéj, ani deklamacya wśród gwaru licznego zebrania; wyższego wpływu obecnie wywrzéć nie....

Lat kilka zaledwie ubiegło, a cały obraz się zmienił, „zrobiony został krok naprzód“: panują nowi autorowie, nowe broszury, nowe prawdy, a tamte nietylko w kąt poszły, ale nawet nie szczędzi ich złośliwość nowego prądu. Gdyby młodzieniec taki mógł krytycznie spojrzéć na siebie i rozwój swoich pojęć, gdyby o przyszłości sądził z przeszłości, to by przewidział łatwo prędką detronizacyą nowych proroków; gdyby chciał zajrzéć powtórnie do zarzuconéj już ewangelii w zestarzałéj broszurze, nie poznał by ani żaru głosek, ani jasnéj prawdy, ani nieprzepartéj logiki, ani porywającéj siły argumentów: wszystko wydało by mu się blade, ckliwe naciągnięte, luźne. Przekonał by się, że przyczyna wstrząsającego wrażenia tkwiła nie w broszurze, ale w niedojrzałości jego umysłu przy wulkanicznym zapale serca, że zapał rozbudził w nim nie talent autora ale prąd myśli panujący w otoczeniu, który go porwał, a tylko przy czytaniu drukowanego słowa, trącającego w drgającą stronę, entuzyazm doszedł do *maximum*....

Dzisiaj to wszystko znacznéj uległo zmianie. Magiczne wpływy tajemniczych druków osłabły wielokrotnie. Ludzie, lubiący gderać na czasy obecne, może winić za to zechcą oziębłość dzisiejszéj młodzieży, która unosić się, zapalać nie umié. Było by to potępienie niesłuszne: przyczyny zmniejszonéj wrażliwości nie są zupełnie subiektywne; koleje żelazne połączyły nas z zagranicą, co wraz z niższą ceną paszportów ułatwiło komunikacyą, a samowolne czytanie ani w dziesiątéj części nie jest tak groźne jak dawniéj. Rzeczy spowszedniałe, zwyczajniejsze o wiele, przestały budzić dreszcze, to, co skrzyło się i paliło w ciemności, zblakło przy blasku dziennego światła.

Przytém dodać i to należy, że podniósł się poziom wymagań, wskutek wzrostu ścisłości wiedzy i rozwinięcia się krytycyzmu. Chociaż zdaleka ulegaliśmy jedynie wpływowi rodzącéj się nauki społecznéj i ona téż zrobiła swoje—od programów wymagamy teraz, świadomie czy bezwiednie, czegoś więcéj niż frazesów, a w kierownikach opinii nie zadowalnia sam tylko ogień serca i wrażliwa wyobraźnia.

Rozwój historyczno-naukowych badań również nie przeminął bez wpływu. Wiemy już coś o konieczności dziejowéj, o własnych winach, o tém nareszcie, że na świecie cuda się nie dzieją, a wszystko toczy się koleją naturalną. To téż dziś trudniéj wstrząsnąć ludźmi, biadając na losy, głosząc żeśmy wybrańcy i najcnotliwsi, że historya za nas mścić się będzie i że tryumf wskutek tego łatwy i niedaleki, a do osiągnięcia go trzeba tylko woli i chęci. Dziś sceptycznie patrzymy na wszystkie nadzwyczajne siły i na nadzwyczajne drogi, zarówno na łaskę opatrzności, jak na względy dyplomacyi, na bliskie zwycięstwo prawdy i na nadnaturalną siłę własną.

W broszurach agitacyjnych wrzących demokratów zarówno, jak najkrańcowszych konserwatystów (np. hrabiów Moszczeńskiego i Mieroszewskiego), zdarza się częstokroć, że anegdotki, słyszane w kawiarniach grają poważną rolę faktów historycznych, że bezwzględność zastępuje siłę argumentów. Obecnie trudniéj tém wojować, niewielu już wśród inteligencyi naszéj jest ludzi takich, którzy nie spotkali się nigdy z pojęciem krytyki dziejopisarskiéj, a trzeba bardzo niedojrzałego umysłu, albo bardzo rozbudzonych namiętności, aby gwałtowność, tak często z jednostronności płynąca, mogła przekonać i zjednać.

Zdarza się i dziś, że gorąco napisana rozprawka, projekt, program, albo odezwa, jeżeli trafi na odpowiednie usposobienie ogółu, zaprzątnie wrażliwsze umysły na tydzień lub miesiąc, ale siła wpływu z tém, co niegdyś bywało, porównać się nawet nie da. Każdy,

kto spożył wiele broszurowéj strawy, musiał w końcu doznać przesytu i niesmaku, szczególniéj, jeżeli czytywał w życiu i rzeczy poważniejsze, spokojniejsze, a głębsze. Samo wzięcie do ręki broszury politycznéj już przypomina katarynkową monotonność, płaską banalność, naiwne i zuchwałe naciąganie wszystkiego do założenia, powziętego z góry. Gdy się wié, kto jest autor, można bez czytania z okładki powiedziéć, co będzie w środku, zupełnie jak w fejletonach „Kamiennego“. Pewne sakramentalne rzeczowniki wywołują zawsze téż same określenia, od początku do końca jęczą téż same wykrzykniki.

Gdy się to wszystko sobie uprzytomni, taka odraza człowieka przejmuje, że zdaje się żadnéj broszury by się nie tknęło bez przykréj konieczności. A jednak nie można powiedziéć, że takie broszury nie miały swoich dobrych stron, nie przyniosły korzyści.... broszury polityczne Staszica, lub Kołłątaja i dziś jeszcze z zajęciem przeczytać można; gdzieindziéj także wydawane bywają ulotne pisemka i te nie są bez wartości.

Główna przyczyna zdyskredytowania u nas broszur wynikła z nieudolności autorów. Pominąwszy wybitniejsze talenty, ogromna większość autorów rozpraw agitacyjnych, niezależnie od kierunku, ciągnie daléj rzewne lamenty na dawną nutę: taż sama banalność założenia, taż sama luźność dowodzeń, téż same oklepane ogólniki, taż sama utopijność pomysłów.

Poprostu ogół przerosł, w rozwoju duchowym prześcignął swoich proroków broszurowych; ci skamienieli, należą wciąż jeszcze do romantycznéj epoki. Że tak jest, najwymowniejszém świadectwem być może praca p. Stanisława Szczepanowskiegö „Nędza Galicyi w cyfrach“. Jestto w istocie swojéj także agitacyjna broszura, a jaki wpływ wywarła, ile umysłów poruszyła! i jedynie dla tego, że, wspierając się na faktach, zebranych skrupulatnie, a zestawianych umiejętnie, z rzeczywistością się rachuje i rozumuje ściśle, ze znajomością rzeczy. Niestety dotąd dziełko to dostać mogłem jedynie w streszczeniu i przyznać muszę, że przy czytaniu doznałem takiego bicia serca, jak niegdyś za lat młodzieńczych, kiedy mi wpadły w ręce pierwsze tomy biblioteki Brockhausa, lub wydawnictwa W. Mickiewicza. A przystępowałem z takiém uprzedzeniem: broszura agitacyjna i tytuł taki przykry: N ę d z a w c y f r a c h! — więc jeszcze raz, nie wiem już który, trzeba będzie przewędrować przez piekło niedoli, cierpień, upadku, przyjrzéć się strasznéj rzeczywistości, którą już się tyle razy oglądało i odwrócić oczy ze zgrozą, z rozpaczą bezsilności, ze zwątpieniem w przyszłość. Myliłem się; ale czym ja winien, czy autorowie społeczni nie przyzwyczaili nas

do tego, że jedni starannie zakrywają wszelkie rany naszego organizmu zbiorowego, inni starają się je opisać w rozmiarach przesadzonych, dla tego prawdopodobnie, aby dać ujście pessymizmowi czy może rozpaczy, a środków zaradczych zazwyczaj nie podają, lub snują je z lotnego natchnienia, bez należytego zbadania, a to ulgi czytelnikowi przynieść nie może?

Zanim jeszcze posypały się w pismach mi dostępnych liczne sprawozdania z książki p. Szczepanowskiego, napisałem do Galicyi do jednego z przyjaciół z prośbą o doniesienie, co to jest. Otrzymaną odpowiedzią dzielę się z czytelnikami „Ateneum"; muszę tylko uprzedzić, że przyjaciel mój jest człowiek wrażliwy i, poddawszy się wpływowi, mógł przesadzić w pochwałach, za obiektywność więc sądu jego ręczyć nie mogę; to jednak jest pewne, powtarzam, że „Nędza Galicyi" stoi o całe niebo, przewyższa inne broszury tém, że daje czytelnikom i opiera się na danych ścisłych i traktuje o rzeczach dostępnych z wielką znajomością przedmiotu. Oto treść listu:

Wziąwszy do ręki książkę p. Szczepanowskiego, doznajemy wrażenia, jakbyśmy się przenieśli na pole rozległe, gdzie dużo świeżego powietrza i słońca. Przejmuje nas ciepło, a nie czujemy duszności, wznosimy się z autorem wysoko, a nie doznajemy zawrotu głowy od frazesów ćmiących rozsądek. Téj przykréj woni, jaką zwykle wydaje polityczne bajanie niepowołanych, nie czuć wcale. P. Szczepanowski stoi na wysokości zadania, które przedsięwziął, nie ma w nim ani śladu utopisty i fantastyka z czasów romantyzmu społecznego, zna zasady i wymagania nauki i ta znajomość daje książce jego urok, siłę przechowywającą, zdrowie. Jest to autor nawskroś spółczesny, odpowiadający najzupełniéj realistycznemu, pozytywnemu momentowi duchowego rozwoju. Jakaż różnica pomiędzy nim, a tymi rzecznikami, którzy wprzód muszą rozgorączkować wyobraźnią, zanim zdołają wywrzéć wpływ jakikolwiek? Jeżeli dotąd fantazya, wzięta za fundament w broszurach politycznych, była anachronizmem, to po książce p. Szczepanowskiego stanie się poprostu śmiesznością. Podstawą wywodów p. Szczepanowskiego jest znajomość kraju, jego przeszłości i teraźniejszości i nie tylko pod względem politycznym; a obok tego wielka znajomość życia społecznego całego zachodu. Do wyprowadzenia każdego niemal wniosku używa on wielkiéj liczby cyfr, któremi się posługuje bardzo zręcznie i umiejętnie. Może fachowi ekonomiści będą mu mieli co do zarzucenia, może gwałci on wyprobowane metody; nie znając się na tém fachowo, przesądzać nie chcę, ale tem nie mniéj pozostanie rzeczą niewątpliwą, że jako autor broszury agitacyjnéj wy-

wiązał się z zadania świetnie, po przeczytaniu jego dowodzeń rozjaśnia się w umyśle bardzo, blask bije w oczy, zwraca się uwagę na wiele zjawisk, dotąd pomijanych bez wszelkiéj uwagi. Podobno p. Szczepanowski zbierał dane przez lat 20; znowu przesądzać nie mogę, czy są one dokładne, tembardziéj, że autor nie wymienił dokładnie źródeł, zkąd je czerpał (jest to jedyny brak, jaki widzę w jego metodzie), ale to pewna, że jeżeli są dobre, (lub gdyby na ich miejsca wstawione były dobre), to przyczyniły się bardzo do rozjaśnienia sytuacyi i stosunków Galicyjskich.

Sprawozdawcy pism warszawskich, a w tej liczbie sprawozdawca „Ateneum“ (zeszyt marcowy), podnieśli głównie część ekonomiczną książki, przytoczyli liczby ciekawe; czytelnicy téż mogli by sądzić, że p. Szczepanowski uwzględnił tylko materyalne potrzeby kraju. To mogło by nawet obudzić pewne obawy; ekonomiści, choć wogóle ludzie trzeźwi i znający wszystkie strony życia, czasami jednak wskutek nieustannego przestawania z liczbami statystyki, pomijają te przejawy, które wyrazić się nie dają żadnym znanym symbolem. Obawy te w danym wypadku wcale się tu nie sprawdziły, na szczęście. Książka zawiera drugą część: moralno-społeczno-polityczną, w któréj autor rozpatruje, krytykuje i ocenia wszystkie mniéj więcéj przejawy życia w Galicyi i to mu daje właśnie tę szeroką podstawę, która książkę chlubnie wyróżnia, a czytelnika zjednywa. Autor nie ogranicza się na wykazaniu biedy, błędów, upadku, ale wszędzie podaje środki zaradcze, wskazuje drogi, prowadzące do lepszéj przyszłości i odrodzenia i to sprawia, że, kończąc książkę, nie czujemy się zgnębieni, lecz doznajemy wrażeń podniosłych, w serce wstępuje nadzieja i otucha.

Ażeby dać pojęcie o realizmie, trzeźwości i odwadze autora przytoczę ci zdanie, które wypowiada jako wynik bardzo skrupulatnego rachunku: „Nasze krowy sto razy tyle wpływu mogą wywrzéć na losy naszéj gospodarki krajowéj, co minister Dunajewski i cała Rada Państwa. Kwestya mleka ważniejszą jest dla nas od całéj „wysokiéj polityki“.

Ale gdzieindziéj znajdujemy takie ustępy: „Zacząłem obraz nędzy Galicyi od obrazu nędzy ekonomicznéj! Ale ten ohydny obraz materyalnego ubóstwa, gnuśności, lekkomyślności i zepsucia jest tylko odbiciem równie ohydnego obrazu naszéj nędzy moralnéj. Nie tylko dusza chorzeje w chorém ciele, ale odwrotnie ciało staje się chorém, jeżeli dusza jest chorą.“

„Nie ma téż odrodzenia ekonomicznego bez odrodzenia moralnego! Jak nasza nędza nam spowszedniała, jak zobojętnieliśmy na jéj objawy, tak że nam się dziwnem wydaje, jeżeli ją kto za coś

niezwykłego anormalnego uważa—tak też spowszedniał nam upadek moralny, zobojętnieliśmy na te wszystkie objawy lekkomyślności i zepsucia, które nas zewsząd otaczają.

„Ażeby należycie wyobrazić sobie ogrom naszéj nędzy, trzeba mieć osobiste doświadczenie krajów zamożnych. Ażeby należycie zrozumieć uniwersalność naszego upadku moralnego, trzeba było żyć w społeczeństwie zdrowém. Pod każdym względem, czy to prawdomówności, czy to pracowitości, czy obowiązkowości, oszczędności i wykształcenia, przeciętna u Polaka jest niższą od przeciętnéj u innych narodów europejskich. Trzeba mieć do czynienia z cudzoziemcami, z innymi narodami, ażeby się przekonać, jak często się trzeba wstydzić tego, że się jest Polakiem, rumienić się za podłość, chciwość, niegodziwość i głupotę współziomków. Na co nam się przyda zasiew bohaterski, jeżeli typu wyrobionego w nielicznéj garstce obrońców... nie upowszechnimy, jeżeli nie zrobimy ogólnym typem narodowym, co już się stało typem wybranych jednostek.

„Dla tego też w rozprawie nad nędzą ekonomiczną musiałem rozbiór środków zaradczych zacząć od odrodzenia moralnego. Wszystkie inne okoliczności mogą nam utrudnić, nawet udaremnić, tego nam nikt nieudaremni. Jeżeli tylko sami chcemy, to celu tego musimy dopiąć, choćby legiony Bismarcka były sto razy potężniejsze, choćby się cały świat spiknął przeciwko nam".

„Dla tego zaczynam wyliczenia naszych sił ekonomicznych od oszczędności, siły najmniejszéj statystycznie, siły, która sama przez się zupełnie nie jest wstanie radykalnie zmienić naszego położenia, ale siły, która ma nieskończenie wielkie znaczenie moralne, jest oznaką i gwarancyą, że nie zmarniejemy i godny użytek zrobimy z tych większych środków, do których uzyskania trzeba powołać siły o wiele skuteczniejsze i potężniejsze od prostéj oszczędności".

Gdzieindziéj woła autor, uderzając w sam rdzeń naszéj bezsilności: „Bądźmy... sobą... ale przez całe życie, każdego dnia, w wykonaniu wszystkich obowiązków społecznych, w najpospolitszym czynie życia codziennego".

Ale rzuciwszy tyle palących wyrzutów, autor nie zostawia nas długo pod ich wrażeniem o kilka kartek daléj czytamy: „Pessymistyczny i sceptyczny stan opinii publicznéj jest jedną z głównych przyczyn trudności wydźwignięcia się z naszéj biedy. To nie nastrój ducha, ale rozstrój"... „Nie ma narodu, który się (jak my) w ten sam sposób magiczny prawie sposób przemienia i podnosi pod wpływem odpowiedniego nastroju"... „Nic bardziéj uderzającego w na-

széj historyi, jak ta dziwna siła psychiczna w naszéj rasie, ten niewyczerpany zapas elastyczności w naszym charakterze, tém bardziéj nie wyczerpany im większe klęski na nas spadają i t. d.“

Z tego, co pisma warszawskie powiedziały już o książce p. Szczepanowskiego, mogłeś się przekonać, że jest to zjawisko niemałéj doniosłości politycznéj, że na arenę życia społecznego w Galicyi, wystąpiła siła nowa, potężna, któréj można dziś już wróżyć wybitną przyszłość i wpływ na losy kraju.

Nie wdając się zresztą wcale w proroctwa, przyznać trzeba, że wystąpienie posła stryjskiego świadczy o rozwoju Galicyi. W pierwszych latach autonomii nieszczęśliwy kraj ten nie posiadał nic: ani ludzi, ani wyrobienia politycznego, ani wiedzy, ani talentów. Dreszcze przejmują, gdy się czyta sądy i sprawozdania o pierwszych sejmach. Wy tam, w Warszawie, przyzwyczailiście się od tych czasów lekceważyć „Galileję“, w wyrokach waszych zawsze głosicie, że nie jest ona, pomimo autonomii, Szampaniją, zapominacie, że nie można wymagać przemienienia w ciągu dwudziestu lat piekła na raj, że należy te trochę, co jest, zestawiać z fatalnym spadkiem meternichowskiéj gospodarki. Już zjazd prawników w Krakowie w roku zeszłym powinien był przekonać, że Galicya pod względem umysłowego rozwoju nie straciła czasu; wystąpienie obecne p. Szczepanowskiego stwierdza to: w kraju, który nie ocknął się zupełnie z letargu, nie postąpił zupełnie od epoki najwyższego upadku, nie skorzystał z okoliczności sprzyjających—takie zjawisko byłoby niepodobném.

Wystąpienie p. S. odbyło się przy najlepszych wróżbach; pierwsza sprawa, którą mu kraj przez wyborców poruczył, sprawa naftowa, została załatwioną pomyślnie. Pierwsze przemówienie jego głośne rozległo się gromkimi i licznymi odgłosami we wszystkich zakątkach, wywarło wpływ głęboki. Podobno wielu młodszych posłów, którzy dotąd w rozsypkę wspierali ogólny prąd polityki, „Koła“ w Wiedniu, teraz skupiło się i mają popierać program wyrażony w książce p. Szczep. Sprawozdawcy z Galicyi, poprostu mówią o nowéj erze w traktowaniu spraw krajowych. Że stanowisko p. Szczepanowskiego musi być mocne i że on liczyć musi na wygraną, to wnosić można z pozycyi, zajętéj względem Stańczyków. Widocznie i opinja publiczna i on sam siebie uważa za ich spadkobiercę. Polityczni dorobkiewicze, w początkach swojéj karyery jeżeli nie są pewni zwycięztwa, podnoszą same jedynie słabe strony swoich poprzedników i przeciwników; dopiero kiedy tryumf da się przewidzieć, kiedy jest pewny zupełnie, zaczyna się im oddawać sprawiedliwość i ocenia ich zasługi spokojnie. Pan Szczepanowski

traktuje stańczyków z wielkim taktem, mówi, że jako ludzie zachodni, wykształceni, umiejący patrzéć bez uprzedzeń, byli niewątpliwym postępem wobec „przedpotopowych“ zachowawców, ciemnych i potężnych jedynie uporem i ciężką nieruchliwością, że stworzyli partyą poważnie konserwatywną, jakiéj kraj nasz nigdy jeszcze nie miał, ale że to, co mogli byli zrobić — zrobili i dziś ustąpić powinni.

Jako warszawiak i w dodatku publicysta nie potrafisz może wytworzyć sobie dokładnego pojęcia o p. Szczepanowskim, jeżeli nie będziesz wiedział, do jakiego on się obozu zalicza, czy jest postępowcem, czy konserwatystą, a nawet może pożądanem było by dla ciebie wiedzieć, do jakiego odcienia głównych kierunków należy, t. j. czy nadał by się na współpracownika „Głosu“, czy „Prawdy“, „Wieku“, czy „Słowa“. Niestety—wyobrażam sobie twoje zdziwienie—pomimo dokładnego przewertowania programowéj pracy p. Szczepanowskiego od deski do deski, nic ci o tém powiedzieć nie mogę. Jest demokratą (powiada sam, że wychowany był w zasadach demokratyzmu), nazywa chłopów podstawą życia społecznego, mówi o zwróceniu bacznéj uwagi na oświatę ludową i o wytężeniu sił wszystkich, aby tę oświatę podnieść do takiego poziomu jak w Szkocyi naprzykład; parcelacyą uważa za konsekwencyą swego programu; jest wrogiem antysemityzmu, szczególniéj téj jego formy, w jakiéj się u nas przejawia, co téż jest w téj chwili zasadniczą czy przypadkową cechą stronnictw demokratycznych;—zdawałoby się więc, że go można włączyć do partyi postępowéj, albo, odwróciwszy rzecz nieco, że obóz postępowy może i powinien go popierać. Nawet temperament pisarski zbliża go do waszéj lewicy prasowéj: jest stanowczy, żąda wypowiadania nagiéj prawdy, nie zakrywania ran, nie oszczędzania samych siebie, napada na politykę strusia. Pomimo to „postępowcem“ w znaczeniu ogólnie u was przyjętém nie jest. Bo naprzód nigdzie nie urąga papieżowi ani duchowieństwu—no, ale to może ze względu na galicyjskich swoich czytelników, którzy by tak zapaprykowanéj potrawy nie przełknęli; ważniejszą jest rzeczą, iż pomimo ostréj krytyki, nigdzie nie rzuca wyklęcia na głowy szlachty, przeciwnie mówi o jéj przymiotach, wzywa do spełnienia obowiązków wyjątkowych, które istnieją, chociaż wyjątkowe przywileje ustały, i nie waha się głosić, że odrodzenie moralne, a późniéj ekonomiczne od klas wyższych zacząć się powinno, gdyż przykład, idący z tych sfer, może być najzbawienniejszym. Nie dość na tém. Ośmiela się głośno wyznać, że był jakiś czas pod wpływem... o zgrozo... Józefa de Maistre'a—to się na szczęście nigdy żadnemu postępowcowi w Warszawie nie przytrafiło, na szczęście, bo by mu to późniéj koledzy przez całe życie wytykali....

Więc jest konserwatystą? I to nie. Przyznaje stańczykom, że stanowią na przyszłość cenny zawiązek umiejętnéj i trzeźwéj krytyki, ale twórczości od nich żądać nawet nie można. „Niepoprawnych“, którzy mniej więcéj oznaczają toż samo, co bronieni przez część waszéj pracy „nieobecni“, posyła poprostu bardzo demokratycznie na złamanie karku i raz na zawsze do Monaco. Opiece boskiéj nigdzie narodu nie poleca, na Częstochowę nie liczy, a tylko wciąż wskazuje najzupełniéj doczesne środki ratunku.

A może zalicza on się do téj partyi którą najbardziéj postępowi dziennikarze nazywają burżuazyą? Nie. Ceni co prawda przemysłowców, rachuje na ich wpływ i pracę; pomiędzy tytułami rozdziałów znaleść można jeden taki: „Stworzenie kapitalistów i stanu średniego u nas głównem zadaniem społecznem“; twierdzi, iż w Galicyi myśléć przedewszystkiém należy o wytwarzaniu, bo podział nędzy nikomu pociechy nie przyniesie. Socyalizm traktuje z góry i radzi go wymieść od nas jak śmieci,—ale jednocześnie gromi egoizm „kołtunów“, jak nazywa bezmyślną część mieszczaństwa; ofiarność i poświęcenie uważa za konieczny warunek odrodzenia, a nawet w potępionym socyalizmie widzi tę dobrą stronę, że w Niemczech i we Francyi stanowi protest przeciwko brakowi poczucia obywatelskiego wśród kapitalistów i stanu średniego i krytykuje zestarzałe pojęcia ekonomiczne....

Względem działających u nas stronnictw, względem stańczyków i liberałów p. Szczepanowski zajmuje jednakowo opozycyjne stanowisko. Pierwsi usiłują zbawić Galicyą w Wiedniu przez koncesye polityczne, budżetowe, jak również przez honory i posady, spływające na kraj i jego przedstawicieli; drudzy twierdzą, iż panujące stronnictwo nie wiele zyskuje z tryumfów wskutek małéj stanowczości i pragnie je przelicytować w stolicy państwa. P. Szczepanowski chce punkt ciężkości nadziei i usiłowań przenieść na grunt ojczysty. Rozumowania swoje wysnuwa on z tego pewnika społecznego, że naród-nędzarz nie może być silnym, nie może ani w walce ani w pokoju ostać się wobec spółzawodników:—aby coś zrobić trzeba mieć do tego siłę i środki. Tylko butna zarozumiałość, albo lekkomyślna fantazya może się spodziewać, iż z upadku moralnego wyrwie społeczeństwo jakiś cudowny bohater, albo szczytna doktryna, albo nareszcie uniesienie chwili;—trzeba pracować, długo pracować w znoju, w cichości, z poświęceniem i zaparciem się.

. . . .

Ludwik Straszewicz.

P. S. Pismo, poświęcone obok besztania pewnych stanów, emancypacyi języka z więzów przyzwoitości, a nadto uwolnieniu

stosunków literackich z pęt skrupułów moralnych—„Głos“, wystylizowało w nr. 10, bezimiennie naturalnie, następującą insynuacyą:

„Gdy p. Ludwik Straszewicz dzielnie wystąpił w *Ateneum* przeciwko Prusowi, który w odcinku *Kur. Codz.* ośmielił się przemówić w obronie dzieci „nieprawych“ (co za demoralizacya!), a p. W. Wścieklica w zbroi statystycznéj usiłował w krucyacie antypruskowskiéj p. Ludwikowi dopomódz,—obawialiśmy się, że wśród niewdzięcznego społeczeństwa bez uznania pozostać może to chwalebne skarcenie jakiegoś tam feljetonisty, przez dbałych zawsze o dobro swego społeczeństwa naszych braci Siamskich. Obawy jednak nasze, jak się wkrótce okazało, były całkiem płonne. Zasługi pp. Straszewicza i Wścieklicy, nie pozostały bez uznania: *Słowo*, *Niwa* i *Przegląd Katolicki* przyklaskują *im* (proszę zwrócić uwagę na liczbę mnogą—*przyp. kron.*) radośnie. Zwłaszcza ten ostatni nie może dla *nich* znaleźć słów uwielbienia.

„O jednym z „braci“ *Przeg. Katol.* pisze między innemi (Nr. 9): „każdy, w kim nie zamarło uczucie chrześcijańskiéj moralności, z oburzeniem potępił (a jakże!) nowy ten paradoksalny wybryk naszego humorysty (Prusa), ale przysługę dobréj sprawie oddał p. Wścieklica.... P. W. dał dobrą naukę Prusowi“... Niech wié ten kacerz, że „w sądzeniu i rozwiązywaniu kwestyj społecznych najniebezpieczniejszą i najlepszą jest rzeczą trzymać się zawsze wskazówek nauki chrześcijańskiéj“. Aż miło słuchać! Nawet „kamienny“ p. Jeleński zachwycony „nauką“, jaką dał p. Wścieklica Prusowi, zapomniał dawnéj swéj doń urazy (za szereg artykułów o *Roli*, drukowanych przed laty kilku w *Prawdzie*, p. t. „Gniazdo szerszeni“) i w ostatnim numerze swego „organu“ składa mu hołd publicznie. No, teraz już pp. Straszewicz i Wścieklica nie mogą się uskarżać na „niewdzięczność“ społeczeństwa i prasy: i jedno i druga potrafią zawsze należycie uznać i ocenić zasługi naszych dzielnych mężów“.

Nie potrzeba chyba dowodzić, że w artykuliku tym tkwi i n s y n u a c y a. Sama zgodność zdania kilku publicystów w jakiéjś kwestyi nie jest znowu faktem tak nadzwyczajnym, ani tak gorszącym, aby go warto było wpisywać tonem ironicznym do kroniki życia publicznego.

Redakcya „Głosu“ czujnie wietrzy wszelkie nieprawości; jak ogień wody, tak ona znieść i przemilczéć nie potrafi żadnego zgorszenia, nie mogła też strawić w sobie... hańby (zapewne hańby), jaką opisała w artykuliku „Uznanie zasług“, musiała spostrzeżeniami swemi podzielić się z publicznością. Oto myśl przewodnia oskarżenia „Głosu“: Straszewicz i Wścieklica należą niby do postępowego obozu, a tymczasem zasługują się i wzbudzają uznanie

w trzech filarach konserwatyzmu. Domyślni czytelnicy „Głosu“, wyćwiczeni w odgadywaniu zdań niedomówionych i wszelkich insynuacyj, potrafią łatwo dośpiewać sobie: więc Straszewicz i Wścieklica są odstępcami, a przynajmniéj siedzą na dwu stołkach, zasługują się możnym i t. d. Czytelnicy „Głosu“ muszą się domyślać, gdyż im p. Popławski tłómaczył w „Polityce strusia“ (nr. 32 r. 1887): „czy ktokolwiek o jakimkolwiek przedmiocie wypowiedział wszystko to, coby powiedziéć się dało... „Jeden promyk światła przelotnie rzucony, pozwala bacznenu obserwatorowi objąć zarysy przedmiotu...“ i t. d.

Szydercze dodanie do naszych nazwisk „dbali o dobro społeczne bracia siamscy“ jest conajmniéj posądzeniem o złą wiarę i wolę w naszych publicznych wystąpieniach.

Hańby z pochwały konserwatystów nie odczuwam wcale, oskarżenia „Głosu“ nie zabolały mnie téż zupełnie. Na dotkliwsze pomówienia „Głosu“, jako organu, co z brutalnych wymyślań zrobił sobie sport czy rzemiosło, odpowiadałem milczeniem. Sam fakt spotwarzania ludzi, niewchodzących nikomu w drogę, spotwarzanie dla miłości sztuki jedynie, jest rzeczą tak powszednią, że zwracać nań uwagi nie warto, a przytém ja nie potrafię napiętnować tak dosadnie podobnego czynu, jak to niejednokrotnie zrobiła sama redakcya „Głosu“, kiedy o jéj skórę chodziło. „Głos“ również, kiedy mu zarzucono uznanie pewnego pisma, potrafił dać porządną odprawę tym, co tak „nisko upadli“, że omawianą kwestyę sądzą według tego, komu się ona podoba, że wyrzucają publicystom pokrewieństwo zdania z kimkolwiek: „Bądźmy raz sobą przedewszystkiém. Tylko lichota umysłowa i moralna lęka się nagany przyjaciół i pochwały przeciwników. Człowiek uczciwy tak powinien szanować swoją godność, żeby nawet nie przypuścić o sobie krzywdzącego posądzenia. Mówmy i czyńmy tak, jak nam dyktuje nasze przekonanie bez względu, co tam kto powie. Zgani nas—dobrze, pochwali—tym lepiéj“.

Nie myślę zresztą wyzyskiwać tego wypadku, bo niekonsekwencya i mierzenie siebie jednym, a niemiłych sobie innym łokciem jest rzeczą względnie drobną, a w każdym razie dla „Głosu“ powszednią. Przytém, może do wielkich ludzi stosują się inne prawa moralne: co dla Głosu jest chlubą, to cień rzuca na naszą dbałość o dobro społeczne.

W artykule organu bez skrupułów znajduje się inna osobliwość, bodaj czy nie poraz pierwszy przytrafiająca się w dziejach naszego dziennikarstwa. Datę innowacyi należy podkreślić.

Dotąd insynuacya i fałszywe oskarżenia opierano na faktach, istniejących w jakiejś formie, przekręcanych nieraz tendencyjnie,

ale zawsze na faktach istniejących; „Głos“ tak gorąco pragnął poniżenia nas w oczach swoich czytelników, że uciekł się aż do podrobienia faktu.

Mniejsza z tém, że przyczyną polemiki nie była obrona dzieci nieprawych, że ani ja, ani Wścieklica nigdyśmy na brak wdzięczności społeczeństwa się nie skarżyli i do takowéj pretensyi nie mieli, jak to nam „Głos“ wmawia („No teraz pp. S. i W. nie mogą się skarżyć...“). Takie pretensye miewają „orły kąpiące się w słońcu,“ a zapoznani prorocy. Ani „Słowo“ ani „Przegląd Katolicki“ ani jednym wyrazem nie potrąciły o polemikę moją z Prusem! Powtarzam ani jednym wyrazem. Nie wymieniły nazwiska mego. W „Niwie“ zaś uznanie zasług wypowiedziane było w tém jedném zdaniu: „Ale na szczęście (niewątpliwie to słowo szczęście wyraża uznanie zasług) liberalni koledzy Prusa, ku wielkiemu zgorszeniu „Przeglądu Tygodniowego“, wykazali mu cyframi i świadectwem nieposzlakowanego liberalizmu artykułów, że przeciwko zasadom, które stanowią podstawę ustroju społecznego, grzeszyć (przepraszamy liberalnych kolegów Prusa—dodaje, „Niwa“ z ironią,—że używamy tak kościelnego wyrażenia) bezkarnie nie można“. Oto jedyna, powtarzam, wzmianka, w któréj „Niwa“ wypowiedziała zdanie o moim udziale w polemice i to wystarcza „Głosowi“ za dowód do oskarżenia mnie o przeniewierzanie się... niewiem: zasadom czy stronnictwu? Dodać należy, że opisując sam fakt „Niwa“ dosyć szyderczo traktuje „liberałów“, mnie zaś i Wścieklicę do nich zalicza i bardzo wyraźnie i z akcentem zaznacza swój odmienny od naszego punkt wyjścia nietylko wogóle, ale nawet w téj kwestyi, co do któréj, jako oponenci Prusa, zgadzaliśmy się pozornie (nr. 317).

Co do mnie więc fabuła „Głosu“ wysnuta została ze zbyt gorliwéj fantazyi. Co do Wścieklicy, to nazwisko jego było wymienione i w „Słowie“ i w „Przeglądzie Katolickim“, ale jak? „Słowo“ zastanawiało się, czy przyzwoicie postąpił „Kuryer Codzienny“ drukując i kronikę Prusa i krytykę Wścieklicy. O saméj polemice p. Jacek Soplica zauważył mimochodem: „Okolicznościowe i oczywiście żartobliwe wystąpienie Prusa w przedmiocie związków nielegalnych wywołało zbyt wiele (uznanie zasług!) wrzawy.“ Nic więcéj! (nr. 5). „Przeg. Kat.“ zaczyna od potępienia Prusa, a kończy naganą dla Wścieklicy, któremu przyznaje częściowo racyą, ale odmawia stanowczo uznania dla jego punktu wyjścia, metody i czysto-świeckiego stanowiska. Sumienność polemiczna „Głosu“ zabłysła jeszcze przy jednéj sposobności. Pobożna nauka „Przeglądu Katolickiego“ („w sądzeniu i rozwiązywaniu kwestyi społecznych naj-

bezpieczniejszą i najlepszą jest rzeczą trzymać się wskazówek nauki chrześciańskiéj"), według „Głosu" wyciągniętą jak gdyby została z artykułu Wścieklicy i zaadresowaną do Prusa. Czyż to nie kompromituje postępowego pisarza? Może; tylko że nieugięty w karceniu innych, a wolny od skrupułów, „Głos" poplątał adresy — to właśnie Wścieklica został tak skarcony i zmonitowany przez „Przegląd Katolicki" za to, iż „nazwał ś m i e s z n e m i i n i e r o z u m n e m i usiłowania katolików rozwiązywania kwestyi społecznych na zasadach chrześciańskich"! (nr. 9).

Nie podejmuję się charakteryzować téj innowacyi, wprowadzonéj przez „Głos" do naszéj praktyki dziennikarskiéj. Takie przykłady są zaraźliwe i prawdopodobnie niedługo ktoś zastosuje nową metodę do „Głosu", a wtedy jego poczucie sprawiedliwości zdjęte świętém oburzeniem, bryźnie na winowajcę potokiem wonnych, a zasłużonych epitetów. *L. S.*

Odpowiedź Polikratesowi i Posłowi Prawdy. — Słówko o Wystawie tkackiéj. Odezwa komitetu pomnika Mickiewicza.

Część kroniki w ostatnim zeszycie „Ateneum" była poświęcona wypowiedzeniu na tle sprawy, która niedawno poruszała żywo szerokie koła naszego społeczeństwa—poglądu, że sądy honorowe są odpowiedniejszą niż pojedynek drogą do rozstrzygania spraw honorowych, zwłaszcza w tych wypadkach, gdy treścią sprawy jest zarzut dotyczący spełnienia czynu ujmę przynoszącego, jedyną zaś w wypadkach, gdy zarzut podobny ma związek ze stanowiskiem publiczném tych, którym zarzut uczyniono. Wypowiedziane przezemnie myśli wywołały dość ostrą polemikę ze strony „Polikratesa" w „Niwie" i bardzo ostrą ze strony „Posła Prawdy" w „Prawdzie". Zaczynając od Polikratesa, muszę się zastrzedz przedewszystkiém przeciwko wyszukiwaniu w wypowiedzianych przezemnie uwagach takich zdań i takich oskarżeń, do przypisania mi których—nawet w formie przypuszczenia—nie dałem żadnego materyału. Ani słowem, ani półsłówkiem żadném nie wypowiedziałem oskarżenia Dyrekcyi Głównéj Tow. Kred. Ziemskiego o „zepsucie moralne" i „pokrywania własną powagą nadużyć Dyrekcyi Szczegółowéj". Wogóle żadnych władz Towarzystwa o nic podobnego nie oskarżałem i nie posądzałem. Jeżeli Polikratesowi o moje wyznanie wiary chodzi, to go mogę zapewnić, że w myśli nawet nigdy nie oskarżałem władz Towarzystwa Kred. o zepsucie moralne. Za to przyznam się szczerze, żem pomawiał czasami przedstawicieli Tow. o trzy wady: 1) o pewną ospałość, 2) o wstręt do jawności i 3) o zbyt małe

uwzględnienie interesów innych klas społecznych, po za obrębem przedstawicieli własności większéj. Przechodząc do treści poruszonéj w polemice Polikratesa sprawy, skoro Polikrates dowodzenie moje w wielkościach oderwanych wyrażone, przełożył na wielkości mianowane, to i mnie zmusza niejako do nazywania rzeczy i osób po imieniu. Otóż odpowiem mu, że zarzuty p. Waliszewskiego, które dały powód do polemiki w sprawie dewastacyjnéj dotyczyły między innemi osób, które zamują stanowiska w dyrekcyi szczegółowéj kaliskiéj.

Jak się z faktów przez p. Waliszewskiego przytoczonych i z wynikłéj w następstwie polemiki, a co najważniejsza, z przeprowadzonego przez delegata Dyrekcyi Głównéj śledztwa wykazało, o nieodpowiedniém działaniu dyrekcyi *in gremio*, ani nawet pojedyńczych urzędników przy pełnieniu czynności wprost urzędowych mowy być nie mogło. I dlatego téż Dyrekcya Główna nie znalazła żadnéj nieprawidłowości w działaniach dyrekcyi szczegółowéj kaliskiéj. Czy jednak podobna opinia Dyrekcyi Głównéj dała już dostateczną i zupełną satysfakcyę zadraśniętym w czci przedstawicielom dyrekcyi kaliskiéj? Mniemam, że nie. I ci przedstawiciele widocznie jednego ze mną byli zdania, skoro krzywdy swojéj daléj dochodzili i satysfakcyi żądali. Otóż właśnie do téj satysfakcyi najlepszą drogą byłby—podług mego zdania—sąd honorowy. Polikrates twierdzi, że dziś—skoro odwołanie nastąpiło — i w ten sposób jedna ze stron się usunęła, sąd honorowy nie ma racyi bytu. Zapewne, że sąd honorowy zaraz w początku sprawy byłby odpowiedniejszym niż dziś; sądzę jednak, że i dziś jeszcze sąd taki mógłby i powinien by się zebrać. Przedewszystkiém, o ile mi wiadomo, nie wszystkie i nie przeciwko wszystkim zarzuty zostały odwołane. Gdybym się jednak co do téj okoliczności mylił, to przecież bywają przykłady, że dbali o niepokalaność swéj opinii obywatele sami zwołują na siebie sąd, wskutek istnienia li tylko krzywdzących pogłosek. Widzimy również nieraz w życiu publiczném różnych krajów, jak wybrani przed wyborcami składają sprawozdania, tłómaczenia, usprawiedliwienia swych czynności. Czyby czegoś podobnego nie mogli i nie powinni zrobić i panowie przedstawiciele dyrekcyi szczegółowéj kaliskiéj. Dowiodłoby to wysokiéj dbałości z ich strony o opinię publiczną i dałoby im zupełną satysfakcyę i jako ludziom prywatnym i jako funkcyonaryuszom publicznym. Boć w danym wypadku, absolutoryum, dane przez zwierzchnie władze, niezupełnie przedstawicielom dyrekcyi kaliskiéj, nawet jako funkcyonaryuszom publicznym, wystarczyć może. Żeby jasno wyłożyć tę ostatnią myśl moją, muszę powiedzieć parę słów w kwestyi, co stanowi cechy funkcyonowania publicznego.

Funkcya publiczna zawiera w sobie dwa elementa: dążenie do prawnego celu użyteczności publicznéj i korzystanie ze środków prawnych, ze specyalnych atrybucyi, jakie stanowisko publiczne daje. Otóż za normalnie pełniącego swą funkcyę urzędnika, za urzędnika będącego w pełni—że się tak wyrażę—funkcyonowania publicznego należy uważać takiego, który dążąc do celu prawnego, używa zarazem i środków prawnych. Może się jednak zdarzyć, że urzędnik dążąc do celu prawnego, używa środków nieprawnych (np. sędzia, który dla wyświetlenia prawdy używa tortury, albo zakazanych przez prawo środków podstępnego badania), albo téż, że dążąc do celu nieprawnego i nie publicznego nawet, lecz wyłącznie swego prywatnego, urzędnik taki używa atrybucyi prawnych swego urzędu (np. urzędnik, który udzielanego mu z urzędu prawa korespondencyi bezpłatnéj w sprawach publicznych używa do spraw osobistych); może nareszcie wogóle urzędnik dopełniać takich czynności, w których publiczny charakter działalności jest pomieszany z prywatnym, tak, że który z tych charakterów przeważa nieraz orzec trudno. Otóż w wypadkach podobnych władze zwierzchnie mogą uznać urzędnika za działającego prywatnie i z tego tytułu dać mu absolutoryum z urzędu. Ale opinia publiczna zawsze jeszcze może miéć wątpliwości, czy urzędnik ten nie nadużył swego stanowiska publicznego, czy nie ubliżył swéj powadze urzędowéj, chociaż działał niby jako człowiek prywatny.

W wypadkach podobnych, stojących na pograniczu funkcyonowania publicznego i prywatnego sąd honorowy wydaje mi się środkiem oświecenia opinii najlepszym. Wogóle mniemam, że społeczeństwu naszemu, tak mało żyjącemu życiem publiczném i realném i wskutek tego mało wyrobionemu publicznie, sądy honorowe, jako jeden z organów życia publicznego, wielką mogą oddać usługę. Spotykamy wprawdzie opinie na przykładach konkretnych oparte, a dowodzące nieudolności sądów honorowych. Ale opinie podobne przypominają zdanie anglika, który w czasach przedkolejowych podróżował podobno pocztą po Francyi i spotkał na pierwszych trzech stacyach pocztowych trzy oberżystki—siostry rodzone, rude i piegowate, a zrażony brzydotą tych jedynych, jakie widział francuzek, powrócił natychmiast do Anglii i ogłosił publicznie, że wszystkie kobiéty we Francyi są rude i piegowate. Nie bądźmyż i my podobni do owego anglika i nie zawracajmy z drogi z powodu kilku nieudanych sądów honorowych. Żadna instytucya publiczna nie bywa doskonałą, z początku zwłaszcza. Dopiéro praktyka, wyrobienie zmniejsza wady, a powiększa zalety instytucyi, jeżeli tylko ta w zasadzie jest dobra. Niech zaś Polikra-

tes rzuci okiem do koła, niech chwilkę się zamyśli, a zgodzi się może ze mną, że sądy honorowe w społeczeństwie naszém bardzo propagować należy, i nie powtórzy mi zarzutu, że nie pamiętam o aforyzmie: „stanowisko obowiązuje.“ — Mogę się mylić w przytoczonych przezemnie szczegółach faktycznych, ale z pewnością nie o pojedynczą sprawę Russowską mi chodzi, lecz o kwestyę szerszego znaczenia, a mianowicie o wzmocnienie znaczenia opinii publicznéj, o wprowadzenie pewnéj karności wobec téj jedynéj nieraz kierowniczki naszego życia społecznego. Odrzucam tedy nazad Polikratesowi zrobiony mi przez niego zarzut i przemawiam jego słowami: stanowisko obowiązuje do wyrobienia w sobie czucia i umiejętności rozróżniania, kto w imię prywaty, a kto w imię dobra publicznego przemawia.

Ta sama część kroniki „Ateneum“, która wywołała polemikę z Polikratesem z „Niwy“, ściągnęła jeszcze na mnie surową admonicyą ze strony „Posła Prawdy“, twierdzącego, że na wypowiedzenie zdania, iż się nie jest „bezwarunkowym“ przeciwnikiem obyczaju pojedynkowego—trzeba mieć wiele „odwagi.“ Zdaje mi się przedewszystkiém, żeśmy się nie zrozumieli z p. „Posłem Prawdy“, który widzi we mnie jakiegoś propagatora, chcącego zaszczepić w największéj liczbie osób zarazę pojedynkową. Niech to, co mówię w odpowiedzi Polikratesowi o propagowaniu obyczaju sądów honorowych, stanie w części za odpowiedź i „Posłowi Prawdy“ w kwestyi moich intencyi. Zdaje mi się jednak, że i bez téj ostatniéj odpowiedzi mógł „Poseł Prawdy“ widzieć w moich słowach raczéj dążenie do jednego z nim celu, t. j. do oddziaływania przeciw pojedynkowi, niż do rozszerzania tego obyczaju. Tylko że ja inny mam punkt wyjścia i innéj niż „Poseł Prawdy“ używam metody działania. Dla wytłómaczenia téj różnicy powołam się na przykład. Zgubne skutki wojen pobudzały wielu ludzi do przeciwdziałania ich okrucieństwom. Ci anti-belliści—że się tak wyrażę—dadzą się podzielić na dwie kategorye. Jedni stali się głosicielami surowych słów potępienia przeciw samemu zjawisku wojny; drudzy zaczęli obmyślać praktyczne środki, zmniejszające ilość wojen i ich okrucieństwa. Z obserwacyi życiowéj widzimy, że wszelkie gromy, rzucane przeciw zasadzie wojny, były w rezultacie wystrzałami o ślepych ładunkach; społeczeństwa nie usłuchały pięknych, lecz jałowych programowo frazesów i nazwały głosicieli ich utopistami. Przeciwnie w sprawie zastępowania w pewnych wypadkach wojny innymi sposobami rozwiązywania sporów międzynarodowych i w sprawie zmniejszenia okrucieństw wojny społeczeństwa zrobiły pewien postęp. Kongresy, konferencye, sądy polubowne spotykamy coraz czę-

ściéj w stosunkach międzynarodowych; z drugiéj strony, mamy towarzystwo krzyża czerwonego, mamy wykonywane w znacznéj mierze przepisy o szanowaniu stron neutralnych, mienia prywatnego, o usunięciu kul rozrywających i t. d. i t. d.

Otóż tak samo i w kwestyi pojedynków. Jedni miotają pioruny na zasadę pojedynków, drudzy szukają środków zmniejszenia liczby ich i surowości. Jakiż jest rezultat jednéj i drugiéj metody postępowania? Wyrzekali filozofowie na pojedynek, a jednak ludzie się pojedynkują. Królowie francuscy wydawali opatrzone sankcyą kary śmierci ordonanse przeciw pojedynkom, a jednak pojedynki nie ustały. Furda jednak filozofowie i królowie; sam „Poseł Prawdy"—jak się przyznaje—nieraz głosił potępienie pojedynku i... no i pojedynki daléj trwają. Przyznajcie zaś panie i panowie, że jeśli ludzkość nawet p. „Posła Prawdy" nie usłuchała, to kogóż taka krnąbrna ludzkość usłuchać może!? Otóż z uwagi na tę niepoprawność ludzkości, ja skarcony przez p. „Posła Prawdy", obskurant, pozwalam sobie mieć odwagę należenia do tych, którzy innéj niż pan „Poseł" szukają drogi rozwiązania kwestyi pojedynkowéj. Podług mnie, nie dość słów bezwarunkowego potępienia pewnego obyczaju, potrzeba jeszcze coś na miejsce tego obyczaju postawić.

Dopóki nowy, lepszy od poprzedniego obyczaj nie wszedł w życie, nie podobna być—sądzę—bezwarunkowym przeciwnikiem obyczaju poprzedniego, chociażby wadliwego, skoro ten obyczaj wadliwy zastąpił dawniejsze, jeszcze gorsze. Obyczaj pojedynkowy, choć zgubny w skutkach i niesprawiedliwy nieraz w rozwiązaniu, jest jednak lepszym moralnie od strzelania z za węgła, lub mordowania przez najemnych siepaczy, społecznie zaś mniéj zgubnym od takiéj np. vendetty korsykańskiéj, chociażby dlatego, że nie przedłuża dochodzenia każdéj krzywdy do nieskończoności i mniejszą względnie pochłania ilość ofiar. Ponieważ rozwój społeczeństwa ulega pewnym prawom, w roztrząsaniu zatém zjawisk społecznych, zamiast jałowéj *Prinzipienreiterei*, koniecznèm jest stanąć na gruncie historycznym i zamiast bezwarunkowych potępień, zająć się zbadaniem przyczyn zrodzenia się pewnego zjawiska, a w dalszym ciągu postawieniem horoskopu na przyszłość, wynalezieniem dróg, któremi z największą dla społeczeństwa korzyścią postępować należy. Jak prawodawca nie jest „bezwarunkowym" przeciwnikiem zabójstwa, gdyż za śmierć w obronie własnego życia, lub życia bliskich, w obronie czci niewieściéj i t. d. nie karze; jak najsurowszy teolog chrześciański, wierzący w pochodzenie całego rodu ludzkiego od Adama i Ewy nie potępi „bezwarunkowo" kazirodztwa", gdyż dla dzieci Adama wyjątek zrobić musi; jak sędziowie angielscy — pomimo wysokiéj swéj legalności i wysokiego wy-

kształcenia — dowiedli, że nie są „bezwarunkowymi“ przeciwnikami kanibalizmu nawet, gdyż sądząc sprawę rozbitków, oskarżonych o zabicie i pożarcie jednego ze współtowarzyszy, znaleźli w obawie śmierci głodowéj okoliczność łagodzącą, tak téż i ja nie jestem bezwarunkowym przeciwnikiem pojedynku, gdyż widzę, że ani państwo, ani społeczeństwo nie umiało dotąd wprowadzić w życie sposobów dania poszkodowanemu na honorze innéj satysfakcyi dostatecznéj. Dla człowieka, ceniącego swój honor, restytucya, jaką mu za krzywdę honoru ofiarować może państwo, t. j. uwięzienie, lub nałożenie grzywien na gwałciciela, nie wystarcza. Zresztą i społeczeństwo, otaczające pokrzywdzonego, nie uważa częstokroć wyroku sądu państwowego za dostateczne zadośćuczynienie i wymaga pod karą ostracyzmu, by pokrzywdzony zmył obrazę drogą pojedynku. Z drugiéj strony atoli, ze wszystkich rodzajów pokojowego rozstrzygnięcia spraw honorowych, sądy honorowe jedyne cieszą się powagą w oczach społeczeństwa. Z tych względów wydaje mi się, że odpowiednio rozwinięta instytucya sądów honorowych mogłaby z większą skutecznością niż sądy państwowe a z wyższym niż pojedynki stopniem sprawiedliwości, z mniejszemi szkodami, a nawet z pewną pedagogiczną co do wyrobienia opinii korzyścią społeczną służyć do rozstrzygania spraw honorowych. Zdaje mi się daléj, że znaczna część spraw honorowych, i to właśnie z punktu widzenia społecznego najważniejszych, mogłaby być już dziś rozstrzygana drogą sądów honorowych. A z czasem, przy większém wyrobieniu opinii z jednéj, a uobyczajeniu towarzyskiém z drugiéj strony,—wszystkie nieomal sprawy honorowe mogłyby być tą drogą rozstrzygane i obyczaj pojedynku z czasem mógłby stać się takiém wspomnieniem rycerskiém, jakiém dziś są wspomnienia turniejów średniowiecznych. Nim jednak ten czas nadejdzie, ani teoretycznie pojedynek do „bezwarunkowego“ potępienia się nie kwalifikuje, ani témbardziéj praktycznie uniknąć się nie da. Oto tłómaczenie moje, dla czegom powiedział, że nie jestem „bezwarunkowym“ przeciwnikiem pojedynku w obecném stadyum rozwoju społecznego i wyjaśnienie, do czegom na przyszłość dążył we wzmiance popierającéj obyczaj sądów honorowych.

A teraz sprawa moja osobista z „Posłem Prawdy“. Pan „Poseł“ powstaje przeciwko nieprzyzwoitemu tonowi polemik w naszém piśmiennictwie i cytuje wyszukane przez siebie takie naprzykład wyrazy, jak dureń, ulicznik, wisielec, błazen i t. p. Ma pan „Poseł“ słuszność, napadając na często w naszém dziennikarstwie spotykaną gburowatość polemizujących; życzę téż jak najszczerzéj powodzenia kazaniu. Nie tylko jednak grubiańskie wyrazy obrażającemi być mogą. Jednego najbardziéj obrazi nazwa

„dummer Junge“, drugiego „omentra“, lub „sufragan“, a innego dotknie głęboko przekręcanie jego myśli i przedrwiwanie następnie na temat niby to powiedzianéj przez niego niedorzeczności. Otóż w ten ostatni sposób właśnie ja czuję się dotkniętym przez p. „Posła Prawdy“, który wydziwia nad moją „odwagą“ w wypowiadaniu jakoby wstecznych opinii, propagujących pojedynek. Gdybym tylko formalnie brał ten zarzut i jedynie szermierkę słów chciał z p. „Posłem Prawdy“ prowadzić, to „*J'aurais la partie belle*“. jak mówią Francuzi, gdyż korzystając z użytego przez niego zestawienia postępku księdza Baudouina i moich opinii, zaproponowałbym p. „Posłowi“, żeby miał „odwagę“ poparcia osobistym przykładem swoich przekonań, żeby ogłosił, iż odtąd, gdy mu kto da policzek, on ani go na pojedynek nie wyzwie, ani do policyi nie odda, ani kijem nie ogrzmoci, ani nawet od „Meletusów“ nie nawymyśla, a przy zręczności siebie, ze znaną skromnością, do Sokratesa nie porówna,— lecz podstawi policzek bijącemu, ze słowami: „to dla mnie, a cóż dla „Prawdy“?“ Na taki temat mógłbym wiele złośliwych słów powiedzieć i wiele komicznych obrazków przedstawić; nie o słowa mi jednak i nie o poklask paradyzu chodzi, lecz o rzeczywiste porozumienie w kwestyi tonu polemik. Chodzi mi o to, żeby polemiki były prowadzone argumentami „*ad rem*“, nie zaś „*ad hominem*“ skierowanymi, gdyż te ostatnie rozdrażniają przeciwnika i mogą właśnie doprowadzić napadniętego do tego tonu, przeciwko któremu powstaje p. „Poseł Prawdy“. Czując na sobie, jak używana przez p. „Posła Prawdy“ metoda polemiki, w któréj się widzi brak dobréj woli do zrozumienia swego interlokutora i chęć wywyższenia siebie kosztem innych,— otóż czując, jak podobna metoda utrudnia zaczepionemu utrzymanie się w spokojnym tonie, jak budzi ochotę do odpłacania pięknem za nadobne, a może i do oddania z procentem, zwracam się do „Posła Prawdy“ z propozycyą następną: skoro pan szczerze chciałbyś wpłynąć na uprzyzwoicenie tonu polemik w naszém piśmiennictwie, to... „*medice cura te ipsum.*“

Kończąca się obecnie wystawa tkacka jest w znacznéj mierze chybioną. Powiédzmy to sobie szczerze. Została ona podobno nie we właściwéj porze roku otwartą, a do narady nad jéj urządzeniem zbyt późno wezwano przemysłowców i zbyt późno zajęto się zgromadzeniem wyrobów tkackich domowych. Ale dowiadujemy się, że wystawa ta dała impuls do narad nad utworzeniem kursów tkactwa i farbiarstwa, mających na celu podniesienie przemysłu włościańskiego w tych kierunkach. Niechby się ten jeden projekt urzeczywistnił, a wdzięczni bylibyśmy serdecznie tym, którzy urządzili.... nieudaną wystawę tkacką. (—X—)

Posiedzenie ścisłego komitetu pomnika Mickiewicza. W sobotę (24 z. m.) i w niedzielę (25 z. m.) odbyły się dwa posiedzenia komitetu pięciu. Pierwsze odbyło się u hr. Artura Potockiego w pałacu pod „Baranami", trwało od godz. 11 rano do 8-méj wieczorem z krótką przerwą na obiad, drugie wczorajsze w pracowni mistrza Matejki. Dyskusya była nader wyczerpująca, i jako jéj rezultat otrzymujemy od komitetu następujący komunikat:

Uchwały komitetu ścisłego pomnika Mickiewicza powzięte na posiedzeniach dn. 24 i 25 b. m.

1) Zastrzegając sobie najzupełniejszą wolność dalszego działania, przystępuje ściślejszy komitet na podstawie modelu N-ro 19 utworu pana T. Rygiera do wykonania pomnika.

Ściślejszy komitet poleca panu Rygierowi wykonanie modelu w ⅓ wielkości wymiarów projektowanych z takiemi zmianami, jakie komisya uproszona wskaże.

2) Model wykonany w Krakowie pod okiem komisyi uproszonéj, składającéj się z panów: Matejki, Przezdzieckiego, Zacharyewicza i dr. Sokołowskiego, przyjmuje i aprobuje ściślejszy komitet, decydując o dalszém postępowaniu.

3) Mając na względzie, że naród z własnéj woli i chęci i własnemi siłami stawia pomnik Mickiewiczowi, ściślejszy komitet starać się będzie o zbadanie warunków wykonania pomnika w kraju.

4) Miejsce uchwalone przez ściślejszy komitet na postawienie pomnika ogłosi się późniéj.

Artur Potocki, Jan Matejko, Konstanty Przezdziecki, Zacharyewicz, W. L. Jaworski.

NEKROLOGIA.

† Dziejopisarstwo nasze poniosło wielką stratę w osobie **Kazimierza Jarochowskiego**, z którego imieniem czytelnicy *Ateneum* spotykali się w każdym roczniku od początku istnienia pisma. Zanim w osobnym artykule podamy bliższe szczegóły o życiu i działalności wybornego znawcy czasów saskich, zaznaczamy tutaj główniejsze daty. Urodził się on 12 września 1828 roku we wsi Sokolniki Małe (w w. ks. Poznańskim, powiecie szamotulskim). Gimnazyum ukończył w Poznaniu; na studya uniwersyteckie w zakresie wydziału prawnego udał się do Berlina. Złożywszy egzamin rządowy, wszedł do sądownictwa w Poznańskiém i na stanowisku sędziego w Poznaniu, które w kolei czasu mu się dostało, przetrwał do r. 1881, kiedy mu przeznaczono na miejsce sprawowania urzędu Sulen-

cin (Zielenzig). Przeniósł się tam wprawdzie na chwilę, ale niebawem wysłużywszy pewną część emerytury, opuścił służbę i oddał się pracom naukowym wyłącznie. W r. 1884 na zjeździe literackim imienia Kochanowskiego w Krakowie pełnił obowiązki prezesa. W r. 1887 został obrany posłem do sejmu pruskiego i uczęstniczył w jego obradach. W czynnościach Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego od samego założenia jego aż do ostatnich czasów najgorliwszy brał udział. Zmarł w Poznaniu 23 marca r. b. Działalność swą historyczną rozpoczął w r. 1854 od ogłoszenia pierwszego tomu materyałów do epoki saskiéj p. n. Teka G. J. I. Podoskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego"; do r. 1861 wydrukował materyałów tych 6 tomów. Zająwszy się raz tą chwilą dziejową, zwrócił na nią dalsze swe badania, zamierzywszy przedstawić w wyczerpującéj monografii rządy Augusta II. Jakoż już w r. 1856 ogłosił: „Dzieje panowania Augusta III od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię Polską" (Poznań str. XL, 395). Następnie obrabiając poszczególne kwestye z dalszych rządów jego w osobnych rozprawach i robiąc od czasu do czasu wycieczki na inne pola badań historycznych, w lat dwadzieścia dopiéro wygotował tom drugi swéj wielkiéj monografii i wydał p. n. „Dzieje panowania Augusta II od wstąpienia Karola XII na ziemię polską aż do elekcyi Stanisława Leszczyńskiego 1702—1704" (Poznań, str. XXI, 646). Jak widać z tego tytułu daleko było do końca zamierzonéj pracy; bo téż nad jéj uzupełnieniem krzątał się nasz historyk aż do zgonu. Wyniki swoich poszukiwań składał w szkicach i studyach, pomieszczanych w różnych czasopismach naukowych, jak w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Przeglądzie polskim w Krakowie, Przewodniku naukowo-literackim we Lwowie, w Ateneum, Kwartalniku Kłosów w Warszawie. Znaczna część tych rozpraw wyszła w zbiorach, poczynając od r. 1860, kiedy wyszedł pierwszy tom „Opowiadań historycznych", potem w 1863 pojawił się tom drugi, w 1877 tom trzeci (w Warszawie, str. 183), w 1882 tom czwarty (w Warszawie, str. 443), w 1886 tom piąty (w Poznaniu). Oprócz tego są też osobno niektóre rozprawy, jak 1871: Epilog sprawy toruńskiéj, 1878: Sprawa Kalksteina, 1879: Oblężenie miasta Poznania, 1880: „Literatura poznańska w pierwszéj połowie bieżącego stulecia". Był nadto Jarochowski przez lat 30 korespondentem Gazety Warszawskiéj i pisywał sprawozdania z nowo ukazujących się w literaturze niemieckiéj dzieł mających jakikolwiek związek z dziejami naszemi

† **Władysław Sabowski**, zdolny i wielostronnie ukształcony dziennikarz i powieściopisarz, urodził się w Warszawie r. 1837, tu

skończył gimnazyum filologiczne a następnie uczęszczał do szkoły sztuk pięknych na wydział budownictwa. Został następnie urzędnikiem komory celnéj i literatem. Działalność swoję rozpoczął bardzo młodo od krytyki i poezyi. Prace jego w obu kierunkach drukowała „Biblioteka Warszawska“ już od r. 1854. Tu pomieścił przekład swój „Demona“ Lermontowa w r. 1859. W r. 1860 wydał zbiorek poezyj swoich oryginalnych i tłomaczonych p. n. „Ziarna i plewy“. Późniéj przeniósł się zagranicę, bawił w Dreznie, Paryżu, Brukselli i pisywał stamtąd mnóstwo korrespondencyi i powiastek. Gdy w r. 1865 założone zostało popularne pisemko obraskowe p. n. „Opiekun domowy“, Sabowski pod pseudonimem *Wołodego Skiby* zapełniał go przez lat trzy mnóstwem drobnych opowiadań; równocześnie zaś pisywał artykuły i obszerniejsze powieści do „Przeglądu Tygodniowego“, „Tygodnika Mód“, „Tygodnika ilustrowanego“. W r. 1869 wezwany został na redaktora nowo zakładanego w liberalnym kierunku dziennika w Krakowie p. n. „Kraj“; niedługo na tém stanowisku pozostał, bo tylko 8 miesięcy. Próbował następnie na własną rękę wydawać to „Kurjera krakowskiego“, to „Abecadło“, to „Dziennik mód“, ale nie mógł ich utrzymać. W r. 1882 przeniósł się do Lwowa i wszedł do redakcyi „Gazety Lwowskiéj“. Przebył tu dwa lata, aż wezwany przez Wacława Szymanowskiego, przeniósł się w styczniu 1885 r. do Warszawy i został kierownikiem „Kuryera Warszawskiego“. Gdy wskutek sprzedaży tego dziennika, przeważna część jego redakcyi przeszła do „Kuryera Codziennego“, Sabowski poszedł wraz z nią. Umarł prawie nagle 19 marca r. b. Z licznych powieści jego, odznaczających się dowcipem i lekkością opowiadania, celniejsze są: „Za miesiąc“, „Kanarki“, „Kwiat Sumatry“ „Rodzina Orskich“, „Na paryskim bruku“, „Nad poziomy“.

† **Romuald Starkel**, urodzony r. 1850, zmarł we Lwowie 19-go marca r. b. Z pism jego osobno wyszły: „Dział szkolny na wystawie powszechnéj w Wiedniu 1873“ (Lwów, 1874), „Gawędy dziadunia“. Przełożył gieografią Kluna, powieści dla młodzieży Hoffmana.

† **Michał Grubecki**, nauczyciel, ur. 1822, zm. 26 marca r. b. w Warszawie. Był autorem dziełka p. n. „Książka przygotowawcza do egzaminu wstępnego do klasy I gimnazyów“ (Warsz. 1872, str. 99 i 60).

OFIARY.

Nadesłali na rzecz Kasy Mianowskiego:

P. Bohomolec Mieczysław z Kostromy rub. rs. 5.
P. Borejsza, aptekarz z m. Łodzi rub. sr. 5.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król. Pol.

podaje do wiadomości pp. Członków Towarzystwa, dawniejszych i nowozapisujących się, iż reprodukcyą chromolitografowaną u Lemercier'a w Paryżu z obrazu Jana Matejki „Hetman Zamoyski pod Byczyną" nabywać można w Kancelaryi Towarzystwa po dwa ruble za egzemplarz.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król. Pol.

ma honor prosić pp. Artystów tutejszych malarzy i rzeźbiarzy, umieszczających dzieła swoje na Wystawie Towarzystwa, aby w razie zażądania wysłania z Wystawy za granicę obrazów lub rzeźb w bronzie, jeżeli takowe mają być późniéj zwracane z zagranicy pod adresem Towarzystwa, uprzedzali o tem Komitet Towarzystwa, a to dla zabezpieczenia *ram* od obrazów i prac w *bronzie*, jako wyrobów miejscowych, od opłaty cła przy powrotnem odbieraniu onych z komory Składowéj w Warszawie, a tém samém dla uniknienia znacznéj bardzo części kosztów przesyłek zagranicznych przez opłatę cła w złocie, tem więcej, iż Towarzystwo nie przyjmuje na swój rachunek kosztów przesyłek dzieł sztuki, które znajdując się już na Wystawie Towarzystwa, wysyłane zostają na żądanie artysty za granicę i następnie zwracane ztamtąd pod adresem Towarzystwa.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król Pol.

ma honor prosić pp. Artystów o wczesne o ile można nadsyłanie prac swoich na Wystawę Towarzystwa przed terminami zakupowemi, a to w zastosowaniu się do art. 41 Ustawy Towarzystwa. Według przyjętego dotąd porządku, termina zakupowe przypadają w drugiej połowie miesięcy Marca, Czerwca, Września i Grudnia. Nadmienia przytem Komitet, dla wiadomości pp. Artystów za granicą przebywających, iż Towarzystwo przyjmuje na swój rachunek koszta przesyłek i cła za dzieła ich, o ile takowe przyjęte zostają na Wystawę Towarzystwa, przyczém uprasza się pp. Artystów rzeźbiarzy, aby w razie zamierzonego nadesłania na Wystawę pracy *w bronzie*, raczyli uprzednio znieść się w tym względzie z Komitetem Towarzystwa.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król. Pol.

podaje do wiadomości pp. Artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, iż Regulamin corocznéj czasowéj *Wystawy Konkursowéj* Towarzystwa, odbywającéj się w m. Styczniu, zmieniony został w ten sposób, iż poczynając od roku 1889, Wystawa urządzaną będzie *kolejno* dla każdego z działów sztuki, a mianowicie:

w roku 1889 dla działu Malarstwa
w roku 1890 dla działu Rzeźby,
w roku 1891 dla działu Architektury, i

tak następnie w tym samym, kolejnym porządku. Co zaś do nagród, takowe powiększono i oznaczono w jednakowéj ilości dla wszystkich działów Wystawy, a mianowicie: nagrody pierwsze po rsr. 600, nagrody drugie po rsr. 300, nagrody trzecie po rsr. 200,—płatne w biletach bankowych. Zmiany powyższe uczynione zostały w celu zachęcenia pp. Artystów do brania szerszego udziału w Konkursach Towarzystwa.

Jednocześnie zmieniono i Regulamin corocznéj czasowéj Wystawy Konkursowéj sztuki *Ornamentacyjnéj i Dekoracyjnéj*, urządzanéj przez Towarzystwo w m. Październiku, w ten sposób, iż poczynając od roku bieżącego, we wszystkich oddziałach onéj pierwsze nagrody wynosić będą po rsr. 100 i drugie po rsr. 50,—płatne w biletach bankowych.

Szczegółowe Regulaminy obu pomienionych Wystaw Konkursowych, na żądanie interesowanych wydaje Kancelarya Towarzystwa.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król. Pol.

podaje do wiadomości, iż na Członków *Rzeczywistych* Towarzystwa zapisali się: Gen-Lejt. Sokrates Starynkiewicz, Dr. Zygmunt Kramsztyk, Dr. Maksymilian Hertz, Dr. Jan Braun, Dr. Karol Jonscher, Romuald Przestrzelski, Józef Moszyński, Julian Makowski. Władysław-August Baron, Edward Hertz, Ignacy Zawiszewski, Mikołaj Tolwiński, Józef Zbrożek, Henryk Kolberg, Julian Głębocki, Stefan Szyller, Władysław Fuchs, Bronisław Gajewski, Edmund Lupiński, Władysław Muśnicki, Feliks Kucharzewski, Władysław Szymański, Józef Troska, Feliks Łagodziński, Aleksander Krasnodębski, Stefan Polkowski, Łukasz Reutt, Lucyan Rzecznik, Michał Mankielewicz, Wincenty Piskiewicz, Karol Haberbusch, Feliks Schiele, Kazimierz Schiele, Władysław Gostyński, Stanisław Stroński, Józef Kotarbiński, Zygmunt Tykociner, Karol Berent, Maurycy Woyde, Zygmunt Wiesiołowski, Jan Grużewski, Jan Pogroziński, Teodor Chądzyński, Józef Glotz, Antoni Kurman, Ludwik-Fryderyk Hildt, Oskar Scheller, Stanisław Grodzki, Samuel Dickstein, Leon Jantzen, Adolf Korsak, Henryk Kiedrzyński, Paweł Mieszkowski, Bolesław Wąsowski, Faustyn Cichalewski, Jan Szymkiewicz, Jan-Franciszek Czarnecki, Antoni Urbanowski, Józef Lewin, Maurycy Spokorny, Robert Fiszer, Fryderyk-Floryan Müller, Wincenty Borysz, Tytus Bednarowski, Franciszek Fiszer, August Stopczyk. Raczyli przyjąć obowiązki Członków *Korespondentów* Towarzystwa: Władysław-August Baron w Warszawie; Aleksander Szczepański w Dynaburgu; Eugieniusz Sokołowski w Humaniu.

„KRAJ“ N. N. 6, 7, 8 i 9 (luty). *Artykuły i korespondencye*: Zadania „Ekonomisty“. Nowe prądy w Galicyi. Likwidacya własności pols. w kraju zach. Pretensye do Finlandyi. Instrukcya ministeryalna w sprawie reformy czynszowéj. Rada obrończa w okręgu warsz. Święto czeskie — Ed. Jelinka. Bal pols. w Wiedniu — St. Kłobukowskiego. Echa mowy Bismarka. Zaburzenia agrarne i ich przyczyny. Przeciw cudzoziemcom—Bolesty. Orleanista o Rosyi. Nowe wystąpienie Hartmana Dwa dokumenty. Stan kościoła prawosł. O chorobie nast. tronu niemieckiego. *Dział zagraniczny*: listy z Krakowa, Lwowa, Poznania; echa słowiańskie. *Z Warszawy*. *Z prowincyi*: listy z Wilna, gub. Mińskiéj, Kijowa, Mińska, Irkucka, i t. d. Dział polityczny. Kuryer kościelny. Kuryer szkolny. — *Przegląd literacki*: Instytucya „Czerwonego krzyża“ — Wł. Spasowicza. Nasze plony dziejopisarskie — S...ckiego. Myszy morskie, obrazek rzymski — E. Orzeszkowéj. Etnografia białoruska — J. Łosia. Ustawa 3-go maja — ks. W. Kalinki. Trzydzieści lat Paryża A. Daudeta—Zyzmy. Społeczeństwa pierwotne W. Anczyca. Sen Makara—przekł. z W. Korolenki. Jeden z obrazów naszego upadku—Noty. Za i przeciw—A. Zakrzewskiego. Sprawozdania literackie itd. — *Ekonomista*: Przemysł w rękodziel. w Królestwie—A. Makowieckiego. Kasa emeryt. dla oficyalistów wiejskich—M. Trzaski. Wystawa tkacka—R. S. Bilans królestwa P. Zjazd przedstawicieli banków ziems. Law. Z towarzystw rolnicz.—M. Wańkowicza. Produkcyjność gospodarstw—R. Filipowicza. O robotniku w Cesarstwie i Królestwie—Ż. Kontrakty kijows.—M. Trzaski. Statystyka subhast. banku wileńs.—Fr. Bohuszewicza. Bank ziemski w Poznaniu—A. D. itd.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Stycznia i Lutego 1888 r.

Dante Alighieri. **Boska komedya.** Przekład *Antoniego Stanisławskiego.* Krak. nakł. J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna, 1887, 8-o, str. 731.

Zapiski archeologiczne poznańskie, wydawane przez Komisyą archeologiczną Towarzystwa Przyjaciół nauk poznańskiego pod redakcyą *Wł. Jażdżewskiego* i *D-ra B. Erzepkiego.* Rok 1887, Zeszyt II. Poznań, 1887, folio. od str. 21 do 28, z czterema tablicami litograf.

Słownik geograficzny królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*, według planu *Filipa Sulimierskiego.* Warsz. nakł. Wład. Walewskiego, 1888 wielkie 8-o, tom IX, zeszyt 97, str. 80; zeszyt 98 (od str. 81 do 160); zeszyt 99 (od str. 161 do 240).

Prace przygotowawcze do prawa o rejestrze firmowym z oryginalnych materyjałów przełożył i opracował *Kazimierz Nowakowski* Sekretarz Komitetu projektodawczego. Część druga. (Biblioteka umiejętności prawnych, zeszyty 107—116). Warsz. 1887, 8-o, str. 593+6 tablic+str. 15+IX.

„Volapük“. Kilka uwag o nowym języku świata napisał *S. Kornmann* słuchacz inżynieryi w szkole politechn. we Lwowie. (Cały czysty dochód dla Banku Poznańskiego). Lwów, 1888, 8-o, str. 15. (Cena 10 centów).

Sprawozdania meteorologiczne za miesiąc Maj 1887 r. (wyd. Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Sekcya II). Warsz. 1888, str. 16. Takież Sprawozdanie za miesiąc Maj 1887 r. str. 16.

Sprawozdanie z czynności Zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1887. Lwów, 1887, 8-o, str. 64.

Hanka. Powieść podolska przez *J. S(tanisława) Wierzbickiego.* Warsz, u Gebethnera i Wolffa, 1888, 8-o, str. 190.

Wskazówki do nauki początków języka ojczystego w ogólności a do czytania w szczególności. Przez *A. Jurgielewicza.* (Odbitka z „Przeglądu Pedagogicznego“). Warsz. 1887, 8-o, str. 57 (Skład główny u Gebethnera i Wolffa w Warszawie).

Pszczelnictwo. Zbiór wiadomości o Życiu i Przyrodzie Pszczół do potrzeb pszczelarzy zastosowany oraz przewodnik racyjonalnego prowadzenia pasieki w ulach ramowych warszawskich. Z 39 drzeworytami w tekście. Wydanie drugie poprawione i powiększone. Przez *Kazimierza Lewickiego.* Warsz. skład główny u Autora w Muzeum pszczelniczem. 1888. 8-o, 4 karty nlb.+str. 1 8+VI (cena rs. 1 kop. 20).

Dokumenty kujawskie i mazowieckie przeważnie z XIII wieku zebrał i wydał *Bolesław Ulanowski.* Krak. nakł. Akad. Umiej. 1888. 4-to, str. 423 i nlb. 2.

Zjazdy Piotrkowskie z r. 1406—1407 i ich uchwały przedstawił *Bolesław Ulanowski.* Krak. 1887. 8-o str. 31.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Марта 1888 г.